

ROBERT OSTASZEWSKI

ŚMIERĆ LAST MINUTE

Jedna dziewczyna, dwa kraje i trzy trupy. Trzeba mieć tak cholernego pecha, jak podkomisarz Rowicki, żeby podczas wakacji w sielskiej wiosce na Peloponezie od razu trafić na zwłoki.

h
HARDE

Zniewalające pragnienie skrywanej przez lata zemsty i emerytowany podkomisarz Rowicki, na którego długo czekałem. Ale oto jest! Wrócił w najlepszym możliwym wydaniu. Świetna powieść kryminalno-obyczajowa!

Robert Małecki

ROBERT OSTASZEWSKI

**ŚMIERĆ
LAST
MINUTE**


HARDE
WYDAWNICTWO

Copyright@ by Robert Ostaszewski, 2021

Projekt okładki: Olga Bołdok-Banasikowska

Opracowanie graficzne: Monika Zając

Redakcja językowa: Zofia Rokita

Korekta: Firma UKKLW – Karolina Kuć, Weronika Trzeciak

Zdjęcia na okładce: Shutterstock/Olga Bołdok-Banasikowska

Copyright@ for the Polish edition by TIME SA, 2021

Wydawca:

TIME Spółka Akcyjna

ul. Jubilerska 10

04-190 Warszawa

ISBN 978-83-66630-66-6

Więcej o naszych autorach i książkach:

wydawnictwoharde.pl

facebook.com/hardewydawnictwo

instagram.com/harde_wydawnictwo



**HARDE
WYDAWNICTWO**

Dział sprzedaży i kontakt z czytelnikami: harde@grupazpr.pl

Wersję elektroniczną przygotowano w systemie Zecer

Spis treści

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

Prologi

Część I Śmierć w promocji

Rozdział pierwszy Niedola grecka

Rozdział drugi Wypadek

Rozdział trzeci Czarna jak serce

Rozdział czwarty Niby-detektyw

Rozdział piąty Boh trojcu lubi'

Rozdział szósty Ćwiczenia z końca świata

Część II Zostanę, kim zostanę

Rozdział pierwszy Kolor popiołu

Rozdział drugi Taki ze mnie kolega

Rozdział trzeci Grzeszki i grzechy

Rozdział czwarty Życzenie kłopotów

Rozdział piąty Grecka zmyłka

Rozdział szósty Czerwone na czarnym

Epilogi. Jazdy

O autorze

Prologi

1.

Wdowy w czerni zebrały się przed hotelem tuż po śniadaniu. Jak co dzień. Choć prawdopodobnie nie wszystkie były wdowami. Być może niektóre z nich wciąż miały mężów, na których mogły złorzeczyć, w ten prosty sposób radząc sobie z nadmiarem emocji. Niekoniecznie złych – jakichkolwiek. Można było założyć, że wśród odzianych na czarno kobiet ukrywały się także notoryczne panny szukające w grupie ciepła. Również – jakiegokolwiek.

Ledwie minęła ósma rano, a żar lejący się z nieba już odbierał oddech. Wdowy w czerni milczały, być może złowieszczo, raz po raz popatrując na bramę prowadzącą na rozległy teren otaczający kompleks budynków hotelowych. Od czasu do czasu któraś z nich rzuciła krótkie pytanie, zdaje się, nie oczekując odpowiedzi. Suchy wiatr wiejący od ładu szurał i szeleścił w koronach zdziczałych drzewek oliwnych rosnących po drugiej strony drogi. Bus wciąż nie nadjeżdżał. Wdowy w czerni nerwowo przestępowały z nogi na nogę.

Wwiercające się w uszy skrzywienie sprawiło, że wdowy odwróciły się jak na komendę. Kobieta w bliżej nieokreślonym wieku, o poszarzałej twarzy i wyblakłych oczach, pchała wózek inwalidzki, na którym kulił się cień starca. Skinęła głową wdowom w czerni. Odpowiedziały powściągliwymi gestami. Odsunęły się od wózka, ledwie pół kroku, lecz zauważalnie. Starzec zaniósł się głuchym kaszlem, potem zaczął rzązić. Jego opiekunka chwyciła maskę tlenową, ale mężczyzna tylko pokręcił głową. Przez kilka minut pokasływał z cicha. Kiedy atak minął, mężczyzna wyszeptał kilka słów, z trudem otwierając wąskie, sine usta. Opie-

kunka chwyciła rączki wózka, sprawnie zakręciła i ruszyła z powrotem do hotelu. Większość wdów w czerni patrzyła za nimi tak długo, aż zniknęły w budynku. Niektóre westchnęły pewnie z ulgą.

Wreszcie pojawił się bus. Kierowca gwałtownie zahamował, po czym szybko wyskoczył z samochodu, zdezelowanego mercedesa, który już dawno odsłużył swoje na niemieckich autobanach, choć jeszcze jakimś cudem jeździł. Kilka wdów w czerni zamruczało z dezaprobatą, jedna wskazała wymownie na zegarek – duży, męski, nie wiadomo jakim cudem trzymający się na chudej ręce poznaczonej sznurami żył i plamami wątrobowymi. Kierowca wzruszył ramionami, otworzył drugie drzwi i zapalił papierosa. Zaciągał się głęboko, patrząc na moszczące się w środku kobiety.

Bus ruszył z hotelowego podjazdu z piskiem opon, ale zaraz za bramą zwolnił, jakby kierowca nagle przypomniał sobie, że właściwie nigdzie mu się nie spieszy. Toczyli się pustą drogą w dół niewielkiego wzgórza. Po prawej były knajpki i pensjonaty poprzedzielane skrawkami pól, na których schły na wiór arbuzy. Albo dojrzewały, jak kto woli. Po lewej ciągnął się kolejny hotelowy kombinat, który zdawał się nie mieć końca. Wdowy w czerni nie patrzyły ani na prawo, ani na lewo. Wiedziały, co tam jest. Nic godnego uwagi. Co jakiś czas bus mijał grupki turystów obładowanych sprzętem plażowym, ciągnące nad morze. Niektóre z odzianych na czarno kobiet przesuwwały po nich wzrokiem, choć bez większego zainteresowania. W większości zapewne były zdania, że ci obcokrajowcy, owszem, przydają się, dobrze, że zostawiają tutaj swoje euro, mimo że miały wątpliwości, czy te pieniądze zostały zarobione legalnie i zgodnie z zaleceniami moralnymi najpopularniejszej w okolicy religii. Ale lepiej by było, żeby za bardzo nie rzucali się w oczy i nie robili zbędnego zamieszania. Próżne nadzieje.

Samochód niemrawo zbliżał się do skrzyżowania. Wdowy w czerni zaczęły wciągać głębiej powietrze. Niektóre czuły zapach zgniłych jaj. Inne – siarczany zapaszek piekła, a przynajmniej wydawało się im, że tak właśnie powinno pachnieć w piekle. Trudno rozstrzygnąć, czy miały

rację, czy nie. Tylko dwie z pasażerek busa nie czuły nic a nic, bo miały kłopoty z węchem. Jedna od urodzenia, druga po przebytej niedawno operacji zatok. Kierowca spojrział w lewo, spojrział w prawo. Niepotrzebnie. Pusto jak zwykle. Wrzucił bieg i na jedynce dotoczył się do pobliskiego parkingu, na którym stało kilka osobówek. Umiarkowanie zużytych, na miejscowych blachach.

Kobiety wygramoliły się z samochodu i ruszyły ścieżką ku otoczonej lasem dolince, niezbyt rozległej, przypominającej nieckę. Smród narażał. Z boku za drzewami majaczyły ruiny budowli, która mogła być kiedyś antyczną świątynią, ale niekoniecznie nią była. Kobiety minęły ją i poszły w stronę sporego, podniszczonego basenu, do którego cienkimi strumieniami spływała woda z porzewiałych rur o niewielkim przekroju. Na całym terenie niecki widać było dziury i rowy, wszystkie wypełnione wodą. A właściwie mętną breją. Nad jednym z rowów siedziała grupka ludzi wyglądających jak statyści w kiepskim horrorze o kolejnej, niemożliwej do odparcia inwazji zombi. Ich twarze i odkryte części ciał pokrywała skorupa błota o zgnięzielonym kolorze. Tylko białka oczu lśniły w zastygłych maskach. I zęby, kiedy zdawkowo witali się z nowo przybyłymi.

Wdowy w czerni doszły do największego bajorka znajdującego się za basenem. Zaczęły się rozbierać. Niektóre miały na sobie kostiumy kąpielowe lub zwykłą, codzienną bieliznę, inne nie wiadomo co – jakieś długie koszulki zasłaniające więcej, niż potrzeba. Znały już swoje ciała, w końcu nie były tu razem po raz pierwszy, jednak wciąż rzucały na siebie niby przypadkowe spojrzenia. Przecież zawsze można było dostrzec jakiś nowy szczegół cielesności u siostry niedoli. Najlepiej taki, który poprawiłby, choćby na krótko, samopoczucie.

Stały nad brzegiem bajorka. Wyglądały jak złachane wiedźmy, choć daleko im było do demonizmu. Wokoło wałały się kawałki dłuższych i krótszych gałęzi, desek i sklejki. Każda wzięła do ręki, co jej akurat przypasało. To na pewno nie było spa z pełnym wyposażeniem, ale nie narzekały. Przynajmniej nie musiały płacić za błotną kąpiel, co

w czasach kryzysu, którego końca nie było widać, stanowiło mocny argument. Mieszały w gęstej, nieprzejrzystej wodzie bajorka, wyciągały pecyny błota i rozsmarowywały po skórze. Niektóre pomrukiwały z zadowolenia, inne nie. Smród, który tęzał wokół nich, znosiły bez słowa skargi. Dla zdrowia można znieść wiele. Krzepka, wysoka wdowa w staromodnej halce z wprawą operowała długą, masywną gałęzią. Nagle z jękiem klapnęła na tyłek. Gałąź uwięzła w mulistym dnie. To się zdarzało. Podeszła do niej druga wdowa, pomogła wstać, a potem we dwie pociągnęły za gałąź. Rozległo się ciche mlaśnięcie. Na powierzchni bajorka pojawiły się bąbelki powietrza. Krzepka wdowa oparła koniec gałęzi na ziemi i już chciała sięgnąć po solidną porcję blocka, kiedy zamarła w pół ruchu. W pierwszej chwili uznała, że ma zwidy. Czasami zdarzało się jej widzieć coś, czego inni nie widzieli, choć dbała, żeby nikt się o tym nie dowiedział. Zamknęła oczy, mocno potarła powieki palcami. Znowu zerknęła w dół. Było, nie zniknęło. Ostrożnie wyciągnęła gałąź i dotknęła tego, czego być tam nie powinno. A potem zaczęła wrzeszczeć.

Kierowca busa siedział na ławce ustawionej na skraju parkingu i palił papierosa. Lubił palić i przez całe dni konsekwentnie pracował nad tym, by jak najbardziej skrócić czas od zgaszenia niedopałka do odpalenia nowego papierosa. Był właśnie w połowie cudownie wysuszonego marlboro, kiedy usłyszał przeraźliwy kobiecy krzyk. Histeryczki, pomyślał. Nie lubił wdów w czerni, za to cenił niezbyt męczącą pracę polegającą na wożeniu ich po okolicy. Poza tym przeżył już tyle lat, że zdążył poznać i zaakceptować trywialną prawdę, że życie jest sztuką kompromisów. Stęknął, podniósł się z ławki i poszedł w stronę dolinki.

Wdowy, już niekoniecznie w czerni, bo mniej lub bardziej rozebrane, stały niedaleko basenu. Wokół nich krążyło kilka osób, których kierowca nie znał. Zignorował je i poszedł do swoich podopiecznych. Tak określał je w myślach, może niezbyt słusznie, bo przecież nie otaczał ich nadmierną opieką. Kiedy wdowy go zobaczyły, zaczęły krzyczeć jedna przez drugą, z czego nic nie zrozumiał, i nerwowo wskazywać na

największy ze zbiorników blocka – to był przekaz już nieco jaśniejszy. Poszedł tam, spojrzął i... zamarł. Na powierzchni wody unosiło się ciało. Wąsy i hiszpańska bródka wskazywały, że było to ciało płci męskiej. Chociaż właściwie w czasach narastających problemów z identyfikacją płciową nie było to do końca pewne. W przewalającej się po okolicy masie turystów różne rzeczy się widywało. Tym bardziej że pływające ciało od czubka głowy po stopy było pokryte szarozielonym blockiem. Włącznie z otwartymi oczami.

Kierowca busa patrzył na ciało, a w jego głowie krążyła jedna prosta jak jego psychika myśl: „Widzę trupa”. Stał tak nieruchomo, aż do momentu kiedy tkwiący między jego palcami papieros się dopalił. Wtedy wysyczał przekleństwo:

– Gamoto!

Trudno powiedzieć, co bardziej go dotknęło: widok czy oparzenie.

2.

Trzasnęła drzwiami. Słyszała, że wołał coś za nią, ale zignorowała krzyki. Miała po gwizdek przekonywania go, męczyły ją rozmowy na nieodmiennie ten sam temat, które nie prowadziły do sensownej konkluzji. Przynajmniej nie takiej, którą mogłaby zaakceptować. Zbiegła po schodach, szybkim krokiem przeszła przez placyk w centrum wioski. Potem zaczęła biec, najpierw chodnikiem wzdłuż drogi, potem przez rozległy gaj oliwny. Stare, powykręcane drzewa rosły w dużych odstępach, mogła więc biec bez przeszkód. Wyszuszone trawa i zioła chrzęściły pod stopami. Biegła coraz szybciej, chciała, żeby pęd gorącego powietrza i narastające zmęczenie wytłumiły wszelkie myśli. Gorzkie. Oddychała ciężko, wiedziała, że w oblepiającym upale nie da się biec zbyt długo.

Nagle pośliznęła się, jedna noga odjechała w bok. Zaryła kolanami w ziemi, w której więcej było piasku i żwiru. Usiadła i obejrzała nogi. Nic wielkiego się nie stało, kilka rys i zadrapań. Zagoją się, nawet nie do

wesela, pewnie przed zaręczynami. Ale na czym się wywróciła? Kamień, wystający korzeń? Spojrzała za siebie i zobaczyła wdeptanego w glebę niewielkiego żółwia. Kurde, zabiłam żółwia, pomyślała.

- Zabili mi żółwia.

- Że niby co? - spytała odruchowo, bardziej zdziwiona słowami niż niespodziewanym pojawieniem się mężczyzny.

- Był kiedyś taki zespół, który grał i trąbił. Raczej słaby.

- Co ty mi tu pierdolisz?

Trudno powiedzieć, czy było to pytanie, a jeśli faktycznie było, powinno brzmieć zupełnie inaczej, z czego zdała sobie sprawę, nim wybrzmiał jej głos. Na przykład: „Co ty tu robisz?”. Choć właściwie mogła na nie odpowiedzieć sama. Ruszył za nią, dyskretnie miał ją na oku. Taka natura psa, nic to, że byłego. Już raz się o to posprzeczali. Że daje jej za mało swobody, że chce ją chronić, chociaż ona żadnej ochrony nie potrzebuje, jest przecież dużą dziewczynką i poradzi sobie ze wszystkim bez niczyjej pomocy. W razie czego, w razie złego. Ale nic złego nie majaczyło na horyzoncie ani nie ukrywało się poza nim. Była o tym przekonana. On nie. Podejrzewała, że chodziło mu o kontrolę, i coraz mniej jej się to podobało. Prawdopodobnie miał dobre intencje, ale kto powiedział, że dobre intencje nie mogą prowadzić do złych czynów. Prosta jak strzelił drogą. Brukowaną lub nie. Nie zamierzała z nim tego omawiać, na ten dzień miała dość kłótni.

Kucnęła przy gadzie. Z ziemi wystawała ledwie góra skorupy. Mężczyzna usiadł po turecku naprzeciwko niej.

- Chyba tego nie przeżył - powiedziała i delikatnie dotknęła palcem żółwia. Nie zareagował. Nie mógł, skoro był martwy.

- Niekoniecznie. - Mężczyzna potarł policzek naznaczony kilkudniowym zarostem w kolorze pieprz i sól. - To żółw grecki, a właściwie żółwik, jeszcze dosyć mały. A takie młode osobniki mają dosyć miękką, plastyczną skorupę. Mógł przetrwać.

- A od kiedy to znasz się na żółwiach, w dodatku greckich?

- Lata temu kolega hodował coś takiego.

– To ty masz kolegów? – Nie mogła darować sobie drobnej złośliwości.

Westchnął i wbił w nią wzrok. Smutne oczy spaniela, którego chciałoby się przytulić i poczochrąć. Nie zamierzała się nad nim litować ani wykonywać przyjacielskich gestów. Nie teraz, nie dzisiaj.

Delikatnie wygrzebał żółwika z piaszczystej ziemi, obejrzał. Skorupa wyglądała na nieuszkodzoną, a jej właściciel tkwił w środku. Żywy lub martwy. Na dwoje babka wróżyła. Tak samo jak z ich związkami, krótkim, acz burzliwym.

3.

Cykady nie milkły. Na początku, kiedy przyjechał tu po raz pierwszy, ich upiorny, metaliczny chrzęst doprowadzał go do szału. A nawet na skraj obłądu. Tak wtedy myślał. I że „obłąd” to ciekawe słowo. Ktoś popada w obłąd, coś jest obłądne. Niuanse znaczeń. Zmieniał wtedy swoje życie, tkwił na styku światów, z których jeden był nieoswojony. Wiele rozmyślał. O cykadach, obłądzie i mechanizmach języka. Choć nie tylko.

Usiadł za biurkiem, położył przed sobą gęsto zapisaną kartkę formatu A4. Z przybornika stojącego w lewym górnym rogu blatu wyjął starannie zaostrzony ołówek i umieścił z prawej strony kartki. Lubił pisać ołówkiem. Od zawsze. Ołówek odtoczył się kilka milimetrów w bok. Widząc to, skrzywił się, poprawił. Przyjrzał się biurku. Czy wszystko było, jak trzeba? Z pewnym wahaniem otworzył znajdującą się pod blatem szufladę i wyjął z niej kalendarz w formie notesu. Na jego sfatygowanej okładce ze sztucznej skóry wytłoczony był napis: „Kalendarz na rok 1998”. Położył go powyżej kartki. Właściwie nie był mu do niczego potrzebny, świetnie pamiętał każde zdanie, każde zapisane w nim nazwisko. A jednak chciał mieć go przed oczami. Widok kalendarza nieodmiennie wzbudzał w nim gniew, mimo że minęło już tyle

lat. Gniew był dobry, tym bardziej gdy był zimny i nie odbierał umiejętności trzeźwej kalkulacji.

Zawsze lubił planować, sporządzać spisy i konspekty. Na studiach wzbudzał tym zdziwienie kolegów, którzy uważali to za stratę czasu. Ale na zajęciach z metodyki i w czasie praktyk w szkołach jego konspekty lekcji były stawiane za wzór. Wszystko idealnie rozpisane co do minuty, klarowne i celowe. Czasami zastanawiał się, jak potoczyłoby się jego życie, gdyby wykładowcy na studiach nie utwierdzali go w przekonaniu, że jest stworzony do zawodu nauczyciela. Prawdopodobnie potoczyłoby się tak samo. Bo już w liceum poczuł, że tłumaczenie kolegom zawilóści zadań matematycznych sprawia mu frajdę. Nawet jeśli koledzy byli niewyuczalnymi głabami. A potem na studiach dawał tyle korepetycji, na ile tylko wystarczało mu czasu. Chętnych nie brakowało, odkąd rozeszła się wieść, że uczy skutecznie i tanio. A do tego jest nieludzko cierpliwy. Wiedział, że chce być nauczycielem, i zrobił wszystko, aby nim zostać. Wedle planu, metodycznie i celowo.

Westchnął. Cykady zamilkły. Nie wiedział, czy na chwilę, czy na dłuższy czas. Tego nigdy nie można było być pewnym. Sięgnął do przybornika po linijkę, drugą ręką po ołówek. Znalazł na kartce właściwy wiersz, dla pewności przeczytał treść punktu, bezgłośnie poruszając wargami, a potem powoli przekreślił go ołówkiem. Odłożył linijkę do przybornika, dmuchnął na kartkę, usuwając drobinki grafitu.

– Teraz nie ma już odwrotu – powiedział.

Nie było w tym zdaniu złości czy zdziwienia, jedynie stwierdzenie faktu. Zrealizował jeden punkt planu. I wcale nie poczuł ulgi.

Część I

Śmierć w promocji

Rozdział pierwszy

Niedola grecka

10 września 2014, środa, Grecja

Czułem się jak kurczak włożony do dobrze nagrzanego piekarnika. O ile kurczak pozbawiony głowy i wnętrzości może cokolwiek czuć. I pozbawiony łapek. Dawniej, kiedy jeszcze kupowało się żywy drób od baby na targu, Felicja gotowała kurze łapki i coś tam z nich obgryzała. Prawdę mówiąc, było to nieco obrzydliwe. Co tu kryć, pewne upodobania żywieniowe mojej ukochanej babki bywały osobliwe. Na przykład przegryzanie bigosu ciastem drożdżowym. Skupiałem się na logicznych wygibasach oraz wspominkach, by nie myśleć o tym, że się roztapiam, że jeszcze chwila, a pozostanie po mnie jedynie mokra plama na betonie.

Było już dobrze po dziesiątej wieczorem, ale duchota nadal odbierała oddech. Pot zalewał mi oczy, wzdłuż kręgosłupa płynęła wartka struga. Aż dziwne, że nie słyszałem jej szemrania. Powoli, noga za nogą, szedłem w stronę budynku portu lotniczego. Jaki tam znowu port! Wylądowaliśmy w Araksos na lotnisku wojskowym, które w sezonie wakacyjnym przyjmowało cywilne samoloty. Przynajmniej byliśmy dobrze chronieni, chociaż w tym momencie miałem to „gdzieś, dokładnie tam”, jak śpiewał Lech Janerka. Bardziej interesowało mnie, czy w lotniskowym budynku jest klima. Nie było, a jeśli nawet, to dyskretna. Była za to spora kolejka do okienka, w którym siedziała funkcjonariuszka greckiej straży granicznej, czy jak tam się ta ich służba nazywa. Na szczęście nasz transport spragnionych słońca białasów pochodził z właściwego, unijnego kraju, więc pogranicznica nie maru-

działa ze sprawdzaniem dokumentów. Potem jeszcze tylko kołowrót niepewności, wyczekiwanie na bagaż, który powinien się pojawić, ale przecież niekoniecznie na pewno, obserwowanie nerwowej krzątający ludzi, którzy pośród dziesiątek takich samych albo bardzo podobnych walizek próbują odnaleźć własną... I wreszcie wytoczyłem się z bagażami na zewnątrz. Byłem w Grecji.

Peloponez wita!

– Nie wierzę, że tu jestem z tobą – powiedziała Paulina i przytuliła się do mnie. Nie mogłem uwierzyć, że ona wcale nie jest spocona. Czyżby, niestety, kwestia wieku? A może mojego niezbyt higienicznego stylu życia?

Pracownicy biur podróży niczym dobrze wyszkolone psy pasterskie pozaganiali turystów do właściwych busów i autobusów. Załadowaliśmy nasze bagaże, zajęliśmy pierwsze lepsze wolne miejsca. Było dobrze, klima nastawiona na full. Mieliśmy przed sobą prawie godzinę jazdy.

Za oknem niespiesznie przesuwiała się grecka ciemność, co jakiś czas rozświetlana światłami mijanych wiosek. Koło drogi majaczyły zagajniki i pola uprawne. Ciekawe, co oni tu uprawiają, myślałem. Przed wyjazdem czytałem w internecie, że większość Peloponezu to coś w rodzaju ziemi jałowej. Niekoniecznie tej z wiersza T.S. Eliota. Okazało się, że internet kłamie. Podobnie jak telewizja.

Paulina zasnęła, ledwie przyłożyła głowę do mojego ramienia. Nie mogłem się nadziwić, jak to robiła. Jeśli tylko była zmęczona czy znużona, zasypiała natychmiast na leżąc, siedząc, a raz nawet na stojąco, bez najmniejszego problemu. Jej włosy laskotały mnie w szyję, dmuchałem w kruczoczarne pukle, ale niczym sprężynki wracały na swoje miejsce. Było w tym coś rozczulającego. Nie chciałem jej budzić, znosiłem laskotki. Tak jak znosiłem powtarzające się ataki niepewności.

Paulinę Nosalską poznałem ponad dwa lata wcześniej, jeszcze w Ciechanowie. Była świeżo po maturze, a ja prowadziłem bardzo nieprzyjemne śledztwo w sprawie samobójstwa nastoletniej Jowity Dudek, córki miejscowego polityka. Coś nas wtedy z Pauliną zbliżyło... Nie

chciałem jej mieszać do tego śledztwa, ale wyszło, jak wyszło. I nie skończyło się dobrze. Potem pojechała na studia do Gdańska, ja musiałem się zwolnić z policji. Od dwóch lat tkwiłem w zawieszeniu, nie mogąc się zdecydować, co zrobić ze swoim marnym życiem faceta w średnim wieku. Jako tako zarabiałem, prowadząc wykłady na różne tematy kryminalne. Na szczęście zaczęła się moda na kryminały i rozmaite uczelnie czy biblioteki szukały ludzi, którzy poopowiadają o Wampirze z Zagłębia, technikach kryminalistycznych czy seryjnych mordercach. Mogłem i umiałem to robić. Studia polonistyczne w końcu się na coś przydały.

Kilka miesięcy temu po wykładzie na temat najgłośniejszych śledztw w II RP, który miałem na Uniwersytecie Gdańskim, podeszła do mnie Paulina. Nie powiem, mocno się zdziwiłem. Poszliśmy na piwo, dobrze nam się rozmawiało, chociaż jak ognia unikaliśmy wszelkich ciechanowskich tematów. Później zaprosiła mnie na weekend i tak niepostrzeżenie... zaczęliśmy się spotykać. Byliśmy parą? Mieliliśmy – ona, dwudziestoletnia studentka, ja, czterdziestodwulatek po przejściach – jakąś przyszłość? Nie wiedziałem. Wystarczyło mi, że Paulina jest ze mną, obok mnie.

Autokar zatrzymywał się przy kolejnych hotelach, wypuszczając grupki hałaśliwych, nadmiernie pobudzonych wczasowiczów. Aż wreszcie dotarliśmy na miejsce. Przynajmniej tak mi się wydawało. Rezydentka z biura podróży wysiadła przy którymś z wcześniejszych hoteli, z obsługi pozostał grecki kierowca, który – jak to grecki kierowca – mówił jedynie po grecku. Wyrzucił z siebie ciąg słów i wskazał ręką w ciemność. Spojrzałem na niego, zlustrowałem ciemność. Znowu coś powiedział, wychwyciłem słowo, które mogło brzmieć jak Arkoudi. Grek znowu nerwowo zamachał ręką w stronę niczego. Co było robić, skinąłem na Paulinę, wyszliśmy, wyjęliśmy bagaże. Po chwili autobus zniknął.

– Gdzie my jesteśmy? – zapytała rozespana Paulina, rozglądając się bezradnie dookoła.

- W Grecji - odpowiedziałem z pełnym przekonaniem i zgodnie z prawdą. Towarzyszka mojej greckiej niedoli zaczęła się głośno śmiać, a ja dołączyłem do niej.

Staliśmy na chodniku przy asfaltowej drodze. Droga zazwyczaj dokąds prowadzi, więc już nie było aż tak źle. Z lewej strony szosy ciągnął się - zdawało się, że bez końca - gaj oliwny, z prawej były jakieś chaszczce i chabazie, przed nami w oddali majaczyły światła. Miałem nadzieję, że właśnie tam jest wioska Arkoudi, w której znajduje się nasz hotel. Albo przynajmniej znajdować się powinien. W końcu byłem za granicą, gdzie niespecjalnie lubilem bywać, i z założenia spodziewałem się wszystkiego, co najgorsze - jadowitych stworzeń, potraw o nieznanym nazwach i niejasnym składzie, autochtonów mówiących jedynie po autochtońsku. I oczywiście miejscowości, które w przedziwny sposób zawsze znajdują się nie tam, gdzie na mapie. Rozejrzałem się jeszcze raz wokół. Powinniśmy znaleźć się w niewielkiej wiosce leżącej nad Morzem Jońskim. Morza nie widziałem ani nawet nie słyszałem. Trudno, jedyne, co nam pozostało, to iść w kierunku, który wskazał grecki kierowca, mając nadzieję, że wiedział, co czyni.

Doszliśmy do skrzyżowania, wybraliśmy drogę wyglądającą na główniejszą. Prowadziła lekko w dół, więc nasz nocny marsz na orientację nie był męczący. Dobrze i tyle, pomyślałem, poprawiając zsuwający się z przepoconej koszulki pasek sporej torby. Paulina dreptała obok mnie, ambitnie, acz z wysiłkiem ciągnąc wielką walizę. Mogłem, jak na staroego zgreda przystało, powiedzieć: „A nie mówiłem, że zabierasz za dużo ubrań i innych gadżetów?”. Wszystko to było podobno niezbędne dziewczynie do przeżycia w mniej więcej cywilizowanym świecie. Kobiety niezmiennie pakują za dużo rzeczy do zbyt wielkich waliz, których nie są w stanie unieść. Plus dla Pauliny, że przynajmniej sama taszczyła swój sakwojaż.

Odetchnąłem, widząc ustawioną przy drodze tablicę z nazwą wioski. Tej, do której mieliśmy trafić. Pojawiły się domy stojące na łagodnym zboczu. Szumu morza wciąż nie było słychać, za to do moich uszu

dochodził narastający gwar. Minęliśmy ostry zakręt. I... stanąłem jak wryty.

- Co jest? - jęknęła Paulina, która nie zauważyła, że się zatrzymałem, i z całym impetem wpadła na mnie.

Odsunąłem się na bok i pokazałem ręką przed siebie.

- Zobacz - powiedziałem.

Przed nami rozciągał się spory plac o nieregularnym kształcie. Pełen ludzi. Równie tłoczno było w ogródkach kilku znajdujących się tam knajp. Wesołe gromadki komunikujące się w rozmaitych, bliżej nieznanym mi narzeczach biesiadowały przy zastawionych stołach, kelnerzy uwijali się jak w ukropie. Spojrzałem na zegarek, było kilka minut po północy.

Paulina wzruszyła ramionami i spytała:

- I co cię tak dziwi?

- Tłum o tej porze.

- Nic specjalnego, tak jest zawsze na Południu. Nie byłeś nigdy w Grecji?

Pokręciłem głową. Zrobiła oczy wielkie jak pięcioletki. Nic dziwnego, należała do pokolenia, dla którego zagraniczne podróże były czymś tak naturalnym i zwyczajnym, jak dla mnie wypadki z kumplami na Mazury. Pewnie nie mieściło się jej w głowie, że ktoś mający ponad czterdzieści lat nigdy nie trafił do kraju Greków. No i nie wiedziała, że wyjazdy za granicę Polski to zdecydowanie nie moja bajka. Jakoś nie miałem okazji, by o tym wspomnieć. I że pewnie nigdy to się nie zmieni. Wielu rzeczy jeszcze o mnie nie wie i o wielu zapewne się nie dowie. Tak będzie lepiej.

- Byłem tylko w Chorwacji, na Korczuli, ale tam o tej porze było już w knajpach pusto, ludzie przenosili się do klubów i dyskotek.

- Też tam byłam.

Jakoś mnie to nie zdziwiło.

Owionął mnie zapach grillowanego mięsiwa. Poczulem, że jestem głodny. Bardzo. Nie było sensu zwlekać. Nasz hotel znajdował się zaraz za niewielką tawerną i wąską, krętą uliczką prowadzącą w górę kolejnego zbocza. Miał absolutnie niezapamiętywalną nazwę i przypominał willę. Nie zamierzałem męczyć się w hotelowym kombinacie pośród tysięcy ludzi zdeterminowanych, by świetnie się bawić. Za wszelką cenę. Cena zresztą też grała rolę, choć akurat o tym Paulina nie musiała wiedzieć. Sprzedałem jej wizję kameralnego i romantycznego miejsca, w którym będzie nam dobrze. Zdaje się, że to kupiła.

Greczynka w średnim wieku, królująca w recepcji, najwyraźniej chciała jak najszybciej skończyć dzień pracy, więc zameldowała nas błyskawicznie, wręczyła klucz i wysłała na drugie, ostatnie piętro, właściwie poddasze. Pokój jak pokój, skośny sufit, duże łóżko z nie najgorszym materacem, szafa, stolik i krzesła. Łazienka daleka od sterylności. Mnie to nie przeszkadzało, Paulina trochę kręciła nosem na wannę z rdzawym zaciekiem. Tłumaczyłem, że nikt nie każe jej się w niej moczyć, szybki prysznic jakoś przetrzyma. Do kompletu był jeszcze balkon z widokiem na morze. Ponoć, bo na razie widać z niego było jedynie ciemność złamaną słabą poświatą latarni oświetlających placyk. Pewnie Grecy oszczędzali na prądzie.

Zrobiło się zbyt późno na poszukiwanie knajpy, poszliśmy więc do tawerny po drugiej stronie uliczki. Usiedliśmy przy jedynym wolnym, niewielkim stoliku, tuż przy ulicy. Obok nas, dosłownie na wyciągnięcie ręki, spacerowali ludzie, pomiędzy nimi przemykali młodzieńcy na skuterach z podrasowanym, zawodzącym gromko wydechem, a co jakiś czas przez to całe zamieszanie ktoś próbował się przebić nawet samochodem. Chłopaki z ciechanowskiej drogowki mieliby używanie, choć cholera wie, jakie tu obowiązywały przepisy ruchu drogowego. Nie zdążyłem gruntownie przemyśleć tego zagadnienia, bo przy stoliku zjawił się chłopaczyna przepasany granatowym fartuchem i zagadał:

- Zdrastwujcie.

Paulina spojrzała na mnie, ja na nią. I wybuchliśmy śmiechem. Kelner wyglądał na lekko wstrząśniętego. Wytłumaczyliśmy mu, że do nas to raczej pasuje „Dzień dobry”, a z Rosją mamy jedynie tyle wspólnego, że w podstawówce uczyłem się języka Puszkina, lecz Paulina oczywiście już nie, i uważamy, że na Rosjan to my nawet nie wyglądamy. Kelner, gdy już wróciła mu mowa, łaskawie, choć bez większego przekonania, zgodził się z nami. Pierwsze lody zostały więc przełamane i kelner zaczął opowiadać, że Polska i Polacy, bardzo dobrze, Jan Paweł II i Wacika. Paulina nie rozumiała, o jakiego Wacika chodzi, więc wytłumaczyłem jej, że o polskiego piłkarza Krzysztofa Warzychę, pseudo Gucio, który swego czasu podbił greckie boiska i serca potomków demokracji ateńskiej, co kelner potwierdził skinieniem głowy. I żeby nic porozumienia zaplątać w zgrabny węzeł, opowiedział o swoim kole-dze, który rok temu pracował we włoskiej pizzerii w Oświęcimiu. Kręte i niezbadane są ścieżki naszej globalnej wioski. Nie podzieliłem się z kelnerem tym przemyśleniem. Przede wszystkim dlatego, że z greckim młodzieńcem nie rozmawialiśmy my, ale jedynie Paulina, bo mój od dawna nieużywany angielski był mocno zardzewiały. Rozumiałem prawie wszystko, ale ze skleceniem sensownego zdania miałem już problem. Poprzestałem więc na dorzucaniu do konwersacji pojedynczych słów i szczerzeniu się jak debil.

I to oczywiście Paulina zamówiła naszą pierwszą grecką kolację.

11 września 2014, czwartek, Grecja

Następny dzień zaczął się od cudu. Znalazło się morze!

Przebudziliśmy się o barbarzyńskiej godzinie. Pewnie dlatego, że po podróży czy – jak to uwielbiają określać ludzie z branży turystycznej – transferze byliśmy skonani i padliśmy spać zaraz po kolacji, zapominając włączyć klimę. W pokoju było duszno i gorąco. Paulina pomknęła do łazienki, a ja wyszedłem na balkon. I wtedy objawiło mi się morze w całym swym oślepiającym błękicie. Czy może w zieleni. Trudno było

to ubrać w słowa, tym bardziej że lśniło niczym nagle odnaleziony skarb piratów.

To znaczy nie objawiło się tak od razu, musiałem trochę wychylić się z balkonu. Ale to przecież drobiazg. Uznałem, że panienka z biura turystycznego mnie nie ołgała, zamówiony i dodatkowo opłacony balkon z widokiem na morze sztuk jeden – jest. Tę szczęśliwą chwilę uczciłem papierosem. Smakował jakoś dziwnie. Zacząłem rozważać, czy to wpływ nadmorskiego powietrza, czy Pauliny, która od jakiegoś czasu wypominała mi, że za dużo kurzę. Nie doszedłem do ostatecznego wniosku, bo poczułem, że moja dziewczyna chwyta mnie w pól i przytula się do moich pleców. Naga i mokra po kąpieli. I to by było na tyle, jeśli chodzi o poważne refleksje na temat bycia i życia.

– I gdzie to morze? – wymruczała.

– Wychył się za barierkę, to zobaczysz.

– A jak zobaczy mnie jakiś Grek?

– Będę musiał go zabić.

Zaśmiała się i jakby od niechcenia posmyrała mnie to tu, to tam. Zaprawdę powiadam wam, było to miłe.

– Ale ty nie masz już broni.

– Znam inne sposoby uśmiercania – powiedziałem od niechcenia, niczym stuprocentowy kandydat na nowego Bonda.

– Chodź, mój wojowniczy ekspolicjancie. – Pociągnęła mnie lekko ku sobie.

Musiałem tylko wziąć błyskawiczny prysznic. A potem robiliśmy rzeczy na łóżku i podłodze, o których filozofom się nie śniło. Greckim.

Nieomal spóźniliśmy się na śniadanie. Prawdę mówiąc, lepiej, gdyby tak się stało. Kawa była podła, sok pomarańczowy rozcieńczony w stopniu haniebnym, a większość smakołyków ustawionych na szwedzkim stole zapewne pochodziła z pobliskiego dyskontu. Trudno się temu dziwić, bo cóż Grecy mogą wiedzieć o szwedzkich stołach. Podzieliłem się

tą myślą o różnicach kulturowych z Pauliną, co doprowadziło ją do spazmatycznego śmiechu. Kiedy się już jako tako uspokoiła, poradziła mi, żebym spróbował greckiego jogurtu. Brwi podjechały mi na środek czoła. Ja i jogurt stanowiliśmy dwie bardzo odległe galaktyki. Ale czegoż nie robi się dla kobiety, więc spróbowałem. I się zdziwiłem. Jogurt był najlepszym punktem postnego śniadania.

Paulina z miejsca chciała biec na plażę, ale wytłumaczyłem jej, że najpierw powinniśmy rozejrzeć się po okolicy. Nie ma to jak dobre rozpoznanie terenu przed akcją, takie gliniarskie przyzwyczajenie. Nie tłumaczyłem już jednak, że ulegam – dobrze, że niebezwiednie – wdrukowanym w umysł schematom działania.

Placyk, który nocą wydawał się magiczny, w świetle dziennym przestoczył się w całkiem zwyczajny. W ogródkach knajpek odbywało się niespieszne sprzątanie, ze sklepu spożywczego wychodzili klienci z plastikowymi siatkami, takimi samymi jak w dziesiątkach innych krajów, trzech taksówkarzy robiło to, co zwykle robią taksówkarze, czyli grało w karty. Środek placyku był wyłożony kamiennymi płytami, na których polegiwały chude koty, wyglądające na chore. Ale co ja tam wiem o kotach. Nigdy nie miałem żadnego zwierzaka, choćby najędźniejszej złotej rybki w słoju. Rosło tu tylko jedno, za to potężne drzewo, nie wiedziałem jakie, ale podejrzewałem, że to platan. Słyszałem gdzieś albo czytałem, że w greckich wioskach sadzono je w centralnym miejscu. W jego cieniu siedziała na zwykłym domowym krzeselku staruszka w grubej, czarnej sukience z długim rękawem, opierając złożone dłonie na lasce. Wyglądało, że śpi. Z otwartymi oczami.

Paulina też ją zauważyła, bo ni to stwierdziła, ni to zapytała:

– Jak jej nie jest gorąco.

Spojrzałem na nią. To znaczy nie na staruszkę, tylko na Paulinę. Miała na sobie kuse szorty i zwiewny bezrękawnik w kolorze, który wymykał się mojej percepcji. Była to dosyć swobodna wariacja na temat zółtego.

– Pewnie mieszka tu przez całe życie, to i przywykła do gorąca.

– I co ona robi?

– Przygląda się, jak życie toczy się obok niej. Jak wielu staruszków. Wzruszyła ramionami.

– Idziemy wreszcie?

W jej głosie pobrzmiwała niecierpliwość.

Arkoudi nie było dużą wioską, wystarczyło dziesięć minut spaceru w każdą stronę, by zwiedzić ją wzdłuż i wszerz. Domki, w większości otynkowane na biało, wyglądały na zadbane, żadnych ruin ani widywanej przeze mnie w Chorwacji prowizorki typu: „Postawimy sobie parter, a potem się zobaczy”. Niektóre wystawiono na sprzedaż. Informacje agencji nieruchomości były zazwyczaj pisane nie tylko po grecku i angielsku, lecz także po rosyjsku. Wyjaśniła się więc zagadka, czemu kelner pozdrowił nas tak, a nie inaczej. Czyżbyśmy trafili do ruskiej zony turystycznej? Uznałem jednak, że nie ma czym się zanadto przejmować, w końcu, co za różnica, czy w okolicy będą Ruscy, Niemce, czy Szwedy. I tak nie zamierzałem się z nikim bratać. Poza tym w Arkoudi było całkiem miło. Kilka małych knajpek, zapach ryb i wodorostów mieszający się z woniami grillowanego mięsa, ciepło i miejscowi wyglądający na wyluzowanych.

Z placyku do morza prowadziła wąska uliczka biegnąca w dół. Zapewne były też inne dojścia, jednak na razie nic o nich nie wiedziałem. Ale co się odwlecze... Kiedy już udało nam się wydostać spomiędzy ciasno stojących domów, przed nami otworzył się widok. Tak właśnie, otworzył się. I mniejsza, jak moi profesorowie z krakowskiej polonistyki skomentowaliby tę frazę. Niechże ona będzie grafomańska, niechże brzmi niczym żywcem wyjęta z książki pisarki, która postawiła na bezkompromisową i bezrefleksyjną zarazem afirmację świata. Albo z powieści jakiegoś pisarza.

– Zobacz, jak w bajce! – Paulinę, jak się okazało, też kręciły ładne widoczki.

- No nieźle. - Tą beznamiętną kwestią chciałem sam przed sobą zamaskować krótkie rozważania na temat otwierających się widoków i innych niedostatków stylu i języka.

Plaża leżała w zatoce, na której krańcach piętrzyły się czarne skały - po prawej nagie, postrzępione i wyglądające na niedostępne, po lewej wznoszące się łagodnie. Nic więc dziwnego, że stały się podstawą domostw. Sama plaża nie była długa, mogła mieć dwieście metrów, nie więcej. O dziwo, była jednak piaszczysta, chociaż gdzie tam greckiemu piachowi do naszego, ze złotych plaż, na których zbierałem bursztyny. Akurat nigdy nie zbierałem, ale przecież zawsze mogłem. Zarejestrowałem jeszcze kilka rzędów parasoli i leżaków, okupowanych, ale nieprzesadnie, przez wypoczywającą tu ludność oraz jeden bar. Czyli da się żyć. Nie żebym uważał, że bar na plaży jest niezbędny. Jednak czasami, co tu kryć, może się przydać. A poza tym morze kłuło mnie w oczy wręcz nieprzyzwoicie głębokim lazurem.

Paulina chwyciła mnie za rękę i krzyknęła:

- Chodź, zaślubimy się z morzem.

- Nie będziemy tu odstawiać błękitnej laguny.

Puściła mnie, stanęła twarzą w twarz i wpatrywała się we mnie uważnie. Prawdopodobnie powinienem powiedzieć, że to był żart. „Maciek, ja tylko żartowałem, nigdy tego powiedzieć nie chciałem”, jak mógłby zaśpiewać Kazik. Jednak żadną miarą żart to nie był.

- Zgred - rzuciła, po czym poczochnęła mnie po zdecydowanie zbyt długich włosach i pobiegła w stronę morza.

Biegła i, niemal nie przystając, zrzuciła szatki. Po prawdzie wiele do zrzucania nie miała, więc udało jej się dokonać ekwilibrystycznej rozbieranki bez upadku. Na szczęście zatrzymała się na kostiumie kąpielowym, a już przez chwilę myślałem, że rozbierze się do naga. Moja bogini weszła do morza. W mitologii to się odbywało nieco inaczej i w odrobinę innym miejscu. Ale kto tam teraz zna szczegóły mitów greckich. Patrzyłem, jak zaczyna płynąć, i zastanawiałem się, czy kiedy wyjdzie z toni, będzie bóstwem gniewnym.

Paulina boczyła się na mnie do obiadu. Przeszło jej nagle, gdy zasiedliśmy za stołem. Wiadomo, nic tak nie łagodzi obyczajów, jak wizja dobrego żarła. Siłą rozpędu poszliśmy do tej samej knajpki, w której jedliśmy po przyjeździe. Obsługiwał nas ten sam kelner, witając jak starych, dobrych przyjaciół. Zapamiętał nawet, żeby nie zagadywać do nas po rosyjsku. Punkt dla niego. Wiedziałem, że to tylko starożytny jak tamtejsza cywilizacja chwyt, mający przywiązać klienta do knajpy i zapewnić hojne napiwki. Bo jakżeż to, nie godzi się przecież nie docenić starań przyjaciela. Nie mówiąc o krzywdzeniu go. Ale godziłem się na takie rozwiązanie. Wolałem jednego oswojonego kelnera od dziesięciu, których musiałbym dopiero oswajać. Co oznaczałoby nowe egzotyczne garkuchnie, a co za tym idzie – nowe zagrożenia dla mojego żołądka. Niech Makłowicz jeździ po świecie w poszukiwaniu nowych smaków i aromatów, krzyżyk mu i jego wątrobie na długą drogę. Moje kulinarne poszukiwania spokojnie mogłyby się zamykać w obrębie Ciechanowa. Koniec końców, wiedziałem, że bigosu zapamiętałe warzonego przez moją babkę nic nie przebiję.

Przed wyjazdem miałem zamiar poczytać w internecie, co się w tej całej Grecji jada, aby wiedzieć, od czego trzymać się z daleka. Nie uśmiechała mi się gastryczna apokalipsa na wyjeździe. Ale oczywiście zapomniałem. W końcu byłem mistrzem planów, których nigdy nie wprowadzałem w życie. I teraz wpatrywałem się w kartę niczym w hieroglificzne zapiski pradawnej cywilizacji. Oszczędne angielskie tłumaczenia niewiele mi pomagały. Rozterkę musiałem mieć wypisaną na twarzy wielkimi literami, bo Paulina rzuciła mi koło ratunkowe:

– Weź sałatkę grecką.

Wbiłem w nią wzrok, wężąc grubą prowokację.

– Nawet ja wiem, jak smakuje sałatka grecka. Może jednak spróbowałbym czegoś nowego – wyartykułowałem niepewnie.

– Nie masz pojęcia o smaku sałatki greckiej. Aha, weź też kawałek musaki.

Nazwa tej potrawy kiedyś obiała mi się o uszy, choć nie pamiętałem, abym kiedykolwiek coś takiego jadł. Zaordynowałem, co Paulina poleciła, łudząc się, że nie zamierza pozbyć się mnie szybko i skutecznie. I nie żałowałem. Okazało się, że faktycznie to, co u nas podają jako sałatkę grecką, jest jedynie nędzną podróbką. Musaka zaś była wariacją na temat lasagne, którą lubiłem. Paulina nie przejmowała się żadnymi dietami i zasadami zdrowego żywienia, co niezmiernie mnie cieszyło, zjadła coś, co się nazywało souvlaki, a co na moje oko było zwykłym szaszłykiem wieprzowym. Mniejsza o nazwy, grunt, że oboje byliśmy smacznie najedzeni, a nasz zaprzyjaźniony kelner kontent z napiwku.

Szybko przeszliśmy przez hotel. W pokoju było jak w piekle. Czemu się dziwić, na zewnątrz z nieba lał się żar, nie taki jak w Polsce podczas upałów, zdecydowanie bardziej zjadliwy, oblepiający. Ale cóż, miało być gorąco, to i było. Trzymając w ręku torbę z ekwipunkiem plażowym, Paulina zarządziła:

– Idziemy na plażę.

Podejrzywałem, że przez najbliższe siedem dni będę słyszał to zdanie bardzo często.

Unosiłem się na wodzie. Jak korek. To mój ulubiony styl pływacki, który mogłem tu doskonalić do woli, dzięki dużemu zasoleniu wody. Unosiłem się w przyjemnie chłodnym błękitcie, gapiąc się w błękit wyblakły od upału. Szczyt wakacyjnej tandety. Przepuszczanie czasu przez palce jak wody, a czasu i wody miałem tu skolko ugodno. Cholera, przez to powitanie po rosyjsku otworzyła mi się jakaś klapka w mózgu, zupełnie niepotrzebnie. Ciekawe, czy zacznę recytować z pamięci wiersze Puszkina i podśpiewywać przy goleniu piosenki Wysockiego?

Obróciłem się na bok, potem oparłem stopami o dno, które było równe, w miarę stabilne, bez kamieni. Nigdzie też, jak w Chorwacji, nie czaiły się upiorne jeżowce, szczerząc kły – to znaczy kolce. Zauważyłem, że Paulina mi pomachała. Odmachałem i zacząłem iść w stronę brzegu. Choć mógłbym popłynąć. Teoretycznie. Brodziłem powoli, rozglądając

się po okolicy. Widać było, że sezon definitywnie zbliża się ku końcowi. Na plaży, w końcu jedynej porządnej w najbliższej okolicy, nie kłębił się tłum, choć wciąż było sporo golasów wystawiających się do słońca. Przy barze siedziały tylko dwie osoby raczące się kolorowymi specyfikami, których nie zamierzałem bynajmniej próbować. Ratownicy pływali plastikową łódką, zbierając bojki i linki wyznaczające akwen bezpiecznej kąpeli. Niech robią, co mają do zrobienia. Dla nas sezon dopiero się rozpoczynał.

Paulina wylegiwała się na drewnianym leżaku w pełnym słońcu. Usiadłem na sąsiednim, zastanawiając się, czy długo wytrwam w skwarze, który nie odpuszczał, mimo że było zdecydowanie bliżej wieczoru niż południa. Chciałem jednak nieco przeschnąć.

Patrzyłem na moją piękną dziewczynę. Nie tak dawno złapałem się na tym, że mogę wpatrywać się w nią bez końca. Ukradkiem albo otwarcie. Tak długo, jak mi na to pozwalała. Z pewnością nie był to zdrowy objaw. A już bez wątplenia nie świadczył o mojej dojrzałości emocjonalnej. Miałem czterdzieści dwa lata, przyszłość bardziej niż mglistą i – jak się okazało – siano w głowie. Wysoce niebezpieczna kombinacja, jak powiedziałaaby Felicja. Oczywiście, gdybym z nią odbył szczerą rozmowę, której ostatnio skutecznie unikałem...

Paulina uniosła powieki, uśmiechnęła się i przeciągnęła leniwie.

– Patrzyłam, jak się taplasz.

– To miłe.

– Co takiego?

– Że poświęcasz mi tyle uwagi.

Roześmiała się w sposób, jak mi się zdało, z lekka nieprzyjemny. Jakby podśmiewała się ze mnie. Choć może było to tylko złudzenie.

– Typowy facet. Myśli, że cały świat z zapartym tchem śledzi jego niezwykle przygody.

Chciałem zaprotestować, ale nie dała mi dojść do słowa.

– Patrzyłam i zastanawiałam się, czemu nie pływasz.

– Jak to nie!? – zaprotestowałem tylko pro forma, bo mniej więcej wiedziałem, ku czemu ta konwersacja zmierza.

– Ty to nazywasz pływaniem?! No, śmiech na sali.

– Każdy pływa tak, jak lubi.

– Nie ściemniaj, przyznaj się, że u ciebie z pływaniem słabo.

Mogłem się przyznać albo nie. Wybrałem jednak trzecie rozwiązanie, czyli unik. Moją ulubioną strategią życiową. Od lat. Chwyciłem ręcznik i zacząłem z pietyzmem i zupełnie mi obcą pedanterią osuszać każdy centymetr skóry.

Poderwała się z leżaka, nachyliła nade mną i cmoknęła mnie w usta.

– I tak cię kocham. – W półobrocie, odwracając się w stronę plaży, dorzuciła: – Idę popływać. Tak naprawdę.

I pobiegła.

Położyłem się, podłożyłem ramiona pod głowę i patrzyłem, jak powoli zanurza się w morzu.

Zaraz pojawił się strzaskany na czekoladowy brąz młodzian, który robił za kelnera i zarazem poborcę plażowego myta. Aby można było spokojnie korzystać z ustawionych wokół baru leżaków i parasoli, należało zakupić jakiś płyn chłodzący. Teoretycznie można było nic nie zamawiać, ale wtedy młodzian pojawiałby się co pięć minut, grzecznie dopytując, czy czegoś nie podać. Taka forma nękania. Wydukałem pytanie, czy mają piwo. Kelner odziany tylko w bermudy wyrzucił ciąg słów, z których niewiele zrozumiałem, powiedziałem „tak”, a on nie drażył dalej. Po chwili przyniósł butelkę piwa o wdzięcznej nazwie Mythos. Skrzywiłem się, pociągnąwszy łyk. Wprawdzie było zimne, jak trzeba, jednak zupełnie bez wyrazu. Siki świętej Weroniki, jak powiedziałyby Felicja. Niczego innego nie mogłem się spodziewać, byłem przecież w kraju wina.

Patrzyłem na Paulinę, która baraszkowała na sporych tego dnia falach. Powiedziała, że mnie kocha. Zresztą mówiła to już wcześniej. Też wyrwałem się raz czy dwa z deklaracjami uczuć. Nawet, zdaje się, szczerymi. Ale czy to cokolwiek znaczyło? Miałem jeszcze na tyle roz-

sądku, aby zdawać sobie sprawę, że robię to, co robię, w dużym stopniu dlatego, że jestem zauroczony. Dlatego często nazywałem Paulinę swoim zauroczeniem. Pewnie powinienem użyć liczby mnogiej. Robimy. Wpadliśmy w szczelinę czasu. Razem. Połączyła nas kiedyś kryminalna afera, w której dostaliśmy oboje po głowach. Ja dosłownie, Paulina w przenośni. Przed nami był październik, kiedy to wyjedzie na kolejny rok studiów na stomatologii w Gdańsku. A ja, co będę robił? Nie miałem bladego pojęcia, ale na razie nie musiałem, nie chciałem się nad tym zastanawiać. Pewnie nadal będę dawać wykłady, czekając, aż mnie coś albo ktoś pchnie na nową ścieżkę życia.

Paulina wypływała coraz dalej w morze. Nie bałem się, że coś jej się stanie, woda ewidentnie była jej żywiołem. Sięgnąłem po schowane w cieniu parasola piwo. Ciepławe w ogóle było do niczego, pożegnałem się z nim bez żalu, chociaż nie wypilem nawet połowy. Jeszcze raz zerknąłem w stronę morza, z trudem wypatrzyłem wśród fal głowę Pauliny, daleko, bardzo daleko. Zmęczy się, to wróci, uznałem i zamknąłem oczy. Przez chwilę rozważałem, czy nie zapalić, na to jednak było zdecydowanie za gorąco. Nie chciało mi się też wstawać i przestawiać leżaka w cień. Odpłynąłem w błogi półsen.

Nie wiem, jak długo drzemałem. Nagle przesłonił mnie cień i pewnie to mnie obudziło.

– Ja pierdołę, no ja pierdołę, to naprawdę ty, zbójcu!
Usłyszałem i zadrzałem.

Dziennik roku pierwszego I

29 sierpnia 1998

Plan był inny. Trochę mi to przeszkadza. Nie po to robi się plany, nie po to ja robię plany, żeby się ich potem nie trzymać. W ten sposób, nawet przez drobne odstępstwo, podważa się istotę planowania. Co powoduje, że w życiu wkrada się chaos. A komu jest

potrzebne życie w chaosie? Oczywiście, są ludzie, którym bałagan w myślach i codziennym życiu nie przeszkadza. Co więcej, im dłużej żyję, tym bardziej jestem przekonany, że takich ludzi jest zdecydowana większość. Nie należę do nich i nie chcę należeć. Nawet jeśli niektórzy podśmiewają się, że mam obsesję układania życia pod linijkę, nie będę się zmieniał. Mój wybór, moje prawo. Inni niech żyją sobie, jak im się podoba.

Od razu wpadłem w dygresje. Właśnie... Wyraźnie widać, czym kończy się odejście od pierwotnego planu. Nie trzeba długo czekać na skutki. Muszę wrócić do początku, do pierwszego punktu na liście.

Kupiłem kalendarz-notes, w którym teraz piszę, dopiero pod koniec czerwca. Nie było łatwo, bo kto robi tego rodzaju zakupy w połowie roku. Udało mi się jednak wyszperać go na zakurzonej półce w Księgarni Hetmańskiej. Pewnie zapomnieli o nim, nie zdjęli ze stanu. W ten sposób nieporządek innych wyszedł mi na dobre. Taki paradoks. Nie mogłem kupić notesu wcześniej, plan był inny. Opracowany dawno temu. Najpierw gwarancja pracy, potem notes. Nie odwrotnie. Choćbym miał czekać nie wiadomo ile. Trochę musiałem czekać. Więcej niż trochę.

Nie skończyłem jeszcze wątku kupna kalendarza, ale na razie muszę przerwać zapiski. Trudno, plan raz zmodyfikowany, modyfikuje się dalej samoistnie. Brzmi to niczym matematyczna formułka. Lubię formułki podobnie jak plany. Zbliża się dziesiąta wieczorem. Równie o dziesiątej muszę być już w łóżku. Ani później, ani wcześniej. Śpię osiem godzin. Budzę się o szóstej rano. Czasami wcześniej, ale nad tym akurat trudno zapanować. Wtedy leżę w łóżku i spokojnie czekam, aż wybiję właściwa godzina. Nadałem życiu rytm. Dzięki temu nie mam problemu ze snem. Zawsze budzę się wypoczęty. Gotowy do pracy, którą danego dnia mam wykonać. Od dzisiaj integralną częścią moich zajęć będzie prowadzenie zapisków.

30 sierpnia 1998

Jedna z najradośniejszych niedziel w ostatnim czasie. Mimo że tak podobna do innych. Zawsze największą radość znajduję w tym, co powtarzalne. A dzięki temu oswojone i bezpieczne.

Znowu zacząłem nie tak, jak powinienem. O niedzieli napiszę za chwilę. Najpierw zamknę wątek z poprzedniego dnia. Po skończeniu studiów obiecałem sobie, że kiedy dostanę pierwszą stałą pracę, kupię notes i będę prowadził zapiski. Pamięć ludzka jest zawodna. A ja chciałem mieć możliwość wracania do zdarzeń sprzed tygodni czy miesięcy. Aby je analizować. Sprawdzać, co zrobiłem źle, a co dobrze. Co mogłem zrobić lepiej. Doskonalenie się jest podstawą tego zawodu. To twierdzenie wbijali nam do głowy wykładowcy. Zgadzam się w pełni.

Mam pracę, mam notes. Zacząłem pisać. Choć nie wiem, jak mi pójdzie. Nigdy wcześniej nie prowadziłem dziennika czy pamiętnika. Nie wydawało mi się to potrzebne. A robienie rzeczy zbędnych, takich, które nie przynoszą żadnego zysku czy pożytku, jest zwyczajną stratą czasu. Wracając do niedzieli...

Byłem z matką w kościele, potem zjedliśmy obiad i po krótkiej sjeście poszliśmy na spacer wokół Błot. Tak jak zwykle. To nasz niedzielny rytuał. Niezwykła była radość i duma. Moja i matki. Bardzo cieszyła się, że wreszcie mam pracę i stabilną przyszłość. Wcześniej martwiła się, co ze mną będzie. Czy sobie poradzę, czy nie zostaną w blokach startowych. Czasy przecież wciąż były trudne. Wielu moich znajomych nie mogło znaleźć pracy. Nie tylko w zawodzie, jakiegokolwiek. Podobnie jak wielu znajomych matki. Bardzo mi zależało, żeby matka przestała się o mnie martwić. I żeby mogła być ze mnie dumna. W życiu i tak miała za dużo smartwień. Rozwiodła się, kiedy miałem cztery lata. Mój ojciec był dobrym muzykiem, ale złym człowiekiem. Grał na trąbce w różnych zespołach jazzowych. I ciągle chodził pijany. Tak mówiła matka, bo ja czasów

z ojcem właściwie nie pamiętam. Tylko pojedyncze sceny. Nic, co układałoby się w spójną opowieść. Ojciec był, ale dla mnie jakby go nie było. Być może jedyne, co mi dał, to talent matematyczny. Przecież muzyka i matematyka są sobie tak bliskie. Po rozwodzie matka wychowywała mnie sama. Nie związała się z nikim na stałe. Na pewno było jej ciężko. Poświęciła się dla mnie. I dlatego chciałem, żeby była ze mnie dumna.

31 sierpnia 1998

To prawie już. Ostatnia prosta.

Byłem dziś w pracy. Odbyła się narada. Wszystko zdaje się zapięte na ostatni guzik. Choć mnie pewnie trudno jest to do końca ocenić. Jestem w takiej sytuacji po raz pierwszy. Odczuwałem pewne napięcie wśród kolegów. Tylko niektórych, bo starsi wydawali się raczej znudzeni i niezbyt zainteresowani przekazywanymi im ostatnimi wskazówkami. Zdecydowanie bardziej zdawały się ich interesować wspominki z wakacji. Kto, gdzie i z kim. W Polsce czy za granicą. Zgubna rutyna? Mam nadzieję, że jej uniknę. Nie, to nie kwestia nadziei. Muszę mieć pewność, że dzięki systematycznej pracy i zaangażowaniu uniknę rutyny. Żeby dobrze wykonywać tę pracę, trzeba zawsze mieć świeży i otwarty umysł. Ponadto rutyna ma sporo wspólnego ze schematami, a schematy z planowaniem. Ciekawy problemat. Zdecydowanie DO PRZEMYŚLENIA.

Oczywiście, przywitałem się ze wszystkimi, ale trzymałem się z boku. Przecież jestem nowy. Obserwowałem i analizowałem. Jak zwykle w większych zespołach łatwo dało się zauważyć odrębne grupki. Czy będę należał do którejś z nich? Czy muszę? Taka sytuacja to też dla mnie nowość. W szkole czy na studiach byłem odpowiedzialny sam za siebie. Teraz będzie inaczej. Praca z ludźmi to wyzwanie, ale wiem, że mu podołam. MUSZĘ.

Jest wieczór. Nie mogę doczekać się jutra. Po raz pierwszy pójde do szkoły jako nauczyciel. Nie jako praktykant, którego nikt nie traktuje poważnie, czy ktoś od krótkich zastępstw. NAUCZYCIEL ETATOWY.

Rozdział drugi

Wypadek

11 września 2014, czwartek, Grecja

Staszek Ale-O-Co-Chodzi Kiełbasa należał do ludzi irytujących.

Mały, chudy, z szopą blond włosów. Zawsze malowniczo rozczochranych. Szybko mówił, szybko się poruszał. Być może dlatego pojawiał się w miejscach, na spotkaniach, gdzie nikt go nie zapraszał. I gadał, i dopytywał, bo nie zawsze wszystko chwycił w lot. Szczególnie odporny był na dowcip i ironię. Albo tylko udawał, kto wie, żeby podtrzymać konwersację i być w centrum uwagi. Bywało przecież, że w innych sytuacjach, na studiach chociażby, wykazywał się sprytem. Oprócz tego, że był irytujący, okazywał się zwykle nie do spławienia. Nie reagował ani na zawoalowane sugestie, żeby opuścił towarzystwo, ani na formułowane wprost wyrazy niechęci. Nawet jeśli zniknął, po jakimś czasie wracał. Typ bumeranga.

Uwolnienie się od Staszka zajęło mi niemal rok.

Na studiach zamieszkałem w naszym krakowskim lokum w kamienicy przy ulicy Dietla. Wcześniej, kiedy byłem w Ciechanowie, Felicja wynajmowała je różnym ludziom, ale jak dostałem się na polonistykę na UJ, babka stwierdziła, że nie będę tułał się po akademikach. Utrzymywać dom w Ciechanowie i mieszkanie w Krakowie nie było łatwo, chciałem babuleńce pomóc, wywiesiłem więc ogłoszenie na tablicy w moim instytucie, że mam do wynajęcia pokój. „Tanio, okazja, skarpety polecam”, jak pisał Marcin Świetlicki.

No i zjawił się Staszek.

Pochodził ze wsi gdzieś pod Kolbuszową, ale jego rodzina była stosunkowo majątna, więc nie miał większych szans na miejsce w akademiku, dlatego szukał pokoju. Szybko się dogadaliśmy, nawet ucieszyłem się, że będę mieszkał z kolegą z roku. Początkowo wydawał mi się zabawny ze swoją nadaktywnością królika Duracella i ciągłym rozgadaniem. Miałem też do kogo otworzyć gębę, co nie było bez znaczenia na pierwszym roku studiów, bo rozłąkę z Felicją znosiłem kiepsko. Z czasem Staszek zrobił się jednak nie do zniesienia. Wystarczyło, że rano poszedłem do kuchni, żeby zrobić sobie kawy, zaraz się pojawiał i nawijał bez opamiętania. Chciał się ciągle wymieniać notatkami, przygotowywać wspólnie do kolokwiów ze zniechęconej przez prawie wszystkich gramatyki opisowej, która na UJ była tak nowatorska, że już prawie żadnej znanej ludzkości gramatyki nie przypominała. Wystarczyło, że zaległem na kanapie z książką, zaraz Staszek pojawiał się nade mną, pytając, co czytam. Nawet jeść chciał ciągle ze mną, tłumacząc, że on jest z dużej rodziny i samotne posiłki go dręczą oraz męczą. Był jawnym stalkerem obecnym wciąż na wyciągnięcie ręki, w czasach kiedy jeszcze nikomu o stalkerach u nas się nie śniło.

Wytrzymałem semestr, a potem zacząłem mu dawać do zrozumienia, że sorry Gregory, będziesz musiał się niedługo wynieść. Nie dotarło. W końcu powiedziałem mu wprost, że musi spadać. Dopytywał dlaczego, jakoś go zbyłem bzdurnymi tłumaczeniami. Potem on, chytrysek, zbywał mnie, tłumacząc, że trudno coś znaleźć wolnego w środku roku akademickiego, że już miał coś umówione, ale właścicielka mieszkania wystawiła go do wiatru. Wykurzyła go dopiero wizja przyjazdu mojej babki. Właściwie nawet nie wiem dlaczego. Odetchnąłem z ulgą.

Co ciekawe, Staszek Ale-O-Co-Chodzi Kielbasa nie obraził się na mnie za wyrzucenie z mieszkania. Bo przecież praktycznie rzecz biorąc, wyrzuciłem go. Przez całe studia uważał mnie za najlepszego kumpla. A ja robiłem wszystko, żeby unikać typu. Z różnym skutkiem.

I ni stąd, ni zowąd, na plaży, w samym środku greckiego niczego, zobaczyłem Staszka, który stał nade mną i szczerzył się w radosnym

uśmiechu. W pierwszej chwili pomyślałem, że czas zatoczył koło, a karma wraca. W drugiej – zacząłem sobie wyrzucać, że mogłem przecież wybrać wycieczkę do Chorwacji, Turcji czy Hiszpanii, mogłem trafić do dziesiątek innych miejsc w samej Grecji, ale trafiłem do Arkoudi. I los pokarał mnie Staszkiem.

– Konrad Rowicki, no nie mogę! To naprawdę ty, no ja, no ja nie mogę!

Też z wrażenia nie za bardzo mogłem, ale jednak podniosłem się z leżaka. Z jękiem, choć nic mnie nie bolało. Oprócz duszy, o ile ją miałem. Choć równie dobrze mogła to być trzustka. Byłem tak skołowany, że dałem się zaskoczyć i nie unikałem braterskiego uścisku. Musiało to niezłe wyglądać – dwa golasy rodzaju męskiego ściskające się na plaży. Szczęściem Kielbasa ze swoimi gabarytami spokojnie mógł uchodzić za mojego syna. Więc nic zdrożnego. Niby. Zresztą byliśmy w krainie greckiej miłości, więc czym się właściwie martwiłem. Problemem nie był mój wizerunek, lecz demon ze studenckiej przeszłości.

– No góra z górą...! – wykrzykiwał Staszek. – Co ty, co tu robisz?!

– Podejrzewam, że to samo co ty – odparłem cierpko, powoli wracając do jako takiej równowagi.

– No tak, no tak. – Z podekscytowania mój były lokator drobił w miejscu, jakby szykował się do startu w biegu długodystansowym. Miałem nadzieję, że zaraz wystartuje. Próżną. – Tyle lat! Właściwie ile? Kiedyśmy się ostatnio widzieli?

Zaraz się zaczniesz orgia wspominek.

– Poczekaj, sam sobie przypomnę. – Staszek zmarszczył brwi. – Zaraz po dyplomie. Potem wróciłem do siebie na wioskę, a ty zostałeś w Kraków. Tak? Tak, no pewnie. Do policji poszedłeś. Widzisz, wszystko pamiętam, wszystko dokładniusięńko. Kto by pomyślał, że ty po polonistyce do policji. Dziwne, co nie? A ja też...

– Sam tu jesteś? – Whiłem się w słowotok dawnego kumpla-niekumpla, bo wiedziałem, że może tak nawijać bez końca, zadając pytania i samemu udzielając sobie odpowiedzi.

Miałem zamiar jak najszybciej odbyć bzdurny rytuał wymiany podstawowych informacji na temat naszych losów, życzyć Staszce miłych wakacji bez udaru słonecznego i spławić go, nim pojawi się Paulina. Nie chciałem dopuścić, by się spotkali, bo mogło to się skończyć katastrofą. Więcej, byłem pewien, że katastrofą się skończy. Zerknąłem w stronę morza. Było za późno. Paulina właśnie wychodziła na brzeg, otrząsając z loków krople wody. Zapatrzyłem się, po prostu. Nie po raz pierwszy i pewnie nie po raz ostatni.

- ...i córkę. - Kielbasa szemrał już od jakiegoś czasu, ale przestał i spojrzał tam, gdzie ja.

Paulina zamachała do mnie. Odruchowo odmachalem. Staszek wodził wzrokiem od niej do mnie, ode mnie do niej. Paulina podeszła do nas i powiedziała z udawanym wyrzutem:

- Wystarczy, że cię zostawię na chwilę, a ty zaraz organizujesz sobie znajomości.

Pierwszy ocknął się mój kolega z roku.

- My, no my z Konradem to starzy kumple. Staszek jestem. Kielbasa.

Wyciągnął rękę na powitanie. Paulina parsknęła śmiechem.

- Spoko, spoko luz. Nazwisko takie nieszczęśliwe. Przyzwyczaiłem się, że śmieszycie ludzi. U nas na roku byli jeszcze Owsianka i Kasza. Niezły tercet egzotyczny, nie?

Roześmiał się i strzelił mnie w plecy. Jak to kumpla. Nic to, że nie z wojska.

- Przepraszam - zmieszala się - tak jakoś samo wyszło. Paulina.

- Staszek.

Uścisnęli sobie dłonie. Myślałem, że ta absurdalna scenka rodzajowa nie skończy się nigdy.

- To ja skoczę po coś do picia - powiedziała i poszła do baru.

Staszek wgapił się w nią z ewidentną fascynacją. Za chwilę mu stuknę, przeleciało mi przez głowę.

- Pogratulować, dorodną masz córkę.

Kielbasa był nie tylko irytujący i upierdliwy, lecz także należał do prawdziwych wirtuozów gaf. Pewnie dlatego, że szybciej mówił, niż myślał. Choć to żadne usprawiedliwienie. Przez moment rozważałem, czy nie stuknąć mu już teraz. W ten prosty, choć nie nazbyt finezyjny sposób rozwiązałbym problem nagle objawionej zmory z odległej przeszłości. Prawdopodobnie jednak Staszek po nokaucie wstałby, otrzępałby się i zaczął dopytywać, o co mi właściwie chodziło. Wcale by się nie obraził.

– To nie jest moja córka – rzuciłem zimno.

– No, no, to tym bardziej pogratulować. Ty to masz fuksa, zawsze miałeś, z tego, co pamiętam, bo wiesz, moja stara...

Wyłączyłem nasłuch i kombinowałem, jak najskuteczniej pozbyć się Staszka. Nie chodziło o morderstwo, choć do końca nie wykluczałem takiej opcji. Wiedziałem, że jeśli nie pozbędę się go teraz, zaraz, to będziemy mieć go na głowie przez cały tydzień pobytu w Arkoudi. Chyba że przyjechał tutaj tylko na plażę, a stacjonował gdzieś dalej. Jednak nie mogłem liczyć na aż tak szczęśliwy zbieg okoliczności. Rzadko miewałem szczęście.

Paulina wróciła z kolorowym drinkiem w dłoni. Przyjrzała się krytycznie tkwiącej w nim wściekle różowej parasolce z papieru i wyrzuciła ją do śmietnika. Pociągnęła kilka łyków przez słomkę. Z wyraźną przyjemnością.

– ...i mówiłem, że my tu już jesteśmy całą rodziną od tygodnia. – Być może mówił, nie zarejestrowałem tego. – I jeszcze tydzień zostaniemy. Jak wczasy, to wczasy, nie ma co oszczędzać. Nie, Konrad, nie?

– Nie – burknąłem.

Moje zauroczenie spojrzało na mnie przenikliwie.

– Niczego sobie miejsce, niczego. No więc, no więc, jak już taki przypadek czy tam inne zrządzenie losu jest... „Daaary, daaary losu” – nagle zaczął wyśpiewywać na fałszywą nutę, a ja byłem już pewien, że bez przemocy oraz przestępstw przeciw życiu i zdrowiu raczej się nie obędzie – i my tu wszyscy razem w jednym miejscu, to koniecznie musimy

ić na kolację. Wszystkie tu już miejsca znam, to pokażę. To co, idziemy dziś?

Słowotok Staszka urwał się nagle. Już nabierałem w płuca powietrza, by wrzasnąć: „Nie ma, kurwa, takiej możliwości!”, kiedy Paulina powiedziała słodkim głosem:

– Będzie nam bardzo miło.

Wspinając się na szczyty erystyki i dokonując brutalnych psychomanipulacji, starałem się wybić Paulinie z głowy pomysł spotkania ze Staszkiem i jego, zapewne równie jak on przeuroczą, rodziną. Opowiedziałem historię pomieszkiwania z Kielbasą przy Dietla w konwencji mrocznego thrillera psychologicznego. Wyszło mi skrzyżowanie „Lokatora” z „Siedem”. Przedstawiłem Staszka jako typa uciążliwego, a na dokładkę, kto wie, pewnie niebezpiecznego. Psychopatycznego. Na nic się to zdało. Paulina uznała, że przesadzam i że lata samotniczego życia najwiedoczniej zrzyły mi psychę. Do tego stwierdziła, że mój kolega niekolega jest nawet zabawny.

– Będziesz miała ubaw jak w polskim kabarecie – skwitowałem.

– Weź nie zrzedź. – Uradowało mnie bogactwo słownika Pauliny, ale zaraz zrzedła mi mina, kiedy dodała: – Poza tym to pewnie jedyna okazja, żebym się wreszcie dowiedziała czegoś konkretnego o twojej przeszłości. Lubię tajemniczych facetów, ale bez jaj.

Róbmy sobie jaja, ale malutkie, przypomniało mi się jedno z powiedzonek Kozieja, technika policyjnego z komendy w Ciechanowie i jedynego mojego kumpla w tamtym miejscu. Jeśli chodzi o wprowadzanie Pauliny w meandry mojej przeszłości, można to było uznać za jaja co najmniej rozmiaru M. Oczywiście, opowiedziałem jej o tragicznym końcu mojego małżeństwa z Marią, wyznałem naturę więzi łączących mnie z babką Felicją, w zarysie streściłem moje losy. Nie ma co ukrywać, był to zarys bardzo ogólny, oparty na co lepszych kawalkach jasno oświetlonych reflektorem optymizmu. Wydawało mi się, że wciąż jeszcze za wcześnie na szczegóły i wyznania. Ile my byliśmy razem? Nie-

wiele ponad kwartał. Do zwierzeń nie nastrajał mnie też fakt, że w moim życiu zdecydowanie więcej było złego niż dobrego, ponurych chwil niż radosnych. O czym tu opowiadać, by nie wyjść na smętnego dupka, który szuka kogoś, kto go utuli i pogłuszcze po głowie? Nie bez znaczenia było również, że zwyczajnie obawiałem się, że opowiastkami o przeszłości zrazę Paulinę. A zrazić nie chciałem. I tak wydawało mi się szczytem fartu, że się mną zainteresowała, uważała mnie za ciekawego, mądrego faceta. Skonstatowałem to z niejakim zdziwieniem. Czyżbym aż tak się zmieniał? Czyżbym po raz pierwszy od dawna chciał widzieć uznanie w czyichś oczach? Kiedyś mnie to waliło. Wolałem zbyt wiele nad tym nie rozmyślać. Nie teraz.

– Staszek jest wątpliwym źródłem informacji. Wierz mi.

– Mów, co chcesz – odparła.

A potem zniknęła w łazience, by zrobić się na bóstwo.

Poszedłem na balkon zapalić. Oparłem się o balustradę i popatrywałem na wieczorne życie turystycznej wioszczyzny. Ruch był bez wątpienia o wiele większy niż w Ciechanowie o tej porze. Ale co tam! Ciechanów był daleko, a blisko była zmora z krakowskiej przeszłości. Aby się zre-laksować przed spotkaniem, które, jak sądziłem, dla mnie miłe nie będzie, zabawiłem się w wyobrażanie sobie, jak może wyglądać żona Staszka. Stawiałem na prawo kontrastu. Wedle tego pani Kielbasowa powinna być większa i wyższa od męża, mieć sporą nadwagę i pragnienie, żeby nakarmić do syta wszystkich, którzy znajdą się w zasięgu jej wzroku. Pomyliłem się, i to bardzo.

Tak jak Paulina wcześniej ustaliła ze Staszkiem, czekali na nas pod hotelem. Tych dwoje w skowronkach, reszta towarzystwa z minami niekoniecznie wyrażającymi entuzjazm. Okazało się, że żona Kielbasy, Małgorzata, była od niego niższa i jeszcze drobniejsza. W całkiem ładnej sukience w bliżej nieokreślone, przynajmniej dla mnie, kwiaty wyglądała trochę jak dziewczynka, której natura przez przypadek albo pomyłkę dała kilka zmarszczek. Przywlekli też ze sobą córkę, Basię, która z powodzeniem mogła robić za żywą antyreklamę fast foodów,

choć wdziała strój maskujący w postaci za dużego o przynajmniej dwa numery T-shirta i obszernych płóciennych rybaczek. Mój kolega-niekolega był ubrany jak na rodaka w wakacyjnej delegacji przystało – bermudy w maziaje w kolorach bardziej niż kontrastowych, odprasowaną koszulkę polo, żółtą jak łan kwitnącego rzepaku, a na nogach gumowe klapki, które czas świetności przeżywały zapewne dwa sezony wcześniej. Jeśli nie trzy.

Po powitaniach Staszek powiódł nas do nieodległej – jak wszystko w Arkoudi – malowniczo położonej knajpki. Jej drewniany taras wychodził tak daleko w morze, że prawie nad nim wisiał. Nie za bardzo wierzyłem w grecką budowlankę, więc gdybym był religijny, z miejsca zacząłbym odmawiać zdrowaśki czy inne koronki. Ale nie byłem, więc jedynie miałem nadzieję, że konstrukcja wytrzyma. Wątplą. Staszek zachwalał, że jedzenie jest tam proste, ale świetne. I faktycznie, owoce morza i ryby, wszystko świeże i przygotowane bez zbędnych ceregieli. Szczególnie smakowały mi smażone kalmary, które u nas występowały jedynie w postaci przemrożonych krążków o konsystencji i smaku gumy. Uznałem, że właściwie nawet tylko po to, by ich skosztować, warto było kopnąć się do Grecji. Do tego różne pasty z warzyw i tzatziki. I wino, dużo wina w szklanych półlitrowych karafkach. Tak, wino mogło być jakimś rozwiązaniem na ten wieczór.

Po upalnym dniu wszyscy byli głodni, więc skupili się na jedzeniu, potem jednak nastąpiło nieuchronne i przeze mnie niepożądane, czyli konwersacja. Na stół wjechały kolejna karafka białego wina i kawa po grecku. Zauważyłem, że Staszka aż skręca, żeby wreszcie sobie pogadać. Miałem tylko nadzieję, że skupi się na monologach. Niestety, okazało się, że jest to dla mnie dzień pomyłek.

– No wiesz, no wiesz, zawsze mnie ciekawiło, czemu poszedłeś do policji?

– Przez przypadek – powiedziałem na odczepnego.

Staszek jednak, jak to Staszek, nie dał się łatwo zbyć.

– Nie no, żartujesz sobie. Przez przypadek to można zostać przedstawicielem handlowym i wciskać ludziom przyprawy pewnej nie za bardzo wiodącej firmy. Tak jak ja.

– Ciekawe, co byś mówił, jakby siedział z nami twój szef. – W głosie Gośki pobrzmiwało nieskrywane szyderstwo.

Kielbasowie zmierzyli się wzrokiem. Czyżby w ich stadle brakowało miłości i zrozumienia? A może były to zwyczajne igraszki małżonków, którzy już zbyt długo byli ze sobą i od czasu do czasu muszą w ten czy inny sposób podnieść sobie nawzajem ciśnienie? Nie zamierzałem tego dociekać. Zauważyłem, że Paulina śledzi rozwój sytuacji przy stole z wyraźnym rozbawieniem. Przynajmniej jedna osoba tego wieczoru miała rozrywkę, choć trudno powiedzieć, czy na poziomie.

Staszek spuścił wzrok. Byłem pewien, że z pojedynków twarzą w twarz z żoną bardzo rzadko wychodził zwycięsko. A być może nigdy. Nic dziwnego, że wrócił do tego, co było dla niego zdecydowanie łatwiejsze, czyli do przesłuchiwania mojej skromnej osoby:

– Na początku byłeś rzecznikiem komendy. Nawet w telewizji cię widziałem. Pamiętasz, Gośka, jak ci pokazywałem Konrada w „Wiadomościach”? Pamiętasz, jak mówiłem, że to mój kumpel, z którym na studiach prycza w pryczę spaliśmy?

Z tym spaniem obok siebie przesadził, ale jego małżonka raczej o tym nie wiedziała, więc skinieniem głowy łaskawie potwierdziła jego wersję.

– Ale, ale... Potem zostałeś przecież zwykłym psem?

Baśka, która do tej pory ćwiczyła sprawność kciuków, pukając w smartfon, przerwała niecierpiącą zwłoki korespondencję ze światem i okolicami, by podzielić się doświadczeniem życiowym:

– Nie mów do psa pies. Kiedyś ziomek z klasy tak powiedział do psa z patrolu i miał grubo przechlapane.

– Baśka, zachowuj się – skarciła córę Gośka, nim szanowny małżonek zdążył otworzyć usta.

Roześmiałem się i wyciągnąłem do dziewczyny otwartą dłoń. Przybiła piątkę, choć z pewnym wahaniem. Być może wywracałem jej prosty, nastoletni świat wartości na nice, ale powiedziałem:

– Jestem psem i się tego nie wstydzę. A właściwie byłem.

– To ty po śmierci żony, jak ona miała na imię... – nie skończył, jęknął, spojrzął z wyrzutem na żonę i powiedział ze szczerym wyrzutem: – Nadepnęłaś mi na stopę.

Gośka przewróciła oczami, Paulina zamarła. Tylko Baśka zdawała się nie orientować, co dzieje się przy stole, i spokojnie wróciła do pukania w ekran telefonu. Bardzo prawdopodobne, że relacjonowała niemal na żywo to, co działo się przy stole, koleżaneczce czy koleżce, robiąc sobie podśmiechujki ze staroci, które nawijają jak potłuczone. Są sprawy, o których nie wypada mówić w towarzystwie. Na przykład o tragicznie zmarłych żonach. W tym momencie ze szczególnym uwzględnieniem mojej żony Marii. Mogłem utrudnić konwersację, sprawić, żeby wszystkim zrobiło się nieprzyjemnie, żeby odczuli dotkliwy psychiczny dyskomfort. Może poza Staszkiem, który zazwyczaj wykazywał wrażliwość dobrze wysuszonego bala drewna. I pewnie jeszcze całkiem niedawno bez zastanowienia tak bym zrobił. Mogłem także zgrabnie zmienić temat, brnąć w small talk z motywem przewodnim naszych, ze Staszkiem, studenckich przygód. Wybrałem pośrednie rozwiązanie. Coraz częściej łapałem się na tym, że powoli zmieniałem się w prawdziwego mistrza rozwiązań złotego środka. Nie powiem, żeby mnie to przesadnie cieszyło.

– A skąd ty właściwie wiesz o Marii? – spytałem Staszka.

– No ten, no wiesz... Nie kop mnie. – Pewnie chciał krzyknąć, ale ledwie pisnął przez ściśnięte gardło. Gośka tylko wzruszyła ramionami. – Koledzy mówili... Z roku. Ty się towarzysko za bardzo nie udzielałeś. Zresztą jak zawsze. Ale przy browarku czasami o tobie gadaliśmy. Byłeś przecież tak jakby gwiazdą.

„Tak jakby” było w tym zdaniu kluczowe. Choć pewnie Staszek nie zdawał sobie z tego sprawy. Nic a nic. Paulina zakrztusiła się mineralną,

a kiedy już złapała oddech, spytała:

– Jaką niby gwiazdą? I czemu nic o tym nie wiem?

– Od czasu do czasu moja gęba pojawiała się w telewizorze. I tyle było tego gwiazdowania. Nie miałem żadnego parcia na szkło, to wszystko było służbowo, za czasów, gdy byłem rzecznikiem prasowym w krakowskiej komendzie.

– Tak więc... – Staszek nie dawał się zepchnąć na boczny tor konwersacji – no wiesz, gadało się o tobie i Marii. Szczególnie jak... umarła.

– Dawne dzieje – przerwałem Kielbasie ostrym tonem. Nie chciałem, żeby się rozkręcił z opowieściami o Marii. Tym bardziej że nie miałem pojęcia, jaką opowieść sobie stworzył albo usłyszał od któregoś z kolegów, którzy, prawdę powiedziawszy, wcale nie byli moimi kolegami. I bez wątpienia niewiele o mnie wiedzieli. Co nie wadziło w stworzeniu mrocznej mitologii. – Poza tym, jak wspominałem, już nawet nie pracuję w policji.

– Jak to?

Twarz Staszka wyrażała bezgraniczne, czyste zdumienie. Znałem tę minę od dawna, choć nie podejrzewałem, że po latach niewidzenia kumpla-niekumpla wciąż tkwi w zakamarkach mojej pomięci.

– Normalnie. Nikt przecież nie pracuje w policji do osiemdziesiątki.

Próbowałem zbyć go pierwszym lepszym tekstem. Nie sądziłem, żeby historia mojego brawurowego i absolutnie niezgodnego z procedurami śledztwa w sprawie nagłej epidemii samobójstw nastolatków w Ciechanowie dotarła aż do Krakowa. Może pojawiły się krótkie notki na temat tej sprawy w mediach ogólnopolskich. Później wiceprezydent Dudek, niech mu grób córki wyrzutem będzie, zadbał, aby zbyt wiele się o tym nie mówiło i nie pisało. Skutecznie. Wydawało mi się więc, że mogę opowiadać Kielbasie dowolne bajki na temat mojego odejścia ze służby. Jednak nie ze Staszkiem takie numery.

– Ale jak? Ale dlaczego? To w sensie niby emerytem jesteś? W tym, no, w tym wieku... Niektórzy to mają fart.

Zwizualizowałem sobie dawno niekoszoną łąkę gdzieś w środku mazowieckiej równiny, trawę falującą leniwie na wietrze i śpiewające nad nią skowronki, próbując odnaleźć wewnętrzny spokój. Nadaremno. Staszek był na dobrej drodze do doprowadzenia mnie do ciężkiego wkurwu. Nie zamierzałem poddać się bez walki. Głównie przez wzgląd na Paulinę. Nie chciałem, żeby zobaczyła mnie jako furiata, który ciska się, rozwalając towarzyską imprezkę. Nic to, że beznadziejną. Na szczęście Gośka miała zdecydowanie większe wycucie oraz empatię i nie-spodziewanie rzuciła mi koło ratunkowe:

- A my mieliśmy tu ciekawy przypadek. Czy właściwie - poprawiła się zaraz - wypadek śmiertelny.

Po tym, jak po raz ostatni opuściłem mury komendy w Ciechanowie, obiecywałem sobie, że nie będą mnie interesowały żadne ludzkie przypadki i wypadki, żadne przestępstwa przeciwko zdrowiu i życiu. Co więcej, że pozostanę obojętny nawet wobec przestępstw przeciwko mieniu. Chyba że sprawa tyczyłaby się mienia Felicji albo Pauliny. Jednak z dwojga złego wolałem konwersować o wypadku w Grecji niż o mojej biografii pełnej bolesnych miejsc, których tykać nie chciałem. A już na pewno nie w obecności Kielbasy.

- Taaak? - Udałem zdziwienie pomieszone z zainteresowaniem. Chyba całkiem dobrze mi poszło, bo nawet Paulina spojrzała na mnie wyraźnie zaskoczona.

- Facet z naszej grupy się utopił - wyjaśniła w telegraficznym skrócie Gośka.

- Ale gdzie, ale gdzie tam - Staszek zaprotestował gwałtownie. - Wypadeczek był, ale przecież w bagnie zginął.

- W bagnie, ale jednak się utopił - doprecyzowała Kielbasowa.

Baśka wstała, odsuwając z hurgotem krzesło, i nie odrywając wzroku od ekranu telefonu, powiedziała:

- Ile można nawijać o tym samym. Idę na plażę.

- Co się mówi, jak się wstaje od stołu? - Kielbasa napomniał plecy córki.

Plecy nie odpowiedziały i zaraz zniknęły w drzwiach knajpy.

– Daj jej spokój, nie ma pięciu lat – powiedziała jego żona.

– Tym bardziej powinna umieć się zachować.

Nie ma co, wesoła polska familia w życiowej formie. Przez chwilę wyłączyłem się, zastanawiałem, co by było, gdybym miał dziecko, którego nie dane mi było mieć. Pewnie byłoby teraz w wieku Baški i miałoby podobne, nastoletnie fochy i odjazdy. Nie umiałem sobie wyobrazić, jakbym wobec niej lub niego się zachowywał. Być może moja wyobraźnia była zbyt uboga. Jednak bardziej prawdopodobne było, że zwyczajnie nie chciałem myśleć, żeby nie zwariować, żeby nie zapasć się w siebie. Jak Maria.

– No więc, no więc on w tym bagnie. Straszna śmierć.

Słowa Staszka dotarły do mnie po chwili jak w rozmowie telefonicznej z odległą zagranicą.

– W jakim bagnie? – spytałem odruchowo. – Przecież tu wszędzie sucho jak w gardle pijaka po trzydniówce.

– A byś się zdziwił – powiedział z miną specjalisty od Peloponezu. – Kyllini, mówi ci to coś?

Nie mówiło nic a nic, więc tylko pokręciłem głową i skrzywiłem się nieznacznie, co miało oznaczać: „Oświeć mnie!”.

– To blisko, kilometr z okładem, jak się jedzie drogą na Castro.

– Staszek – westchnąłem. – Daruj sobie. Jak będę chciał poznać szczegóły lokalizacji, to wygooglam.

– Dobra, dobra, sam pytałeś. – Wprawdzie właściwie nie pytałem, ale niech mu będzie, przemknęło mi przez głowę, niech się snuje opowieść. – I tam są pozostałości rzymskich łaźni. No, właściwie nic specjalnego, budynek i kupa kamieni. Jak to te ichnie starożytności, rozreklamowane po byku, ale właściwie nuda i dłużyzny, prawda, Gośka?

Żona nie zaprotestowała.

– Ale przy tych pozostałościach czy tam ruinach są doły z błockiem, ponoć leczniczym. Reumatyzm leczy i coś tam jeszcze. Gość z biura turystycznego opowiadał, ale nie zapamiętałem.

– Świetne na cerę – dorzuciła Kielbasowa.

– Tak? Ciekawe – włączyła się Paulina, chociaż podejrzewałem, że już dawno przysnęła na siedząco.

– A skąd ty niby taka mądra?! – zdziwił się Staszek.

– Bo tam byłam. Świetna maseczka oczyszczająca, tylko strasznie śmierdzi. Po prostu jak zgniłe jaja. Albo i gorzej.

– A kiedy ty tam byłaś?

– Cztery dni temu z tą sukowatą Dagmarą. Jakbyś mniej czasu spędzał z piwem przy basenie, gładząc z kolegami o siedmiu zbójach, tobyś wiedział.

Gośka ewidentnie miała charakterek. Powoli zaczynałem współczuć Staszкови. Aby zdusić w zarodku rodzącą się kłótnię małżeńską, postanowiłem przeprowadzić krótkie rozpytanie:

– Dobrze, ustalmy, kto zginął?

Gośka doskonale wiedziała, że Staszek aż się pali do sprzedania mi całej story, więc nie wrywała się do odpowiedzi. Może i była wredna, ale miała wycucie sytuacji. Wiedziała, kiedy nie powinna przeginać. Prawdopodobnie dlatego wciąż była ze Staszkiem.

– Taki jeden, Filip z Krakowa. Bo cała nasza grupa to jest z Krakowa albo okolic. Wszyscy śpimy w hotelu Brati, tym za wioską po prawej, pewnie widzieliście.

– Staszek, my tu dopiero wczoraj przyjechaliśmy. Jeszcze nie obeszlismy całej okolicy.

– A to nie szkodzi, wcale nie szkodzi. Całkiem niezły hotel, ale luksusów nie ma. Nie, Gośka? – Tym razem nie odpowiedziała ani tak, ani nie. Siedziała i patrzyła w przestrzeń, w morze, choć już wiele tam dostrzec nie mogła, bo dawno zrobiło się ciemno. W górze błyskały gęsto rozrzucone gwiazdy, w dole nikielne światła łódek, którymi lokalsi

wypłynęli na wieczorny połów. – Ale basen jest, do tego cisza, spokój, rekreacja. Nieźle mi się powiedziało, nie Konrad? Nie na darmo się tę polonistykę studiowało.

Westchnąłem i przewróciłem oczami.

– Do rzeczy, Staszek. Mów o facecie z bagna.

– „Jooozin z baaażyn...” – z nagłą zawył w kulawej imitacji śpiewu. Gośka niemo prosiła: Jezu, tylko nie to. – Pamiętacie taki przebój? Dracznym, nie? – Spojrzałem na niego wymownie, nawet nie musiałem otwierać ust. – A tak, a pewnie, Filip, pewnie, przecież o nim mówię. No i ten Filip z Krakowa był, taki z hiszpańską bródką, pewnie ze trzydziści lat miał, albo i więcej. Ile on mógł mieć lat? – zwrócił się do żony.

– Jak na moje oko to nie więcej jak trzydzieści pięć. Zadbany – dorzuciła Gośka.

– Z żoną był, taką chudą blondyną. Mnie to tam ona się nie podobala, za chuda.

Kielbasowa spojrzała po sobie, ale powstrzymała się z komentarzem. Pewnie już przywykła do głędzenia Staszka, nauczyła się nie przejmować tym, co mąż ma do objawienia światu. Jednym uchem wpuszczała jego przesłania, drugim wypuszczała. Podstawa porozumienia w małżeństwie.

– I co z tym Filipem? – powoli traciłem cierpliwość.

– No tragedia, mówię ci, tragedia! – Staszek nakręcał się coraz bardziej. – Trzy dni temu w sobotę wieczorem zniknął. Nikt tam się specjalnie nie przejął, tylko żona. Chodziła, pytała, czy ktoś go przypadkiem nie widział.

– Typowe, pan mąż idzie w długą, a żona się martwi – Gośka skomentowała półgłosem.

Kielbasa chyba nie usłyszał albo usłyszeć nie chciał, bo ciągnął opowieść:

– On się już wcześniej gubił, bo popijał. Nawet nie że popijał, on ciągnął jak furman, bo to lekarz był. Chirurg. – Lekarz, który ciągnął jak furman, nie ma co, udała się Staszкови fraza, postanowiłem ją zapamię-

tać. – Poszliśmy jak gdyby nigdy nic spać. Bo to męczący dzień był. Zrobiliśmy wycieczkę promem na Zakynthos. Mówię wam, piękna sprawa, wyspa taka bardziej turystyczna, cywilizowana. Nie to co tutaj. No niby tu też źle nie jest, ale...

– Staszek, do rzeczy! – fuknąłem.

– A rano, no mówię ci, rano zadyma. Policja przyjechała, rezydentka biega od pokoju do pokoju, obsługa hotelowa wypłoszona chowa się po kątach. Jakieś greckie babki, zresztą też z naszego hotelu, znalazły tego całego Filipa w bagnie. One tam dzień w dzień jeżdżą taplać się w tym bloku. Terapia niby taka, no nie, dla zdrowotności. I on tam wypłynął. Zimny trup.

– I mokry – dorzuciłem odruchowo.

Kielbasowie popatrzyli na mnie ze zgrozą i niesmakiem. Wielka tajemnica śmierci człowieka, a ja wyjeżdżam z wątpliwej jakości żartami.

– Przepraszam. Policyjny czarny humor. W tej robocie inaczej się nie da – wyjaśniłem, wzruszając ramionami. – Policja już coś ustaliła?

– Nieszczęśliwy wypadek – Gośka skwitowała w dwóch słowach.

Staszek jednak nie byłby Staszkiem, gdyby nie rozwinął kwestii:

– Rezydentka mówiła, że Filip, niech mu ziemia lekką będzie, był bardzo nastukany, polazł w nocy na te całe bagna. A tam ciemno jak w świńskiej rzyci. Pośliznął się i klops. Stało się nieszczęście. I ta rezydentka mówiła, żeby uważać, uważać i jeszcze raz uważać, szczególnie z alkoholem, bo w takim klimacie jak tutaj to zdradliwa sprawa.

Co powiedziawszy, sięgnął po kieliszek i dopił resztkę wina.

– W okolicy tego spa dla ubogich są knajpy? – zapytałem, choć właściwie nie wiedziałem dlaczego. Przypadek-wypadek Filipa z Krakowa nie interesował mnie nic a nic.

– A gdzie tam! – Kielbasa machnął ręką, na co zaraz przy stoliku zjawił się kelner. Staszek z rozpędu, nie zauważając kwaśnej miny Gości, zamówił kolejną karafkę białego wina domowego, bo dlaczego miałby nie zamawiać. – Tam w okolicy jest tylko sanatorium dla miejscowych,

a tak to dookoła tylko ten ichni suchy las, a w dołach łany trzciny. Stary, widziałeś te trzciny? Chyba po dziesięć metrów mają, jak nie więcej. A może jednak to nie trzciny...

Trzciny, kwiatki i bławatki nigdy przesadnie mnie nie interesowały, więc dalej drażyłem temat utrupionego turysty. Trochę dla rozrywki, a trochę po to, aby Staszce przez przypadek nie przyszło do głowy dalsze ustalanie faktów z mojej biografii.

– To jak ten Filip tam się znalazł?

– A cholera go wie. Może po pijaku skręcił w złą stronę albo włączył mu się szwendacz i polazł, gdzie nie powinien.

– Do lasu w środku nocy? Dziwne.

– A nie mówiłem, Gośka, nie mówiłem! – ucieszył się, jakby wygrał kumulację w totka.

– Przecież nic nie mówiłeś – burknęła Gośka.

– Ależ tak, tylko ty nie słuchasz. No mniejsza o większość, mnie ten wypadek też się wydawał dziwny. Jakby nastukany chłop spadł ze schodów albo z tych skał, które są przy plaży, i sobie łeb rozwalił, to ja rozumiem. Ale utonąć w bagnie? No, megadziwne, pomyślałem. A teraz policjant też mówi, że dziwne. Ma się tego nosa, no nie?

– Były policjant – sprostowałem bez przekonania.

– Właśnie – Staszek łaskawie zgodził się nie wiadomo z czym. – Miałeś kiedyś w robocie taki przypadek, w sensie trupa z bagna?

– W okolicach Ciechanowa nie ma za wiele bagien.

– To ty nie robiłeś w Krakowie? – zdziwił się.

– Nieważne – błyskawicznie uciałem temat. – A grecka policja ciągle prowadzi śledztwo?

– Niby tak, no tak. – Staszek podrapał się po głowie i zrobił minę Chrystusa frasośliwego. – Mieli nas przesłuchiwać, ale od niedzieli się nie pokazali. Może jeszcze się zjawia.

– Nie muszą się spieszyć – wtrąciła się Gośka. – Przecież im nie zwijemy, mamy jeszcze prawie tydzień pobytu.

– Moim zdaniem oni wcale nie przykładają się do tego śledztwa – podsumował Staszek. – Właśnie, właśnie, a może ty byś się temu wszystkiemu przyjrzał. W końcu jesteś, czy tam byłeś, psem. Co ty na to?

Posłałem mu ciężkie spojrzenie zbira, dla którego mord jest czymś tak zwyczajnym jak poranna kawa ze słodkim rogalikiem.

– Świetny pomysł – nagle odezwała się Paulina. – Wakacyjne śledztwo, może być ciekawie.

Na moje zauroczenie wolałem w ogóle nie spoglądać, żeby w moim wzroku nie zobaczyło czegoś, czego dostrzec nie powinno.

Dziennik roku pierwszego II

1 września 1998

Przyznam, że i mnie udzielił się nastrój dnia wyjątkowego, po trosze świątecznego. Nieco mnie to zdziwiło, bo zwykle łatwo nie poddawałem się emocjom. Wszyscy ubrani na galowo. Sztandar szkoły wprowadzić. Hymn i przemówienia. Może trochę dęte, może nazbyt podniosłe. Ale jednak dobrze współgrały z wymową całej uroczystości. Sztandar szkoły wyprowadzić.

I wreszcie się zaczęło to, na co tak bardzo czekałem.

Szkoła zmieniła się niemal w jednej chwili. Tak to widziałem. Jeszcze kilka dni wcześniej była pusta i cicha. Mury, klasy i korytarze. Nic więcej. Jakby martwa. Pierwszego września zaczęła żyć. Wypełnił ją gwar głosów, tłumy uczniów przewalały się korytarzami. Nauczyciele próbowali zapanować nad chaosem. Szkoła przestała być tylko budynkiem, stała się miejscem. Dodam, moim miejscem także.

Nie dość, że zacząłem pracę jako etatowy nauczyciel, to jeszcze od razu dostałem wychowawstwo klasy. Poważne zadanie. I wyzwanie zarazem. Trochę na próbę. Wychowawczynie klasy II

o profilu matematyczno-fizycznym poszła na urlop macierzyński. Na razie miałem ją zastępować przez rok. A potem się zobaczy. Tak oznajmiła mi wicedyrektorka. Ciekawa postać, ale o niej później. Wicedyrektorka należy do innego wątku. Innego porządku. Innego punktu planu. Bo na te notatki też mam plan. Nie na papierze, tylko w głowie. To mi wystarczy, tak sądzę.

Wicedyrektorka mówiła mi szczerze, że wahała się, czy od razu rzucić mnie na głęboką wodę. Takiego zwrotu użyła. Mówiła, że uczniowie II mat.-fiz. są inteligentni, w przeważającej większości uczą się dobrze albo bardzo dobrze. Pod tym względem są bez zarzutu. Jednak sprawiają problemy wychowawcze. Grupa indywidualistów, wyrazistych osobowości. Ponoć niełatwo nad nimi zapanować. Nie zawsze są zdyscyplinowani, jak uczniowie dobrego i szanowanego liceum być powinni. Wicedyrektorka przestrzegała i uczulała, by przynajmniej na początku pracy z nimi zachować ostrożność. Nie zrażać ich niepotrzebnie. Nie za bardzo rozumiałem, co moja przełożona miała na myśli. „Co to znaczy nie zrażać?“, dopytałem. Przez dłuższą chwilę milczała. Może sama do końca nie wiedziała? Może starała się nastraszyć mnie albo przestrzec? Dlaczego? Przed czym? Przed kim? Tyle kluczowych pytań. Matematyczne zadania i równania nie miały przede mną tajemnic. Patrząc na najbardziej nawet skomplikowane matematyczne problemy, zawsze, prędzej czy później, dostrzegałem w nich jakąś logiczną strukturę. Spójną, klarowną. By tak rzec – czystą. Niestety, z ludźmi to się nie sprawdzało. Przynajmniej ja miałem z tym problem. Może dlatego, że ludzie byli po stronie chaosu, a matematyka – porządku. Pomijając oczywiście teorię chaosu, która przecież... Dosyć. Miałem w tych zapiskach nie wdawać się w rozważania z zakresu matematyki. Czemu tak ciężko rozgryzało mi się ludzi? Nie wiem, nie mam pojęcia. Wcześniej zbyt wiele na ten temat nie myślałem. Wreszcie wicedyrektorka powiedziała, że powinienem od samego początku poszukiwać wspólnego języka

z uczniami. Jeśli mi się to w miarę szybko nie uda, oni się zablokują i potem będzie mi trudno, zdecydowanie pod górkę, powiedziała, bardzo trudno, podkreśliła, do nich dotrzeć. A to zaburzy naszą współpracę i wszyscy na tym stracą. Oni jako uczniowie, ja jako nauczyciel. I oczywiście szkoła. O dobrym imieniu szkoły nie należy zapominać. Powiedziałem, że rozumiem, że zrobię, co tylko w mojej mocy. Przekonany jednak o tym nie byłem.

SKĄD TYLE WE MNIE WAHANIA, JEŚLI JESZCZE DO NIEDAWNA TYLE BYŁO WE MNIE PEWNOŚCI? ZDECYDOWANIE DO PRZEMYŚLENIA. PRIORYTET!

Teraz, pisząc te słowa, zastanawiam się nad sensem i znaczeniem rozmowy z wicedyrektorką. Czy jej napomnienia i przestrogi świadczyły o braku zaufania? A może był to rodzaj standardowej procedury w przypadku początkujących nauczycieli? Albo przygotowywała sobie coś w rodzaju alibi na wypadek, gdyby coś poszło nie tak, gdyby powinęła mi się noga? Mogłaby wtedy powiedzieć, zgodnie z prawdą: „A nie mówiłam, nie prosiłam, nie ostrzegałam”. Więc powiedziała, poprosiła i ostrzegła. Jasna sprawa. Najlepiej byłoby spytać kogoś, kto już był w takiej sytuacji. Tylko kogo? Nie miałem przyjaciół. Raz, że nie bardzo ich potrzebowałem, dwa, że dużo czasu poświęcałem matce. Ona miała tylko mnie, ja miałem tylko ją. Nie mogło być inaczej. Miałem tylko kolegów. Trudno powiedzieć, że bliskich. Nie miałem też zwyczaju zwierzać się obcym. Niewykluczone jednak, że powinienem poprosić kogoś o opinię. Skonsultować się. Nie jest przecież wykluczone, że poddaję się niepotrzebnym lękom. Zastanawiam się nad czymś, co namysłu wcale nie wymaga. Bardzo, być może.

Po rozmowie z wicedyrektorką poszedłem do klasy, aby poznać się z uczniami. Moimi. Nie bałem się, nie sparaliżowała mnie trema. Powitał mnie hałas przekrzykujących się głosów. Normalna sprawa. A kiedy stanąłem przed nimi na środku klasy, przed tablicą, stopniowo ucichli. W ich oczach widziałem zaciekawienie.

Tak mi się wydawało. Przedstawiłem się, ale nie mówiłem zbyt wiele o sobie. Tylko podstawowe, niezbędne fakty. Powinni mnie poznawać w działaniu, w codziennej wspólnej pracy. Tak sądziłem. Odczytałem listę. W klasie mat.-fiz., w odróżnieniu od większości klas w naszym liceum, dominowali chłopcy. Osiemnastu na jedenaście dziewcząt. Piszę „chłopcy” i „dziewczeta”, bo to wciąż są jeszcze dzieci, mimo że robią wszystko, strojem i zachowaniem, aby wyglądać na dorosłych. Wprawdzie nie jestem od nich wiele starszy, ale jednak bardzo różnią nas życiowe doświadczenia. I odróżniają nas role, w jakich występujemy w szkole. Tak jest i tak ma być. Wyraźny podział, reguły i dystans. Nie będę ich kolegą. Zwracają się do mnie per panie profesorze. To śmieszne, przecież w sensie ścisłym jestem ledwie magistrem. Być może kiedyś zrobię doktorat, biorę to pod uwagę, jednak profesorem raczej nigdy nie zostanę. Ale to zwyczajowe „panie profesorze” dobrze oddaje dystans, który powinien być między nami. Siła dawno temu wprowadzonych reguł.

Przekazałem im plan zajęć, powiedziałem kilka motywujących zdań na początek naszej wspólnej szkolnej przygody. Że będziemy ciężko pracować, aby osiągnąć założony cel. Jest nim w planie bliższym rok szkolny zamknięty dobrymi wynikami, a potem dobrze zdana matura, studia na dobrej uczelni. Patrzyłem po ich twarzach. Niektórzy uśmiechali się pod nosem. Normalna reakcja. Dorosły, do tego nowy nauczyciel, staje przed nimi i prawi kazania. Bez wątplenia nie wszyscy moi uczniowie są geniuszami, nie każdy ma duże ambicje. Albo nawet jakiegokolwiek ambicje. Będę jednak zabiegał o to, aby nie spadli poniżej pewnej średniej. Takiej, którą ja ustalę.

Pożegnałem się z moimi uczniami. Siedziałem za biurkiem i patrzyłem, jak opuszczają klasę. Szybko, pośpiesznie, jakby chociaż jeszcze na chwilę chcieli uciec przed szkolnymi obowiązkami. Obowiązek szkolny. To wprawdzie nie dotyczy liceum, ale dobrze

oddaje istotę szkolnej rzeczywistości. Spotkamy się już jutro, bo nie tylko będę ich wychowawcą, lecz także nauczycielem matematyki, której w mat.-fizyce jest sporo. Dzięki temu będę miał z nimi stały, bliski kontakt. To dobrze. Bardzo dobrze.

Czułem ekscytację. Wciąż ją czuję.

2 września 1998

Pierwszy dzień prawdziwej pracy. Jednak nie do końca. Oprócz jednej lekcji z moją klasą miałem jeszcze matematykę z trzema innymi. Właściwie była to jedynie rozgrzewka. Mówiłem, z jakich podręczników będziemy korzystać, przedstawiłem moje wymagania i oczekiwania. Najważniejsze są jasne reguły. Bez niedomówień. Dzięki temu nie powinno dochodzić do nieporozumień. Jedyne w mat.-fizyce pozwoliłem sobie na więcej. Nie bez powodu. Założyłem sobie, że moim własnym, prywatnym celem jest doprowadzenie do tego, aby ta klasa była najlepszą w szkole. Nie jedną z najlepszych, ale właśnie najlepszą. Stanie się to tylko wtedy, gdy będę wymagał równie dużo od siebie, jak i od uczniów. Prawdopodobnie nie wymagał pokochają mnie za to. Nie muszą. Wystarczą mi współpraca i wzajemny szacunek. To powinno przynieść efekty. Po przekazaniu uczniom wstępnych informacji rozdałem kartki z zestawami zadań z różnych działów matematyki. Zajrzałem do ocen moich uczniów na koniec pierwszej klasy. Faktycznie, tak jak mówiła wicedyrektorka, były niezłe. Nawet więcej niż niezłe. Jednak same oceny mówią niewiele. Chciałem się przekonać, co naprawdę wiedzą i umieją. Stąd ten sprawdzian czy właściwie test wiedzy i kompetencji. Musiałem wiedzieć, co wymaga poprawy, jeśli wymaga, na co w tym półroczu położyć nacisk. Dobry plan pracy na wejściu to połowa sukcesu na wyjściu. Chyba już o tym wspominałem w moich zapiskach. Zapowiedziałem im, że w piątek mają mi oddać rozwiązane zadania. Pojękiwali, że dopiero co

skończyły się wakacje, że w innych klasach nie ma jeszcze mowy o żadnych sprawdzianach. Wytłumaczyłem, że nie powinni oglądać się na inne klasy, że to żaden argument. Zapytali, czy jest to praca na ocenę. Potwierdziłem. Byłem zdania, że prace, które nie kończą się oceną, nie działają na uczniów motywująco. Przynajmniej nie w stopniu wystarczającym. A co jak co, motywacja jest podstawą pracy w szkole. Inaczej wszystko rozplywa się w marazmie, rozprzega. Uśmiechnąłem się w duchu. Słowo „rozprzegać” było jednym z ulubionych mojej wykładowczyni metodyki. Przejąłem je, ale nie bezwiednie i bezrefleksyjnie. Punkt dla mnie. Uczniowie jęczeli coraz głośniejsze, że to za szybko, że może oddadzą zadania w przyszłym tygodniu. Byłem nieugięty. Przy mnie moi uczniowie się nie rozprzegną. Bez obaw.

Znowu myślę o wicedyrektorze. Katarzyna Jagiełło. Nazwisko zacne, ale mało w niej majestatu. Pewnie bliżej jej do pięćdziesiątki niż czterdziestki. Niewysoka, z nadwagą, której nie ukrywają szyte na miarę garsonki, w których zawsze się pokazuje. Wiem, że są szyte na miarę. Moja matka większość ubrań zamawiała u zaprzyjaźnionej krawcowej. Nie było to fanaberią matki. Po prostu tak było taniej. A zawsze musieliśmy się liczyć z każdą złotówką. Matka pracowała w urzędzie miejskim, nie zarabiała wiele. Ojciec właściwie nigdy nie płacił zasądzonych alimentów. Podobno szybko zwinął się z kraju. Gdzie był, nikt nie wiedział. Przynajmniej tak mówiła matka. Nie miałem powodu, aby jej nie wierzyć. Ale perypetie matki i mojego ojca, który na dobrą sprawę był jedynie rodzicielem biologicznym, a nie faktycznym, to inna historia...

Jagiełło. Od pierwszego spotkania wyczuwałem, że traktuje mnie z dużą rezerwą. Jak każdego nowego, młodego nauczyciela? Może. Nie jest wykluczone, że nie ufała mężczyznom biorącym się za uczenie. W końcu w gronie nauczycielskim było nas ledwie kilku. Obce ciało w kobiecym światku, który świetnie czuł się sam ze sobą? Też być może. Dzisiaj, kiedy skończyłem lekcje, poprosiłem

wicedyrektorkę o chwilę rozmowy. Spojrzała na zegarek, westchnęła i powiedziała, że nie ma za wiele czasu. Tak, ewidentnie zawracałem jej głowę. Dała mi to odczuć. Poprzedniego wieczoru zastanawiałem się nad tym, co mi powiedziała. Że moja klasa jest trudna. Postanowiłem dopytać o szczegóły. Który z uczniów sprawia największe kłopoty? Jak to się objawia? Prawdę powiedziawszy, Jagiełło nie była w stanie podać mi żadnych konkretów. Tak się o II mat.-fiz. mówi w pokoju nauczycielskim. Raz czy dwa całą klasą poszli na wagar. Ktoś tam z tej klasy był zagrożony postępowaniem dyscyplinarnym po tym, jak na szkolnej dyskotecie upił się i zwymiotował na środku korytarza. Któryś z nauczycieli skarżył się, że pewni uczniowie z tej klasy bywają krnąbrni i przemądrzali. Ona więc nie wie, nie uczyła ich. Więcej, jak będę chciał, mogę się dowiedzieć od ich wychowawczynie. Łaskawie podała mi nawet numer telefonu. Mogę też z wszelkimi pytaniami na temat uczniów zwrócić się do szkolnej pedagog. Tyle się dowiedziałem. Jak dla mnie zwyczajna psychologia.

TAK BĘDZIE ZAWSZE? POZOSTAWIONY SAMEMU SOBIE Z PROBLEMAMI I WĄTPLIWOŚCIAMI?

Zawsze drażnili mnie ludzie, którzy nie do końca poważnie traktowali swoją pracę, swoje obowiązki. Niezależnie od tego, jakie by one nie były. I ile za nie płacono. Po tych kilku dniach w szkole zorientowałem się, że to jeden z głównych tematów. W pokoju nauczycielskim ciągle słyszę o pieniądzach, za małych pensjach, dodatkach... Zaczyna mnie to mierzić. Spędzam tam tylko tyle czasu, ile muszę. Moim zdaniem albo się coś robi z pełnym zaangażowaniem, albo nie ma sensu się za to brać. Niezależnie od wysokości pensji. Tak postrzegałem kwestię pracy. Odniosłem wrażenie, że Jagiełło jedynie odbębnia swoje obowiązki. Nic więcej. Czy tak jest w tej szkole? A może we wszystkich? Czy w ten sam sposób do uczenia podchodzą inni nauczyciele? Nie wiedziałem. W gruncie rzeczy było mi to obojętne. Poza tym, że trochę szkoda było mi uczniów.

Wiedziałem za to jedno – niezależnie od tego, co robią inni, będę postępował według własnych reguł. Realizował swój plan.

5 września 1998

Już sobota! Pierwszy tydzień pracy w liceum za mną!

Chyba przeszacowałem swoje siły i możliwości. Jeśli chcę zachować wcześniejszy, naturalny dla mnie rytm dnia, nie będę mógł prowadzić codziennych zapisków. Musiałbym zarywać noce, a przecież nie mogę chodzić do pracy niewyspany. To byłoby nieprofesjonalne. Przygotowywanie się do zajęć zajmuje mi więcej czasu, niż zakładałem. Jak się przekonałem, co innego praktyki czy incydentalne zastępstwa, a zupełnie co innego pełnoetatowa praca. Nie narzekam, wcale nie. Tak miało być i tak jest. A że nie zrealizuję swoich założeń i nie będę dzień po dniu prowadził zapisków? Może to i lepiej. Dzień czy kilka dni zwłoki pozwolą mi poskładać myśli, oddzielić nieistotne od ważnych.

W piątek zebrałem testy. Uczniowie znowu marudzili i narzekali. Takie ich prawo. Moim zadaniem jest pilnowanie, aby realizować program nauczania, jak również mój plan na tę klasę. Jeden z uczniów nie miał zrobionego zadania. Tłumaczył się mętnie, że nie miał czasu z powodów rodzinnych. Nie chciał podawać szczegółów. Zapowiedziałem, że wprowadzie tym razem obejdzie się bez konsekwencji, ale po raz ostatni. Potem będę stawiał oceny niedostateczne. Czterech uczniów nie przyszło tego dnia do szkoły. Ciekawe, czy będą mieli stosowne zwolnienia.

Tego dnia miałem tylko trzy lekcje. Przed wyjściem ze szkoły wybrałem się do szkolnej pedagog. Nawet udało mi się ją zastać. Zdaje się, że nie była dużo starsza ode mnie. Filigranowa blondynka z długimi, prostymi włosami spiętymi wysoko w koński ogon. Niebieskie oczy spoglądające bystro zza okularów. Sprawiała wrażenie bardziej otwartej niż moje nowe koleżanki z pokoju

nauczycielskiego, które, takie odnosiłem wrażenie, ewidentnie trzymały mnie na zewnątrz towarzyskiego kręgu. Kiedy poprosiłem pedagoga o informacje na temat moich podopiecznych, najpierw się zdziwiła. Ponoć nowi wychowawcy klas zazwyczaj takiego wywiadu nie robili. Zgłaszali się do niej dopiero wtedy, kiedy pojawiały się jakieś poważniejsze problemy. Z dyscypliną, używkami, lekceważeniem obowiązków szkolnych. Odpowiedziałem, że nie interesuje mnie, co zazwyczaj robi się w tym liceum. Może użyłem trochę za ostrego tonu, nie wiem. Spojrzała na mnie jakoś tak dziwnie. Pedagog powiedziała, że tak z marszu nie może za wiele powiedzieć. Jest zawałona robotą, jak zwykle na początku roku szkolnego. Poza tym pracuje tylko na pół etatu. W szkolnictwie się nie przelewa. Liceum oszczędza tam, gdzie może. Obiecała jednak, że zbierze wszelkie dostępne materiały i informacje na temat II mat.-fiz. I że chętnie spotka się ze mną ponownie. W przyszłym tygodniu. Albo najlepiej za dwa tygodnie. Czy w ten sposób mnie zbyła? Nie byłem pewien.

Piątkowego wieczoru mama zrobiła mi przyjemną niespodziankę. Przygotowała uroczystą kolację. A przecież też była w pracy. Kochana mama. Moje ulubione zrazy w sosie myśliwskim. Zapaliła świece. Otworzyłem dobre, czerwone wino, które od dawna czekało na właściwą okazję. Podpytywała, jak w pracy, jak w szkole. Jak mi tam idzie i jak się czuję. Powiedziałem, że na razie to pierwsze koty za płoty, dopiero rozeznaję się w nowym środowisku. Że klasa, w której mam wychowawstwo, jest uznawana za najbardziej obiecującą w szkole i chcę zrobić z niej najlepszą. Mama mnie pochwaliła. Zawsze wbijała mi do głowy, że trzeba dużo pracować i mieć ambicje. Bez tego nic się w życiu nie osiągnie. Oczywiście, nie zawsze warunki pozwalają doprowadzić do końca to, co się kiedyś założyło. Ona akurat nie mogła realizować swoich planów tak, jak chciała. Musiała zająć się mną, utrzymać siebie i mnie, ten szczytek rodziny, który dla nas dwojga był rodziną

prawdziwą i jedyną. Dlatego nie mogła skończyć studiów w trybie dziennym. Dyplom zdobyła dopiero w trybie zaocznym, tuż przed czterdziestką. Mówiła nie raz, nie dwa, że właściwie tytułu magistra już nie potrzebowała. Chciała jednak, żeby jej syn nie musiał się wstydzić mamy, która ma ledwie wykształcenie średnie. A przecież nigdy się nie wstydziłem. Moja kochana mama. Zawsze myślała przede wszystkim o mnie. Byłem jej za to wdzięczny.

Po kolacji pozmywałem naczynia. Potem siedzieliśmy w fotelach, pijąc ostatnią tego dnia kawę. To był dobry dzień, który dobrze się kończy. Przez chwilę zastanawiałem się, czy nie zwierzyć się mamie z moich rozterek i wątpliwości związanych ze szkołą. Czy nie opowiedzieć o wicedyrektorce, która niezbyt przykłada się do swoich obowiązków, o pedagoga, która prawdopodobnie mnie zbyła. Uznałem, że jest jednak na to zbyt wcześnie. W końcu sam jeszcze nie wiedziałem, co o tym myśleć.

Tak czy siak, miałem głębokie przekonanie, że będzie dobrze. Nie zakładałem innej możliwości.

Rozdział trzeci

Czarna jak serce

12 września 2014, piątek, Grecja

Woda sięgała kolan. Była ciepła, przezroczysta i w nierzeczywisty wręcz sposób błękitna. Jak nie z tej ziemi. Raczej nie była to toń Bałtyku. Wzrok gubił się na linii horyzontu rozmytej mgłą tak, że trudno było ustalić, gdzie kończy się morze, a zaczyna niebo. Morze błękitne pode mną, niebo błękitne nade mną. I żadnego prawa moralnego we mnie. Przyszło mi do głowy pytanie, czy moralność może mieć kolor? Na przykład błękitny. Uznałem, że to ciekawa koncepcja. Odkrywcza. Ale zupełnie co innego było dla mnie w tej chwili istotne. Zdecydowanie.

Na początku, kiedy zszedłem do wody z plaży o kolorze brudnej ścierki, szło mi się całkiem dobrze. Pod stopami miałem drobne kamyki. Trochę kłuły w stopy, ale mogłem iść swobodnie. Potem zaczął się piach. Coraz bardziej grząski. Kolejne kroki kosztowały mnie wiele trudu. Piasek zasysał jak bagno. Aż wreszcie odniosłem wrażenie, że wcale a wcale nie posuwam się do przodu. Z trudem stawiałem krok za krokiem. Pot spływał mi z czoła. Wciąż miałem wodę po kolana. Poruszałem się czy stałem w miejscu? Wszedłem na rozległą pływiznę?

Poczułem niepokój. Stałem i rozejrzałem się dookoła. Nieodmienne błękitne morze przede mną. Pasek niewielkiej plaży w zatoczce za mną. Poza tym pustka. Żywego ducha. Usłyszałem dziwny, nasilający się dźwięk. Jakby łomot, łoskot. Skojarzył mi się z odgłosem zbliżającego się pociągu. Ale gdzie tu pociąg?! Byłem gdzieś w totalnej głuszy. Daleko od ludzi, daleko od cywilizacji. Zauważyłem w oddali chmurę. Czyżby

nadciągała burza? Powinienem wrócić na brzeg, ale nie mogłem wykonać ruchu. Zamarłem i czekałem. Chmura się zbliżała, dźwięk nabierał mocy. Zaczął przypominać wrzaski, wycie.

I wtedy je zobaczyłem.

Zbliżała się do mnie nie chmura, lecz chmara. Tysiące, może dziesiątki tysięcy ptaków. Najróżniejszych. Widziałem najzwyczajniejsze wróble, gołębie i wrony. Malutkie rudziki i wielkie rybitwy. Papugi, pawie i flamingi. A także ptaki, których nazw nie znałem. Nawet nigdy wcześniej ich nie widziałem. Były w tej chmarze chyba wszystkie ptaki świata. I takie, których na świecie w ogóle nie ma. Nadleciały i zaczęły krążyć wokół mnie. Zbiły się w ciasny kłęb, wir. Nie śpiewały, ćwierkały czy skrzeczały, ale wrzeszczały. Potwornie głośno. Skuliłem się, zakryłem uszy dłońmi, zamknąłem oczy. Na niewiele się to zdało. Hałas rozsadał bębenki. Skrzydła ptaków muskały moją głowę. Bałem się. Bardzo. Szeptalem: niech to się skończy, już, natychmiast.

Usiadłem na łóżku. Powoli rozkleiłem powieki. Byłem mokry, jakbym dopiero co wyszedł z wody. No tak, znowu zapomnieliśmy włączyć klimę. Ja zapomniałem. Spojrzałem w bok. Paulina spała na brzuchu, lekko posapując. Naga i piękna. Skotłowane prześcieradło leżało na podłodze.

Ktoś walił w drzwi. Ki czort? Sięgnąłem w stronę nocnego stolika, szukając komórki, ale nie było jej tam. Pewnie jest w kieszeni szortów. Nie chciało mi się wstawać, opadłem na łóżko i przymknąłem powieki. Znowu rozległo się pukanie. Czy raczej walenie. Coraz bardziej natrączywe. Sprzątaczką? One przecież pukają raz, a potem zwykle wchodzą. Ale może w greckich hotelach są odmienne zwyczaje. A niech wchodzi, pomyślałem, zobaczy nas i się wycofa. Nie miałem siły na jakąkolwiek aktywność. Zmęczył mnie senny koszmar, ale przecież nie mogłem się dziwić, że nawiedził mnie tej nocy. Lekko stresująca kolacyjka w niechcianym towarzystwie, za dużo żarcia, za wiele alkoholu. Była wina, jest kara. Nieunikniona jak w greckiej tragedii. Dawno temu, na stu-

diach przeczytałem ich wiele. Bo musiałem, ale również dlatego, że lubiłem zawarte w nich pokręcone, krwawe historie wpisane najczęściej w nieubłaganą logikę zemsty. W nich to dopiero było multum seryjnych morderców i psychopatów. Współczesne kryminały mogły się przy tym schować.

I kiedy już niemal odpyływałem w drzemkę, usłyszałem dobiegające z korytarza:

– Konrad, no Konrad, otwórz!

A po rozpaczliwym wołaniu znowu łomotanie. „I nocą kolbami w drzwi załomocą”, męczony w dzieciństwie wierszykami na pamięć umysł zareagował błyskawicznie. Choć ani to noc była, ani kolby karabinów.

Staszek Kiełbasa! Wiedziałem, że tak będzie. Przez najbliższe kilka dni nie uwolnię się od niego. Chyba że zmyję się z Arkoudi, bo w wiosce nie miałem szans przed nim się ukryć.

– Konrad!

Paulina poruszyła się niespokojnie, ale nie obudziła. Co było robić? Zwlokłem się z łóżka, niechętnie, przekręciłem klucz w zamku i lekko uchyliłem drzwi. Staszek był rozczochrany i ogólnie potargany. Wyglądał fatalnie. I chyba nie był to efekt nazbyt intensywnego spożycia białego wina, bo nie czuć było od niego alkoholowego zapaszku. Przynajmniej nie natarczywie. Przeszłował z nogi na nogę. W jego oczach czaił się strach.

– No wreszcie – wyjącał.

Zrobił pół kroku, ale nie zamierzałem wpuszczać go do pokoju.

– Chłopie, co cię opętało? – syknąłem. – Walisz w drzwi z samego rana...

– Jakie, no jakie znowu rano? – Nie dał mi dokończyć. – Już prawie południe. I już myślałem, że wy, wy razem już gdzieś poszliście...

– Dobra, co jest? Gadaj i spadaj, bo chcę wziąć prysznic.

Nagle Staszek przestał dreptać w miejscu i podrygiwać. Dla odmiany zaczął się trząść. Usta wykrzywiły mu się, jakby zaraz miał wybuchnąć płaczem. Nawet biorąc pod uwagę jego dziwactwa, nie spodziewałem się niczego dobrego. I dobre nie nadeszło.

- Konrad, ona, no, ona nie żyje.

- Jaka znowu ona, do greckiej kurwy nędzy!

Z wrażenia pomieszanego ze złością puściłem drzwi. Staszek zaraz wparował do środka.

- No ona - wyszeptał i zamarł.

Stał na środku niewielkiego hotelowego numeru i gapił się na śpiącą Paulinę. Nagą.

- No ona - powtórzył jeszcze ciszej.

Poprzedni wieczór skończył się właściwie dnia następnego. Grubo po północy. Kiedy wreszcie udało nam się uwolnić od Staszka i jego wesołej rodziny, zahaczyliśmy o tawernę koło hotelu. Jakżeby inaczej. Paulina zarządziła kolejkę tsipouro.

- A co to takiego? - zapytałem.

- Wóda na winogronach.

Wolałem nie wnikać, w jaki sposób Paulina posiadała tak dogłębną wiedzę o alkoholach świata. W końcu sam też zazwyczaj nie odmawiałem i nie unikałem okazji, więcej, nawet często okazje prowokowałem, czemu więc miałbym rozliczać dziewczynę z alkoholowych ekscesów.

Tsipouro okazało się całkiem znacym zajzajerem, który miał moc i wchodził gładko.

Skupiony na pogaduszkach ze Staszkiem nie zarejestrowałem, ile Paulina wypila wina podczas kolacji. Musiało być tego sporo, bo po tym, jak poprawiła wódą, ledwie doszła do hotelu. W pokoju tylko zrzucała szatki i legła w łóżku. Mnie jedynie lekko szumiało w głowie. Nie chciało mi się spać. Niechciane spotkanie z Kiełbasą ewidentnie wytrąciło mnie z równowagi.

Wyszedłem na balkon, umościłem się w plastikowym fotelu i zapaliłem. Z placyku, który wciąż żył nocnym życiem, dobiegał przytłumiony gwar głosów. W oddali z cicha pomrukiwało morze. A gdzieś całkiem daleko była Polska w ogóle, a Ciechanów w szczególności. Pomyślałem, że ten na szybko zorganizowany wyjazd do Grecji był, ni mniej, ni więcej, tylko ucieczką. Albo czymś w rodzaju ucieczki. Unikaniem, zawieszeniem, można to było różnie nazywać. Wiedziałem, że prędzej czy później będę musiał podjąć decyzje. Jakiegokolwiek. Przez dwa lata żyłem sam ze sobą i dla siebie. I oczywiście dla babki Felicji. Prawda była taka, że żyłem z dnia na dzień, z tygodnia na tydzień. Łapałem fuchy, kolejne zlecenia wykładów, więc miałem trochę kasy i nie biedowałem, chociaż mi się nie przelewało. Odkąd zacząłem spotykać się z Pauliną, coraz częściej myślałem o tym, że wreszcie muszę wykonać zdecydowany krok. Znaleźć prawdziwy pomysł na dalsze życie. Może ponowne pojawienie się Pauliny było właśnie tym bodźcem, który spowoduje we mnie zmianę, zmusi mnie do działania? W ogóle skąd brało się takie myślenie? Przed laty połączyła nas trauma, ale wciąż powtarzała, że czuje się przy mnie bezpiecznie. A jakież mogłem jej zaoferować bezpieczeństwo, jeśli nie byłem pewien, czy w następnym miesiącu zarobię choćby złotówkę? Poza tym dostrzegłem w niej cień podziwu dla mnie, że ze zwykłego policjanta stałem się kimś w rodzaju naukowca. Wprawdzie nie do końca, ale... Może powinienem zrobić doktorat? Tyle że to długa droga, a potem i tak nie miałbym pewności, że dostanę etat na uczelni. Szczególnie że młodszy już byłem. Jedno nie ulegało wątpliwości – powinienem postarać się o stałą robotę i wreszcie zarabiać prawdziwe pieniądze. Jednak, co by to miała być za praca, wciąż na to nie wpadłem.

Zgasilem papierosa. Zajrzałem do pokoju. Paulina spała rozłożona w poprzek łóżka. Podeszedłem do niej, okryłem ją cienkim prześcieradłem. Oddychała spokojnie. Przynajmniej ona.

Wróciłem na balkon i znowu zapaliłem, obiecując sobie, że to już naprawdę ostatni tego dnia, a właściwie tej nocy.

– Co będzie, to będzie – podsumowałem chaotyczne rozważania błyskotliwą frazą.

Wypowiedziałem ją na głos. Czy nadchodzi czas gadania do siebie? Gasząc papierosa w wypełnionej kiepami popielniczce, pomyślałem, że to akurat najmniejszy z problemów.

Wypchnąłem Staszka na korytarz, nakazując mu, aby poczekał na mnie w tawernie obok. Wciągnąłem łachy, zabrałem z balkonu papierosy i zapalniczkę. Zrezygnowałem z windy, powoli schodziłem po schodach. Nawet minuta czy dwie bez towarzystwa Kielbasy to był czysty zysk.

Siedział przy stoliku przed knajpą i wyglądał jak dubeltowe nieszczęście. Choć zminiaturyzowane. Jednocześnie targał blond czuprynę, nie tak już gęstą jak przed laty, i ogryzał paznokcie. Usiadłem naprzeciwko niego i od razu sięgnąłem po papierosa. Fajka na czczo wywołała lekkie mdłości. Wołałem jednak myśleć, że to skutki kaca po wczorajszym. Mogłem się rozstać, choć z pewnym żalem, z alkoholem, ale nie wyobrażałem sobie życia bez papierosów.

Znajomy kelner, specjalista od zagajania po rosyjsku i w innych narzeczach świata, powitał mnie jak brata. Zdaje się, że niepostrzeżenie przeszliśmy z etapu przyjaźni na wyższy poziom. Miałem tylko nadzieję, że nie będzie się to wiązało z koniecznością zostawiania wyższych napiwków. Zarządziłem kolejkę tsipouro. Podpasowało mi to alko. Grek pokręcił głową. Po chwili wrócił z dwoma smukłymi kieliszkami wypełnionymi wodą i talerzykiem z grzankami posmarowanymi czymś, co wyglądało i pachniało jak przecier pomidorowy. Jego dbałość o zdrowie pijaków z odległego, zimnego kraju z północy kontynentu bardzo mnie wzruszyła. Chwyciłem kieliszek, stuknąłem lekko w szkło Staszka. Wydudlił wszystko na jeden łyk, ja wypilem tylko połowę.

– To mów, co się właściwie stało, tylko po kolei i spokojnie – zarządziłem.

Miał rozbiegany wzrok. Westchnąłem. Zanosilo się na długą i niezborną opowieść.

- I bez zbędnych dygresji - dodałem, choć nie sądziłem, że napomnienie cokolwiek da.

- Był, no był znowu wypadek.

Po raz kolejny westchnąłem. Jedyny zysk, że wzdychanie podobnie jak ziewanie natleniało organizm. Ponoć.

- Jak będziesz używał zdrobnień, to zaraz się pożegnamy. Albo ci pierdolnę. Co wolisz. - Zupełnie straciłem cierpliwość.

- Nie, ja muszę...

Mężczyzna w panice. Totalnej. Tak wyglądał Staszek.

- Co się stało? - powtórzyłem powoli, mając nadzieję, że trybiki w jego zrozedrganym umyśle wreszcie zaskoczą.

- Zginęła kobieta z naszego hotelu. Właściwie dziewczyna.

Uniosłem brwi. Śmiertelne wypadki na zagranicznych wywczasach czasami się zdarzały. Jak mi się jednak zdawało, niezbyt często. Jeden taki nieszczęśliwy wypadek-przypadek, cóż, bywa. Skręcenie karku po skoku do wody na główkę, wypadek samochodowy, jakieś nieszczęsne zatrucie albo niespodziewany zawał. Ale dwa przypadki w ciągu kilku dni w jednym miejscu i na dodatek w jednej grupie turystów wyglądały już podejrzanie. Bardzo.

- Jak?

- Co jak?

Staszek wciąż miał problemy z kojarzeniem. Właściwie nawet mu się nie dziwiłem, skoro nawet ja - mimo że widziałem kilkunastu umarłaków i uczestniczyłem w kilku sekcjach zwłok - na widok kolejnego trupa nieodmiennie reagowałem tak samo. Dygotem. Choć z czasem jedynie wewnętrznym.

- Jak ta kobieta zginęła? - doprecyzowałem.

- Widziałeś te skały przy plaży? Te czarne?

Coś tam poprzedniego dnia, zanim Kielbasa przerwał mi przyjemną sjęstę na leżaku, widziałem. Skinąłem głową.

- Łaziła po tych skałach i spadła. Mówią, że ma rozbitą głowę.

– Kto mówi?

– No ta, no rezydentka. Ona się od początku opiekuje naszą grupą. Mówiłem ci wczoraj. Policja u niej była. Kazała nam zostać w hotelu, ale się wymknąłem. Tam jest, no jest chaos. Wszyscy się boją, a najbardziej Gośka. Świruje totalnie.

To mnie akurat nie dziwiło. Miały być wypoczynek, ciepło, plaża, obżarstwo i opilstwo oraz setki fot do wrzucania na media społecznościowe i katowania rodziny oraz znajomych po powrocie, a nastąpiła kumulacja zgonów. Trudno zachować spokój, kiedy człowiek, z którym się siadało do śniadania albo gadało poprzedniego wieczoru o bzdetach, trafia do plastikowego wora. Jednak nie zamierzałem uspokajać i utulać Staszka. Nie moja broszka.

– Rozumiem, stała się tragedia, bardzo mi przykro, łączę się w bólu i tym podobne. Ale możesz mi z łaski swojej wyjaśnić, po co właściwie do mnie przyjechałeś i wywlokłeś mnie z łóżka?

Kielbasa wbił we mnie nierozumiejące spojrzenie. Jakbym przemawiał do niego po autochtonsku. Sięgnął po szkło, wyraźnie się zdziwił, że jest puste. Poszukałem wzrokiem kelnera, podniosłem swój kieliszek do góry i wystawiłem dwa palce. Znak wiktorii. Grek zrozumiał, że tym razem nie chodzi o zwycięstwo. Wręcz przeciwnie. Można uznać, że urządzaliśmy coś w rodzaju stypy. Przyniósł, co trzeba. Nie skomentował. Darował sobie kolejny talerzyk z zagrychą, skoro tego, co przyniósł za pierwszym razem, nawet nie tknęliśmy. Staszek wypił, jakby tsipouro było wodą życia. Zdradliwą.

– Rozmawialiśmy wczoraj o tym gościu z bagna, nie? – zapytał, gdy już mógł złapać oddech.

– Jasne. – Wzruszyłem ramionami. – Sprzedałeś mi niezbyt wesołą anegdotkę z wakacji. I co z tego?

– I mówiłeś, że to dziwne, no nie?

Nie potwierdziłem, nie zaprzeczyłem.

– Więc pomyślałem, no pomyślałem, że może byś się przyjrzał, co tu się, kurna, dzieje. Bo ci Grecy to chyba nic nie wyśledzą.

Sięgnąłem po następnego papierosa. Przez tego patafiana wypałe zdecydowanie więcej, niż powinienem. A Paulina mi nawrzuca, że śmierdzą fajkami.

- Stary, posłuchaj uważnie, bo nie będę powtarzał. - Wbiłem w Staszka wzrok. - Nie jestem już policjantem, a nawet gdybym był, nie mógłbym tutaj prowadzić żadnego dochodzenia. Co ty sobie wyobrażasz?! - Walnąłem pięścią w stół, choć nie powinienem. Nakręcałem się zupełnie bez potrzeby, ale nie umiałem nad tym zapanować. - Że pójde do tych greckich policjów i zaproponuję im pomoc? Nawet gdybym się z nimi dogadał, to kazaliby mi spadać na szczaw czy jakieś podobne miejscowe warzywo. To nie działa tak, jak myślisz.

- Nie? - zdziwił się Staszek. Było to zdziwienie czyste i naiwne.

- Wyobraź sobie, że nie. To nie serial kryminalny w telewizji. A poza tym gównu mnie to wszystko obchodzi. Przyjechałem tu na wakacje.

Zdusiłem niedopałek i wstałem. Kielbasa wyciągnął rękę przez stół i chwycił mnie za koszulkę. Wyszarpnąłem się odruchowo. Potrącone krzeselko upadło z głuchym hukiem. Zaprzyjaźniony kelner wyszedł z zaplecza, stanął i obserwował rozwój wypadków. Nic specjalnego się nie stało, bo stać się nie miało.

- Ale Konrad, no Konrad... - pojękiwał.

Wygrzebałem z kieszeni pierwszy lepszy banknot i rzuciłem na stół. Poszedłem przed siebie. Nie oglądając się. Bo i po co.

Minąłem hotel. Bezwiednie. Po kilkuset metrach domy po obu stronach ulicy zniknęły, na ich miejscu pojawiły się pola i gaje oliwne. Droga wiała się po paśmie niewielkich wzgórz. Było cicho i pusto. Maszerowałem już dobre kilkanaście minut, a minął mnie tylko jeden miejscowy na skuterze, którego używał do przewozów towarowych. Na tyle siedzenia miał przymocowaną metodą chałupniczą drewnianą skrzynkę po owocach, na której piętrzyły się owinięte sznurkiem paczki. Dwa pakunki miał też wciśnięte między nogi a kierownicę. Pomysłowa nacja.

Doszedłem do czegoś w rodzaju zagrody otoczonej płotem ze splecionych patyków. Kręciły się po niej kozy, mniejsze i większe, rozmaicie umaszczone. Jeden ze zwierzków, czarno-biały, stał przy ogrodzeniu naprzeciwko i gapił się na mnie, przeżuwając coś leniwie i bez ustanku. A ja wpatrywałem się w niego, myśląc, że jestem głupi jak koza. Albo baran. Do wyboru.

Jeżeli Staszek i jego paplanina tak bardzo mnie irytowały, to ewidentnie było ze mną nie najlepiej. Kielbasa był, jaki był, i inny raczej nie będzie. Doskonale o tym wiedziałem, a mimo to dałem się ponieść złym emocjom. Niepotrzebnie. Zastanawiałem się, czy depresja, którą ewidentnie miałem, choć nie chciałem się leczyć, przypadkiem nie przeszła w nerwicę. Oczywiście, mogłem pójść do specjalisty, który na pewno ustaliłby, co mi jest. I wypisał kolorowe pigułki. Niekoniecznie niebieskie. W najbliższym czasie do żadnego specjalisty się nie wybierałem. „Cały Konrad”, powiedziałaaby Felicja, gdyby teraz była obok mnie. Musiałbym przyznać starowince rację. Jak zwykle.

Zabręczała komórka, spojrzałem na wyświetlacz. Paulina powstała z alkoholowych mar. Chwalić Pana! Pożegnałem kozę skinieniem głowy. Jak przeżuwała wcześniej, tak przeżuwała dalej. Z absolutnym spokojem. Nie odebrałem połączenia, ruszyłem w stronę wioski. Wyrównałem oddech, liczyłem kroki. Starłem się odnaleźć w sobie buddyjski spokój. Albo choćby kozi.

– O co ci właściwie chodzi?

Paulina siedziała po turecku na łóżku. W kusym T-shircie i turbanie z ręcznika na głowie. Nieco złachana hurysa. Skojarzenie jak najbardziej na miejscu, zważywszy na historię tych okolic, na których Turcy odcisnęli spore piętno. Natomiast moja krótka przemowa nie odcisnęła specjalnego piętna na wciąż otumanionym umyśle mojej dziewczyny. Tłumaczyłem, że zaprawdę godne jest i sprawiedliwe kultywowanie kontaktów towarzyskich, choćby nawet bezsensownych, ale jeden wieczór ze Staszkiem i jego rodziną w zupełności wystarczy. Wyjaśniłem, że pod żadnym pozorem nie powinna zachęcać Staszka do dalszych spo-

tkań z nami, że wręcz powinniśmy go przez najbliższe dni unikać. Ponieważ znam go od lat i doskonale wiem, jak wielkim jest upierdliwym. I jeżeli nie przetnę tej niespodziewanie i absolutnie zbędnie odnowionej znajomości, zwyczajnie nie da nam żyć.

– Przesadzasz. – Ziewnęła. – Staszek jest nawet na swój sposób zabawny.

– Może dla ciebie. Mnie irytuje.

– Nie wiem, czemu jesteś takim dzikusiem. Fajnie jest być we dwoje, ale przyda się trochę rozrywki w większej grupie.

– Nie jestem odludkiem, tylko reaguję alergicznie na Staszka. To różnica – wyjaśniłem.

Była to prawda, ale jedynie po części. Bez wątpienia przez kilka ostatnich lat odludkiem byłem. Spotykałem się od czasu do czasu z nieoficjalnymi narzeczonymi czy Koziejem. Oczywiście regularnie odwiedzałem Felicję. Poza tym prowadziłem nieskomplikowany żywot mnicha z wyboru. Albo singla. Robota, potem powrót do mieszkania i lekkie alkoholizowanie się albo lektura. Nie udzielałem się nawet na mediach społecznościowych, tym ersatzu kontaktów międzyludzkich. Być może dlatego, że konieczność pomnażania policyjnej papierologii skutecznie obrzydziła mi komputery.

Paulina wstała z łóżka i podeszła do wiszącego nad stolikiem lustra. Koszulka odkrywała więcej, niż powinna. Prawdę powiedziawszy, odkrywała wszystko. Robiła to specjalnie, żeby mnie zdekoncentrować?

– Czyli – z trudem przełknąłem ślinę – ogłaszam bana na Staszka.

Nie odwracając się od lustra, rzuciła:

– Panie Rowicki, chyba za bardzo pan się rządzi.

Poderwałem się z krzesła i stanąłem obok niej. Patrzyliśmy w oczy naszych odbić.

– Paulina, posłuchaj. Może czasami zachowuję się dziwnie, może nie przepadam za ludźmi, ale Staszek to zaraza.

Już otwierała usta, żeby skomentować, lecz powstrzymałem ją gestem dłoni.

– On tu dzisiaj z samego rana dobijał się do nas.

– Ooo, nic nie słyszałam – powiedziała mocno zdziwiona.

– Bo byłaś nastukana jak tukan ziarnem. Wciąż jesteś.

Paulina zaczęła się śmiać. Długo i zaraźliwie.

– Skąd ty bierzesz te teksty?

– Mam taki zeszyt ze złotymi myślami. Jeszcze z podstawówki. Jest taka teoria, że podobno wszystko, co istotne i twórcze, człowiek wymyśla do osiemnastego roku życia.

Poprawiła zsuwający się turban i cmoknęła mnie w policzek.

– I czego ten cały Staszek chciał?

– Żebym go przytulił i pocieszył.

– Pedał czy co?

– Teraz, dziewczyno, mówi się gej, a nie pedał. Nie uczyli cię tego w szkole na wiedzy o społeczeństwie?

– Pewnie nie było mnie na tej lekcji. No, to co z nim?

– Przestraszył się, bo kolejna osoba z jego hotelu miała wypadek.

– Jaki znowu wypadek?

– Śmiertelny.

Usiadła na łóżku, podparła brodę ręką.

– Co tu się dzieje? – jęknęła.

– Nic – uciąłem. – Przypadek. Tak się czasami zdarza. Zbieg nieszczęśliwych przypadków.

Powiedziałem to bez przekonania. Policyjna robota nauczyła mnie, że nic nie dzieje się przez przypadek. A przynajmniej mało co.

– Ale... – Wciągnęła powietrze i wypuściła z lekkim świstem. – Zaczynam się bać, że my jakoś przyciągamy nieszczęścia.

Uklęknałem przed nią, objąłem mocno i zacząłem kołysać.

– Paulina, przestań. To nie ma związku z nami. Żadnego. Zwyczajny zbieg okoliczności.

Wstała i przycisnęła palce do skroni.

– Głowa mnie boli. Wino i to wszystko... – powiedziała, jakby się tłumaczyła, choć przecież wcale nie musiała. – Masz może jakieś przeciwbóle?

Powstrzymałem się z tekstami dobrego wuja na temat wpływu nadmiernego spożycia alkoholu na organizm i powiedziałem:

– Chyba nie, ale poszukam.

Tak jak podejrzewałem, nie miałem tabletek. Powiedziałem, że skoczę do sklepu coś kupić. I wyszedłem. Była to, oczywiście, kolejna mała ucieczka, bo bałem się, że Paulina zacznie się dopytywać, co się stało z kobietą, która skończyła żywot na greckich skałach. Czarnych jak moje nieczułe na ludzką krzywdę serce.

Zaszedłem do jedyne go w Arkoudi sklepu spożywczego o profilu ogólnym, który znajdował się przy głównym placu. Były tam napoje i słodkie przekąski, greckie jogurty i bliżej nieokreślone zafoliowane wędliny, a nawet dmuchane krokodyły i ręczniki plażowe, ale nie znalazłem nic, co wyglądałoby na leki przeciwbólowe. To znaczy odszukałem niewielką półkę z jakimiś medykamentami, tyle że trudno mi było rozstrzygnąć, czy mam przed sobą specyfiki na zgagę, przeczyszczenie, czy ból, bo wszelkie informacje na opakowaniach były po grecku. Podszedłem do kasjerki, natężyłem się i spytałem w języku Szekspira o środki przeciwbólowe. Zaszwargotała coś szybko. Powiedziałem dużo wolniej niż za pierwszym razem, że nie znam greckiego i szukam jakiegoś ichniejszego apapu. Ona również nieco wolniej odpowiedziała po grecku. I tyleśmy sobie pogadali. Było się uczyć na studiach greki, a nie łaciny.

Stałem na środku placu, próbując przypomnieć sobie, czy widziałem w naszej wczasowej wiosce aptekę. Chyba raczej nie. Słońce wchodziło już na najwyższe obroty, chcąc więc uniknąć udaru, ruszyłem w stronę cienia, pod platan. Odniosłem wrażenie, że ktoś się na mnie gapi. Odwróciłem głowę. Staruszka w czerni. Ta sama, co wczoraj, na tym samym krześle, co poprzednio. Patrzyła na mnie. Oczy miała przy-

mglone. Czy może raczej – wbijała we mnie wzrok jak wiedźma szpilki w szmacianą lalkę. Jakby czegoś ode mnie chciała. Jakby miała mi coś za złe. Zacząłem się zastanawiać, czy babina przesiaduje tu dzień w dzień i dlaczego to robi. Stara kobieta wysiaduje, tak, to na pewno. Tylko co i po co? Być może kontroluje lokalny wszechświat. A prawdopodobnie wszechświat zdecydowanie bardziej rozległy. Nie było to wykluczone. Wzdrygnąłem się. Jej spojrzenie sprawiało, że zrobiło mi się nieswojo.

Zauważyłem, że przed tawerną, która niepostrzeżenie stała się naszą ulubioną knajpą we wsi, stoi zaprzyjaźniony kelner, grzejąc się w słońcu niczym kot. Nawet do miejscowych kotów był podobny, tak samo chudy. Podszedłem do niego i zapytałem o najbliższą aptekę. Czochnął się przez chwilę po smolistej czuprynie, przyglądając mi się z wyraźnym politowaniem. Pewnie myślał, że łożąc noc i dzień alkoholowe specyfiki miejscowej produkcji, zapracowałem na solidnego kaca z dzwonami we łbie. Nie wyprowadzałem go z błędu. Gdy już się nadziwił głupocie turysty, objawił mi, że tutaj nie ma choćby punktu aptecznego, a najbliższa apteka jest w sąsiednim miasteczku, Kastro, kilkanaście kilometrów stąd, no właściwie bliżej dwudziestu, i nie, nie kursuje tutaj żadna komunikacja publiczna, mogę pojechać taksówką. Ale tanio to nie jest.

Stałem na placyku, zastanawiając się, co robić. I znowu poczułem na sobie spojrzenie czarnej wdowy. Wzdrygnąłem się i bezwiednie poszedłem uliczką w dół. Ku plaży.

Tłumu nie było, ale całkiem sporo ludzi korzystało z uroków słońca i wody. Zdaje się, że nie przeszkadzało im, że po skałkach kręcą się policjanci. Albo już nasycili się obrazkami z tragedią w tle. Kilka minut niezdrowej podniety wystarczy. Ludzie z percepcją skrzywioną przez internetowe portale zalewające świat pseudoinformacyjną papką nie byli przecież w stanie skupić się na czymkolwiek zbyt długo. Nawet na wielkiej tajemnicy śmierci. Tak pomyślałem i zaraz skarciłem się w myślach. Za zbędny patos.

Stanąłem przed niebiesko-białą taśmą odgradzającą miejsce zdarzenia od plaży. Niedaleko mnie stała dwójka starszych ludzi. Wyglądali na Szwedów albo może Niemców. Zresztą kto ich tam wie, z jakiego kraju pochodzili. Ja nie wiedziałem. Stali i patrzyli. Po prostu. Bez słowa. Ktoś z aparatem, pewnie technik, kręcił się po skałkach, cykając foty. Było też dwóch umundurowanych policjantów. Obok nich leżał na ziemi czarny plastikowy wór. Wiedziałem, co w nim jest. Pomyślałem, że tutejsi wozacy śmierci zbytnio się nie spieszą. Specyficzne dla krajów południowych podeście do czasu i obowiązków? Niekoniecznie. Trudno powiedzieć, z jak daleka musieli przyjechać. W końcu Arkoudi było w środku niczego.

Nie czułem nic. I nie powiem, że mnie to zdziwiło. Żadnego niepokoju, zero żalu, że teraz już stoję po tej stronie policyjnej taśmy. Jakbym nie miał na koncie kilkunastu lat roboty w policji, jakbym całą tę przeszłość definitywnie, raz na zawsze zostawił za sobą. Więcej – wyrzucił na śmietnik. Czy kiedykolwiek zależało mi na policyjnej robocie? Może trochę na początku. Tyle że właściwie nigdy nie myślałem o sobie jako o człowieku, który ma stać na straży prawa, chronić ludzi czy pomagać słabszym, skrzywdzonym. Wybrałem pracę gliniarza, bo jakąś wybrać musiałem, a w policji miałem już jako tako przetarte ścieżki. Gdyby nie ta robota, po śmierci Marii rozpadłbym się na kawałki. Bez wątplenia. Pracowałem nie tyle dla innych, ile dla siebie. Mało to bohaterskie, ale przecież inaczej być nie miało.

Mógłbym długo rozmyślać o tym, co zrobiłem, a co zrobić powinienem. Prawdopodobnie nie dochodząc do żadnych sensownych wniosków. Byłem w tym dobry. Jednak zadzwonił telefon. Na szczęście. Albo i nie.

Paulina narzekała, że łeb ją napiernicza jak księżniczkę na ziarnku grochu krzyż, a ja akurat teraz musiałem się gdzieś zapodziać w tej mikroskopijnej wiosce. I że jest głodna. Chciałem odpowiedzieć, że skoro chce jeść, to raczej z jej głową nie jest najgorzej. Powstrzymałem się. To kolejny plus pozostawiania w związku mniej więcej stałym. Cwi-

czenie się w cierpliwości i drobnych samoograniczeniach. Choć prawdę powiedziawszy, za cholerę nie wiedziałem, czy takie nowe umiejętności przydadzą mi się na dłuższą metę. Wolałem na razie nie pokazywać się z Pauliną w zaprzyjaźnionej tawernie. Jeszcze by się wydało, że łołem wódę na winogronach od samego rana. Choć określenie pory dnia było już mocno umowne. Przypomniałem sobie, że jedna z uliczek kończyła się niewielkim placem, przy którym widziałem rozstawione stoliki. Powiedziałem Paulinie, że tam będę na nią czekał.

Czas nie był jeszcze, jak na tutejsze zwyczaje, obiadowy, obsługa niespieszna, jednak dostaliśmy w końcu co nieco do żarcia. Pogryzałem smażone sardynki, takie greckie chipsy. Nie wiedziałem, czy zdrowe. Ale smaczne. Paulina jadła chleb z oliwą i jakimś podejrzanie wyglądającym smarowidłem z ciecierzycy. Chleb zresztą też był podejrzany, żółtawy, z mąką kukurydzianą albo innym niegodnym prawdziwego Polaka patrioty specyfikiem. Wolałem nie wnikać. Poza tym nie uważałem się za patriotę. Za to kawę mieli świetną, pomyślałem, zapalając papierosa. Paulina nawet nie skomentowała. Spokojnie skończyła jeść, łyknęła mineralnej, która niespecjalnie różniła się od ciechanowskiej kranówki, i z niewinną miną, na pozór obojętnie zapytała:

– To co, może jednak Kielbasa?

– A głodna jeszcze jesteś? – zdziwiłem się, bo jednak wprowadziła do organizmu sporo chleba z czymś, co pewnie, koniec końców, było sycące.

– O Staszku mówię.

Obiecałem sobie, że nie wyprowadzi mnie z równowagi, choćby nawet chciała się spotykać z moim kolegą niekolegą trzy razy dziennie. Codziennie.

– Już się za nim stęskniłaś? – rzuciłem nieco zbyt kąśliwie.

– Konrad. – Westchnęła. – Spoko luz, dotarło, że go nie lubisz. Może Gośka ma jakieś tabsy na ból, bo inaczej nie wydołę.

Był to jakiś argument za spotkaniem z rodziną Kielbasów.

Do hotelu był ledwie kilometr, ale spacer w upale trochę nas udrczył. Szliśmy tą samą drogą, którą dotarliśmy pierwszego dnia do Arkoudi. Za dnia okolica wyglądała zupełnie inaczej. Co nie znaczy, że lepiej. Multum drzew oliwnych z jednej strony, nieużytki z drugiej. Skręciliśmy z głównej drogi w prawo, w stronę kompleksu hotelowego. Nic specjalnego. Kilka niewysokich budynków, basen z barkiem, rachityczne palmy. I tyle. Dolna strefa stanów średnich hotelowego wypasu.

Stanęliśmy przed budynkiem, w którym znajdowała się recepcja. Zastanawiałem się, co dalej. O ile wczoraj Staszek opisał drogę do hotelu, o tyle nie podał numeru ich pokoju. Albo podał, ale akurat w tym momencie, kiedy byłem odłączony od jego słowotoku. Na pamięć Pauliny, która z udręką wypisaną na twarzy pocierała skronie, nie miałem co liczyć. Nic to, zapytam w recepcji. Chociaż cholera wie, jakie oni tu mają standardy prywatności.

Pytać nie musiałem.

Wszystkie kanapy i fotele w sporym pomieszczeniu recepcji były zajęte. Wyczuwałem napięcie. Wyraźne. Usłyszałem szmer przyciszonych głosów. I przepiękny, jedyne w swoim rodzaju język. Polski. Zanim zdążyłem odszukać wzrokiem kogoś z obsługi hotelu, zmaterializował się przede mną, jakżeby inaczej, Kielbasa.

– A jednak, jednak przyszedłeś. – Na twarzy malowała mu się taka radość i błogość, jakby nagle i niespodziewanie objawił się przed nim Pan. W trzech osobach naraz. – Wiedziałem, że nas z tym syfem nie zostawisz samych.

Obawiałem się, że Staszek zaraz rzuci się do uścisków, więc na wszelki wypadek zrobiłem krok w tył.

– Się nie ciesz – osadziłem go. – My tu w innej sprawie.

– W jakiej?

– Służbowo. Na statek.

Kielbasa wykrzywił się paskudnie.

– Tu taka tragedia, a ty sobie jaja robisz.

– Daj spokój. – Machnąłem ręką. – Gdzie Gośka?

Pokazał w kącie recepcji, gdzie wciśnięte w małą sofę siedziały żona Staszka z córą. Małgośka patrzyła na nas, córka w smartfon. Pewnie wrzucała na Fejsa czy innego Instagrama kolejne relacje na żywo z wakacji śmierci. Podeszliśmy do nich, przywitaliśmy się, Paulina spytała o przeciwbóle. Gośka miała, więc zaraz zniknęły, by dobrać się do aptecznych zapasów. Zniknął też Staszek.

- Gdzie ojciec? - spytałem Baškę.

- Że kto?

Zdecydowanie tkwiła w innym świecie. Wirtualnym. Prawdopodobnie akurat w tym momencie było to dla niej zdrowsze, więc nie próbowałem wciągać jej na siłę do realu. Siadłem obok. Chyba nawet tego nie zarejestrowała.

Ludzie zgromadzeni w recepcji nie wyglądali na szczęśliwych. Też bym nie był, gdybym w środku wymarzonych wakacji zamiast być na plaży albo zwiedzać okoliczne starożytności, musiał tkwić w hotelu, czekając na policjantów. Byłem pewien, że zgromadzono ich tu właśnie w celu rozpytania. Bo raczej nie przesłuchania. Nie sądziłem, żeby ktokolwiek z tych ludzi miał coś wspólnego z dwoma śmiertelnymi wypadkami. Ale właściwie dlaczego nie? Przecież w ludziach pełno jest nieświadomionego okrucieństwa. Zacząłem bawić się w typowanie potencjalnego zbrojcy. Może to ten napakowany gość siedzący obok tipsowej paniątki w różowych kłapkach? Ktoś skomentował jej źle ufarbowane na blond włosy albo krzywym okiem spojrzął na tipsy o zatrważającej długości, chłopak stanął w obronie dziewczęcego honoru i tragedia gotowa. A może młodociany ojciec, razem z równie młodocianą matką, bezskutecznie próbujący zapanować nad parką marudzących bachorów? Ktoś zwrócił mu uwagę, że nie umie zajmować się dziećmi, od słowa do czynu i... morderstwo. A może siedzący samotnie mężczyzna z pekaesami, przeredzoną grzywką i kartoflanym nochem? Ktoś rzucił żartem, że bokobrody modne były jakieś trzydzieści lat temu z okładem, wywiązała się wymiana nieprzyjemnych zdań i... trup. Zimny i mokry. Tak, ten mi nawet pasował na psychopatę o wysoce

sadystycznych skłonnościach. Choć być może... Nie zdołałem wytypować kolejnego potencjalnego mordercy, bo usłyszałem pełen emocji głos Staszka:

– To on, to ten policjant.

Kielbasa niemal ciągnął za sobą korpulentną brunetkę, która miała umęczenie na twarzy i logo biura turystycznego na koszulce. Wstałem, ale zanim otworzyłem usta, kobieta zaczęła nadawać w tempie dobrze wyszkolonego spikera radiowego:

– Już pana przysłali z Polski, to dobrze, bo ja tego nie ogarniam, a szefostwo naciska, żeby tę sytuację, no, sytuację rozwiązać, wyjaśnić, turystów uspokoić, dwa wypadki, wyobraża pan sobie, dwa wypadki i to w mojej grupie, a ta policja grecka...

Położyłem dłoń na jej ramieniu, chcąc w ten prosty sposób powstrzymać słowotok. Podziałało.

– Nazywam się Konrad Rowicki i nie zostałem przez nikogo przysłany z Polski. I nie jestem policjantem.

– Ale dlaczego? – spytała bez odrobiny sensu.

– Co ten tu – zdjąłem dłoń z ramienia rezydentki i wyciągniętym palcem stuknąłem w pierś Staszka – pani nagadał?

– Że przyszedł policjant – odpowiedziała.

– No nie, no nie! – wtrącił się Kielbasa. – Powiedziałem tylko, że przyszedł mój kolega, który był czy tam jest policjantem.

Kobieta ze świstem wypuściła powietrze.

– Tyle mam na głowie, a pan, panie Kielbasa, jeszcze sieje zamęt. Proszę się do mnie w ogóle nie zbliżać, bo mnie zaraz szlag trafi! – wyrzeszczała, obróciła się na pięcie i pogalopowała w głąb hotelu. Nie było to profesjonalne zachowanie rezydentki.

Staszek rozłożył ręce i z miną niewiniątka powiedział:

– Chciałem dobrze.

Zorientowałem się, że w recepcji jest cicho. Zupełnie. Cały zysk z absurdalnej scenki był taki, że przez chwilę ludzie przestali myśleć

o dziewczynie w czarnym worku leżącym na czarnych, nadmorskich skałach. Ale w imię czego miałbym komukolwiek zapewniać jakikolwiek zysk?

Spojrzałem na Staszka. Uciekł wzrokiem. Nie miałem pojęcia, co z nim zrobić, choć miałem ochotę na gwałtowny upust złych emocji. Na szczęście w tym momencie wróciły Gośka z Pauliną. Chwyciłem moją dziewczynę za rękę i zanim wyciągnąłem ją z hotelu, wysyczałem:

– Żegnam. I życzę stosunkowo udanych wakacji.

Widząc moją minę, Paulina zrezygnowała z dopytywania, o co poszło ze Staszkiem. Właściwie mogła się domyślić sama. Wróciliśmy do wioski w milczeniu.

Nie chciało jej się jeść, zresztą mnie też nie bardzo, więc padło łatwe do przewidzenia hasło: „plaża”. Powiedziałem, że to chyba nie jest najlepszy pomysł na dzisiaj. Może kręci się tam jeszcze policja. Prawdę powiedziawszy, nie chodziło mi o greckich funkcjonariuszy. Po prostu nie chciałem, by zobaczyła czarny plastikowy wór. Bo wiedziałem, że czarny wór ma wielką moc przyciągania wzroku. I że potem, długo potem, pojawia się w niekoniecznie przyjemnych snach. Tylko wzruszyła ramionami, mruknęła, się zobaczy. Zabraliśmy z hotelu potrzebne rzeczy i po paru minutach dreptaliśmy już po szarym piasku.

Spojrzałem na skały. Policjanci zniknęli. Pozostała tylko taśma wyznaczająca miejsce zbrodni. Kręciło się przy niej kilku ciekawskich. Czego tam szukali? Plam krwi, które można by obfotografować?

Rozłożyliśmy się niedaleko barku. Zaraz pojawił się, bo pojawić się musiał, grecki młodzieniec z troską dopytujący, czy czegoś nie potrzeba. Było mi potrzeba. Dużo i mocno. Zamówiłem podwójny gin z tonikiem. Paulina nawet nie skomentowała, bo ból głowy wciąż jeszcze przypominał jej aż nazbyt mocno o wczorajszych przewinach. Rzuciła tylko, że idzie popływać, długo, żeby pozbyć się nadmiaru procentów z krwi. Takie niewinne, nie wprost, napomnienie.

Dostałem drinka, pociągnąłem solidny łyk. Zapaliłem i patrzyłem, jak Paulina tapla się w wodzie. A potem zrobiłem wszystko, żeby oczy-

ścić umysł, zresetować się. Nie myśleć o trupach. Ani o Staszku. Nie myśleć o niczym. Piłem i paliłem. Co jakiś czas moja dziewczyna wychodziła z wody, wymienialiśmy pojedyncze zdania, o których zaraz zapomniałem. Trochę przysypiałem, trochę gapiłem się w przestrzeń. Można uznać, że podziwiałem widoki. Niekiepskie. Powtórzyłem drinka. Na uwagę Pauliny, że picie w takim upale nie jest najlepszym pomysłem, odpowiedziałem szerokim uśmiechem. Zapaliłem. Znowu przysnąłem. I tak aż do zmierzchu.

Obróciłem leżak bokiem do morza. Usiedliśmy ramię w ramię. Bli-sko. Sięgnąłem po paczkę papierosów.

– Nie pal, proszę – powiedziała miękko.

Nie zapaliłem.

Objąłem Paulinę. Patrzyliśmy na ciemną toń poznaczoną gdzienie-gdzie odbłaskami świateł. Z knajpy, której duży taras wychodził na morze, dochodziły dźwięki klubowej muzyki. Zlewały się z pomrukiwa-niem fal, układając w transową pieśń. Plaża była pusta. Albo tylko mnie się zdawało, że wokoło nas nikogo nie ma. Westchnęła.

– Jest mi tak dobrze... – zaczęła najlepiej, jak mogła – ...ale jednak jakoś dziwnie.

– Uroczę efekty postkaca. – Próbowałem obrócić jej słowa w żart. Nie za bardzo się udało.

– Nie o to chodzi.

– A o co?

– Nie wiem. Może to przez to tam – powiedziała i wskazała głową w kierunku skał. Jeszcze bardziej czarnych i niepokojących niż za dnia.

– Nie myśl o tym.

– Jak mam nie myśleć? Wbijamy tu na wakacje, ma być miło i przy-jemnie, a tu trupy.

– Mówiłem ci już, że to nie ma z nami żadnego związku.

Wyplątała się z moich objęć. Zaczęła rozgarniać stopą piasek, w prawo i w lewo, z podejrzaną starannością, jakby chciała oddzielić

dobrze od złego.

- Ale może... - zaczęła niepewnie - ...może byś się jednak temu wszystkiemu przyjrzał.

- Daj spokój! - zachnąłem się. - Zadajesz się ze Staszkiem i już nawet zaczęłaś gadać jak on.

- Co to znaczy, że jak on? - Wyraźnie się zdziwiła.

- Powtarza słowa, a czasami całe frazy. Takie jego natręctwo. Nie zauważyłaś?

- Nie bardzo. Ale to nie o niego chodzi, wcale z nim nie gadałam na ten temat, no wiesz jaki, bo i kiedy. Zaraz mnie wytargałeś z tego hotelu. I nie powiem, że mi się to spodobało.

- Przepraszam. Trochę mnie ta sytuacja wzburzyła.

- Czemu właściwie nie chcesz się tym zająć?

- Paulina, ale się przyczepiłaś. Pewnie mógłbym podać z setkę powodów. Bo to nie moja sprawa. Bo nie jestem policjantem. Bo nie chcę.

- I nie żal ci tych ludzi?

- Jakich znowu? - spytałem z rezygnacją w głosie.

- Tych z recepcji. Wyglądali na przerażonych.

- Na świecie są miliony przerażonych ludzi. Nic na to nie poradzę.

Zsunęła się z leżaka i ukucnęła przede mną. Uniosła ku mnie twarz.

- W tym przypadku możesz coś zrobić.

- Nie mogę. Nie potrafię. A co więcej, nie chcę.

- To zrób to dla mnie. Też czuję się w tej wiosce coraz mniej pewnie.

Wiedziała, że to tani chwyt. Zdawałem sobie z tego sprawę. Ale skuteczny.

Dziennik roku pierwszego III

13 września 1998

Znowu to powtarzam. Nie przez przypadek. Dlatego że mnie to gnębi. To odejście od początkowych założeń. Bo plan planem, ale praktyka pokazuje, że najprawdopodobniej będę w stanie robić notatki jedynie w weekendy. Praca w liceum jest bardzo absorbująca, pozbawia sił. Trudno. Może tak jest jedynie na początku. A jak się wdrożę w tę pracę, będę miał więcej czasu, inaczej sobie to wszystko zorganizuję. Muszę, bo nie chcę rezygnować z regularnego spisywania przemyśleń.

Jak minął tydzień w szkole? Ocenilibym go pół na pół. Z większością klas wszystko było w porządku. Kolejne tematy, kolejne zagadnienia. Wszystko zgodnie z programem, który jest jasny. Przynajmniej dla mnie. Trochę problemów miałem z moją klasą. Chłopak, który w poprzedni piątek nie przyniósł rozwiązanych zadań, w końcu mi je dostarczył. Choć dopiero po drugim przypomnieniu.

Chłopak... Nazywa się Tomasz Nadolski. Muszę się jak najszybciej nauczyć imion i nazwisk moich uczniów. Okazało się, że mam z tym pewien problem. Nie zdawałem sobie z tego sprawy. Zdarza mi się pomylić imiona albo zapomnieć, jak dany uczeń się nazywa. Frustrujące. Tym bardziej że wzbudza to śmiech. Właściwie nie powinno mnie to dziwić. Dzieciaki w tym wieku bawią się czymś. Może nie tyle śmiech, co chichoty. Ale wiem, że tak być nie powinno. Nie mogę pozwolić, żeby uczniowie podśmiewali się z nauczyciela. To oznaka słabości, utraty autorytetu. Ale co mogę poza tym, że zwracam im uwagę na niestosowne zachowanie? Nie-wiele. Może powinienem poznać jakiś sposób.

Z czterech uczniów, którzy w zeszły piątek nie przyszedli do szkoły, tylko dwóch przyniosło zwolnienia. Dwóch pozostałych nie miało ich ani nie podało przekonującego powodu nieobecności. Czyli wagiary! I to już w pierwszym tygodniu nauki. Zapowiedziałem, że absolutnie nie będę tego tolerował. I że to wpłynie na ocenę z zachowania. Teraz, gdy o tym myślę na spokojnie, wydaje mi się, że mogą to być jeszcze skutki rozprzężenia po wakacjach. Może

jeszcze nie wszyscy weszli w tok szkolnej nauki. Nie przestawili się na tryb obowiązku. Jednocześnie nie jest ważne, jakie są przyczyny takich zachowań. Tak sądzę. Liczy się efekt. A efektem jest ewidentne naruszenie dyscypliny. Nie mogę na to pozwalać. Bo jeśli zrobię to choćby raz, dam sygnał, że pozwalam na wiele. I mogą sobie odpuszczać. Wodzić mnie za nos. Konsekwencja. To się liczy. I dyscyplina.

W środę zaszedłem do pedagoga. Spytałem, czy już ma dla mnie informacje, o które prosiłem. Nie miała. Jakoś mnie to nie zdziwiło. Obiecała, że postara się przygotować wszystko na przyszły tydzień. Co to w ogóle za stwierdzenie: „Obiecuję, że się postaram”. To nic nie znaczy! Przynajmniej dla mnie. Tłumaczyła się, że z początkiem roku ma bardzo dużo roboty. A to, czego ja chcę, jest ekstra. Może dla niej. Nie dla mnie. Moim zdaniem pedagog źle się wywiązuje ze swoich obowiązków. Dałem jej to odczuć.

Nie chciałem jednak odpuszczać sprawy, więc zadzwoniłem do wychowawczynie mojej klasy. Katarzyna Turowska. Nie miałem wielkich nadziei. W końcu nie po to idzie się na urlop macierzyński, żeby zajmować się sprawami szkoły. Ku mojemu zdziwieniu nie zbyła mnie. Była miła. Wydawała się zainteresowana tym, kto teraz opiekuje się jej uczniami. Zainteresowana mną (Ostatnie zdanie wyszło mi dziwne. Turowska na pewno nie jest zainteresowana mną jako mną, jedynie mną jako nauczycielem jej klasy. Bo chyba też nie jako nauczycielem w ogóle. Postanowiłem, że w tych notatkach nie będę nic skreślał. Więc nie skreślam. Najwyżej będę komentował niektóre zdania czy myśli. Tak będzie lepiej. Bliżej prawdy). Umówiliśmy się na przyszły czwartek na rozmowę. Mam do niej przyjść do domu po lekcjach, bo akurat tego dnia mam mniej godzin.

Trudno mi się odnaleźć w kontaktach z kolegami z pracy. Wchodząc do pokoju nauczycielskiego, odczuwam dziwne napięcie.

W sobie, ale też chyba w innych. Czuję się nieswojo. Oni nagle milkną w pół słowa, by potem zacząć mówić o czymś innym, neutralnym. Przynajmniej odnoszę takie wrażenie. Czy powinienem się jakoś wkupić do zespołu? Ale czy muszę? Nie jestem pewien. Tym bardziej że w większości przypadków tematy ich rozmów albo mnie nudzą, albo wręcz denerwują. TO CIĄGŁE GADANIE O PIENIĄDZACH! Wspominałem już o tym.

A może to tylko moje złudzenia. Nie należę do ludzi otwartych i wylewnych, więc nie jest wykluczone, że inni to czują. Że narzucam dystans. I utrzymuję. Stawiam między sobą a innymi mur. Muszę to przemyśleć. Choć nie jest to obecnie priorytet.

Ze zdecydowaną większością kolegów z grona nauczycielskiego wymieniamy się jedynie jakimiś zdawkowymi uwagami albo informacjami. Kontakt ze mną próbowali nawiązać jedynie wuefista i młoda polonistka.

Wuefista to niewysoki, chudy i żylasty facet w średnim wieku. Z absurdalnie wielkimi wąsami. Zdaje się, że to typ wodzireja. Żeby nie powiedzieć błazna. Chyba zwyczajnie lubi sobie pogadać, więc i mnie zagaduje. Wydaje mi się, że nie mamy zbyt wiele wspólnych tematów. A jego żarty mnie nie śmieszają. Mam mu o tym powiedzieć? Chyba nie.

Polonistka podobnie jak ja pierwszy rok pracuje w naszym liceum. Ale jest starsza, wcześniej już kilka lat pracowała w podstawówce. Nie jest ani ładna, ani brzydka. Myszowaty typ. Kilka razy nawiązywała ze mną rozmowę. Pytała, jak się czuję w nowej pracy. Zaczęła trochę opowiadać o sobie, co robiła, gdzie uczyła. Nie zrewanżowałem się tym samym. Raz, że nie za bardzo miałem o czym mówić. Moje doświadczenie zawodowe jest skromne. Dwa, że nie chciałem. Czułem się trochę jak na przestuchaniu.

DLACZEGO?

Trochę mnie to krępuje. Muszę być precyzyjny – chodzi o zainteresowanie polonistki. Do tej pory kobiety raczej nie zwracały na

mnie uwagi. Podobnie jak ja na nie. Nie żeby kobiety nie interesowały mnie wcale. Jestem normalnym, zdrowym mężczyzną. Nauka, matka... Zwyczajnie nie miałem czasu na kontakty damsko-męskie. A nie zależało mi na powierzchownych relacjach. Jeśli już coś robić, to porządnie. Jeśli już nawiązywać relacje, to sensowne. TO MOJA DEWIZA.

Czy polonistka czegoś ode mnie chce? Czy zwyczajnie chce być miła? A może szuka kontaktów z kimś, tak jak ona, nowym w szkolnym środowisku?

Zaczynam być nieuważny i roztargniony. NIEDOBRZE. Nawet nie wiem, czy miała na palcu obrączkę. To na samym wstępie określiłoby, z iloma niewiadomymi jest równanie, które mam rozwiązać. Określiłoby warunki brzegowe. I nie musiałbym zadawać wielu z pytań, które teraz zadaję.

Skupić się! Skupić się! Skupić się!

27 września 1998

W zeszły weekend poprawiłem test. Nie wypadł źle, ale nie wygląda to też dobrze. Raczej średnio. Bez wątplenia jest nad czym pracować. Czyżby opowieści, jaka to moja klasa jest świetna, były jedynie mitologią?

W poniedziałek oddałem ocenione testy. Widziałem wyraźnie, że wielu uczniów jest zawiedzionych. Trudno. Powiedziałem, że wiele pracy przed nami, ale przecież po to właśnie jesteśmy w szkole. Nie dostrzegłem przesadnego entuzjazmu. Powtórzę – trudno.

Dopiero uczę się swojej klasy. Wspominałem, że mam problem z zapamiętywaniem imion i nazwisk. Ale pracuję nad tym. Zastosowałem techniki mnemotechniczne. Wizualizuję sobie pomieszczenie klasy i przypisuję konkretnych uczniów do miejsc, które zaj-

mują. Czytałem kiedyś o takiej metodzie zapamiętywania. Na razie sprawdza się słabo. Zobaczę, jak będzie dalej.

Na razie widzę to, co widzę. Dziwne zdanie, ale nie będę go skreślał. Powtórzę: nie będę wygładzał moich zapisków. Niech oddają moje myśli. Takie, jakie są w danej chwili.

W pierwszych ławkach siedzą głównie dziewczyny. Z tych pracowitych. Ale niespecjalnie błyskotliwych. Z grupy dziewcząt wyraźnie wybija się Zuzanna Fac. Drobna, z szopą czarnych, w drobne loki włosów. Jest przebojowa. Zdaje się dobrze rozumieć matematykę. Nie ma problemów z rozwiązywaniem zadań. Nawet tych trudniejszych. Ewidentnie stawia się w pozycji konfrontacyjnej z chłopcami. Przynajmniej tą ambitniejszą częścią z nich. Chłopcy zdają się traktować swoje koleżanki z góry. Jest też kilku, którzy odstają. Bardziej dlatego, że tak chcą. Sprawiają wrażenie mało zainteresowanych lekcjami i zadaniami. Mają dużo do powiedzenia, jeśli tylko rzecz nie dotyczy nauki. Zdaje się, że wśród nich trzeba upatrywać klasowych liderów.

Jednym z nich jest Filip Zawadzki. Wysoki, z tego, co dostrzegam, przyciąga zainteresowanie koleżanek. Na jednej z lekcji nie potrafił rozwiązać zadania na tablicy. To się zdarza. Sprawiał jednak wrażenie, jakby nie opanował partii materiału, którą powinien mieć w małym palcu. Zapytałem, dlaczego nie pracuje, nie przykłada się do zgłębiania matematyki. Powiedział, że matematyka go nie interesuje, bo wybiera się na medycynę. Zaskoczył mnie. Przyznam, że na chwilę odebrało mi mowę. Spytałem, dlaczego więc jest w klasie mat.-fiz.? Odpowiedział, że ojciec mu kazał, bo to ponoć prestiż w tej budzie. Takiego właśnie użył wyrażenia. A potem wzruszył ramionami. Na moją uwagę, że nie pozwolę, aby odstawał od reszty, nie zareagował. Będę musiał mieć go na oku.

Sprawdziłem później, kim są jego rodzice. Ojciec adwokat, matka sędzia. Znałem takie rodziny. Właściwie tylko o nich słyszałem. Dzieci trzymane krótko w domu. Potem odbijają to sobie

w szkole. Coraz mocniej uświadamiam sobie, że wiedza psychologiczna, którą nabyłem w studium nauczycielskim, jest wysoce niewystarczająca.

DOKSZTAŁCAĆ SIĘ W TYM ZAKRESIE? ALE JAK? I PRZEDE WSZYSTKIM KIEDY? JUŻ TERAZ BRAKUJE MI CZASU.

To oczywiście bardzo wstępna analiza mojej klasy. Zastanowiło mnie, że układ klasowych relacji jest bardzo podobny do tego, jaki poznałem za moich czasów licealnych. Przynajmniej tak mi się zdaje. Czyżby aż tak mało się zmieniło przez te lata? Jednocześnie jako uczeń nie angażowałem się w życie „mojej” klasy, czyli wiem na ten temat niewiele. Znowu. Najważniejsze, że uświadamiam sobie moją niewiedzę i moje ograniczenia. Muszę pracować nad sobą, jeśli chcę pracować nad uczniami. To jedyne wyjście.

Rozdział czwarty

Niby-detektyw

13 września 2014, sobota, Grecja

Upał tężał, smugi drgającego powietrza wyglądały jak widma. Albo duchy. Z nieodległej przeszłości, o której myślałem, że bezpowrotnie należy do czasu przeszłego dokonanego. A teraz szedłem, pocąc się tak, jakbym biegł w zabójczym tempie, w stronę hotelu Kielbasów. Z zamiarem podjęcia czynności śledczych. A raczej, co tu kryć, niby śledczych. Właściwie jakichkolwiek.

Wcześniej, przy śniadaniu, bez większego przekonania oznajmiłem Paulinie, że jednak trochę powęszę w hotelu zamieszkiwanym przez pechowców. Była wyraźnie ucieszona i podekscytowana. Nie wiedziałem dlaczego i wiedzieć nie chciałem. Spytała, czy może iść ze mną.

– Wykluczone – powiedziałem stanowczo. – Nie będziemy się bawić w Dempsey i Makepeace na tropie.

– O co właściwie kamon? – Zdziwiła się.

– Faktycznie, jesteś za młoda, żeby to pamiętać – zabrzmiałem jak stary pierdziel. Co gorsza, tak się poczułem. – Lecił dawno temu w telewizji – brnąłem w opowieści starożytnego wujaszka, który jeszcze w poprzednim wieku pokrył się pleśnią i mchem – taki angielski serial kryminalny o dosyć zabawnej parze policjantów.

– Uważasz mnie za śmieszna? – wyskandowała.

– Nie to miałem na myśli.

Wzruszyła ramionami. Odwróciłem wzrok i sięgnąłem po papierosa. Bez przekonania powiedziała, że bym nie palił. Zignorowałem prośbę.

I zacząłem się zastanawiać, czy to już, czy mimo tak krótkiego stażu weszliśmy w fazę kłótni o drobiazgi. Niczym dobre małżeństwo. Choć bez wątpienia nie stare.

Zapowiedziała, że wybiera się na plażę. Spytałem, czy się nie boi. Spytałem odruchowo, bez cienia złośliwości. Nawet rzekłbym, że spytałem z troski o jej bezpieczeństwo. Prychnęła i powiedziała, że ani trochę, bo i czego. Mogłem przypomnieć, już ze świadomą upierdliwością, że jeszcze wczoraj mówiła, że jest przestraszona. Jednak się powstrzymałem. Nie byłem biegły w kłótniach małżeńskich. Za to w sztuce trzymania emocji na wodzy jak najbardziej.

W recepcji hotelu tym razem nie kłębiło się stadko przestraszonych rodaków. Nie dostrzegłem choćby śladu wczorajszego zamieszania. Najwyraźniej grecka policja działała gracko i sprawnie. Zastanawiałem się, co robić. Nie miałem nawet cienia planu, żadnego pomysłu. Postawiłem więc na telefon do przyjaciela. Pseudo.

Okazało się, że bezlitosny czas odciska piętno na wszystkich, odmienia ich bez wyjątku. Nawet Staszka. Zadzwoiłem do niego, odebrał, a kiedy usłyszał, że to ja, zamilkł. Wyglądało na to, że udało mi się obrazić Staszka Kielbasę, człowieka, który wydawał się absolutnie nie do obrażenia. Pewnie jednak każdy ma jakiś próg odporności. Nie zamierzałem go przeproszać. Nawet gdybym chciał, nie za bardzo wiedziałem za co. Nie rozłączył się, więc powiedziałem, że jestem, gdzie jestem, i jak będzie miał ochotę, niech przyjdzie.

Staszek obraził się, jednak nie na długo. Po kilku minutach stał przede mną. Lekko naburmuszony.

– Znowu potrzebujesz jakichś leków? – spytał z przekąsem. – Trzeba było porządnie przygotować się do wyjazdu.

Nie będziesz mnie, kolego-nie kolego, życia uczył, pomyślałem. Jednak zamiast na konfrontację postawiłem na humor.

– Leku na całe zło świata. Tego świata.

– Daj spokój, no daj – fuknął. – Ciebie zawsze trzymały się żarciki. Tak cię zapamiętałem. Tylko nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, że zwykle mało kogo śmieszyły.

Wbił mi szpilę. Nie ma co, Kielbasa z czasem się wyrobił, skoro umiał być złośliwy. Aż strach pomyśleć, jakby się wyrobił, gdyby mógł pożyć jeszcze ze sto lat. Pomyślałem, że jakoś przeżyję jego wyzłośliwienie się na mnie. Nawet rezygnując z komentarza. Nie zawsze musiałem mieć ostatnie słowo. Tego nauczył mnie krótki związek z Pauliną.

– Dobra, uznajmy, że wstępne uprzejmości mamy już za sobą. Robota czeka.

– Co przez to rozumiesz?

– Postanowiłem się jednak przyjrzeć, co tu się wyprawia.

– Dlaczego?

– Znudził mnie wakacyjny wypoczynek.

Westchnął ciężko.

– Możesz strzelić focha albo mi pomóc. Co wybierasz? – postawiłem sprawę jasno, bo jego humory zaczęły mnie już drażnić.

– Czyli, czyli zajmiesz się sprawą? Wyjaśnisz wszystko, to wszystko po kolei? – z miejsca zaczął się nakręcać.

– Spróbuję tu trochę powęszyc. Tylko tyle. Wiele sobie nie obiecuj.

Kielbasa nie wyglądał na przesadnie uradowanego. Jak dla mnie nie musiał.

Rezydentka siedziała w kącie pustej sali restauracyjnej. Przed sobą rozłożyła papiery. Część z nich pokrywały gryzmoły, które tylko bardzo wyrozumiały krytyk sztuki uznałby za próby artystyczne. Przy uchu miała komórkę, w ręku tani długopis z logo biura turystycznego, który pogryzała od czasu do czasu. Wyglądała jeszcze gorzej niż wczoraj, o ile to w ogóle możliwe. Wyglądała tak, jakby ktoś wymordował jej całą rodzinę, a na dokładkę kota przerobił na serdelki, które kazał nieszczęśnicy zjeść. Nie miałem pojęcia, czemu do głowy przychodziły mi takie

bdzury. Być może dlatego, że należałem do mężczyzn, którzy nienawidzą kotów.

W pierwszej kolejności chciałem porozmawiać właśnie z rezydentką. Miałem pewne obawy, że widząc mnie kręcącego się po hotelu, może zadzwonić po greckich policjantów. Nie chciałem się z nimi spotkać. Bardzo.

Stałem naprzeciwko niej. Kielbasa, wierny Sancho Pansa, stanął u mego boku. Odłożyła telefon i spojrzała na nas tak, jakby miała oczy szeroko zamknięte. Niezawodny, pozbawiony zahamowań Staszek pochylił się i zamachał jej przed twarzą rozcapierzonymi palcami.

– Panie Kielbasa – syczała – co ja panu mówiłam?

Nie wiedziałem, co przykazała mojemu koledze-niekoledze. Pewne było, że to zignorował. Cały Staszek.

– Wiem, wiem. – Kielbasa machnął ręką, jakby chodziło o błahostkę. W jego mniemaniu tak na pewno było. – Chciałem tylko pani kogoś przedstawić...

– Ja pana gdzieś widziałam. – Wzrok kobiety, wreszcie widzący, skupił się na mnie.

– Konrad Rowicki.

– Karolina Pawlik – odpowiedziała odruchowo jak osoba, która z racji specyfiki pracy ciągle ma do czynienia z nieznanymi.

– Jestem prywatnym detektywem – wypowiedziałem z pełną powagą i największym przekonaniem frazę, którą sobie niedawno wymyśliłem.

Okłamywanie kobiet zawsze przychodziło mi bez trudu i wyrzutów sumienia. Jedynym wyjątkiem była moja babuleńka, w której przypadku nawet niewinne próby zatajenia prawdy kończyły się fiaskiem. Ale Felicja w przesłuchaniach biła na głowę wszystkich znanych mi policjantów. Ze mną włącznie. Okłamałem dla świętego spokoju rezydentkę Pawlik. Wybrałem przykrywkę prywatnego detektywa, ponieważ, jak sądziłem, niebezpieczeństwo, że zadzwoni do kraju, by sprawdzić, czy faktycznie mam licencję, było znikome. Rzykowałem więc, ale niewiele.

– Właściwie, co pan tu robi? – Pawlik wciąż wydawała się zdezorientowana.

– Ja go wynająłem – Staszek wypowiedział uzgodnioną ze mną kwestię.

– Pan? Ale po co?

– Bo tu, bo tu... – Miał chwilę zawieszenia, myślałem, że w tej chwili spektakularnie się wysypie, ale zaraz pociągnął: – ...jest moja rodzina. Żona i córka. I one, one się boją. Bo co tu się wyprawia! Masakra, a nie wakacyjny wypoczynek! – Nakręcał się z każdym wypowiedzianym zdaniem. – A do tego ta jebana grecka policja nic nie robi, żeby nas chronić.

– Panie Kiełbasa! – Rezydentka westchnęła z rezygnacją.

– Mój klient poczuł się zagrożony, więc mnie wynajął – przejąłem pałeczkę. – Nie będzie miała pani nic przeciwko, że się tu trochę pokręcę, popytam ludzi?

Rezydentka przełożyła kilka papierów z jednej strony stołu na drugą, przygryzła długopis.

– Mnie tam już wszystko jedno. – Westchnęła. – Miał przylecieć policjant z Polski. Nie przyleciał. Zostałam z tym wszystkim sama. A przełożeni naciskają. Mimo że nikogo nie przysłali mi do pomocy. Jakbym sama to potrafiła ogarnąć?! Nie potrafię! Może to i lepiej, jak ktoś porozmawia z uczestnikami turnusu. Uspokoi. Może to nawet lepiej.

Jeśli rezydentka Pawlik spodziewała się, że zadziałam niczym cierpliwy terapeuta, grubo się myliła. Nie zamierzałem wyprowadzać jej z błędu.

– No właśnie, bo ta jebana grecka... – Staszek zawiesił się na poprzednim wątku, ale spojrzałem na niego tak, że zamilkł.

Poprosiłem uroczą, choć załamana panią Karolinę o udostępnienie listy rodaków z grupy, która pozostaje pod jej teoretyczną opieką. Ożywiła się na chwilę. Mówiła o procedurach, tajemnicach firmowych i innych podobnych pierdołach korporacyjnych. Nie namawiałem, nie

przerywałem rezydentce. Czekałem. Wreszcie zmęczyła się wyrzucanymi z siebie szybko zdaniami i powiedziała:

- Walić wszystko!

Bardzo podobało mi się takie podejście. Jakże podobne do mojego.

Zainstalowaliśmy się ze Staszkiem w barku przy basenie. W pierwszym odruchu chciałem zamówić piwo, uznałem jednak, że alkoholizowanie się przez cały boży dzień nie jest najlepszym rozwiązaniem. Szczególnie jeśli już zdecydowałem, żeby pobawić się w śledczego. A właściwie w niby-detektywa. Zamówiłem kawę frappe z cukrem trzcinowym. W Polsce nie przyszłoby mi do głowy, by pić zimną kawę, jednak w upale grecki wynalazek sprawdzał się wybornie.

Staszek, o dziwno, milczał. Korzystając z chwili szczęścia i ciszy, przyglądałem się nadbasenowemu życiu. Zdecydowanie przeważali ludzie w wieku mocno średnim i poprodukcyjnym. Swobodni brzuchacze i spięci fit staruszkowie. Kobiety w wieku różnym opalające się na skwarce. Niedaleko barku ulokowały się na leżakach dwie dorodne dziewczoje. Niemki, sądząc z języka, w jakim wymieniały pojedyncze zdania. Sprawiały wrażenie, że nieobce im są standardy z nieodległej wyspy Lesbos. Opalały się toples, więc samce przeżyły kláty, przechodząc obok nich. Nadaremno. Ogólnie spokój, słońce i nasączanie się kolorowymi drinkami. Zawsze zadziwiały mnie kontrasty między miejscem zbrodni a resztą świata. Czarny wór z ciałem znika i życie toczy się dalej.

Shczęście i cisza w obecności Kielbasy nigdy jednak nie trwały długo, więc usłyszałem pytanie, w którym pobrzmiwał entuzjazm:

- To co robimy?

- My? - zdziwiłem się mocno.

- Będziemy, no przecież będziemy działać w duecie, nie? Jak na filmie.

- Co was opętało z tymi duetami?! - zachnąłem się. - Zapomnij, nie będzie żadnego duetu. - Wbiłem w niego spojrzenie, w którym może nie czaił się mord, ale na pewno zapowiedź tortur. - Zgodziłem się przyjrzeć sprawie. I będę to robił sam. Na moich zasadach. A jak będę

cię potrzebował, poproszę o pomoc. Rozumiesz? – Skinął głową, acz niechętnie. – Nie robisz nic na własną rękę. Nawet nie rozmawiasz o tych, jak to mówisz, wypadczkach. Z nikim.

– No to co ja mam robić?

Rozmowy z Kiełbasą wymagały świętej cierpliwości, a mnie do świętości było daleko. Nie miałem siły, żeby powtarzać przesłanie sprzed sekundy, postawiłem na inną strategię i zmieniłem temat. Podsunąłem mu pod nos spis turystów, który w swej podszytej rezygnacją łaskawości udostępniła mi rezydentka Pawlik.

– Pokaż mi, które osoby z waszej grupy zginęły.

Staszek nie wahał się ani chwili.

– Filip Zawadzki i Natasza Dworzak – powiedział od razu, nawet nie spojrzawszy na kartkę.

– Znasz wszystkich Polaków w tym hotelu z nazwiska? – zdziwiłem się.

– No raczej, raczej o nikim innym się nie mówi, tylko o nich. W koło Macieju. Też byś zapamiętał. A jeszcze greckie psy, o przepraszam serdecznie, które kaleczyły ich nazwiska... No, zapada, zapada w pamięć.

– Co się tak przyczepiłeś do policjantów? Spałowali cię czy co?

– Bo mnie wkurwili. – Czerwonawa opalenizna na jego twarzy poczerwieniała jeszcze bardziej. – W koło pytali, co robiłem tamtej nocy, kiedy ta cała Natasza, co to w ogóle za ruskie imię, ja bym córce, to znaczy drugiej, bo ta, co ją mam, to...

– Staszek – fuknąłem – mów o policajach.

– Aha, no pewnie, przecież mówię, co nie? Pytali, co robiłem tamtej nocy między czwartą a szóstą? Czaisz? Jakbym był jakimś pierdolonym podejrzanym.

Tym razem doskonale rozumiałem wzburzenie Staszka. Trudno czuć się komfortowo, jeśli funkcjonariusz sugeruje, że między plażowaniem a alkoholizowaniem się mogłeś popełnić mord. Prawda? Jednak emocje Kiełbasy niespecjalnie mnie zajmowały. Ciekawe było co innego. Jeśli

policjanci zadawali takie pytanie, to znaczy, że mieli poważne wątpliwości, czy świętej pamięci Natasza zginęła na skutek nieszczęśliwego wypadku. Robiło się coraz ciekawiej. Dla mnie. Dla przebywających zaś w hotelu Brati rodaków nieszczególnie.

- I ja...

- Cicho, muszę pomyśleć - zgasilem w zarodku kolejny monolog Kiełbasy.

Świetnie zdawałem sobie sprawę, jak niewiele w tym przypadku mogę. Nie miałem szans, by dowiedzieć się czegokolwiek od Greków. Najmniejszych. Mogłem jedynie porozmawiać z innymi uczestnikami wycieczki. Żywyymi. Jak na razie. I trochę się tej myśli przeraziłem. Oczywiście nie tym, że żywi wciąż oddychają. Ale tym, że mogą oddechu zostać pozbawieni. Zginęły już dwie osoby. I to już nie wyglądało na wypadek-przypadek. Równie dobrze mogła zginąć trzecia. Myśl, że w miejscu, w którym wypoczywam z Pauliną, trup ściele się dosyć gęsto, napawała mnie lękiem.

Okiełznałem atak paniki i zacząłem się zastanawiać, co mogę zrobić. Rozpytanie. Tak. Zaczynając od pierwszej sprawy i osób najbliższych tym, którzy zginęli. A potem stopniowo rozszerzać krąg rozpytania o wszystkich, którzy tutaj, w nieszczęsnym Arkoudi, mieli z nimi kontakt, rozmawiali. Choćby przez minutę, kilka. Mętnie pamiętałem z monologów Staszka, że Filip Zawadzki był tutaj z żoną. Spytałem o nią Kiełbasę, potwierdził. Chuda blondynka. Teraz sobie przypomniałem ten fragment jego opowieści podczas kolacji. Nawet znał numer jej pokoju. Nie pytałem skąd, bo nie chciałem prowokować kolejnego chaotycznego monologu. Dopilem kawę i ruszyliśmy. Bez entuzjazmu. Przynajmniej ja.

Rozmowy z rodziną tych, którzy zginęli albo zostali zabici, nigdy nie należały do łatwych. Pograżeni w żałobie reagowali albo apatią, albo agresją. Nie wiadomo, co gorsze. Będąc przez lata psem, nie zdołałem się z tym oswoić. Wolałem oglądać rozdęte, o zmacerowanej skórze

ciała topielców, niż być posłańcem śmierci. Wykręcałem się od tego, jak mogłem. Nie zawsze mi się to udawało.

Stanęliśmy przed drzwiami pokoju, w którym mieszkali Zawadzczy. A teraz już tylko Zawadzka. Zapukałem. Cisza. Załomotałem mocniej. Usłyszałem szuranie i drzwi się uchyliły. Jeśli wcześniej żona Filipa była chuda, teraz wyglądała tak, jakby stanęła na skraju anoreksji. Cuchnęło od niej przetrawionym alkoholem. Włosy miała potargane do tego stopnia, że sprawiała wrażenie, jakby próbowała je sobie wyrywać garściami, ale zabrakło jej sił. Przedstawiłem się, powiedziałem, że jestem prywatnym detektywem i że chciałbym z nią porozmawiać o mężu. Z trudem zogniskowała na mnie wzrok.

– Wypierdalać – szepnęła i zatrzasnęła mi drzwi przed nosem.

Było to najbardziej żałosne i rozpaczliwe „wypierdalać”, jakie kiedykolwiek usłyszałem.

Stałem w cieniu palmy i paliłem. Mówi palma do palmy, zapalmy, przeleciała mi przez głowę bzdurna rymowanka. Papieros w duchocie smakował jak przegniła słoma, ale potrzebowałem nikotyny. Obok mnie stały dwa zdezelowane rowery górskie. Ciekawe, czy ktokolwiek w taki upał decydował się na przejażdżkę? Przedemną nerwowo dreptał Staszek, któremu wysoka temperatura zdawała się nie przeszkadzać.

– I tak to będzie wyglądało – powiedziałem bardziej do siebie niż do niego.

– Ale, no ale przecież nawet nie spróbowałeś wbić się do niej. – Zdawało się, że Kielbasa ma mi za złe brak zdecydowania.

– Posłuchaj – warknąłem. – Powtórzę to po raz ostatni. Nie jestem policjantem i niewiele mogę. Nawet detektywa tylko udaję. Moje wbijanie się na jej kwadrat skończyłoby się tym, że ściągnęłaby tu Greków albo rezydentkę i oskarżyła mnie o nękanie. Co więcej, miałyby pełne prawo i rację.

Chyba go nie przekonałem, ale przynajmniej powstrzymał się od komentarzy. Jaki był, taki był, miał jednak instynkt samozachowawczy. A przynajmniej jego resztki.

- Dobra. - Rzuciłem niedopałek na chodnik i przydeptałem. Wprawdzie kosz na śmieci stał niedaleko, ale żeby do niego dojść, musiałbym pokonać kilkanaście metrów w pełnym słońcu. Nie dla mnie takie spacerki. - Nie udało się z jednej strony, zacznę z drugiej. Kojarzysz tę Nataszę?

- No jak nie, jak tak.

- Staszek, szacun. - Roześmiałem się. - Jesteś lepszym źródłem informacji niż staruszka siedząca po całych dniach w oknie.

- Czy ty, czy próbujesz mnie obrazić? Znowu?

Po raz kolejny okazało się, że Kielbasa z upływem czasu jednak się zmienił. Nieco. Trudno powiedzieć, czy na lepsze. Ja zdecydowanie wolałem go w poprzednim wcieleniu.

- Nic nie próbuję, jedynie zastygłem z podziwu. Ja nie kojarzę żadnej osoby z mojego hotelu. Poza Pauliną i naburmuszoną recepcjonistką - dorzuciłem dla jasności.

- Bo ta cała Natasza to taka bardziej charakterystyczna i dziwna była. Błada mimoza w sensie. Dajesz wiarę, że przez te wszystkie dni, kiedy tu byliśmy, nie złapała nawet trochę opalenizny? Przez cały czas chodziła w kapeluszach z wielkim rondem i zwiewnych szatach po kostki. To ja się pytam: „Po chuja przyjechała na Południe?”

- Oj, Kielbasa - pogroziłem mu palcem - nie kluj, bo ci pypcie na języku wyskoczą. Z kim tu przyjechała?

- Natasza w sensie?

- W sensie - potwierdziłem.

Powtarzanie słów, fraz wciągnęło mnie i nawet zaczęło bawić. Ciekawa konwencja komunikacyjna, choć na dłuższą metę irytująca. Jak cały Staszek.

– Sama przyjechała. Jak to teraz ich nazywają? – Potargał przerzedzoną czuprynę. – Już wiem! Singielka. Przecież ci mówiłem, że ona dziwna.

Nie wątpiłem, że dla Staszka Kielbasy z podkarpackiej wioski, który zapewne uważał samego siebie za wzór normalności, ktoś, a w szczególności kobieta, kto jedzie na wakacje bez asysty rodziny czy choćby przyjaciółki, musiał wydawać się z gruntu nienormalny. A pewnie rzekłby „pojebany”.

– I z nikim się tutaj nie trzymała? – drażyłem.

– Ja tam nie wiem. – Zdaje się, że postanowił poudawać, że świat dookolny nie obchodzi go wcale a wcale. – Przy posiłkach to zwykle siedziała z takim grubaskiem z bokobrodami.

Że też ktoś pamięta takie słówko, zdziwiłem się, ale nie podzieliłem się zadziwieniem ze Staszkiem. Przecież mój kolega-niekolega skończył tę całą polonistykę, więc trochę poczytał. Słówko najpewniej utrwaliło mu się podczas lektury *Lalki*. Zwróciłem uwagę na typa z pekaesami już wczoraj. Wydał mi się dziwny. Oczywiście, odkrywanie w tym mężczyźnie rysu psychopatycznego było jedynie niewinną zabawą. Psychiatra Cesare Lambroso nie miał racji i zbóje wcale nie wyglądają jak zbóje. A przynajmniej niezbyt często. Świat nie jest taki prosty. Zresztą z mojej policyjnej praktyki wynikało, że to najczęściej ci o wyglądzie niewiniątek bywają najgorsi. Zabójczy cherubinek. Dobry patent na tytuł krwawego kryminału, na którego końcu wszyscy giną.

Chciałem porozmawiać z Panem Pekaesem. Zapomniałem jednak, że mój brak szczęścia był na komendzie w Ciechanowie wręcz przysłowiowy. Jak coś miało się nie udać, pójść niezgodnie z planem czy zyczajnie spieprzyć się bez powodu, na pewno trafiało na mnie. Koniec przygody z policją niewiele, a właściwie nic w tym względzie nie zmienił. Obeszliśmy ze Staszkiem cały teren hotelu, wydobyliśmy od nieco spłoszonej recepcjonistki numer pokoju Pana Pekaesa i zapukaliśmy do drzwi. Nadaremno. Nigdzie się na niego nie natknęliśmy. Straciłem cierpliwość. Do samego siebie. Moje działania nie miały sensu. Pan

Pekaes mógł być gdziekolwiek. Na plaży, w którejś z knajp. Gdzieś poza wioską na krótkiej wycieczce. Aby spotkać osoby, które mógłbym rozpytać o dwie nieszczęsne ofiary, powinienem zjawić się w hotelu albo w porze posiłków, albo późnym wieczorem. Jak już się chcesz bawić w detektywa, to myśl, człowieku.

Powiedziałem Staszкови, że mam dosyć na dzisiaj i idę na obiad.

– A myślałem, no myślałem, że będziesz tu przez cały dzień chodził i pytał. Do skutku – zaczął narzekać.

Spojrzałem na niego z politowaniem.

– Odpowiedz mi na jedno proste pytanie. Właściwie na dwa. Czy jestem w pracy? I czy za to, co tu robię, ktoś mi płaci?

– No nie bardzo.

– I wszystko jasne. Pozwolisz więc chyba, że będę wedle własnego uznania gospodarował czasem i organizował sobie zajęcia.

Odwróciłem się na pięcie i żwawo pomaszerowałem w stronę wioski. O tyle, o ile w dręczącym upale cokolwiek dało się robić z życiem.

Umówiłem się z Pauliną w tawernie obok naszego hotelu. Przywlokłem się tam pierwszy. Zaprzyjaźniony kelner nie miał szychty, kartę przyniósł inny młodzian. Co ciekawe, w Grecji kelnerowali przede wszystkim mężczyźni. Taki zwyczaj? Nie wiedziałem. Postanowiłem poszukać na ten temat informacji w necie albo spytać moją dziewczynę. O ile nie zapomnę.

Późnym popołudniem na placu w centrum wsi nie działo się zbyt wiele. Przemykali pojedynczy turyści, których głód wygnał z plaży i znad hotelowych basenów. Dwóch greckich taksiarzy stało obok siebie. Palili i milczeli. Prawdopodobnie powiedzieli już sobie wszystko, a świat nie dostarczał nowych tematów do pogawędki. A może zwyczajnie oszczędzali energię, którą upał bezlitośnie wyciągał ze wszystkich. Nawet z miejscowych. Na posterunku w cieniu platanu nieodmiennie tkwiła grecka wdowa. Wydawało mi się, że patrzy na mnie. Osłoniłem

oczy dłonią, skupiłem wzrok. Równie dobrze mogła patrzeć na mnie, jak i obok mnie. Miała coś dziwnego we wzroku. Zaćma?

Przypałętał się kelner, ale wydukałem, że czekam na kogoś i będziemy zamawiać później. Po chwili pomyślałem, że mógłbym zaordynować chociaż karafkę wina, żeby nie siedzieć o suchym pysku. Przecież na ten dzień zakończyłem już pseudodziałania niby-detektywa. Kelner zapodział się gdzieś na zapleczu. Nie miał za wiele roboty, w całej knajpie oprócz mnie siedzieli tylko para Czechów w średnim wieku, którzy zajadali się czymś na kształt kebaba.

I wtedy ją zobaczyłem. Paulinę.

Powoli wspinała się stromą uliczką od strony plaży. Najpierw zobaczyłem jej mokre, ciemne kędziory, w których pobłyskiwały bliki słońca. Potem jej twarz. Wstałem i pomachałem do niej. Uśmiechnęła się, a wtedy i tak już zabójcza temperatura podskoczyła mi o kilka stopni. Na dwuczęściowy ciemnozielony kostium narzuciła obszerną, białą koszulę z cienkiego, prześwitującego materiału. Zapięła tylko dwa guziki, więc koszula więcej pokazywała, niż zakrywała. Jej skóra po ostatnich dniach plażowania nabrała obłądnego miodowego odcienia. Miodu z gryki. Nie mogłem oderwać od niej wzroku. Podobnie jak greccy taksówkarze. I czarna wdowa, w której wzroku – dostrzegłem to kątem oka – było coś zarazem niepokojącego i złowieszczonego. Miałem nadzieję, że nie rzuca właśnie na Paulinę straszliwej klątwy. A mogła. Podejrzywałem, że roznegliżowane zagraniczne ładacznice nie należały do jej ulubienic. O ile jeszcze lubiła cokolwiek.

Podeszła rozkołysanym krokiem do mojego stolika. Zatrzymała się tuż obok mnie, musnęła mój policzek ustami. Były gorące. Duszny upał bił od jej wygrzanego w słońcu ciała.

– Jesteś piękna – powiedziałem powoli.

Roześmiała się pełnym głosem. Uwielbiałem jej śmiech.

– Bardzo wyszukany komplement. Może jednak postarasz się bardziej, co?

Nie mogłem, mimo że chciałem. Na nic zdały się tysiące przeczytanych książek i setki poznanych historii romansowych. Nie pomogła wyobraźnia językowa, bardziej bogata, jak sądziłem, niż u zwykłych śmiertelników. W głowie miałem pustkę. Właściwie nie do końca. W głowie miałem zachwyty. I trochę lęku, że to, co czuję do Pauliny, sprawia, że przestaję być sobą. Trudno. Nie zamierzałem się tym martwić. Nie teraz. Obiecałem to sobie przecież już jakiś czas temu.

- Halo - pociągnęła mnie za koszulkę - grecka ziemia do polskiej głowy. Żartowałam. Spojrzenie wystarczy mi za komplement. Siadaj i zamawiajmy, bo mnie skręca z głodu.

Paulina miała ochotę na owoce morza. Nazwa nieodmiennie mnie bawiła, bo też co wspólnego miały z owocami choćby przegrzebki. Może jedynie tyle, że nie łączyło się ich, tylko zbierało. Zawsze można znaleźć jakąś, choćby pokrętną, logikę języka. Zamówiliśmy smażone kalmary i grillowane ośmiorniczki. W kraju nadwiślańskim byłby to luksusowy lunch, tutaj zwyczajne żarło. W dodatku w cenie niezbyt przekraczającej koszt zwykłego schaboszczaka w niespecjalnie ekskluzywnej knajpie. Niekoniecznie ciechanowskiej. Zaczynałem powoli doceniać uroki zagranicznych wojaży. Choć, jak to ja, bez przesady i nadmiernego entuzjazmu.

Przy obiedzie Paulina podpytywała, co działo się w hotelu Staszka, czy już coś ustaliłem. Wykręcałem się, mówiąc, że opowiem wszystko później. Prawdę powiedziawszy, nie było nic do opowiadania. Wzruszyła ramionami i pałaszując kolejne krążki kalmara w lekkiej panierce, streszczała przygody-nieprzygody na plaży. Opowiadała o miejscowym nurku, który z kuszą polował na ośmiornice. Skutecznie. Wytargał ich z wody ponoć cały pęk. „Pęk ośmiornic”, dobre, bardzo. Roześmiałem się i powiedziałem, że być może jedną z nich teraz jemy, kto wie. O mężczyźnie, który mógł być jej dziadkiem, tak powiedziała, a miał kilkuletniego syna, z którym z zapalem stawiał skomplikowaną piaskową fortyfikację. Nie chciałem dociekać, czy ta historyjka przypadkiem nie wprost dotyczyła mnie. Teoretycznie, ale to bardzo teoretycznie, mógł-

bym już być dziadkiem. Życie zna takie przypadki. Niespecjalnie nawet odosobnione. Byłem ponad dwa razy starszy od Pauliny. Trudno. Jakoś się z tym pogodziłem, co nie wykluczało, że od czasu do czasu zdejmował mnie lęk. Przed czym? Wolałem nie dociekać.

Owoce morza zalaliśmy dwiema karafkami domowego, białego wina, które na pozór było słabe, miało jednak podstępna, ukrytą moc. Poczulem się syty i senny. Paulina również. Zaproponowała sjestę. Jesteśmy na Południu, więc sjestą jest jak najbardziej na miejscu. Motyw sjesty jest obficie reprezentowany w klasyce literatury i filmu. Mogłem Paulinie zrobić na ten temat wykład. Oszczędziłem jej tego.

Po chwili byliśmy w naszym pokoju. Paulina poszła pod prysznic, chciała splukać morską sól. Mnie słony smak jej skóry nie przeszkadzał. Stałem w drzwiach łazienki. Patrzyłem na jej związane w niedbały węzeł włosy, delikatne obojczyki i ramiona, dołeczki u dołu kręgosłupa, które tak lubiłem całować.

– „Słona skóra, słony wiatr...” – zanuciłem, ale zaraz urwałem. Nie pamiętałem tekstu starego przeboju Maanam. Piosenka średnio pasowała do okoliczności, bo chodziło w niej o sól z zupełnie innego morza i wiatr tak zimny, jakiego pewnie nigdy na Peloponezie nie odczuwano.

Śpiew na pewno nie przebił się przez szum lejącej się wody, ale Paulina musiała poczuć na sobie mój wzrok. Patrzyła na mnie. Nie mówiła nic. Strumyki wody spływały po jej ciele. Skóra nie będzie już taka słona, pomyślałem, zrzucając ubranie. Wszedłem do wanny i obróciłem Paulinę tyłem do siebie. Nie przeszkadzała mi ciurkająca z prysznica woda. Jej nie wadził już rdzawy zaciek, na który wcześniej wyklinała z cicha. Za to po kilku minutach coś zaczęło przeszkadzać sąsiadowi zza ściany, w którą zaczął stukać. Głośno, długo i uparcie.

Zmierzchało. Cykady chrzęściły tak, jakby wzdłuż drogi jechały tankietki. Albo inne pojazdy gaśnicowe. Niewielkie. Wciąż było upalnie, ale żar nie był równie zjadliwy jak w pełnym słońcu. Byliśmy za wioską,

minęliśmy hotel Kielbasów. Szliśmy w stronę Kyllini. Ponoć było niedaleko.

Po sjeście, co tu kryć, aktywnej, poszliśmy z Pauliną do naszej, tak już ją nazywaliśmy, tawerny na kawę. Grecką, mocną, błyskawicznie stawiającą na nogi. Moje zauroczenie wciąż marudziło, żebym poopowiadał jej o prowadzonym śledztwie. Zaprzeczyłem, że prowadzę jakiegokolwiek dochodzenie. Tylko się rozglądałem. Bez specjalnego entuzjazmu i jakiegokolwiek nadziei na cokolwiek. O sukcesie nie wspominając. Powiedziałem wprost, że właściwie robię to tylko dla niej. Roześmiała się, a potem wzruszyła ramionami. Najprawdopodobniej z wplątania mnie w tę dziwną aferę z dwoma trupami w tle czerpała jakąś frajdę. Niezdrową? Wołałem tego problemu nie rozważać zbyt dogłębnie. Ale chciała, to dostała wątpliwą wakacyjną atrakcję. Powiedziałem o świeżej wdowie, która trzasnęła mi przed nosem drzwiami, i o Panu Pekaesie, który trzasnąć czymkolwiek nie miał okazji. Tyle w temacie żałosnego śledztwa. Wpadłem na pomysł, że być może uświadomienie, jak nudne są rutynowe czynności śledcze, wytłumi jej zainteresowanie sprawą, której najprawdopodobniej wcale nie było. Zaproponowałem więc oględziny miejsca zbrodni. Potencjalnej. Poza tym zwyczajnie miałem ochotę na spacer. Nie uśmiechało mi się spędzanie kolejnego wieczora na plaży i podziwianie zachodu słońca. Nic to, że malowniczego jak landszafty pacykarzy handlujących pod Bramą Floriańską w Krakowie obrazami udającymi prawdziwe malarstwo. Prawdopodobnie nie byłem romantyczny. Raczej na pewno.

Szliśmy spacerowym krokiem. Właściwie wlekleśmy się jak dwoje dziadków bez kijów. Nigdzie nam się nie spieszyło. Po lewej stronie drogi stały wielkie hotele, jeden obok drugiego. Odpicowane, błyszczące i zapewne pachnące. Oświetlone jak zabytki, których w okolicy nie było zbyt wiele. Prawdę mówiąc, do tej pory nie widziałem żadnego. Nie brakowało mi włóczenia się po starożytnych ruinach. Mogłem przecież pooglądać je w internecie. Nie męcząc nóg.

– Myślisz, że to koniec? – Paulina nagle przerwała ciszę, z rzadką maçoną warkotem przejeżdżających samochodów.

W pierwszej chwili przestraszyłem się, że ma na myśli nasz krótki i niespecjalnie spokojny związek. W drugiej – pomyślałem, że nagle i niespodziewanie stałem się lękliwy. Nazbyt. Nie podobało mi się to ani trochę.

– Czego? – zapytałem zduszonym głosem.

– Tych dziwnych wypadków.

Roześmiałem się z własnych obaw, ale i z jej naiwności.

– Naoglądałaś się za dużo amerykańskich seriali o seryjnych mordercach.

– Czyli jednak morderstwa? – przyczepiła się do ostatniego słowa.

– Paulina, nie mam zielonego ani w żadnym innym kolorze pojęcia. Może to wypadki, a może nie. Grecka policja tak prowadziła rozpytania naszych w hotelu, jakby mieli wątpliwości. W przypadku śmierci tej dziewczyny. Taką po prostu mają pracę. Muszą drażnić. Może to coś znaczyć, lecz nie musi. Nic więcej nie wiem. I najprawdopodobniej nigdy się nie dowiem.

– No, ale to już dwa wypadki tuż po sobie. – Chyba nie przekonałem jej moją przemową.

– Seryjni występują głównie w Stanach. Taka specyfika miejsca. – Rozłożyłem ręce na znak, że niespecjalnie potrafię objaśnić dlaczego. – Nie znam statystyk dotyczących Grecji, ale nie sądzę, żeby seryjni pojawiali się tutaj często. Tak jak i u nas – dodałem, wyprzedzając pytanie, którego nie zadała.

Nie skomentowała.

Droga za zakrętem lekko opadała. Dostrzegłem drogowskaz, z którego wynikało, że od ruin rzymskich term w Kyllini dzieliło nas pół kilometra. Faktycznie, nie było daleko od naszej wioski.

Chciałem definitywnie zamknąć temat mojego domniemanego śledztwa, więc zapytałem o to, co nurtowało mnie od wczoraj:

– A czemu właściwie tak cię interesują te wypadki?

– Mnie?! – Zdziwienie Pauliny nie wyglądało na udawane. – Nie aż tak bardzo. No, może trochę. – Zaśmiała się krótko. – Coś tu się dzieje obok mnie, więc się interesuję. Tak bardziej z nudów. To chyba nic wyjątkowego ani złego.

Z nudów? Motywacja jak każda inna. Nie powiedziałbym, że słowa Pauliny jakoś szczególnie mną wstrząsnęły. Należała do pokolenia ludzi, których świadomość i percepcja zostały sformatowane przez internet i wszechobecne komunikatory. Nie potrafili na niczym skupić się dłużej niż przez kilkanaście minut, nie przyswajali tekstów dłuższych niż strona. Ciągłe potrzebowali nowych bodźców, rzeczywistości bijącej po oczach jak lampa stroboskopowa. Może kilka dni leżakowania na plaży znużyły Paulinę do tego stopnia, że potrzebowała nowych impulsów. Takich chociażby jak trupy w zasięgu wzroku. Z pewnością należałem do innego pokolenia. Tych, którzy cenią spokój. A może tylko chciałem spokoju, pragnąłem, by działa się raczej nic niż coś? Od lat, od dawna. Czemu więc raz po raz ładowałem się w kolejne afery? Zaprawdę dobre pytania. Nie miałem na nie odpowiedzi.

Na skrzyżowaniu skręciliśmy w prawo. Weszliśmy w gęste zarośla czegoś, co wyglądało jak swojskie trzciny, tyle że te miały co najmniej cztery metry wysokości. Może więc nie była to trzcina. Za zaroślami we wszystkie strony ciągnęły się sosnowe zagajniki. Intensywnie pachniało żywicą i zgniłymi jajami. Dobrze znałem ten zapach. Kilka lat temu, smażąc na śniadanie jajecnicę, jako ostatnie z pięciu jaj wbiłem na patelnię zbuka. Od tamtej pory wbiąłem każde jajko najpierw do kubka, zanim do czegoś ich użyłem. Przejorny zawsze ubezpieczony. Szkoda, że tę maksymę wprowadzałem w życie jedynie w kuchni.

Paulina pociągnęła nosem i powiedziała, że żona Staszka wcale nie przesadziła z opisem atrakcji zapachowych tego miejsca. Z każdym krokiem capiło coraz bardziej. Było ciemno i pusto. Żywego ducha na niewielkim parkingu. Zeszliśmy z drogi w dół. Nikt nie korzystał z przyjemności błotnych kąpieli. „Pozostaliśmy sami, bez taty, bez mamy”, przy-

pomniała mi się fraza ze starej piosenki. Kto ją śpiewał, nie pamiętałem. Czyżby Alzheimer pukał do drzwi? A właściwie mózgu? Coraz głośniej i natarczywiej? Felicja pewnie skomentowałaby: „Było tyle nie chlać”. Miałaby rację. Jak zawsze.

Miejsce, w którym tysiące lat temu Rzymianie zażywali kąpieli i relaksowali się po pacyfikacjach miejscowej ludności, przywodziło mi na myśl zdjęcia pasa ziemi niczyjej z czasów pierwszej wojny światowej. Jak okiem sięgnąć, dziury i rowy wypełnione mętnym błockiem. Z lewej strony szczątki betonowej konstrukcji, z prawej na niewielkim wzniesieniu majaczyło coś, co wyglądało jak stara świątynia. Niewielka. Wreszcie zobaczyłem tutaj jakąś starożytność. Chwalić cały grecki Olimp! Nieznośny smród i cisza dźwięcząca w uszach. Jak przed burzą, jak przed atakiem. Nawet cykady nie dawały znaku życia. Przyczajony tygrys, ukryta cykada. Tylko trupów nie było widać. To znaczy jeden całkiem niedawno się tu trafił. Niewojenny. A jeśli już, to z wojenki mocno prywatnej.

– Tak sobie to wygląda. – Paulina zdawała się zawiedziona. – Właściwie, po co tu przyszliśmy?

– Oględziny miejsca potencjalnej zbrodni. Standardowa procedura.

– Aha.

Nie byłem pewien, czy zdaje sobie sprawę, o co chodzi. Jednak nie dopytywała. Podniosła z ziemi kij i zaczęła mieszać nim w błocku. Buchnął smród o wyjątkowo bogatym bukiecie. Nie rozumiałem, jak kobiety wytrzymują podobne zabiegi leczniczo-upiększające. Już zdecydowanie lepsze były kąpiele w borowinie. Widziałem coś takiego, choć sam się nie skusiłem. Kiedyś Maria zaciągnęła mnie do spa. Wtedy jeszcze była zwyczajną Marią, a nie jej wyblakłym cieniem. Moja nieszczęsna żona zażywała takich przyjemności, ja poprzestawałem na masażu. Całkiem przyjemnym. Dawne dzieje.

– Dobrze, i co tu widzisz w ramach tych oględzin? – Paulina postanowiła jednak trochę popytać.

– Ciemność, widzę ciemność.

Sam roześmiałem się ze swojego żartu. Nieco żalodne. Ale przynajmniej szczere.

– Ale tak na poważnie.

– Miejsce zbrodni zazwyczaj coś policjantowi mówi. – Wpadłem w wykładowy ton. W końcu na moim dyplomie ukończenia studiów polonistycznych stało jak wół: specjalność nauczycielska. Absolutnie niewykorzystana. Na szczęście dla mnie i moich potencjalnych uczniów. Jednak przez ostatnie dwa lata miałem sporo wykładów i pogadanek, więc się trochę podszkoliłem. – O tym, kto zginął, i o tym, kto zabił. Trzeba tylko umieć patrzeć, dostrzegać szczegóły.

– I co niby widzisz? – zapytała z lekkim przekąsem.

– Chodzi o to, że nic.

– Rozumiem, ciemność. Nie ciągnij tego żarciku. Nie warto.

– Nie robię sobie jaj. Rozejrzyj się. Tu nic nie ma. Tylko bajora, a dokoła krzaczory i las. Po co ten cały Filip miałby tu łązić nocą?

– Staszek mówił, że był zrobiony. Może po alko włączył mu się Jaś Wędrowniczek?

Jaś Wędrowniczek? Wcześniej nie słyszałem, żeby ktoś tymi słowami określał objawiającą się po spożyciu potrzebę przemieszczania się w poszukiwaniu przygód. Albo nieprzygód. Alkoholowe ekscesy nieodmiennie pobudzały wyobraźnię językową. Niezależnie od pokolenia. Znamienne. Bardzo. Jakby to jeszcze można było nazwać? Poalkoholowy zespół niespokojnych nóg?

– Nie sędzę – powiedziałem z pełnym przekonaniem. – Jeśli Filip był nawalony i chciał się w spokoju dobić, bez żony, która pewnie wyśpiwywała mu nad uchem smętny refren: „Nie pij już, nie pij, kochanie”, poszedłby w stronę wioski. Po co miałby się tutaj wlec? Kawalek drogi, ciemno i zero miejsc, w których można sobie coś chlapanąć. Niekoniecznie pacynę błocka.

– Może był już zupełnie nieprzytomny. Zamiast do Arkoudi skręcił w drugą stronę. To się zdarza.

- Po pierwsze, nie wiem, jak bardzo był pijany. I się nie dowiem. Grecy mi na pewno nie sprzedadzą takiego info. Może pił tyle samo, ile wszyscy. Wiadomo, że rodak na wakacjach luzuje sobie. Ale niekoniecznie Filip musiał być alkoholikiem, który dzień w dzień zalewa się w trupa.

- No, raczej wyszło, że w trupa.

Roześmiałem się w głos. Wiele nas z Pauliną różniło, ale jednak nieco łączyło. Choćby specyficzne poczucie humoru.

- Historię alkoholowych ekscesów Filipa mogę wy badać. Ale jest jeszcze „po drugie”...

Zrobiłem efektowną pauzę. Absolutnie nie wiedziałem, w jakim celu.

- No...

Zachęciła słówkiem, którego nienawidziłem. Wiedziała o tym, z całą premedytacją mnie drażniła.

- Widziałaś przecież ścieżkę, która tu prowadzi z parkingu. Wąska i stroma. Gdyby był bardzo pijany, nie dotoczyłby się do tych błot. Wylądowałby gdzieś w krzakach i jedyne, co by mu doskwierało rankiem, to kac. Nawet by nie zmarł, tu przecież także w nocy jest gorąco.

- Ludzie po pijaku różne cuda są w stanie zrobić...

Ciekawe, skąd o tym wiedziała? Prawdopodobnie z autopsji. Ładne słowo, tak cudownie dwuznaczne, przyszło mi do głowy.

- I co o tym wszystkim sądzisz, Sherlocku? - zapytała ze śmiechem dźwięczącym w głosie.

- Otóż, drogi Watsonie, mało co się tutaj zgadza. Poruszamy się w dolnej strefie stanów średnich prawdopodobieństwa. Jeśli nie niżej. Filip mógł tutaj sam dotrzeć po pijaku, mógł zwalić się do bajora i mógł się utopić. Jednak podejrzewam, że ktoś mu pomógł. Przynajmniej przywiózł go albo przyprowadził do tego spa dla ubogich.

- Niby kto?

Wzruszyłem ramionami.

– To bez sensu. Nie mam szans, żeby wyjaśnić cokolwiek w tej sprawie. Po prostu. Jestem zwykłym turystą na zwyczajnych wakacjach.

– Przynajmniej spróbuj.

– Dlaczego?

– Może dla spokoju sumienia.

Sumienie miałem spokojne i rozleniwione. Jego dobrostan mogły zniszczyć jedynie napięcia w trójkącie Paulin–Felicja–ja. Na razie równobocznym. Kto wie, co będzie dalej. Geometria bywa dziedziną zaskakujących przekształceń.

Wstrzymałem się z wyjaśnieniami, co mogę i powinienem, a czego absolutnie nie. Zarządziłem odwrót w stronę kwatery. Paulina powiedziała, żebym chwilę zaczekał. Chwyciła kij, którym gmerała w bajorku, postawiła na sztorc, zebrała z niego zgniłozsare błoto i zaczęła okładać nim twarz.

– Czy aby na pewno wiesz, co czynisz? – zapytałem z nieudawaną troską.

– Spoko wodza. Żonie Staszka, jak widziałeś, po tej maseczce nic złego się nie stało.

Odwróciła się w moją stronę. W szarej masce świeciły białka oczu i zęby. W pełnym amerykańskim uśmiechu. Wyglądała jak kapitan Willard w ostatnich scenach *Czasu apokalipsy*. Tyle że była ładniejsza, zgrabniejsza i nie miała na koncie kilku odstrzelonych łbów. Roześmiałem się.

– Śmiejesz się ze mnie? – udała nadąsaną.

– Nie, do ciebie.

Wstrzymałem oddech i powoli zbliżyłem usta do jej ust. Nie chciałem się uwalac lecniczym specyfikiem. Ponoć lecniczym. Pocałowałem ją delikatnie. Cóż, śmierdziało jak diabli.

Skęciliśmy ze ścieżki w stronę parkingu. Nagle oślepiły nas światła samochodu. Raczej długie niż krótkie. Czarny volkswagen golf na grec-

kich blachach, z tych starych, klasycznych, trzydrzwiowych, wykręcił szybko i zaraz zniknął za zakrętem. Pomyślałem, że pewnie spłoszyliśmy parkę, która szukała spokoju i prywatności. Ale robić to w golfie? Akrobaci.

Spacerowym krokiem wracaliśmy do wioski. Mijani przechodnie dziwnie spoglądali na Paulinę. Mnie to nie przeszkadzało, jej zdaje się też nie za bardzo. Lubiła zwracać na siebie uwagę. Odkryłem to już jakiś czas temu.

Na placu w centrum wioski trwała fiesta. Jak co wieczór. Przysiedliśmy w naszej tawernie, chcieliśmy łyknąć po jednym kontrolnym tsipouro przed snem. Tym razem zaprzyjaźniony kelner miał szychotę, więc zaraz pojawił się przy stoliku.

– O, byliście w Kyllini. – Wyszczerył się w uśmiechu. – Zdrowie i uroda. Bardzo dobrze.

Prawdopodobnie w niezbyt skryty i skomplikowany sposób rwał Paulinę. Trudno, zdecydowałem, że nie będę robił afery. Przecież nie będę lał przyjaciela. Kelner dopytywał, jak minął dzionek, jak się wypoczywa w pięknych okolicznościach greckiej przyrody.

– Powiedz mu, że jest po prostu w pytkę jeża – rzuciłem.

Paulina zaczęła chichotać, a potem powiedziała, że jest *good, very good*. Nie ma to jak błyskotliwa, pełna żartów konwersacja. Chichotała jeszcze bardziej, gdy wypila pół kielonka greckiego rozweselacza. Choć nie wiedziałem, co ją tak bawiło. Najprawdopodobniej dopadła ją głupawka, która udzieliła się także mnie.

Głupawkowy napad śmiechu zazwyczaj kończy się na dwa sposoby. Albo czkawką, albo nagłym ciosem od rzeczywistości. Po pewnym czasie dostałem w pakiecie i jedno, i drugie.

Dziennik roku pierwszego IV

3 października 1998

Jak ten czas szybko mija! To już ponad miesiąc mojej etatowej pracy w liceum. W planach miałem dokonanie podsumowania po pierwszym miesiącu. Z bólem zauważyłem, że będzie mi o to trudno. Za dużo danych i wątpliwości. Zbyt wiele spraw w toku. Moja pewność z początków września znikła. A przynajmniej została mocno nadwątlona. Zachwiana. PRZECENIĘM WŁASNE SIŁY? Chyba za wcześnie na taką ocenę. Po prostu jestem ostrożny. Na pewno ostrożniejszy w formułowaniu kategoriycznych twierdzeń niż jeszcze jakiś czas temu.

Nie ulega wątpliwości, że w moich obliczeniach związanych z początkiem i sposobem pracy w zawodzie nauczyciela nie uwzględniłem w należyтым stopniu czynnika ludzkiego. Prawie na wszystko da się opracować jakiś algorytm. Na emocje ludzkie, na relacje między ludźmi się nie da. I w tym jest problem. O ile życie byłoby łatwiejsze, gdyby były one przewidywalne. A nie są. Przynajmniej nie do końca. Robisz rzecz A i oczekujesz, że druga osoba zrobi rzecz B. Co więcej, wszystko wskazywałoby, że powinno nastąpić B. Tak wynikałoby ze zwykłej logiki, prostego rachunku zysku i strat oraz na przykład rachunku prawdopodobieństwa. Tymczasem druga osoba robi rzecz C. Co czasami sprowadza na nią przykre konsekwencje. Albo zwyczajnie jest pozbawione sensu. I bądź tu mądry!

Do zmagania z czynnikiem ludzkim w dostatecznym stopniu nie przygotowali mnie ani wykładowcy ze studium nauczycielskiego, ani moja mama. Czy mam do nich żal? Raczej nie. Robili, co mogli, trzymali się sprawdzonych metod. Sprawdzone metody nie zawsze się sprawdzają. Takie nowe twierdzenie.

Zastanawiam się od czasu do czasu, czy lepiej funkcjonowałbym między ludźmi, lepiej ich rozumiał, gdybym nie był jedynakiem. Wcześniej nigdy nie widziałem w tym problemu. Miałem mamę i to mi wystarczyło. Może tylko czasami, dawno temu, jeszcze w podstawówce zazdrościłem kolegom, którzy mieli rodzeństwo.

Nie pamiętam już nawet dlaczego. Ale nie dręczyło mnie to. Chyba odkąd uczę w liceum, za dużo myślę o relacjach między ludźmi, emocjach... Przecież nie tego miały dotyczyć moje notatki.

PLAN! PLAN! DYSCYPLINA!

Domknę wątek Turowskiej. Dotarłem do jej mieszkania przed godziną drugą. Była wychowawczyni... Właściwie nie wiem, jak ją nazywać. W końcu jest tylko urlopowana, więc formalnie wciąż jest wychowawczynią klasy, którą teraz ja się opiekuję. Niejako w zastępstwie. Będę nazywał ją „poprzedni wychowawca”. Turowska ma pewnie pod czterdziestkę. Niewysoka, chuda, ale ze sporymi piersiami (DLACZEGO ZACZAŁEM ZAUWAŻAĆ TAKIE RZECZY? CZY TE KILKA TYGODNI W SZKOLE WYOSTRZYŁY MI ZMYŚL OBSERWACJI?!). Uczy historii.

Moim zdaniem pomysł, aby wychowawstwo w klasie mat.-fiz. miała historyczka, jest dziwny, a na pewno nietrafiony. To sprawka Jagiełło czy kogoś innego? Ale mniejsza. Kwestie personalne nie należą przecież do mnie. W ogóle nie powinny mnie interesować. Każdy odpowiada za realizację zadań, które zostały mu postawione. Taką miałem zasadę.

Zdziwiło mnie, że już na początku spytała, dlaczego tak zależy mi na informacjach o mojej czy też jej klasie (sama też miała problemy z zaklasyfikowaniem przynależności II mat.-fiz.). I czy mam jakiś z nimi problem? Czy to, co robię, jest dziwaczne? Czy poważne podchodzenie do własnych obowiązków jest anomalią? Działaniem urojonym jak liczby? Mniejsza. Opowiedziałem poprzedniemu wychowawcy o rozmowie z Jagiełło. Roześmiała się i skomentowała, że dla wicedyrektorki wszystko, co nie mieści się w rubryczce albo zmusza do wyjątkowego działania, jest trudne. Nie wyjaśniła sensu wypowiedzi, choć prosiłem. Powiedziała, że sam zobaczę. We właściwym czasie.

To, co miała do powiedzenia o klasie, trochę mnie zawiodło, a trochę zastanowiło. W grupie jest wiele indywidualności, ale mimo to klasa trzyma się razem. Co ponoć nie jest regułą. Podaje przykład. Pewnego dnia zrobili sobie wagary. Nie przyszedli na żadne lekcje. Wszyscy. Zdarza się, nie im jednym. Potem była afera, wychowawca klasy i dyrekcja próbowali ustalić, kto był prowadzącym zajęcia. Nie dało się tego zrobić. Zwalali jeden na drugiego. Najprawdopodobniej wcześniej się umówili, co i jak będą mówić nauczycielom. Jakiej wersji się trzymać. I to, jak podkreśliła Turowska, już wcale nie było zwyczajne. Chętnie wdawali się w dyskusje z nauczycielami, komentowali ich polecenia. Przynajmniej niektórzy uczniowie. Nauczyciele skarżyli się poprzedniemu wychowawcy, że nie zawsze uczniowie z tej klasy odnoszą się do nich z należytyym szacunkiem. Turowska zastrzegła jednak, że koleżeństwo z pokoju nauczycielskiego bywa przewrażliwione. Ona nie zauważyła pod tym względem niczego niepokojącego czy niezwykłego. W końcu sytuacja w szkołach się zmieniła. Zdecydowanie na gorsze dla nauczycieli, podkreśliła. Uczniowie są coraz bardziej rozbawieni (takiego użyła określenia!), pewni siebie. Tym bardziej że w większości przypadków rodzice biorą stronę swoich dzieci. Przez to i uczniowie, i rodzice stają się roszczeniowi. Przestrzegła mnie przed rodzicami. Mówiła, że na wywiadówkach bywa ciężko. Wielu z nich to ludzie na ważnych stanowiskach, ustosunkowani, z których głosem wszyscy się liczą. I są przewrażliwieni na punkcie własnych dzieci. O tym jeszcze się nie przekonałem, pierwsza wywiadówka ma się odbyć dopiero w przyszłym tygodniu. Zobaczę. Nigdy nie miałem problemów z porozumiewaniem się z dorosłymi. Wychodziło mi to chyba nawet lepiej niż z rówieśnikami. Zapytałem jeszcze Turowską o poszczególnych uczniów. O tych trudniejszych, którzy mogą sprawiać problemy wychowawcze. Rozwalać dyscyplinę w grupie. Wykręciła się od odpowiedzi. Mówiła, że nie chce sprawić, abym miał złe nastawienie do kogokolwiek. „Sam pan

się o tym przekona”, powiedziała. „I wierzę, że pan sobie poradzi, to w gruncie rzeczy dobre dzieciaki”, dorzuciła na koniec.

Zastanawiałem się nad ostatnimi słowami poprzedniego wychowawcy. Nie rozstrzygnąłem, czy były szczerze.

Po rozmowie z poprzednim wychowawcą spodziewałem się więcej konkretów, przydatnych informacji. Czy czuję się zawiedziony? Nie. Ale czuję, że zostałem ze wszystkimi problemami, ze wszystkimi wątpliwościami sam. Będę musiał sobie z tym poradzić. Nie widzę innej możliwości.

18 października 1998

Przez dłuższy czas nie pisałem. Brakowało mi czasu i zapału. Dlatego odpuściłem realizowanie planu notatek. Poza tym zbyt wiele było we mnie wątpliwości, niepewności. Musiałem mieć czas, żeby sobie to poukładać w głowie. Czy mi się udało? Nie do końca. Nie uważam tego za porażkę. Niektóre procesy trwają długo. Musi minąć czas, aby zadziało się to, co zadziać się musi. Tak jest w przypadku mojej adaptacji do warunków szkolnych. I docierania się z moją klasą.

Poza rytmem uczenia matematyki (przygotowywanie się do zajęć, prowadzenie lekcji, sprawdziany...), w który wszedłem już na dobre, przez te dwa tygodnie miały miejsce dwa ważne wydarzenia. Właściwie trzy. Ważne z mojego punktu widzenia.

Odbyłem pierwszą wywiadówkę. Polonistka, która wciąż w pokoju nauczycielskim mnie zagaduje (ma na imię Joanna), powiedziała, że pierwsza wywiadówka jest jak wieczorek zapoznawczy na wczasach. Nawet zabawne. Tak to odczytałem. Nie mam poczucia humoru. I wiem o tym. Nie uważam, że każdy człowiek powinien je mieć. Ale do rzeczy. Rodziców moich uczniów interesowało to, co zwykle rodziców interesuje. Postępy w nauce. Zachowanie. Czy są planowane wycieczki szkolne. Prawdę powie-

dziawszy, o tym ostatnim zupełnie nie pomyślałem. Ale czy to istotna kwestia? Moim zdaniem nie. Przedstawiłem rodzicom, podobnie jak uczniom na początku roku, moje założenia co do klasy i pracy z uczniami. Spytałem, czy mają pod tym względem pytania. Zapytałem właściwie pro forma. Wydawało mi się, że wszystko jest jasne. Odezwał się ojciec Filipa Zawadzkiego. Adwokat. Przyzwyczajony do publicznych wystąpień, więc pewnie było mu najłatwiej. Miał wątpliwości, czy nie za wiele wymagam od uczniów. Czy nie za ambitnie podchodzę do realizowania programu. „Za wysoko ustawiona poprzeczka”, dokładnie takiego zwrotu użył. „To nie są studia, proszę pamiętać, studia już pan niedawno skończył”, powiedział. Później zastanawiałem się, czy to nie był przytyk do mojego małego doświadczenia pedagogicznego. Nie wiem. Podobno już były skargi, że za bardzo cisnę uczniów. Nie powiedział, że to jego syn się skarżył. Ciekawe. Zagrywka prawnika czy przeoczenie? Odpowiedziałem, że po prostu chcę, aby II mat.-fiz. była najlepszą klasą w szkole. I że chyba on chce mieć syna w najlepszej klasie. Nie odpowiedział. Tylko skinął głową. To starcie, zdaje się, wygrałem.

Zrobiłem w mojej klasie pierwszy sprawdzian z przerobionego materiału. Narzekali, jak w przypadku testu otwarcia. Byłem nieugięty. Przecież na początku roku wyraźnie zapowiedziałem, że po każdej większej partii materiału będę robił kartkówkę. Potem przyszli jeszcze gospodynię klasy na negocjacje. To Kalina Kowalska, z matematyki przeciętna. Wysoka, szczupła blondynka. Chciała, żebym przesunął termin kartkówki przynajmniej o tydzień. Tłumaczyła, że mają nawet sprawdzianów. Byłem nieugięty. Jak już wspominałem w tych zapiskach, konsekwencja w procesach dydaktycznych i wychowawczych ma kluczowe znaczenie. Zdaje się, że Kowalska wzięczyła się do mnie. A może tylko tak mi się zdało? Jeszcze w trakcie praktyk nasłuchałem się, jak to uczniowie próbują pogrywać z młodymi, niedoświadczonymi nauczycielami. Ze mną ten numer nie przejdzie. Ale muszę być czujny. Nigdy wię-

cej rozmów sam na sam z uczniem w zamkniętej klasie. Kartkówka się odbyła. Sprawdziłem ją po kilku dniach. Byłem rozczarowany wynikami. Były mniej niż średnie. Może nawet słabe. Nie tego spodziewałem się po uczniach, którzy mają tworzyć najlepszą klasę w szkole. Uczniowie też chyba spodziewali się czego innego. Po tym, jak rozdałem poprawione i ocenione prace, w sali zapadła cisza. Powiedziałem im wprost, że czeka ich jeszcze wiele pracy i że zdecydowanie bardziej muszą się przykładać do nauki. Wakacje się skończyły, najwyższy czas poważnie zabrać się do roboty. Szemrali coś. Najwyraźniej nie byli zadowoleni. Trudno. Muszą się przyzwyczaić, że nie będę im pobłażał. Chciałem wiedzieć, czy mają jakieś pytania albo wątpliwości. Nikt nie podniósł ręki. Jednak kiedy wychodzili z sali po lekcji, Nadolski powiedział głośno niby do kolegi, że nigdy nie mieli tak chujowych ocen ze sprawdzianu. Upomniałem go za przekleństwo, spytałem, czy chce ze mną porozmawiać. Powiedział, że nie ma o czym. Nie skomentowałem. Pozwoliłem mu wyjść z klasy. CZY DOBRZE ZROBIŁEM?

I wreszcie – pedagog szkolna. W końcu znalazła czas, by przygotować dla mnie materiały. Mówiąc szczerze, jakiś czas temu straciłem nadzieję, że to się stanie. W dużym stopniu powtórzyła to wszystko, czego dowiedziałem się wcześniej od wychowawczynie. Wyjątkowo zgrana klasa, problemy z dyscypliną, wagary. Trochę przymykano na ich ekscesy oczy, bo dobrze się uczyli. Nowy dla mnie był tylko wątek Kowalskiej, gospodyni klasy. Razem z kilkoma dziewczynami z bogatych domów tworzyły nieformalną grupę. „Zdarzało im się dręczyć psychicznie, wyśmiewać brzydsze i biedniejsze uczennice. Taki rodzaj szkolnej fali”, powiedziała psycholog. „Niespecjalnie dotkliwej”, dorzuciła. Działania grupy nie eskalowały, więc pedagog jedynie przyglądała im się z boku. Spytałem, co to znaczy, że nie było eskalacji. Żadnych form przemocy fizycznej, żadna z potencjalnych ofiar nie składała oficjalnych skarg. Pomy-

ślałem, że strategia – nie ma skargi, nie ma sprawy – jest zwyczajnie głupia. Nie podzieliłem się z psycholog tą myślą.

Zastanowiło mnie, jak mało do tej pory zwracałem uwagi na Kowalską. Wydawała mi się nijaka. Jak dla mnie wtapiała się w tło innych uczennic tej klasy. Zdecydowanie wyraźniejsza była Zuzanna Fac. Wyraźniejsza i groźniejsza, jeśli chodzi o zachowanie dyscypliny w klasowym zespole. Typ buntowniczeki, która lubiła mieć ostatnie słowo. Ciekawe, że różni ludzie wskazują różne osoby w tej samej grupie jako wybijające się, wiodące. Pedagog szkolna – Kowalską, ja – Fac. Czy te dwie uczennice rywalizują ze sobą? Jak się tego dowiedzieć? Przecież nie spytam ich wprost. Mogę jedynie obserwować ich zachowania, reakcje. Ale czy jestem dość uważnym obserwatorem? Mam co do tego pewne wątpliwości.

Pedagog poźegnała mnie słowami, że na pewno poradzę sobie z moją klasą, to jedynie kwestia czasu. Niemal słowo w słowo powtórzyła ostatnie zdanie Turowskiej. To zwyczajowa formułka czy rzeczywiście jest takiego zdania?

NIE UFAM SZKOLNEJ PEDAGOG. W OGÓLE NIE UFAM PSYCHOLOGOM.

19 października 1998

Przy kolacji mama spytała, jak mi idzie w pracy. Odpowiedziałem, że raczej dobrze. Już otwierałem usta, żeby opowiedzieć o wszystkim – o wywiadówce, sprawdzianach, próbach dowiedzenia się, jaka moja klasa naprawdę jest – ale ugryzłem się w język. „Raczej?“, drążyła mama. Wymyśliłem na poczekaniu, że jeszcze nie do końca odnalazłem swoje miejsce w szkolnym świecie, że dziwnie czuję się w pokoju nauczycielskim. „Nie bój się, wszystko się poukłada, tylko musisz pracować z całych sił”, powiedziała i pogłaskała mnie po dłoni. Kochana mama.

Potem czułem się trochę podle. Do tej pory mówiłem mamie o wszystkim. Konsultowałem z nią podejmowane przeze mnie decyzje. Z kim innym miałbym to robić? Zwierzałem się z wątpliwości. Zawsze umiała mi dobrze doradzić. I uspokoić, gdy nazbyt się stresowałem. To zawsze działało. Teraz nie zwierzyłem się z tego, co mnie trapi. Zataiłem. Dlaczego tak postąpiłem? Chciałem chronić ją czy siebie? I przede wszystkim – PRZED CZYM?

Do przeanalizowania. Bezwzględnie.

Rozdział piąty

Boh trojcu lubit'

14 września 2014, niedziela, Grecja

Byłem po śniadaniu, wprawdzie byle jakim, jak to w naszym hotelu. Liczbę przyznanych mu gwiazdek określiłbym jako wątpliwą. Mogłem więc z sumieniem czystym jak tsipouro zamówić kieliszek. Właściwie od razu dwa. Młody kelner, już nie tyle przyjaciel, ile niemal odwieczny druh i towarzysz broni, nawet się nie zdziwił, że po raz kolejny chleję od rana wysokooktanowe płyny. Prawdopodobnie uznał, że takie są zwyczaje nacji cierpiących z powodu deficytów słońca. A może zadzwonił do kolegi, który zarabiał złotówki w pizzerii w Oświęcimiu, a ten poopowiadał mu trochę o obyczajach ludu osiadłego między Bugiem a Odrą? Mniejsza z tym. Konsekwentnie, razem z wodą postawił przede mną talerz z grzanką posmarowaną czymś, co wyglądało jak przecier pomidorowy. Pomyślałem, raz się żyje, zjadłem kawałek tutejszej zagrychy. Nie byłem zdumiony, że smakuje jak grzanka z przecierem pomidorowym. Nie zamierzałem dojadać reszty.

Staruszka, jak co dnia kontrolująca lokalny świat spod platanu, skupała wzrok gdzieś w okolicach mojej głowy. Nie miałem pojęcia, czy mnie widzi. Czy widzi cokolwiek na odległość metra. Podniosłem w toście kieliszek, skinałem jej lekko i wychyliłem, co było do wychylenia. Nie była to setka, ale i tak nie weszła gładko. „Powietrze zaraz uszło z niego”, przypomniała mi się fraza z pieśni popularnej lata temu. Ze mnie nie uszło. A szkoda. Wdowa w czerni chyba jednak coś widziała, bo zaczęła poruszać ustami, wypowiadając słowa, których nie mogłem usłyszeć, a nawet gdyby, na pewno bym ich nie zrozumiał. Splunięcie

było jednak gestem aż nazbyt zrozumiałym i dosadnym. Gdybym był przesądnym, też bym splunął. Przez lewe ramię dla odczynienia uroku, który na mnie rzuciła. Tego byłem pewien. Do przesądnych jednak nie należałem. Jedyne, co zrobiłem, to zapaliłem papierosa. Z przyjemnością wypuszczając chmurę dymu. Ponoć też miał właściwości magiczne, czyli magia versus magia. Ciekawe, czyja okaże się silniejsza?

Od samego rana czułem, że coś jest nie tak. Że to będzie jeden z tych dni, które chce się przeżyć jak najszybciej. A potem zasnąć, zgasnąć. Z nadzieją, że następny dzionek będzie lepszy. Paulina wstała w marudnym nastroju. Przy śniadaniu nastąpiła drobna eskalacja.

Powiedziałem, że wybieram się do hotelu Kiełbasów, by dalej bawić się w niby-detektywa. Paulina najpierw się zdziwiła, a potem ewidentnie wkurwiła. Zaczęła mi wygarniać, że ze mną nic nie da się planować. Ona zaplanowała kilka godzin porannego plażowania, a ja wystawiam ją do wiatru. Jako żywo, o żadnym planie nie wiedziałem. Rozumiałem, że była to typowa strategia w rodzaju: „Powinieneś się domyślić”. Zmilczałem. Rozkręcała się coraz bardziej, nadając, że nawet pleców nie ma jej kto nasmarować olejkami, że ma dosyć samotnego taplania się, co prawda w ciepłej i przyjemnej wodzie, i w ogóle, i w szczególności chromoli takie romantyczne wakacje we dwoje. Postanowiłem nie komentować wprost tego, co powiedziała. Zdawałem sobie sprawę, że przemawia przez nią złość. Nie miałem pojęcia, czemu skumulowało się jej aż tyle. Przypomniałem, że to nikt inny, tylko ona od dwóch dni z niejasnych powodów namawia mnie do prowadzenia śledztwa, którego wcale prowadzić nie chcę. Fuknęła i rzuciła sztucę na talerz. Przechodząca obok kelnerka zamarała na moment, ale chyba uznała, że nie dzieje się nic, co wykraczałoby poza hotelową normę. Ot, sprzeczką turystów, którym nadmiar słońca i ciepła namieszał we łbach. Spytałem, czego moje szczęście właściwie chce. Mogłem albo spędzać czas z nią, albo badać wypadki-przypadki. Syknęła, żebym nie nazywał jej swoim szczęściem, bo o szczęściu nie mam pojęcia. Akurat miała rację, jednak nie zamierałem potwierdzać jej intuicji akurat podczas tej rozmowy. Kazała mi

wybierać. Albo plażowanie, albo śledztwo. Nie powiedziałem nic. I zda-
wałem sobie sprawę, że milczenie jest najgorszym wyborem. Odsunęła
z hurgotem krzesło, czym znowu skupiła na nas uwagę kelnerki. Rzu-
ciła krótkie, złowróżbne „pożałujesz” i wyszła z sali jadalnej. Nie ruszy-
łem za nią. A pewnie powinienem. Uznałem, że na żale przyjdzie jesz-
cze czas. Gorzkie.

Paulina pomaszerowała na plażę, ja powlokłem się do tawerny. Co
było dalej, wiadomo. Dopaliłem papierosa i zacząłem się zastanawiać,
czy odpalenie zaraz następnego będzie objawem nikotynowej degenera-
cji, czy może jednak nie. W gruncie rzeczy myślałem o papierosach,
żeby nie myśleć o Paulinie. O tym, że teraz rozgląda się po plaży, szuka-
jąc wzrokiem chłoptasia, który nasmaruje jej plecy. Dotknie gładkiej,
pachnącej skóry. Mógłby to być któryś z młodzianów, którzy roznosili
po plaży napoje. Mógł to być też wyżyłowany ratownik z ogorzałą od
słońca i wiatru twarzą. Właściwie nie. Ratownicy przecież zwinęli się
z plaży dwa dni temu. Sezon zbliżał się ku końcowi. Jednak równie
dobrze mógł to być ktokolwiek. Wystarczyło, że Paulina stanęłaby na
plaży i zastygła w wyczekującej pozie. Chętnych w różnym wieku i roz-
maitych nacji bez wątpienia by nie zabrakło.

Tak, byłem zazdrosny. Cholernie. Dawno nie czułem czegoś podob-
nego. I nie było mi z tym najłepiej.

Wychyliłem drugi kieliszek na raz. Poszło gładziej. Rzuciłem bank-
not na stół. Niech druh ma radochę z sowitego napiwku. Zapaliłem
i z tłącym się papierosem między palcami poszedłem środkiem ulicy.
Spojrzeli na mnie taksiarze, trzymający wartę przy swoich mercach.
Wdowa w czerni bez wątpienia wbiła morderczy wzrok w moje plecy.
A ja szedłem przed siebie. Niczym samotny szeryf, którego czeka osta-
teczny pojedynek w samo południe.

Śniadania w hotelu Brati niespecjalnie różniły się od serwowanych
w naszym hotelu o trudnej do zapamiętania nazwie. Było jedynie więcej
wszystkiego. Więcej podejrzanych wędlin, sera drugiej klasy smaku
i świeżości, chrzczonego soku i podeschniętych rogalików. I więcej

kawy, która zapewne z kawą niewiele miała wspólnego, bo w powietrzu nie czułem charakterystycznego aromatu. Może płyn w termosach parzono z żołądź? Słyszałem o takich przypadkach. A może były to jedynie mroczne wakacyjne legendy.

Sala restauracyjna była duża. Dwie grupy, które chciały się izolować, mogły to zrobić bez trudu. Przy stolikach po prawej stronie siedziały wdowy w czerni. Niektóre równie wiekowe jak ich wiedzńmowata siostrzyca spod platanu, inne nieco młodsze. Wszystkie tak samo milczące, z twarzami nieskażonymi uśmiechem, całkowicie skupione na pochłanianiu kolejnych porcji kiepskiego jedzenia. Po lewej rozlokowali się polscy wczasowicze. Hałaśliwi, rozgadani. Być może nerwową paplanią chcieli zagłuszyć strach. Byłem pewien, że ostatnie wydarzenia wzbudziły w nich lęk. Może nie paniczny, ale jednak. Nieustannie krążyli od stolików do szwedzkiego stołu. Jedzenie nie było najlepsze, ale miało niezaprzeczną wartość – było wliczone w cenę pobytu. Trzeba więc było korzystać z darmoszki.

Zanim zdołałem dostrzec Kiełbasów, usłyszałem gromkie: „Konrad! Konrad!”. W małym ciele wielki głos. Staszek wstał od stolika ustawionego tuż przy panoramicznych oknach i pomachał do mnie. Podszedłem i się przywitałem. Śniadali całą rodziną. Gośka popatrzyła na mnie z wyraźną niechęcią. Córa nie raczyła popatrzeć na mnie wcale. Nie zdziwiłem się. Bez wątpienia na ekranie smartfona miała ciekawsze rzeczy do oglądania. Podejrzywałem, że Kiełbasowa nie pała do mnie przesadną sympatią. Co też nie było dla mnie zaskoczeniem. Prawdopodobnie uważała, że albo jestem lekkim debilem podobnie jak Staszek, skoro niby się kumplujemy od lat, albo zwyczajnym bucem, który nie umie znaleźć się w towarzystwie. Trzeciej opcji raczej nie było.

Spytałem kolegę, czy widział gdzieś Pana Pekaesa. „Jakiego Pana Pekaesa?”, zdziwiła się Gośka. Szanowny małżonek obiecał, że wszystko jej wyjaśni. Nie wątpiłem, że czeka ją wysłuchiwanie długiego monologu pełnego niekoniecznie prawdziwych informacji i całkowicie zbędnych wtęrotów. Wskazał głową w kierunku ogródka, w którym stoliki roz-

stawiono w cieniu drzewek pomarańczowych. Obiecałem, że później do niego zadzwonię. Obietnicy nie zamierzałem dotrzymać. Jedna marudząca i upierdliwa osoba dziennie w zupełności mi wystarczała.

Stanąłem w drzwiach sali jadalnej. Powiodłem wzrokiem po ogródku. Pan Pekaes siedział przy dwuosobowym stoliku zastawionym talerzami, talerzykami i filiżankami. Gość ewidentnie lubił sobie podjeść. Było to po nim widać. Miał podwójny podbródek i pulchne policzki. O ile policzki w ogóle mogą być pulchne. Rzadkie włosy sterczały mu tak samo, jak absurdalne bokobrody. Miał kartoflany, zaczerwieniony nos pokątnego pijaka i wydatne usta wyglądające niczym pysk egzotycznej ryby. Dlaczego egzotycznej? Tak mi się skojarzyło. Równie dobrze mógłby to być pocziwy, rodzimy karp. Jednak Pan Pekaes na pocziwca nie wyglądał. Nie podobał mi się wcale a wcale. Jednak nie chciałem się nastawiać do niego negatywnie. Bez wątplenia nie powinienem, jeśli liczyłem na sensowną pogawędkę.

Podszedłem do stolika, przedstawiłem się i spytałem, czy może ze mną zamienić kilka zdań. W teatralnie powolny sposób rozejrzał się dookoła, lustrując wzrokiem puste stoliki. Potem na moment spojrzął na krzesło naprzeciwko tak, jakby ktoś tam już siedział. Dla mnie niewidzialny. Widmo nieistniejącego przyjaciela. Albo przyjaciółki, która całkiem niedawno rozstała się z ziemskim łez padołem. Wydał z siebie dziwny dźwięk. Coś między westchnieniem a chrząknięciem. Przeszkadzałem mu. Nie zamierzał ukrywać swojego niezadowolenia.

– Ale o co się rozchodzi? – zapytał i sapnął, jakby mówienie go męczyło. Niewykluczone, że tak właśnie było.

– Jestem prywatnym detektywem...

– Taaa... A ja Bondem. Jamesem Bondem – wbił mi się w zdanie.

Chciał mnie zbyć. W sposób jawny i niezbyt finezyjny. Za czasów policyjnej służby sprawa byłaby prosta. Zamachałbym błachą, pogroził wycieczką na komendę. Działo w zdecydowanej większości przypadków. Teraz musiałem postępować inaczej. Pomyślałem, że drobny szan-

taż nigdy nie zaszkodzi. Sprawdzał się w policyjnej robocie, sprawdzi się i teraz.

Bez zaproszenia usiadłem naprzeciwko niego, ignorując złe spojrzenie. Poprzesuwałem porostawiane na stoliku talerzyki. Taka mała, acz agresywna ingerencja w jego przestrzeń osobistą. Spokojnym głosem zacząłem przemowę:

– Posłuchaj, chłopku roztropku... – Właściwie nie powinienem mu z lekka ubliżać, ale nie umiałem się powstrzymać. – Prędzej czy później zjawi się tu ktoś z kraju. Policjant. Najprawdopodobniej będę go znał. A nawet jeśli nie, będziemy mieć wspólnych kumpli. Takie środowisko. Naprawdę chcesz, żebym mu opowiedział o tobie kilka nieprzyjemnych rzeczy? Mogę nawet nałgać. Nie mam z tym problemu. Za to bez wątpienia ty będziesz miał kłopoty.

Pan Pekaes wciąż posapywał, patrząc na mnie z nienawiścią. Nieskrywaną. Nie ruszało mnie to. Nie tacy jak on próbowali zabić mnie wzrokiem. Miałem tylko nadzieję, że nie zejdzie na zawał. Upał połączony z silnymi emocjami mógł z łatwością rozłożyć nawet zdrowego człowieka, a Pan Pekaes nie wyglądał kwitnąco.

– Zaczniemy pogawędkę od nowa? W bardziej przyjacielskiej atmosferze? Konrad Rowicki, prywatny detektyw.

– Karol Otrębowski. Nie powiem, że mi miło. – Hardy typ. Lubię takich. Przynajmniej można liczyć na ciekawą wymianę zdań. – Mogę zobaczyć jakąś legitymację czy coś?

Podniosłem się z krzesła. Wskazałem na moje czarne szorty. Bez kieszeni.

– A gdzie niby miałbym ją nosić? – zadałem pytanie retoryczne.

– Dobrze, uznajmy, że jesteś prywatnym detektywem. – Ostatnie dwa słowa zaakcentował tak, że wprost biło z nich powątpiewanie graniżące z pewnością, że lżę jak pies. – To kto cię niby wynajął i po co?

Nie podobało mi się, że to on odpytuje mnie, a nie ja jego. Czas najwyższy, by przejąć inicjatywę.

– Kto, to tajemnica zawodowa. A po co, pewnie się domyślasz.

Nie odpowiedział. Bezwiednym ruchem chwycił leżącą na talerzu połówkę słodkiego rogalika i zaczął go metodycznie masakrować, rwąc na niewielkie strzępy.

– Opowiedz mi o Nataszy Dworzak.

– O kim?

Jeśli postanowił rznąć głupa, kiepsko mu to wychodziło.

– Tylko nie mów, że nie kojarzysz, o kogo chodzi. Wszyscy widzieli, że trzymacie się razem.

Ci wszyscy to był jedynie Staszek, który zwykł z lubością wtykać nos w nie swoje sprawy. O tym Pan Pekaes nie musiał jednak wiedzieć.

– Plotkarze – syknął. – Na pobycie tutaj w większości są pary albo większe grupki. Tak jak zwykle. A ja nie mam przyjemności z zaprzyjaźniania się z byle kim. – Czego jak czego, ale poczucia własnej wartości panu z niedzisiejszym zarostem nie brakowało. – Ja jestem sam, Natasza jest... to znaczy była sama. To i spędzaliśmy razem trochę czasu. A co, nie można?

– Jak mawia moja babka, krynica wszelkiej mądrości: wszystko można, byle z ostrożna. Co robiliście?

– Nic specjalnego. Zwykle jedliśmy przy jednym stoliku, kiedy zdarzyło nam się zejść na posiłek o tej samej porze. Byliśmy razem, ale to już w większej grupie, na wycieczce na Olimp. Raz poszliśmy na kolację do knajpy do wioski. I tyle. Zwykła wakacyjna znajomość.

– Rozumiem, że Natasza też nie przepadała za większym towarzystwem.

– No, nie bardzo. To nas zbliżyło. Z Nataszą przyjemnie się rozmawiało. Była taka wyciszona i nieinwazyjna.

Z dużą dozą prawdopodobieństwa mogłem sobie wyobrazić ich „rozmowy”. Pan Pekaes tokował, Natasza uśmiechała się tajemniczo i raz na piętnaście minut udawało jej się wbić z jakimś pytaniem czy zdaniem. Pojedynczym.

– Jak bardzo zbliżyło?

– No nie, wypraszam sobie. – Jego oburzenie wyglądało na szczere. – To właściwie była biedna dziewczyna. Samotna, trochę zahukana, niezbyt przebojowa. Ale bardzo inteligentna i miła.

A ty, robaczku, wcale samotny i niespecjalnie szczęśliwy nie jesteś, bo żyjesz w udanym stadle z psem albo kotem. Stawiałem na kota, który w zimowe wieczory mile grzał brzuszysko Pana Pekaesa.

– Zauważyłeś może, czy Natasza jeszcze z kimś się tu zaznajomiła?

– Chyba nie. Ona lubiła być sama. Na spacer, na plażę zwykle wybierała się sama. Mówiła, że tak woli.

– A w dzień, w którym zginęła?

– Chodzi ci o coś konkretnego?

Brak ćwiczeń nie popłaca. Za policyjnych czasów nigdy nie zadałbym rozpytywanemu tak niekonkretnego pytania.

– Widziałeś się tego dnia z Nataszą?

– Tak, dwa razy.

– Kiedy?

– Najpierw przy śniadaniu. Potem zjedliśmy razem kolację w hotelu.

– Poza porą posiłków nie widzieliście się?

Pan Pekaes zawiesił na mnie ciężki wzrok. Chrząknął, jakby zaschło mu w gardle. Zresztą wydawał z siebie sporo nieartykułowanych dźwięków, przez co sprawiał wrażenie jeszcze bardziej obleśnego, niż był w rzeczywistości. Przynajmniej dla mnie.

– A w ogóle muszę o tym mówić?

– Oczywiście, że nie. – Wyszczrzyłem się w amerykańskim uśmiechu. – Ale z czystym sumieniem możesz. Mam nadzieję, że z czystym. Pomyśl raz jeszcze o sieci powiązań między policjantami a detektywami.

Parsknął, bryzgając przed siebie kropelkami śliny. Na szczęście żadna nie doleciała do mojej twarzy.

– Niech będzie – zgodził się, ale takim tonem, żebym poczuł, że właściwie robi mi łaskę. Wielką. – W dzień głównie nurkowałem. Bo lubię,

jeśli cię to interesuje. Natasza wolała nie wystawiać się na słońce w środku dnia. Mówiła, że ma nadwrażliwą skórę czy coś. Nie wiem, co robiła. Nie pytałem o to przy kolacji. Proponowałem wyjście do wsi, do knajpy na jakieś wino. Mówiła, że głowa ją boli, że poczyta w pokoju. Później już jej nie widziałem.

– Sam poszedłeś do Arkoudi?

– A niby z kim? Nie potrzebuję non stop towarzystwa. A przynajmniej nie na siłę.

Oczywiście, że nie potrzebował. Picie w pojedynkę ma swoje plusy. Nie trzeba wysilać się, żeby podtrzymywać konwersację. Nikt nie liczy, ile jednostek alkoholu wprowadzasz do organizmu. Kilka szybkich bomb, zmieszanie wina z piwem czy wódką i lulu spać. Doskonały pomysł na błyskawiczne zamknięcie dnia. Jednak niezbyt dobry patent na alibi. Pan Pekaes mógł pójść za Nataszą do pokoju, mógł ruszyć za nią gdziekolwiek. Choćby na czarne skały. Ale czy to zrobił? Trudno mi było rozstrzygnąć, jednak sądziłem, że nie. Był bucem, ale nie zabójcą. Chyba.

– A potem co robiłeś?

– Wypiłem kilka piw i ze dwa liskacze. – Pomyślałem, że pewnie należałoby to przemnożyć przez dwa. Jeśli nie trzy. Gość się nie oszczędzał. Po tak intensywnym wieczornym maratonie pewnie szybko poze-głował do hotelu. Halsem. – Wróciłem do hotelu i poszedłem spać. Ale... Czy ty mnie, kurde, o coś podejrzewasz?

Zrobiłem niewinną minę, miałem to opanowane do perfekcji, i roz-łożyłem ręce w pojednawczym geście.

– Nikogo i o nic nie podejrzewam. Tylko stawiam pytania. I słucham odpowiedzi. Taka praca.

Nie pytając o pozwolenie, zapaliłem papierosa. W końcu byliśmy na powietrzu. Pofukał trochę, pokręcił się na krześle. Nie skomentował ani nie zaprotestował.

– Jak myślisz, co Natasza robiła nocą na skałach? – zapytałem.

– A co ja, jej anioł stróż?

Punkt dla niego. Zadałem dosyć kretyńskie pytanie. Ewidentnie wyszedłem z wprawy.

– Mogła tam pójść sama po zmierzchu? – drążyłem.

– Lubiła samotne spacerować. Tak mówiła. I że ją to odprężyła. Więc mogła, jak najbardziej. Ale była ostrożna, z tych, no wiesz, bardziej bojących się. Nie sądzę, że poszła nocą na skały, żeby podziwiać gwiazdy. Równie dobrze mogła je oglądać z balkonu.

Co on z tymi gwiazdami? Rozważny i romantyczny?

– Mogła tam pójść z kimś?

Prychnął niczym koń niecierpliwie czekający na obrok.

– A niby z kim?

Dobre pytanie. Żaden z nas nie miał na nie odpowiedzi. Ani dobrej, ani złej. Jakiegokolwiek.

Na odchodne popytałem jeszcze o wykonywane przez nich zawody. Nie musiałem, ale zwyciężyła próżna ciekawość. Poza tym codzienne zajęcia zawsze mówią co nieco o człowieku. Pan Pekaes obruszył się, co to mnie właściwie obchodzi. Powiedziałem, jak zwykle w takich przypadkach, że interesuje mnie wszystko, bo nigdy nie wiadomo, jaka informacja okaże się potrzebna czy nawet kluczowa. Nie wiem, czy zrozumiał, ale przynajmniej przyjął do wiadomości. Natasza była księgową. Mój uroczy rozmówca sprzedawał ubezpieczenia. A nie wyglądał. Nie kupiłbym od niego niczego, nawet sznurówek za złotówkę. I nawet gdyby obiecywał mi Bóg wie jakie profity. W niepewnej przyszłości. Jednocześnie miał gadane, więc może udawało mu się skutecznie głuszyć klientów i wychodzić na swoje. Albo zwyczajnie zamęczał ich gadką.

Zapowiedziałem mu, że niewykluczone, że jeszcze będę chciał z nim porozmawiać. Odparł, że nie zamierza na kolejną pogawędkę ze mną czekać z utęsknieniem. Na moje „do widzenia” ledwie coś odburknął, a potem zaczął wpychać sobie do ust porwane kawałki rogalika. Chyba go jednak trochę zestresowałem.

Sala restauracyjna opustoszała. Obawiałem się, że Staszek czatuje na mnie za węgłem, ale gdzieś zniknął. Razem z rodziną. Może Gośka

zarządziła obowiązkowy udział w rodzinnych atrakcjach. Oby na długo. Zastanawiałem się, co robić dalej. Z tego, co powiedział Pan Pekaes, wynikało, że tutaj, na miejscu, nie za bardzo mam już kogo pytać o Nataszę. Chyba że rezydentkę. Nie sądziłem jednak, żeby wchodziła w bliższe relacje z turystami. Pewnie nie miała na to czasu. A i ochoty.

Postanowiłem wrócić do ledwie tkniętego tematu trupa numer jeden. Filip Zawadzki. Lekarz, który – wedle słów Kielbasy – pił jak furman. I zapewne liczył się z możliwością zapadnięcia na marskość wątroby. Za to bez wątpienia w najdzikszych alkoholowych koszmarach nie roił, że skończy w greckim bagnisku. Podjąłem kolejną próbę rozmowy z jego żoną. Pukałem, stukałem i nic. Zza zamkniętych drzwi, sprawdziłem, naciskając klamkę, nie dochodziły żadne dźwięki. Pewnie naćpała się leków uspokajających. Albo nachlała. Być może i jedno, i drugie. Przez moment rozważałem, czy nie powinienem wyważyć drzwi, które nie wyglądały na przesadnie solidne, i sprawdzić, co się dzieje ze świeżą wdową. Uznałem, że to kiepski pomysł. Zapewne musiałbym się tłumaczyć, co tu robię. I dlaczego niszczę mienie hotelowe. A tego nie chciałem.

Przechodząc przez hol przy recepcji, zobaczyłem siedzącą na fotelu rezydentkę. Wyglądała tak samo jak wczoraj. Mocno nieszczególnie. Podszedłem do niej. Spojrzała na mnie mętnym wzrokiem. W pierwszej chwili chyba mnie nie poznała. Też leciała na jakichś chemicznych dopalaczach? Niewykluczone. Powiedziałem, że powinna sprawdzić, co dzieje się z panią Zawadzką, jeśli nie chce kolejnych problemów na tym nieszczęsnym turnusie. Pokiwała głową. Nie powiedziała nic. Nie byłem pewien, czy coś do niej dotarło, ale uznałem, że swój obowiązek spełniłem. Z nawiązką. Żeby odhaczyć temat, zapytałem jeszcze o Nataszę. Czy rezydentka cokolwiek o niej wie? Powiedziała, że nie zamieniła z nią choćby słowa i że aż do wypadku prawie w ogóle jej nie kojarzyła. Dowiedziałem się, co już wiedziałem.

Po wyjściu z hotelu pierwsze kroki skierowałem w stronę basenu. Kombinowałem, że jeżeli Filip chlał, zapewne szukał kompanów do kie-

liszka czy szklaneczki. A klub nieanonimowego wczasowicza alkoholika skupiał się przy barze koło basenu. Jak sądziłem, mogłem się tam dowiedzieć, gdzie i co takiego zwykł porabiać Zawadzki w Arkoudi. I zapewne bym się dowiedział, bo dojrzałem kilku Polaków, których twarze już kojarzyłem, ulokowanych na plastikowych fotelach koło barku. Ze szklaneczkami na podorędziu. Jednak poczułem, że najpierw muszę odwiedzić zupełnie inne miejsce. Drobnymi pijackowie mi nie umkną. Nic nie wskazywało, że szybko skończą biesiadę pod słońcem Południa. Zapaliłem papierosa i zrobiłem zgrabny w tył zwrot.

Odnosiłem wrażenie, że upał laskocze mnie po plecach i brzuchu. Ale były to strumyki potu płynące po skórze. Wsiąkały w i tak już mokrawą koszulkę. Albo skapywały na czarną skałę. Kto wie? Stałem właśnie na niej. Uznałem, że jeśli zobaczyłem miejsce odnalezienia zwłok Filipa, powinienem też odwiedzić to, gdzie odkryto ciało Nataszy. Nie byłem przekonany, że ma to sens. Policyjni profilerzy przekonywali, że jak najbardziej. Że miejsce zbrodni albo wypadku przemawia. Trzeba jedynie tę opowieść usłyszeć. Albo pociągnąć za właściwą nitkę, która naprowadzi na wątek istotny dla śledztwa. Czasami decydowałem się posłuchać mądrzejszych ode mnie. Właściwie z rzadka. Co być może było błędem.

Zupełnie dla mnie niespodziewanie przypomniałem sobie o profilerze Heintzu. Co tam profilerze! Prawdziwej gwiazdzie profilowania, świecącej pełnym blaskiem na cały kraj. Dwa lata temu obiecał, że poinformuje mnie, jeśli rozgryzie psychopatycznego zbrojnego, ostatniego, którego wpakowałem za kraty w trakcie mojej wątpliwej kariery w policji. Heinz nie zadzwonił, nie napisał. Prawdopodobnie zapomniał o obietnicy złożonej w Ciechanowie. Albo gnoja nie złamał. Było to możliwe. Zresztą co mnie to wszystko obchodziło. Choć właściwie powinno. Przez sprawę tego pojeba musiałem zwolnić się z policji. Czy na pewno? Jeśli nie on, trafiłby się jakiś inny typ, kolejny wątpliwy case, który stałby się gwoździem do trumny. Czy raczej trumienki mojej służby. Niespecjalnie czynnej i oddanej sprawie. Już jakiś czas temu dojrzałem do tego, by

rozstać się z policją. Tyle że nie byłem tego do końca świadomy. Sprawa samobójstw nastolatek zadziałała niczym katalizator, który przyspieszył zapoczątkowany już proces. I dobrze. Nie zamierzałem płakać z tego powodu.

Rozejrzałem się dokoła. Walające się tu i ówdzie resztki policyjnej taśmy. Plamy na skałach, które mogły być pozostałościami krwi Nataszy. Dwa dni temu patrzyłem na to miejsce z oddali, widziałem krzątających się policjantów i techników. Teraz stałem w samym środku ogrodzonego wcześniej kręgu. Nie doznałem nagłego oświecenia, nie znalazłem nitki, która odkryłaby wątek opowieści o samotnej kobiecie, która już nie żyła. Miejsce do mnie nie przemawiało. Natasza mogła tu przyjść sama, ale mogła też z kimś. Równie prawdopodobne było, że ktoś zataskał ciało na skały, chcąc upozorować wypadek. Brakowało mi podstawowych informacji. Właściwie zamiast chodzić i pytać o wypadki-przypadki Filipa oraz Nataszy, mógłbym powróżyc z fusów albo kart. Efekt byłby porównywalny.

Spojrzałem w stronę plaży. Prawdę powiedziawszy, oględziny czarnych skał stanowiły jedynie pretekst, żeby znaleźć się blisko plaży. Blisko Pauliny. Ale niezbyt blisko. Nie chciałem się do tego przyznać sam sobie. Jednak tak było. Udawanie, że jest się nieświadomym czegoś, co jednak w głębi świadomości tkwiło, było elementem subtelnej strategii samooszustw. Stosowałem ją od lat. Wszystko wskazywało na to, że związek z Pauliną niewiele w tym względzie zmienił.

Poszukałem wzrokiem miejsca, w którym zazwyczaj rozkładaliśmy plażowy majdan. Ciekawe zjawisko... Człowiek przychodzi w pewne miejsce na plażę czy gdziekolwiek indziej, a w następne dni tam powraca. Moje miejsce? Moja ławka, moje krzesło? Zaklepane! Kwestia osvajania przestrzeni? Prawdopodobnie. Nie dostrzegłem Pauliny. Osłoniłem dłonią oczy i zacząłem dokładnie lustrować plażę. Zalała mnie nagła fala paniki. Zniknęła. A jeśli coś jej się stało? Zaraz potem... A jeśli z kimś poszła? Na złość mnie i sobie. W końcu, co ja wiedziałem o psychologii i behawiorach bardzo młodych kobiet? Pewnie równie

mało co o psychologii i behawiorach kobiet w ogóle. Panika płynnie przeszła w strach. Zacząłem szybko schodzić ze skał w stronę plaży.

Wtedy ją zobaczyłem. Wyszła z wody. I znowu przywiodła mi na myśl boginię. Odetchnąłem z ulgą i sięgnąłem po przypiętą do paska komórkę. Zastygłem z palcem uniesionym nad klawiaturą. Zadzwonię do Pauliny, ale później.

Tak jak zakładałem, basenowe towarzystwo wielbicieli trunków prostych trwało na posterunku. Byli teraz ulokowani przy płytszym brzegu, z całą baterią szklanic z piwem pod ręką. Był też z nimi, niestety, Staszek. Na mój widok wyskoczył z wody. Przyszła mi na myśl fraza: „wyskoczył szparko”. Że też jeszcze pamiętam takie starożytnie słówka. Kielbasa zaczął się otrząsać z wody niczym młody źrebak. Z tym młodym przesadziłem.

– No, cześć, no – strzelał słowami niczym z kałacha. – No, gdzie byłeś? Czemu nie dałeś znać? Miałeś dzwonić. Ja, no to ja dzwoniłem i nic. Po prostu nic.

Dzwonił, faktycznie. Zignorowałem jego próby połączeń. Nigdy nie miałem z tym problemów ani wyrzutów sumienia z tego powodu, więc tylko wzruszyłem ramionami.

– I co tam, co robiłeś? Coś już wiesz?

– Wiem, że nic nie wiem, i dzięki temu jestem bez wątplenia szczęśliwszy – wypaliłem.

– O czym ty do mnie opowiadasz?

Chyba jednak praca przedstawiciela handlowego trochę wypaczyła mu styl. A może zawsze tak koślawo mówił? Nie pamiętałem.

– Nieważne. Chcę pogadać z twoimi koleżkami od kielicha.

– To nie są, to nie koledzy. Znajomi raczej, no wiesz, jak to na wakacjach.

Nigdy na wakacyjnych wyjazdach, nielicznych, nie szukałem towarzystwa przygodnych znajomych. Nie zamierzałem jednak zgłębiać

natury wypoczynkowych rytuałów towarzyskich.

Najpierw poszedłem do baru po piwo. Nie będę przecież prowadzić rozpytania o suchym pysku. W końcu nie byłem na służbie. A jeśli już, to jedynie na służbie wątpliwej prawdy. I prywatnych zobowiązań. Z pokalem w dłoni usiadłem przy basenie. Znajomkowie Staszka skupili na mnie szklisty wzrok. Bez wątpienia nie byli trzeźwi. Przypomniiał mi się refren rzewnej pieśni: „Alkohol ma dobre, ale też złe strony...”. Po pijaku mogli być bardziej rozmowni, skorzy do zwierzeń i powtarzania plotek. Równie dobrze mogli jednak posuwać farmazony. Zobaczy się, pomyślałem bez zbytniego optymizmu. Poczułem, że słońce wypala mi włosy na czubku głowy. Wstałem i przyciągnąłem nad basen spory knajpiany parasol. Nie pytałem o zgodę. Nikt nie protestował. W cieniu było zdecydowanie lepiej. Upiłem łyk miejscowego sikacza uchodzącego za piwo. Nie polewali tu Mythosa, tylko Pils Hellas. Też nic szczególnego. Żeby zmienić smak w ustach, zapaliłem.

– Niech pan tu mi nie pali – zachnął się brzuchacz z rozległą łysiną i cienkim wąsem.

Wyglądał trochę jak leciwy mors. I podobnie sapał. O ile morsy sapią. Zignorowałem go, choć starałem się nie wydmuchiwać dymu w jego stronę. Zwizualizowałem sobie tabliczkę z napisem: „Nie drażnić morsów!”.

Przedstawiłem się, po raz kolejny zgodnie z wymyśloną legendą powiedziałem, że jestem prywatnym detektywem. Nawet zacząłem się oswajać z tym mianem. Staszek ochoczo potwierdził, że mnie wynajął, dumnie prężąc pierś niedokarmionego kurczaka z bezściółkowej hodowli. Znajomkowie Kiełbasy zaczęli się podśmiewać i wykrzywiać w ironicznych uśmiejach. Co tu kryć, w Polsce profesja prywatnego detektywa nie cieszyła się przesadnym poważaniem. Różni detektywi Rutkowski już o to się postarali.

– I co pan tu właściwie robi? Chroni i broni? – z przekąsem zapytał naželowany typ, który ewidentnie przesadzał z treningami na siłowni. Albo zawierzył w moc sterydów.

– Pan to chyba ochrony nie potrzebuje. – Ni to spytałem, ni stwierdziłem. – Próbuję tylko wyjaśnić, czemu ludziom z waszej grupy przydarzyły się wypadki.

Napakowany już otwierał usta, żeby mi odpowiedzieć, ale Staszek go uprzedził. Przedstawił mi czterech muszkieterów z basenu. Zanim skończył, już nie pamiętałem, jakie mają imiona i nazwiska. Taka skaza. Od zawsze miałem problemy z zapamiętywaniem personaliów. Nie pomagało to w policyjnej robocie. Ale od czego był notatnik w szkocką kratę, który jakiś czas temu trafił do szuflady mojego biurka. Jak sądziłem, była to ostateczna lokalizacja. Może się jednak myliłem.

Jedynie nijaki człowieczek w rogowych okularach na garbatym nosie wyciągnął rękę na powitanie. Zdusiłem peta na talerzyku, który robił za popielnicę. Uścisnąłem jego dłoń. Wiotką. Doskonale pamiętałem nauki Felicji: „Nigdy nie ufaj mężczyznom, którzy na powitanie podają dłoń niczym śniętą rybę”. Święta racja.

Uznałem, że Staszekowa prezentacja zwalnia mnie ze sztywnych form towarzyskich. Nie chciałem im mówić na pan. I nie musiałem się ceregielić. Proste, szybkie rozpytanie.

– Kojarzycie Filipa Zawadzkiego?

Żaden z nich nie potwierdził. Ale też nie zaprzeczył. Widząc komunikacyjny pat, mój kolega przejął pałeczkę.

– Czasami, no bywało, że siedział tu z nami na basenie.

Jak na moje oko, temu towarzystwu chodziło nie tyle o taplanie się w wodzie, ile o bliskość dobrze zaopatrzonego barku. Ale nie sprostowałem. Niech mówią, co tylko im ślina na język przyniesie. To była dobra strategia przesłuchań. Dać się delikwentom wygadać.

– Kawał złamasa – wycedził mors.

Pociągnął ze szklancicy hojny łyk. Nie kłopotał się wycieraniem wąsów z piany.

Zdaje się, że w tym samczym towarzystwie nie obowiązywała powszechna zasada, że o zmarłych albo dobrze, albo wcale.

– Nie da się ukryć – potwierdził absolutnie bezbarwny typ. Chodzący człowiek bez właściwości. Istny Pan Nikt.

– Kilka razy tu z nami przesiadywał – dorzucił napakowany. – Ale go to chyba średnio bawiło. Podobnie jak nas.

– Dlaczego? – zapytałem, by nieco przyspieszyć tok zwierzeń.

– Bo to taki był, co wyżej sra, niż dupę ma – doprecyzował wąsacz.

Ta krótka charakterystyka bez wątpienia spodobałaby się mojej babce.

– Wielki pan chirurg – kontynuował mors. – Ciągłe gadał o robocie. Szczególnie, jak był napity. A łoł od śniadania.

– Albo i wcześniej – dorzucił Staszek.

– Albo i. W jakiej prywatnej klinice robił. Takiej, wiesz, dla VIP-ów. I w koło Macieju opowiadał, kogo to nie rezał. Polityków, artystów. Taka niby w sensie gwiazda skalpela.

Zarechotał. Koledzy dołączyli. Rozbawiony chór wujów.

– Głównie to jednak przesiadywał z taką jedną blondyną. Nie powiem, niezła dupa – powiedział nażelowany.

– Kalina – doprecyzował Kielbasa, najlepiej poinformowany człowiek w okolicy. Nie wątpilem, że wiedział, co mówi.

– A ona tu była sama? – drażyłem.

– Z mężem – odezwał się okularnik.

– To chyba przesiadywali we czwórkę? Filip z żoną i Kalina z mężem.

Znowu usłyszałem chóralny rechot. Właściwie rechocik.

– No, no nie zawsze – Staszek postanowił wykazać się w tej turze komunikacyjnej. – Podobno ten cały Filip znał się z nią jeszcze ze szkoły. Z liceum.

– A wiadomo, stara miłość nie rdzewieje – wtrącił się mors.

– Jaka tam miłość, nikt o takich rzeczach nie mówił – zaperzył się Kielbasa. – Ale fakt, że widywało się ich razem. Dosyć często.

– A co robił mąż Kaliny? – Chciałem w miarę możliwości poustawić sobie osoby dramatu, potencjalnego, w wakacyjnej figurze. Wielokąt-

nej, jak się okazało.

- A to dopiero buc do kwadratu - ocenił paker.

Zdaje się, że chłopcy z basenu nie pałali przesadną miłością do świata i ludzi. Typowi chrześcijanie z Polski.

- Jakiś niby-biznesmen - ciągnął opowieść o mężu Kaliny - ale właściwie to nie wiem. Z nikim tu specjalnie nie gadał. Kolejny nadęty. Już pierwszego dnia wynajął sobie samochód...

- A tanie to nie jest - wtrącił się Staszek. - Czy ty wiesz - zwrócił się do mnie - że tu chcą kilka setek euro kaucji za jakiegoś japońskiego rzeźcha, który ledwie jeździ? I on jeździł tu po okolicy, zabytki pewnie oglądał. Czasami z żoną. Ale głównie sam.

- Nie wiecie, czy oni razem, całą czwórką zafundowali sobie greckie wczasy? Czy przypadkiem się tu spotkali?

- A to akurat ciekawe - stwierdził Pan Nikt i zamilkł.

Mors wyrwał się do odpowiedzi:

- Podobno to przypadek. Chirurg tak mówił. Wygrali te wakacje w jakiejś promocji czy konkursie. Nie pamiętam dokładnie, co tam zabredzał. I on, i ta Kalina wygrali.

- Wy też? - spytałem.

- A gdzie tam. - Okularnik machnął ręką, opryskując wszystkich dookoła kroplami wody. - Wiadomo, jak ktoś ma dużo, dostanie jeszcze więcej. My tu po normalnych stawkach.

W tym potocznym stwierdzeniu było nieco racji. Sam byłem tego świetnym przykładem. Nigdy nic nie wygrałem, nigdy nic cennego nie dostałem za darmo. Inna sprawa, że aby coś wygrać, trzeba by zagrać. A tego nie robiłem. Felicja od dzieciństwa wbijała mi do głowy, że jeśli sam nie zarobię, nikt mi nic nie da. Miała rację.

Pomyślałem, że czegoś naprawdę konkretnego o świętej pamięci Filipie mogę się dowiedzieć jedynie od Kaliny. Bo raczej nie od zawistnych złośliwców z basenu. Spróbowałem więc dowiedzieć się, jak dobrze są poinformowani:

- A nie wiecie, gdzie ta cała Kalina może teraz być?

Czterech jak jeden mąż pokręciło głowami. Ale był jeszcze Staszek. Niezawodne źródło informacji. Potrzebnych i niepotrzebnych.

- Teraz to nie bardzo - mówił. - Pojechali na wycieczkę do Kastro.

- A skąd ty to niby wiesz? - Pan Nikt nie krył się ze sceptycyzmem.

- Przypadkowo słyszałem, jak rozmawiali przy śniadaniu.

Przypadkowo, jasne. Kielbasa był lepszy niż profesjonalny sprzęt do podsłuchu.

- A co tam w Kastro jest? - zainteresował się naželowany. - Jakaś lepszejsza plaża?

- Zamek.

- Zamek? - Szczerze zdziwił się mors. - A ja myślałem, że oni tu mają tylko świątynie, kolumny i tego rodzaju badziewie. Ciekawe...

Pewnie, że ciekawe, ale ty się o tym nie przekonasz, bo nie ruszysz grubego zadu z basenu aż do końca turnusu. Plan wczasowania chłopców z basenu niespecjalnie mnie zajmował. Za to zainteresował mnie zamek w Kastro. Miałem plan. Na później.

Postanowiłem, że Kalinę i jej męża spróbuję złapać przy kolacji. Teraz jeszcze chciałem wycisnąć z moich uroczych rozmówców, ile się tylko da. Zapytałem:

- Filip łąził sam po okolicznych knajpach?

- Ja go zawsze widziałem z kimś - zeznał okularnik.

- Z żoną albo z blondyną - dorzucił Pan Nikt. - A czasami z obiema.

- Jak dla mnie - zaczął mors - on nie był z tych, co chłają do lustra. Lubił sobie pogadać przy kielichu.

- No, jadaczka mu się nie zamykała - potwierdził napakowany.

- Macie może jakiś pomysł, co mógł robić na tych bagnach?

- Okłady?! - rzucił mors i sam się roześmiał ze swojego przedniego dowcipu.

Miałem już dosyć wesołej męskiej gromadki. Odfajkuję jeszcze temat Nataszy i pożegnaj się bez żalu, pomyślałem.

- A kojarzycie tę, która zginęła na skałach?
- Tyle o ile - rzucił enigmatycznie Pan Nikt.
- Błada - doprecyzował paker.
- Co proszę? - Zdziwiłem się.
- Tak ją nazywaliśmy.
- Bardziej chyba mimoza. - Zadumał się okularnik.

Staszek jak zwykle nie potrafił zbyt długo trzymać gęby na kłódkę, którą, zdaje się, zgubił lata temu. Razem z kluczem. I nie miał zamiaru szukać.

- Ona nie przychodziła na basen. Już ci przecież mówiłem. - Byłem pełen podziwu, że Kielbasa na tyle kontroluje swój słowotok, że potrafi zapamiętać, co mówił, a czego nie. I komu. Alzheimer chyba mu nie groził. - I mało, mało z kim gadała. Właściwie tylko z tym grubaskiem z bokobrodami.

- To te chaszczce na jego polikach tak się nazywają? - Zdziwił się mors.

Staszek machnął ręką.

- I ona, ona była dziwna.
- Jaka tam dziwna - wtrącił się mors. - Zwyczajnie jebnięta.

Znowu wyszczerzyli się w uśmiechach.

- Ciągle wyglądała na taką bardziej nieprzytomną. Jakby niewyspaną czy coś - dokończył Staszek.

- Pewnie ćpała - podsumował Pan Nikt.

- Na mur-beton! - Paker nie miał wątpliwości. - Pewnie za bardzo przyćpała i zjebała się z tych skał.

Nie ma to jak proste i łatwe wytłumaczenie. Pewnie można było kwestię rzekomego ćpania Nataszy szybko zweryfikować. Wystarczyło mieć dostęp do badań toksykologicznych. Na co absolutnie nie mogłem liczyć. Miałem też pewne wątpliwości, czy greccy policjanci takie badania zlecieli. Zależy, jaką strategię przyjęli. Czy chcieli się dowiedzieć, co rzeczywiście wydarzyło się na czarnych skałach, czy też zamierzali

zamieść sprawę pod dywan. Podejrzywałem, że postawili na to drugie. Trupy w kurorcie nie są dobrą reklamą. O morderstwach nie wspominając.

Było jeszcze drugie rozwiązanie. Może Pan Pekaes wiedział o tab-sach, które mogła przyjmować Natasza. Mogła mu coś napomknąć. Albo łykać przy śniadaniu. Może to jakieś niewinne leki na chorobę, o której nie wiem? Które nieco zaburzają percepcję i funkcjonowanie na co dzień? Możliwości było wiele. Także taka, że Pan Pekaes powie, że nic nie wie. Albo żebym się walił.

Dopiłem piwo, pożegnałem się z wesołą ferajną z basenu, mając nadzieję, że już nigdy nie będę musiał ich oglądać, odpędziłem Staszka, który koniecznie chciał ze mną porozmawiać.

Ruszyłem w stronę wioski. Jako się rzekło, miałem plan.

Cierpliwość straciłem dobre kilka minut wcześniej. Teraz narastał we mnie wkurw. Czysty jak powietrze po burzy. Przemawiałem do taksjara we wszystkich znanych mi mniej lub bardziej językach, a ten nieodmiennie rozkładał ręce w geście aż nazbyt zrozumiałym i wyrzucał z siebie serie krótkich zdań. Po grecku. Spojrzałem w stronę tawerny. Jak na złość nie dostrzegłem zaprzyjaźnionego kelnera, który mógłby posłużyć za tłumacza. Jak pech, to pech. W końcu szoferak pociągnął mnie za ramię i dał znać, żebym poszedł za nim. Po kilkunastu krokach stanęliśmy pod platanem. Oko w oko z wdową w czerni. Starowinka podniosła na mnie wzrok. Miała lekkiego zeza i zaćmę. Może dlatego, kiedy przyglądałem się jej poprzecznie, jej spojrzenie wydawało mi się niepokojące. Złowieszcze. Skóra na twarzy wdowy była pomarszczona jak jabłko na przednówku. Zdało mi się, że na mój widok pofałdowała się jeszcze bardziej. Pamiętałem, że nie tak dawno popluwała za mną. Chyba za mną. Ona zapewne też miała to w pamięci. O ile jej resztki zachowała. Taksjarsz coś zaszwargotał. Odmruknęła gniewnie, chrząknęła, jakby nastrojając dawno nieużywane struny głosowe, a potem ku mojemu osłupieniu odezwała się po angielsku. Brzmiała trochę jak

robot z „Gwiezdných wojen”, ale najważniejsze, że ją rozumiałem. Spytała, gdzie chcę jechać. Przez chwilę nie mogłem wydobyć z siebie głosu. Oto w miejscu, gdzie sztuką jest znaleźć kogoś, kto mówi w innym języku niż grecki, stojąca nad grobem wdowa w czerni, domniemana miejscowa wiedźma, przemawia do mnie po angielsku. Kim była? Wcześniej żartowałem, że kontrolowała lokalny świat. Może to jednak nie był żart i wdowa w czerni zarządzała z posterunku pod platanem miejscowym światkiem i półświatkiem, mając oko na wszystko i wszystkich. Począwszy od właścicieli knajp, poprzez taksjary, a skończywszy na skośnookich masażystkach, które na plaży oferowały usługi niewarte swojej ceny. Starowinka powtórzyła pytanie. Gniewnie. Jakbym zabierał jej cenny czas. Ocknąłem się z zadziwienia i powiedziałem, że chcę jechać do Kastro, tam i z powrotem. Spytałem, ile taka eskapada kosztuje. Przetłumaczyła taksjarsowi. Wyraźnie ucieszył się i rzucił cenę w łamanym angielskim, więc wdowa w czerni nie musiała tłumaczyć. Tanio nie było. Byłem na to przygotowany, w końcu druh z tawerny uprzedzał mnie o tym. Poza tym czego nie robi się dla poprawy stosunków. Międzynarodowych i międzyludzkich. Prawdę powiedziawszy, stosunki międzynarodowe zwiślały mi ciężkim kalafiorrem.

Zanim doszliśmy z kierowcą do taksówki, solidnego mercedesa wypucowanego jak do weselnego orszaku, Paulina wyszła z hotelu. Wracając z hotelu Brati, zadzwoniłem do niej. Wcale nie byłem pewien, czy odbierze. Ale nadusiła zielony przycisk. Po kilku urywanych zdaniach przerywanych milczeniem coś się jednak w nas odblokowało. Złożyłem samokrytkę. Nie powinienem jej tego ranka zostawiać samej. Ona z kolei uznała, że uniosła się niepotrzebnie. Bez powodu. Umówiliśmy się na obiad w tawernie, zjedliśmy po solidnej porcji musaki i nastroje całkiem nam się poprawiły. Tym bardziej że obiecałem jej wycieczkę. Jak najbardziej wspólną.

Do Kastro nie było zbyt daleko. Nieco ponad dwadzieścia minut jazdy wijącą się po wzgórzach drogą. Pośród przykurzonych gajów oliw-

nych i nieużytków straszących wysuszonym trawskiem. Miasteczko rozciągało się na sporej górze i nie było dużo większe niż nasza wioska. Znajdował się tam jednak jakiś bliżej nieokreślony urząd i jedyny w okolicy, rozległej, bankomat, co prawdopodobnie przesądzało o takim, a nie innym statusie administracyjnym miejsca. I był też zamek. Całkiem niezłe zachowany, z kamiennymi murami i resztką fundamentów na rozległym dziedzińcu. Wdrapaliśmy się na niewysoką wieżę i patrzyliśmy na pofałdowany krajobraz z wypalonymi słońcem wzgórzami ciągnącymi się aż po horyzont. Ku mojemu zdziwieniu teksty na tablicach informacyjnych były również po angielsku. Chyba jakiś błąd systemu. Albo wynik unijnych dotacji. Raczej to drugie. Poczytałem trochę o obronach i podbojach. Zmieniających się władcach i namiestnikach. Grekach, Wenecjanach i Turkach. Zwykła w tym regionie przewalanka.

Taksjarsz, jak to taksjarsz, zastygł w bezruchu, stojąc przy samochodzie. Pokazałem mu na migi, że idziemy do kawiarni przy placyku. I tak płaciłem za ten kurs jak za zboże, więc kilka euro w tę lub w tamtą za postój nie robiło różnicy. Knajpka była miniaturowa, więcej stolików stało na zewnątrz niż w środku. Zamówiłem dwie kawy po grecku i mineralną – niegazowaną, bo o inną było tutaj trudno. Zapłaciłem tyle, ile w polskiej taniej gastronomii przy drodze trzeciej kategorii odśnieżania. Kawa smakowała niczym w modnej warszawskiej kawiarni, w której używają ekspresu kosztującego tyle, ile dobrej klasy samochód. Zapaliłem papierosa i patrzyłem, jak niespiesznie toczy się życie w tym sennym miasteczku. Co jakiś czas wolno przejeżdżały upaskudzony jeep albo zdezelowana, niewielka osobówka, zwykle zakurzona i ubrudzona. Zdaje się, że cywilizacja myjni samoobsługowych jeszcze na Peloponez nie dotarła. A przynajmniej nie w tę część półwyspu. Niewykluczone, że Grekom zwyczajnie nie chciało się pucować aut. Albo robili to jedynie ci, którzy musieli. Jak nasz taksjarsz. Grupa niemieckich turystów stała na środku placu. Rozglądali się w poszukiwaniu atrakcji, których tu nie było. Bez przekonania cyknęli kilka zdjęć. Miejscowi właściwie się nie pokazywali. Bo i po co? Jedynie trzech starożytnych dziadków

siedziało na ławce ustawionej w podcieniu sporej chałupy. Milczeli i kurzyli cygarety. Ze skupieniem.

– O czym myślisz? – spytała Paulina.

Kiedyś, nie tak znowu dawno temu, choć w innym życiu, skwitowałbym tego rodzaju pytanie złośliwym komentarzem. Teraz ugryzłem się w język. Jednak łatwej do przewidzenia odpowiedzi nie uniknąłem:

– Właściwie o niczym.

– No weź przestań.

– Okej, okej. – Zdusiłem niedopałek i uśmiechnąłem się szeroko. Chyba nawet szczerze. Przynajmniej tak mi się zdawało. – Trochę zastanawiałem się, o co nam chodziło dziś rano.

– Już nawet nie za bardzo wiem. – Paulina zrobiła rozbrajającą minę.

– Mnie może o to, że robisz coś beze mnie.

– Chodzi ci o tę zabawę w prywatnego detektywa?

– To ty przedstawiasz się jako prywatny detektyw?

Skinąłem głową.

– Niezła ściema. A tak w ogóle zastanawiałeś się, co teraz będziesz robił?

Domyślałem się, o co chodzi Paulinie, ale postawiłem na unik. Jak to ja.

– Powęszę jeszcze przy sprawie tych wypadków.

– To wiem. Ale co będziesz robił, jak wrócimy?

Jaśniej się już nie dało. Prawdę powiedziawszy, stawiałem, że to raczej moja babuleńka pierwsza będzie mnie indagowała w temacie planów na przyszłość. Bliższą lub dalszą. Albo jakąkolwiek. I znowu bym przegrał. Jak zwykle. Hazard nie był moją domeną. Mogłem wzruszyć ramionami, zmienić temat albo zbyć Paulinę mniej lub bardziej wyrafinowanym żartem. Postanowiłem jednak być szczerzy. Tym razem zupełnie jak nie ja.

– Nie mam bladego pojęcia. Pewnie będę dalej ciągnął te wykłady o rozmaitych kryminalnych historiach...

- To dziwne – przerwała mi.

- Co?

- Ludzie zwykle mają jakieś plany. Myślą o przyszłości.

- Albo się jej boją.

Wbiła we mnie wzrok. Bezwiednie zaczęła nawijać kruczoczarny pukiel na palec. Uwielbiałem ten gest. Tak dziewczęcy, ale przy tym pełen bezwstydnie jawnego erotyzmu.

- A ty?

- Nie. Chyba nie – odparłem bez zbytniego przekonania. – Wiem, że będę musiał podjąć jakieś decyzje. Ale nie teraz.

- To nie jest najlepsza strategia.

Oto dwudziestolatka stara się uczyć mnie życia. Nieco paradne. Czy aby na pewno? Wprawdzie byłem od Pauliny ponad dwadzieścia lat starszy i o kilka życiowych tragedii bardziej doświadczony, lecz czy to znaczyło, że jestem mądrzejszy? Felicja jakiś czas temu powiedziała, że właściwie nigdy do końca nie dojrzałem. Wtedy puściłem to zdanie mimo uszu. Może jednak coś w tym było?

- Wiem – powiedziałem, licząc, że w ten sposób utnę rozmowę, która trochę mnie uwierała. Nawet nie trochę. Bardzo. A na pewno bardziej, niż się spodziewałem. – Jeśli coś wymyślę, pierwsza się o tym dowiesz.

- Trzymam cię za słowo – powiedziała i dopiła kawę. – I liczę na to, że od teraz będę nieoficjalną asystentką prywatnego detektywa Konrada Rowickiego.

Roześmiała się jak z dobrego dowcipu. Nie było mi do śmiechu. Pomyślałem jednak, co mi szkodzi? Mieliśmy przed sobą ledwie dwa dni pobytu w Arkoudi, Paulina pochodzi ze mną, posłucha bzdurnych rozpytań, które do niczego nie doprowadzą. Będzie miała nieco odmiany. Trochę rozrywki. Nic to, że moim zdaniem wątpliwej.

- Zgoda, pani asystentko. Ale od razu mówię, że wszystko robimy ku chwale ojczyzny. Nie licz na honorarium.

– Odrobisz w polu.

Czubkiem języka przejechała po ustach. Celowo? Liczyłem, że praca w polu przyniesie mi sporo satysfakcji.

W wieczornym upale stężałem jak pitny kisiel, który podawano w szkolnych stołówkach w innym życiu, w innym świecie, jeszcze u schyłku Nieboszczki Ludowej, wlekleśmy się w stronę hotelu Kiełbasów. Byłem nieco rozleniwiony. I ukojony odzyskaną harmonią bycia z Pauliną. Nic to, że być może chwilową. Z ciałem jeszcze rozkołysanym jej ciałem. Odrobek w polu zacząłem tuż po powrocie z Kastro. A Pan pobłogosławił pracę szczodłą przyjemnością.

Z przeciwka zbliżało się zawodzenie syreny.

– Ciekawe, co się dzieje – rzuciła Paulina. – Oby nie kolejny umarłak.

Co tu kryć, też byłem ciekawy. Pożar? W świecie wypalonych słoncem traw i drzew mających w sobie niewiele więcej wody niż ich plastikowe imitacje było to całkiem możliwe. A może opasły turysta z niezaleczoną wieńcówką nie wytrzymał wypoczynku w nazbyt ciepłych okolicznościach przyrody? Też nie od rzeczy. Zbliżaliśmy się do skrzyżowania z ulicą prowadzącą do hotelu Brati. Zza wzgórza, z wyciem rozsadzającym bębenki, wypadła karetka pogotowia, zahamowała z piskiem opon i lekkim poślizgiem. Zatrzymałem się. Paulina stanęła ramieniem w ramieniu. Ambulans skręcił w stronę hotelu. Po chwili zniknął mi z oczu.

No nieźle. Zacząłem od pocieszania się, że przecież mieszkają tam starożytnie wdowy w czerni, których kondycja nie jest najlepsza. Może któraś z nich poczuła się gorzej niż zwykle. W sumie marna pociecha. Pojawiły się już dwa trupy, czemu nie miałyby pojawić się trzeci. W końcu – *Boh trojcu lubit'*.

Dziennik roku pierwszego V

7 listopada 1998

Trzy tygodnie minęły mi niemal niepostrzeżenie. Zdecydowanie muszę poprawić kontrolę nad czasem. Doba ma tylko dwadzieścia cztery godziny i więcej mieć nie będzie. Oczywiście. Wciąż muszę uczyć się lepiej panować nad godzinami, które mam do wykorzystania, które mogę poświęcić na pracę. I tak – nie jest to wcale łatwe.

Miałem dokonać wpisu w moim notesie już w zeszły weekend, ale akurat wypadło Wszystkich Świętych. Jak co roku pojechałem z mamą do Kielc na grób dziadków. Rodziców mamy. Dziadków ze strony ojca praktycznie nie pamiętałem i nie znałem. Mama zerwała z nimi kontakty, kiedy wyrzuciła z życia swojego męża, a mojego ojca. Może powinienem powiedzieć: „WYRZUCIŁA Z NASZEGO ŻYCIA?”. Wydaje mi się, że rodzice ojca też nie szukali kontaktu z nią. A na pewno ze mną. Żadnych paczek na święta czy urodziny. Brak telefonów ze zwyczajowym „co słyhać?”. Chyba że o czymś nie wiedziałem... Inna sprawa, że nie dopytywałem o to mamy. Dawno temu uznałem, że o ważnych sprawach mama zawsze mi powie. Jeśli uzna, że będzie to dla mnie dobre.

Kto wie, może moi dziadkowie ze strony ojca już nie żyją? Ja nie wiem. Być może są gdzieś groby, na których powinienem palić znicze. Powinienem? Nie ma co ukrywać, że postrzegam ich jako obcych ludzi.

Pisząc te słowa, uświadomiłem sobie, jak niewiele wiem o mojej rodzinie. Nawet tej teoretycznie najbliższej. I zdaję sobie sprawę – NIE O TYM MOJE ZAPISKI MIAŁY TRAKTOWAĆ. Chcę jednak skończyć jeden wątek myśli. To kwestia wewnętrznej dyscypliny. Spójności myślenia. Ta spójność się ostatnio rozszczelnia. Co dobre nie jest. A więc moja rodzina... Mama, mimo że mieszkała w sporym mieście, jakim są Kielce, zdecydowała się na naukę w liceum ekonomicznym w Krakowie i mieszkanie w internacie. To był jej wybór czy dziadków? Dlaczego tak się stało? Nigdy o to nie pytałem. A jeśli lepiej by było, gdybym jednak zapytał? Dla kogo lepiej?

Dla mnie czy dla nas, mnie i mamy. Znowu to POWINIENEM w tyle głowy. Sęk w tym, że mama pewnie by mnie zbyła tak, jak kiedyś, dawno temu, zbywała moje nieśmiałe pytania o ojca. „To nie jest ważne”, mówiła. Albo: „Stare dzieje, które nas dwojga nie dotyczą”. Lub też: „Kiedyś ci opowiem”. Nie opowiedziała.

Babci właściwie nie poznałem. Umarła na raka, kiedy miałem niespełna rok. Przez kilka lat jeździliśmy z mamą do dziadka na krótkie wizyty. Na dzień. Rzadko dwa. Był maszynistą na kolei. Grubym mężczyzną z sumiastymi wąsami i tubalnym głosem. Trochę się go bałem. Nie lubiłem, jak na powitanie całował mnie w czoło, łaskocząc wąsami. Wydawało mi się to obrzydliwe. I nie higieniczne. Mama zawsze po powitaniu z dziadkiem ocierała mi twarz chusteczką. Dawał mi prezenty, czasami sadzał na kolana i pytał: „Jak tam, chłopie?”. Nie wiedziałem, co mu odpowiedzieć. Zazwyczaj jednak nie poświęcał mi zbyt wiele uwagi. Przesiadywał w kuchni przy oknie. Pił kawę w szklance i palił papierosy. Z mamą też chyba za bardzo nie rozmawiał. Może nie chciał. A może nie umiał. Przez kilka lat po śmierci babki mieszkał sam. A potem związał się z wdową. Z panią Krysią. Mówił mamie, jakby się tłumaczył, że nie radzi sobie samemu z prowadzeniem domu. Że w ogóle w pojedynkę nie potrafi sobie poradzić w życiu. I co to za życie samemu, tylko z krzyżówkami i telewizorem, w którym nic ciekawego. Stąd pani Krysia. Z rozsądku. Tak mówił mamie, a ja słyszałem go z pokoju. Bo mówił głośno, jak to osoba o słabym słuchu. Z założenia rozsądne rozwiązanie było jednak zgubne. Pani Krysia okazała się rzutką, pełną energii wdową, której chodziło tylko o dobro własnych dzieci. Zagoniła dziadka do remontów mieszkania i domku na działce pracowniczej, namawiała do rodzinnych wyjazdów, ale bez matki i mnie, wciągnęła do jakichś bliżej nieokreślonych interesów. Matka dowiedziała się tego od sąsiadki swojego ojca, ponieważ odkąd w domu dziadka nastąpiła pani Krysia, mama zrezygnowała z regularnych wyjazdów do

Kielc. Prawdę poznała na pogrzebie dziadka. Właściwie po pochówku. Jego otłuszczone serce w końcu nie wytrzymało. I pani Krystyna po raz drugi została wdową. Majętną. Dziadek zostawił jej wszystko, a mojej mamie nic. Co mama wykrzyczała pani Krysi na stypie, która bardzo szybko się skończyła. W atmosferze bardzo napiętej.

Mama miała żal do swojego ojca, a mojego dziadka, że nie pomyślał o niej przed śmiercią. Nie starał się zabezpieczyć swojego jedyne dziecko. I jedyne wnuka. Jednocześnie wyznawała filozofię, że w życiu nie ma nic za darmo. W jakiś pokrętny sposób dziadka rozgrzeszyła i jednak na grób dziadków ze strony mamy jeździliśmy. Na grób tych ze strony ojca nie. Może nie leżeli jeszcze w grobie? Kto wie. Ja nie wiedziałem. Dziwne to wszystko. Może nie aż tak bardzo, ale trochę.

Do końca nie wiem, dlaczego napisałem tutaj o moich dziadkach. I czy ma to sens. Może jednak ma. Pewnie ma, ponieważ po raz kolejny uświadomiłem sobie z całą mocą, że moją jedyną bliską osobą jest TYLKO MAMA. Ona ma mnie, ja mam ją. Tylko ona może mnie wesprzeć w trudnej chwili. Tylko na nią mogę liczyć. Także jeśli chodzi o moją pracę. O problemy związane ze szkołą, z ludźmi, którzy nie mogą albo nie chcą ze mną współpracować. Dla dobra wszystkich, przecież nie tylko mojego. Albo zwyczajnie są obojętni, bo ich nie obchodzi. I nie obchodzi ich szkoła, w której pracują.

Tyle że wcześniej o liceum prawie z mamą nie rozmawiałem. Jakbym miał jakiś wewnętrzny blok. Zbываłem jej pytania ogólnikami. Mama nie drążyła tematu. Pewnie założyła, że kiedyś opowiem jej wszystko ze szczegółami. Tak było kiedyś. Ale czy będzie i tym razem?

DLACZEGO TAK TRUDNO ROZMAWIA MI SIĘ O PRACY W SZKOLE? (Rzecz do przemyślenia).

21 listopada 1998

Zrobiłem kolejną kartkówkę z przerobionej partii materiału. Ocenilem i oddałem. Zdaje mi się, że narasta problem, którego nie przewidziałem. Już nawet nie podskórnie. Którego wedle moich założeń już nie powinno być, a jest. CZYŻBYM PRZESZACOWAŁ MOŻLIWOŚCI MOICH UCZNIÓW? Znowu oceny były raczej średnie. Nie zadowolili mnie. Nie ucieszyły też uczniów. Zuzanna Fac, którą wcześniej postrzegałem jako osobę ambitną, ale jednak niespecjalnie przejmującą się ocenami, powiedziała, jakby do siebie, ale głośno, że coś chyba z tymi sprawdzianami jest niehalo. Moimi sprawdzianami. Pomyślałem, że trzeba jak najszybciej rozwiązać wszelkie wątpliwości. Spytałem, czy coś w tej kwestii jest dla nich niejasne? Czy mają jakieś pytania? Nie odpowiedzieli. Tylko poszeptywali między sobą. Wreszcie Zuzanna powiedziała wprost, że nigdy nie mieli tak słabych ocen z kartkówek z matematyki. Zasugerowała, że być może zadania, które wybieram, są zbyt trudne. Zbyt ambitne. Takiego słowa użyła. Przypomniałem, że na samym początku roku uprzedziłem, że czeka ich sporo pracy, że może być ciężko. Zapewniłem, że na pewno, prędzej czy później, wdroszą się w nowy dla nich tryb nauczania. Chciałem na koniec przekazać im trochę pozytywnej energii. Może pocieszyć. Pozytywnie bodźcować – ktoś kiedyś użył takiego określenia. Nie pamiętałem kto. Spodobało mi się. Uczniowie nie zareagowali. Zawadzki ostentacyjnie wzruszył ramionami.

Po dzwonku, inaczej niż zazwyczaj, nie wybiegali szybko na korytarz. Jakby się ociągali. Popatrywali na siebie. Dawali sobie znaki spojrzemiami. Widziałem to, ale nie do końca rozumiałem. W końcu podeszła do mnie gospodyni klasy, Kalina Kowalska, ze swoją zastępczynią Izą. Nazwiska dziewczyny nie mogłem zapamiętać. Dopiero potem sprawdziłem. Gil. Izabella Gil. Niewysoka. Z dziwną figurą. Cienka w pasie, bardzo szeroka w biodrach. Trzy-

mała się zawsze blisko Kowalskiej. Przyjaciółki. A może, jak twierdziła psycholog szkolna, należała do kółka adoracji gospodyni klasy czy może jej bandy? Nie wiedziałem. Postanowiłem, że przyjrzę się tym relacjom. Tyle że z obserwowaniem relacji u mnie... Pisałem już o tym. Kowalska, wtedy po dzwonku, zwróciła się wprost do mnie. Ale też tak jakby do kolegów, którzy przechodzili za nią, kierując się w stronę drzwi. Mówiła, że rozmawiała z uczniami innych klas, w których uczę. I że nie robię tam takich trudnych sprawdzianów jak u nich. „I czy to jest sprawiedliwe?“, pytała. Racja, sprawdziany w innych klasach przygotowywałem łatwiejsze. Inaczej przecież być nie mogło. I oni tego NIE ROZUMIELI! Niepojęte! Przynajmniej dla mnie. W pierwszej chwili poczułem gniew. I coś jakby zawód. Głębokie rozczarowanie. Nie mogłem jednak pozwolić, by zawładnęły mną emocje. Tym bardziej złe. Nie na tym polegała porządna praca nauczyciela i wychowawcy. Rzekłbym nawet – mentora. Odpartem najspokojniej, jak umiałem, że to nie ma nic wspólnego ze sprawiedliwością. Inne klasy nie są mat.-fiz. Odmienne są w nich wymogi programowe w przedmiocie matematyki. Więc i sprawdziany oraz ich kryteria oceny odmienne. Nie mówiąc już o moich oczekiwaniach odnośnie do II mat.-fiz. Odnośnie do mojej klasy. Bo tak już o niej myślałem. Kowalska skrzywiła się. Sekundę po niej wykrzywiła się też Gil. Gospodyni klasy klasy zadała pytanie, które wskazywało, że nie rozumiała nic z tego, co powiedziałem. „Czyli nadal będzie nas pan profesor masakrował?“, spytała. Odpowiedziałem, że nie takie są moje intencje. Chciałem rozwinąć myśl. Jednak Kowalska z Gil odwróciły się i wyszły z klasy. Wiedziałem, że powinienem je zatrzymać. Nie zrobiłem tego. Coś mnie zablokowało. Wewnętrznie.

CZY TO ZNACZY, ŻE OKAZAŁEM SŁABOŚĆ? Nie tyle nawet okazałem, ile pokazałem uczniom, że nie do końca nad nimi panuję?

Bardziej zastanowiło mnie i zaniepokoiło co innego. Że za moimi plecami dzieje się coś, co mnie dotyczy, a o czym nie wiem. Że uczniowie rozmawiają o mnie. Porównują, jak uczę w poszczególnych klasach. Właściwie tak się dzieje zawsze. Pamiętam, że w moich czasach szkolnych też sporo rozmawiało się o nauczycielach. Profesorach. Dla pewności skonsultowałem się z polonistką. Była wyraźnie zadowolona, że ją zagaduję. Trochę czułem się onieśmielony. Powiedziała, że to nic strasznego. Że tak się dzieje zawsze. Uczniowie gadają o nauczycielach. Szczególnie tych, którzy ich cisną. Użyła słowa „srogich”. (CZY JESTEM SROGI?). I żebym się nie przejmował. Nie muszą mnie lubić, wystarczy, że mnie szanują. Ale czy uczniowie z mojej klasy mnie szanują? Nie byłem pewien. Nie zwierzyłem się polonistce z tych wątpliwości.

28 listopada 1998

Niespodziewanie dla mnie pojawił się problem wycieczki szkolnej mojej klasy. Najpierw na jednej z lekcji wychowawczych uczniowie zasugerowali, że chcieliby przed świętami zorganizować wycieczkę do Warszawy. Do teatru. Spytałem, na jaką sztukę? Nie umieli podać tytułu. Potem sprawa wróciła na zebraniu z rodzicami. Znowu niby chodziło o teatr. Powiedziałem, że mamy teatry ze świetnym repertuarem w Krakowie. Tak mi się zdawało, że mamy. Za teatrem nie przepadałem. Mama też, więc mnie tam nie prowadziła. A może zwyczajnie szkoda jej było pieniędzy, których zawsze brakowało? Nie wiem. Któryś z rodziców wskazał, że takie wycieczki są korzystne, jeśli chodzi o integrację klasy. Odparłem, że moi uczniowie wyglądają na wystarczająco zintegrowanych. W końcu nie są już w I klasie. Zapowiedziałem także, że temat wycieczki można podjąć pod koniec roku szkolnego. Wtedy rytm nauki szkolnej w naturalny sposób zwalnia. Jest wtedy czas na atrakcje. Rodzice nie protestowali. Uznałem temat za zamknięty.

Jednak dwa dni temu miał miejsce pewien incydent. Wszedłem do sali, miałem prowadzić lekcję matematyki w mojej klasie. Zauważyłem, że na tablicy ktoś nabazgrał napis: „Gupi kaowiec”. Mętnie kojarzyłem tę frazę. Nie potrafiłem sobie jednak przypomnieć, gdzie ją widziałem albo przeczytałem. Postanowiłem zignorować napis. W końcu często zdarzało się, że uczniowie bazgrali coś na tablicy podczas przerwy. Z nudów. Albo żeby popisać się przed kolegami i koleżankami. Kazałem dyżurnemu przygotować tablicę do lekcji. Niektórzy z uczniów chichotali. Trochę mnie to dęczyło, więc podpytałem polonistkę (ZNOWU! A jeśli ona sobie coś pomyśli? Jednakże dlaczego miałyby coś myśleć. Jesteśmy tylko kolegami z pokoju nauczycielskiego. Rozmawiam z nią jedynie o sprawach szkolnych). Powiedziała, że to z filmu „Rejs”. Ponoć kultowego. Nie znosiłem tych modnych, nadużywanych słów. Kultowe... Też mi coś. Polonistce to jednak chyba nie przeszkadzało. Wypożyczyłem „Rejs” na wideo i obejrzałem dokładnie. Odczytałem z niego, że ten napis z tablicy nie był niewinny. Ani neutralny. Pomyślałem, że to objaw buntu. Wypowiedzianego nie wprost sprzeciwu wobec mnie. Choć może był to tylko wygłup nastolatków – DO PRZEMYŚLENIA! KONIECZNIE!!!

29 listopada 1998

Mimo że był lekki mróz i prószył śnieg, poszliśmy z mamą na tradycyjny niedzielny spacer. W milczeniu. Które jednak nie przeszkadzało ani mamie, ani mnie. Czas relaksu. Po prostu.

Potem był obiad. Też taki jak co niedziela. Rosół z dużymi okami tłuszczu, schabowe z tłuczonymi ziemniakami i mizerią. Nie nudziły mi się te potrawy. Mamie chyba też nie. Zresztą nie należałem do smakoszy. Jadłem po to, by się najeść. Aby mieć energię do życia i pracy. Zdaje się, że niuanse smaku były mi obce.

Po obiedzie usiedliśmy w fotelach z kawą i kieliszkiem nalewki domowej roboty. Dereniówki. Od lat mama robiła ją sama. Próbowała mnie nauczyć, jak to się robi. Zauważyła jednak, że nie mam do tego serca, więc dalej produkowała nalewki sama. Dodam, że zawsze jest to tylko jeden kieliszek nalewki. Wypijany raz w tygodniu. Prawdę powiedziawszy, na więcej nigdy nie miałem specjalnej ochoty. Przez całe życie upiłem się tylko raz. To było w liceum. Na domowej osiemnastce. Nie pamiętam już u kogo z klasy. Właściwie nawet nie wiedziałem, dlaczego poszedłem na tę imprezę. Tańce do zbyt głośnej muzyki, popijanie alkoholu, obściskiwanie się po kątach. Odrzucało mnie to. Drażnili koledzy, którzy wydawali mi się tacy dziecinni. Ale wtedy poszedłem. Przez chwilę chciałem być tacy jak oni. Piłem paskudne wino i wódkę. Połowę imprezy spędziłem w ubikacji, z której raz po raz ktoś mnie wyciągał. Nie spodobało mi się to. Nie podobałem się też sam sobie taki upity i bezradny. Następnego dnia mama nie skomentowała mojego stanu. Tylko wzdychała, podając mi do picia zalewę z ogórków kiszonych. Nie powiedziała nawet słowa, nie musiała. Wiedziałem, że sprawiłem jej wielki zawód. Postanowiłem wtedy, że już nigdy w życiu się nie upiję, nie stracę kontroli nad sobą.

Mama spytała, jak idzie mi praca w szkole. Poprawiłem ją, że w liceum. Nie wiem, czemu ciągle mówiła „szkoła”. Może to jakieś przyzwyczajenie sprzed lat? Przez chwilę zastanawiałem się, czy nie jest już najwyższy czas, żeby szczerze opowiedzieć o moich problemach w pracy. Tyle że wciąż nie byłem przekonany, czy są to problemy rzeczywiste. Czy może jestem przewrażliwiony. I przez to niepewny swego. Przecież praca z ludźmi w ogóle, a z nastolatkami w szczególności zawsze jest trudna. Problematyczna. Za dużo chyba w moich zapiskach jest słowa „problem”. Równie wiele jak słów „chyba” i „być może”. Może (WŁAŚNIE!) sam niepotrzebnie się nakręcam. Jak mi się zdaje, mam powody.

Milczałem, więc mama spojrzała na mnie pytająco. I z lekkim wyrzutem. Wiem, oczywiście, na pytania trzeba odpowiadać. Z grzeczności. Choćby zdawkowo. Opowiedziałem pokrótce o sprawie wycieczki klasowej, której domagają się uczniowie i ich rodzice. Przedstawiłem (nie wiem, czy do końca obiektywnie) wszystkie za i przeciw. Mama słuchała uważanie, raz po raz kiwając głową. Nie do końca odczytywałem sens tego gestu. Kiedy skończyłem, upiła mały łyk dereniówki i powiedziała: „Fanaberie”. Spytałem czyje i co ma na myśli. „Ich”, odpowiedziała. „Nie chce im się uczyć. I tyle. Nie dawaj się i rób swoje”.

Kochana mama. Bardzo kochana mama.

Rozdział szósty

Ćwiczenia z końca świata

14 września 2014, niedziela, Grecja

Cisza i spokój były ledwie wspomnieniem. Wyblakłym. Widziałem podobne scenki w Polsce nie raz, nie dwa. Obserwowałem i tutaj. Całkiem niedawno. Karetka wystartowała spod hotelu z piskiem opon i zawodzeniem syreny. Dręczący uszy dźwięk po chwili zacichnął w oddali. Co wcale nie oznaczało, że powróciła cisza. A tym bardziej spokój.

W pomieszczeniu przy hotelowej recepcji po raz kolejny odbywały się ćwiczenia z końca świata. Grecy z obsługi rozmawiali podniesionymi głosami. Może się kłócili, choć kto ich tam wiedział. Rezydentka, której psychika już wcześniej była spękana jak starożytna amfora, całkiem się rozsypała. Siedziała na fotelu i bezgłośnie łkała. Wielkie łzy kapały jej na koszulkę z logo biura turystycznego. Nawet nie próbowała ich ocierać. Jakaś kobieta kuciała obok niej i próbowała pocieszać, mechanicznie gładząc jej dłoń. Bez specjalnego efektu. Rodacy stali w grupkach, rozmawiali przyciszonymi głosami. Już nie sprawiali wrażenia ludzi lekko załęknionych, jak dziś rano w sali jadalnej. Miałem przed sobą ludzi, którzy się boją. Śmiertelnie.

– Znowu jakaś jatka? – Paulina zapytała i poklepała mnie w plecy. Mocno. Jak na wiotką kobietę pacnięcie miała solidne. – Suń się, bo nic nie widzę.

Faktycznie, zatrzymałem się w drzwiach, tarasując przejście. Zrobiłem krok do przodu. Paulina stanęła obok mnie.

- Czy czegoś podobnego już przypadkiem nie widziałam?
- Przypadkiem tak - wycedziłem.
- A nie chcesz się dowiedzieć, co tu się znowu wydarzyło?

Paulina mocno zaakcentowała „znowu”. Nie odpowiedziałem od razu. Mówiąc szczerze, wcale nie chciałem się dowiedzieć. Podejrzywałem, że będzie to news z rodzaju tych, za którymi przepadają wszystkie komercyjne telewizje goniące za krwawą sensacją. Albo jakąkolwiek. Za to nie lubią ich policjanci. O ludziach podających się za prywatnych detektywów nie wspominając.

Mogłem spytać kogokolwiek, co się znowu stało w tym hotelu złym, ale nawet nie musiałem się silić na nawiązywanie rozmowy z obcymi. Kiełbasa pomykał do mnie w podskokach.

- No jaja, jaja, mówię ci, pańskie - wydyszał, kiedy tylko przyhamował przed nami.

- Pan, który stanął nad brzegiem, raczej nie ma z tym nic wspólnego - odparłem. - Może byś się najpierw przywitał?

- Ale, ale, o jaki brzeg ci się rozchodzi? - Staszek patrzył na mnie z wyrazem absolutnego niezrozumienia. Od dawna byłem zdania, że komunikacja międzyludzka oparta na zrozumieniu jest sztuką. Wielką. - I przecież już się z tobą dzisiaj widziałem...

Skinąłem głową w stronę Pauliny. Tym razem mój zaaferowany kolega zrozumiał przekaz.

- A, cześć, Paulina, cześć. - W pierwszej chwili wykonał ruch, jakby chciał ją uściskać, ale zmytygował się, że ma ważniejsze rzeczy na głowie. - Bo wiesz co...

- Poczekaj, chodźmy na zewnątrz.

Nie zamierzałem wystawać na widoku. To fakt, ale przede wszystkim chodziło mi o to, że chciało mi się palić. Jak zwykle w sytuacjach stresowych. Miałem nadzieję, że zważywszy na okoliczności, Paulina oszczędzi sobie, a i mnie, kolejnej pogadanki na temat zgubnych skutków palenia tytoniu. Zapaliłem. Oszczędziła.

– Tylko nie mów, że jest kolejny trup – zacząłem ostrożnie.

– No nie wiadomo, ale prawie. Ale nie do końca wiadomo – plątał się Staszek.

Chyba nawet Paulina straciła do niego cierpliwość, bo syknęła:

– Mów spokojnie.

– No przecież mówię, no jak nie mówię, jak mówię. – Wydawało mi się, że zaplątał się ostatecznie, w końcu jednak złapał odpowiedni rytm i jako tako pochwyił cienkie nitki sensu: – Na razie to nie wiadomo. Za bardzo nie. Jakies zatrucie pokarmowe czy coś. Z tego, co sanitariusz dukał po angielsku do rezydentki, zrozumiałem, że stan jest ciężki. Bo ja gadam po angielsku, wiesz. Na studiach to języki nie bardzo mi wchodziły, pamiętasz, co nie, pamiętasz, ale później poszedłem na taki jeden sprytny kurs...

– Staszek! – powiedzieliśmy z Pauliną niemal równocześnie.

– No co? Mogę wam dać namiary na firmę, która prowadzi ten kurs.

Nie wątpiłem. Podobnie jak w to, że mógł długo nawijać bez ładu i składu.

– Skup się! Kogo zabrała karetka? – spytałem.

– No tę blondynę – powiedział, jakby w całej okolicy, więcej nawet, na całym Peloponezie była tylko jedna kobieta o włosach koloru dojrzałego zboża.

Westchnąłem, a potem wciągnąłem papierosowy dym aż po dno płuc. Pomogło. Jak zawsze.

– A ta blondyna ma jakieś imię i nazwisko? – drażylem.

– No przecież, no nie pamiętasz? Gadaliśmy dziś o niej z chłopakami na basenie.

Paulina spojrzała na mnie pytająco. Jeszcze nie zdążyłem opowiedzieć jej o szczegółach mojego nieoficjalnego i trochę udawanego śledztwa. Prawdę powiedziawszy, o pogawędce z wesołymi chłopakami z klubu nieanonimowego wczasowicza alkoholika wcale nie zamierzałem jej mówić. Nie było o czym.

- Ta żona biznesmena, która była licealną znajomą chirurga?

- No tak, no tak - Staszek potwierdził ochoczo. - Tego martwego. Kalina.

- Jaka znowu Kalina? - Paulina była czujna jak ważka.

Zdusiłem niedopałek. Z trudem powstrzymałem się od sięgnięcia po kolejną fajkę.

- Potem ci wszystko wytłumaczę. Kto, z kim i dlaczego - uspokoiłem Paulinę. Albo tylko tak mi się zdawało. - Staszek, wiesz dokładnie, co się stało?

Liczyłem na wszechwiedzącego Kielbasę. I się nie zawiodłem.

- Przyjechali z tego Kastro, no wiesz...

Oczy Pauliny zrobiły się duże jak pięćdziesiątówki. Szepnąłem „potem” raz jeszcze, bojąc się, że zechce wtrącać się w chaotyczne monologi mojego Staszka.

- ...i już z nią było słabo. Żebyś ty widział, jak ten jej mąż zajechał wypożyczoną furą pod hotel. Mało się nie wpięprzył w schody. O włos, no, o pół włosa. I ona zaraz na te schody się wyrzygała. A potem zemdląła. To i wezwali karetkę...

Wykorzystałem moment, kiedy Staszek brał oddech, i zadałem pytanie:

- Skąd o tym wiesz?

- Widziałem. Bo my, wiesz, my siedzieliśmy w restauracji. To akurat kolacja była. No i Gośka mało się też nie porzygała.

- To może tu jest epidemia grypy żołądkowej? - Paulina wyciągnęła całkiem logiczny wniosek.

- A nie. - Kielbasa zamachał rękami. - Gośka zdrowa, dziękuję. To na widok tamtej tak jej się słabo zrobiło. Nieźle, nie?

Nie miałem pojęcia, o co mu chodziło. Powiedziałem, żeby się nie ruszali sprzed recepcji. I że zaraz wrócę. Zignorowałem pytanie Pauliny, gdzie mnie znowu niesie. Jakie znowu? Zwyczajnie musiałem zebrać myśli. A najlepiej myślało mi się w marszu. Poszedłem w stronę

wyjazdu z kompleksu hotelowego. Skręciłem w prawo. W stronę wioski. Zwolniłem kroku. Zapaliłem.

Tego, co działo się w hotelu Brati, nie mogłem już traktować jako kumulacji przypadków. Takie ich nagromadzenie w klasycznej jednostki czasu, miejsca i akcji nie występuje w realnym życiu. Nie tu. I akurat nie przy mnie. Nigdy nie sądziłem, że cały świat kręci się wokół mnie, ale może było coś w tym, o czym nie tak dawno mówiła Paulina – że przyciągamy kłopoty. Może powinienem powiedzieć, że to ja przyciągam. Zastanawiające było, że kilka godzin po tym, jak rozmawiałem o Kalinie, nieszczęsna kobieta wylądowała w szpitalu. Łudziłem się, że to nic strasznego. Banalna jelitówka albo zatrucie kalmarem drugiej świeżości. A jeśli nie? Oszukiwałem sam siebie. W żenująco głupi i naiwny sposób.

– To nie jest przypadek.

Wypowiedziałem to zdanie na głos. Chciałem je usłyszeć. I usłyszałem. Coś działo się w Arkoudi i okolicy. Coś mrocznego i złego. Mroczne i złe rzeczy dzieją się ciągle i wszędzie. Jednak w tym przypadku nie mogłem udawać, że sprawa mnie nie dotyczy. Wplątałem się w nią. Właściwie zostałem wciągnięty. Byłem jednak dużym chłopcem, nie mogłem więc powiedzieć, że to mnie nie obchodzi. Że wypisuję się, bo nie ja zacząłem. Nie było ważne, kto zaczął. Istotne było to, że tkwiłem w samym środku zamętu. Musiałem działać. Zdecydowanie.

Paulina i Staszek stali przed recepcją, jak im przykazałem. Rozmawiali, ale kiedy zobaczyli, że się zbliżam, umilkli. Uznałem, że temat ich konwersacji mogę ustalić później.

– Staszek, mówiłeś komuś, że dzisiaj pytałem o Kalinę i jej męża? W ogóle wymknęło ci się przy kimś, że dzisiaj byłem w hotelu i rozmawiałem... – przez chwilę szukałem właściwego słowa – ...o zmarłych?

– Nie, no co ty, przecież wiem, śledztwo, tajemnica śledztwa. Oglądasz te seriale kryminalne, no nie. – Kiełbasa zdawał się oburzony. Świę-

cie. – No, tylko, no wiesz... – mina nieco mu zrzedła – ...tylko Goście powiedziałem. Ale to chyba nie szkodzi, nie, nie problem?

Zdawałem sobie sprawę, że jakakolwiek konfidencja w przypadku Staszka nie wchodziła w grę. Ale trudno, stało się i się nie odstanie. Sam przecież specjalnie nie kryłem się, że chodzę po hotelu i pytam o zmarłych. Od tej chwili postanowiłem być jednak ostrożniejszy. Pod każdym względem. I przede wszystkim zapewnić bezpieczeństwo osobie, na której zależało mi najbardziej. Paulinie. Choćby nawet miało się to okazać przesadną ostrożnością.

Położyłem dłoń na ramieniu Staszka i powiedziałem:

– Posłuchaj, mam do ciebie prośbę. I bardzo ważne zadanie. – Postawiłem na psychomanipulację. – Odprowadź Paulinę do naszego hotelu.

– Ale zaraz! Nie ma mowy – z miejsca zaprotestowała. – Przecież obiecałeś, że mogę razem z tobą uczestniczyć w śledztwie, rozpytaniach czy jak tam to nazywasz!

Zrobiłem wszystko, aby zachować spokój, nie nakręcać spirali emocji, których tego dnia i tak było zbyt wiele. Jak dla mnie. A i pewnie dla Pauliny.

– Po pierwsze – zacząłem wyliczankę, wspomagając się palcami – nie prowadzę żadnego śledztwa. Próbuję tylko ustalić, co tu się dzieje. Po drugie, od czasu, kiedy ci obiecałem, co obiecałem, sytuacja się zmieniła. – Paulina otwierała usta, żeby wbić się z komentarzem, ale szybko odgiąłem kolejny palec. – Po trzecie, teraz muszę sprawdzić, czy tu jest bezpiecznie. Sam. Potem mogę przyjść z tobą.

– Ale... – nie zamierzała poddać się bez walki.

– Paulina, niczego teraz nie wynegocjujesz. Potem to wszystko ogarniemy. Idźcie już.

Staszek poczuł się strażnikiem skarbu. Chciał wziąć Paulinę pod rękę i poprowadzić do Arkoudi. Ochroniarz pełną gębą. I jedynie w gębie mocny. Gdyby przyszło co do czego, nie byłby w stanie obronić nawet samego siebie.

Paulina bez trudu strząsnęła jego dłoń ze swojego przedramienia i syknęła w moją stronę:

– Pożałujesz.

Nie wątpiłem w to.

Wszedłem do hallu przed recepcją. Odszukałem wzrokiem chłopaków z basenu. Podobnie jak wcześniej trzymali się razem. Czy oni nie przyjechali tu z żonami, kochankami czy choćby przelotnymi przyjaciółkami? Niewykluczone, że nie przybyli na wywczasie sami, tyle że ich towarzyszkę w tym momencie zapewne wołały się trzymać z boku. Jak najdalej od samczego towarzystwa, które spowijał alkoholowy opar. Niemal dostrzegalny.

Nie liczyłem na zbyt wiele, ale jednak zdecydowałem się zamienić z nimi kilka słów. Żeby odhaczyć drobną sprawę.

– Ooo, tajnos agentos! – Paker z trudem zogniskował na mnie spojrzenie.

– A tu taka nieprzyjemnościunia. Kiepsko ci idzie ochrona w tym hotelu, co nie? – mors powiedział, co wiedział. I podniósł do ust puszkę z piwem.

W reklamówce leżącej pod stolikiem mieli całą baterię browaru. Nie ukrywali się z piciem przytarganego ze sklepu alkoholu, mimo że pod ich nosem był bar hotelowy. Wiedzieli, że tego wieczoru nikt nie będzie się czepiał drobiazgów. Choć robili wszystko, żeby się w drobiazgi uwalić.

Błąznowali albo próbowali wytrącić mnie z równowagi. Nie oni jedni tej niedzieli, która zdawała mi się ciągnąć w nieskończoność. Akurat ich zaczepki nie robiły na mnie żadnego wrażenia. Po prostu je zignorowałem.

– Rozmawialiście z kimś o Kalinie dzisiaj wieczorem? Albo wspominaliście komuś o mnie? – spytałem wprost, licząc, że co nieco dotrze do sponiewieranych alkoholem mózgowic.

Przez chwilę udawali, że nie bardzo kojarzą, co to za Kalina, że nie interesują ich cudze problemy, bo mają własne rozrywki. Przeczekałem. Wreszcie uznali chyba, że wic się średnio udał, więc potwierdzili, że tak, wiedzą o kogo chodzi, blondynę, która omal nie wyrzygała żołądka na schodach. Najwyraźniej ta scenka rodzajowa na wszystkich zrobiła wrażenie.

Cierpliwie powtórzyłem pytanie, na które odpowiedź najbardziej mnie ciekawiła:

– Miło się gada z inteligentnymi facetami o niezaprzeczalnym, choć trudnym poczuciu humoru, ale powiedźcie mi, czy rozpuściliście dzisiaj przed kimś ozory na temat Kaliny i mojej rozmowy z wami?

– Te, koleś...

Panu Nikt najwyraźniej nie spodobała się moja krótka przemowa, ale nie dałem mu się rozwinąć.

– Oczywiście, nie musicie ze mną gadać. W ogóle nic nie musicie. Jesteście przecież wyluzowanymi kolesiami – podkreśliłem ostatnie słowo – na zasłużonych wakacjach. I ja też nie muszę gadać z wami. Mogę pogadać z grecką policją.

– Ale o czym? – zdziwił się mors.

– O życiu w ogóle, a o specyfice życia w tym hotelu w szczególności.

Okularnik pierwszy postanowił przerwać zabawę.

– Z nikim o niej nie rozmawialiśmy. Nie było o czym. Siedzieliśmy do wieczora przy basenie, potem poszliśmy na kolację. Wszyscy razem.

– Na pewno? – spytałem raz jeszcze.

– Posłuchaj – paker najwyraźniej miał najmniej cierpliwości z całej wesołej gromadki – my to za bardzo z nikim tu nie gadamy. Brak wspólnych zainteresowań, tak to bym określił.

Jasne. Samowystarczalne, zgrane towarzystwo równych samców. Najprawdopodobniej nie byli na tyle bystrzy albo trzeźwi, żeby zauważyć, że inni ich unikają, nie chcąc zadawać się z pijakami.

– Dobra. – Byłem pewien, że wiele więcej z nich nie wyduszę. – To pokażcie mi jeszcze męża Kaliny i zaraz spadam, żeby nie przeszkadzać w biesiadzie.

– A jego to akurat tu nie ma – powiedział mors i wychylił resztkę piwa. Zgniółł puszkę w grubej łapie. Zabrzmiało to niczym wystrzał w pustym pokoju. Kilka osób odwróciło się w stronę morsa. Nic sobie z tego nie robił. – Pojechał z żonką do szpitala.

– Jak dla mnie – niespodziewanie wtrącił się paker – to ta żonka lekarza może być podejrzana.

– Właśnie. – Pan Nikt pociągnął wątek. – Tak sobie rozmawialiśmy, że mogła się z lekka wkurwić, że jej ślubny prowadzi się z przyjaciółką sprzed lat.

I tak rozwiął się mit opiewający, że weseli chłopcy absolutnie nie interesują się światem i innymi.

– Baby są jakieś takie bardziej zazdrosne – podzielił się trywialną prawdą okularnik.

– Baby są jakieś inne – dodał mors. – Taki film kiedyś widziałem. Ale chujowy. Nic tam się w nim nie działo. Zero akcji.

– Więc wiesz... – Pan Nikt zwrócił się do mnie – ...na twoim miejscu bym ją przesłuchał.

– A może i pocieszył. Rozumie kolega, świeża wdówka...

Mors uśmiechnął się obleśnie. Pochyliłem się nad nim i chwyciłem w palce końcówki jego wąsisk. Pociągnąłem raz. Mocno. Spaślak jęknął. Koleżkowie zamarli.

– Nie jestem, pajacu, twoim kolegą.

Puściłem go, odwróciłem się i wyszedłem na podjazd przed budynkiem.

Znowu chciało mi się palić. Za dużo palisz, przypomniał mi się tekst, którym czasami katowałem moją starowinkę. Teraz będę katował nim sam siebie? Pod wpływem Pauliny? Niewykluczone.

Musiałem przyznać, że w zabredzeniach członków koła nieanonimowego alkoholika wczasowicza były strzępki sensu. Nic to, że obrzydliwym strzępki pleśniaka. Kobiety częściej niż mężczyźni posługiwały się trucizną, jeśli chciały komuś zaszkodzić. Niekoniecznie w sposób ostateczny. Żonie Zawadzkiego mogło się nie spodobać, że Filip odnowił znajomość ze szkolną koleżanką. A może wcale nie musiał odnawiać? Może chodziło o romans, który trwał od dawna? Latami. Przy zachowaniu pozorów. Albo wykombinowała sobie, że Kalina jest odpowiedzialna za śmierć chirurga. Pośrednio albo bezpośrednio. Były to czyste spekulacje. Niepoparte nawet najwątpliwszą poszlaką. Jak zwykle miałem w tej dziwacznej sprawie dramatycznie mało danych. I mocno ograniczony dostęp do źródeł informacji. Spekulacje spekulacjami, mogłem je snuć do woli. Tyle że niedawno widziałem na własne oczy i słyszałem na własne uszy tę kobietę, która odpędzała mnie sprzed drzwi hotelowego numeru najbardziej żalonym i rozpaczliwym „wypierdalać”, jakie kiedykolwiek usłyszałem. Nie sprawiała wrażenia kogoś, kto może komukolwiek zaszkodzić. Chyba że sobie.

Zgasilem niedopałek. Zaczęłem się zastanawiać, co teraz powinienem zrobić. A przede wszystkim, czy w ogóle muszę podejmować jakąkolwiek aktywność. Kalkulowałem, że przecież za dwa dni zniknę z Arkoudi. Zejdę z oczu Kielbasie i wszystkim innym. A Paulina błyskawicznie zapomni o wątpliwej rozrywce, jaką było udawane śledztwo. I nikt nie będzie ode mnie niczego oczekiwał. Niczego wymagał. Jednak zaczynając dochodzenie, powiedziałem A. Musiało więc po nim nastąpić B. Konsekwencja. Przypomniałem sobie, że tego zwykle domagano się ode mnie. A ja konsekwentny być nie chciałem. Może był już najwyższy czas, żeby się zmienić. Zmienić sposób bycia i życia. Takie postanowienie na nową drogę. Niepewną. I równie niepewną przyszłość.

Będę więc brnął, postanowiłem, dwa dni jeszcze wytrzymam. Jakoś.

To, że nie mogłem z miejsca porozmawiać z mężem podtrutej kobiety, nie było dla mnie problemem. Podejrzewałem, że i tak nie zgodzi się ze mną gadać, a jeśli nawet, będzie zbyt zdenerwowany i przejęty, żeby sensownie odpowiadać na pytania o żonę, jej szkolnego przyjaciela, solidnie już martwego, i ich wzajemne relacje. Chyba że znajomości połowicy i sposób spędzania wakacyjnego czasu niezbyt go zajmowały. To sugerowali chłopcy z basenu. Tylko czy w ogóle można było im wierzyć? Może zwyczajnie klepali, co im ślina na język przyniosła. Mężczyźni przecież bywają gorszymi plotkarzami niż kobiety. Co tam bywają, po prostu są.

Patrzyłem przez niemal w całości przeszkloną ścianę na wnętrze pomieszczenia przy recepcji. Znajdujący się w nim ludzie wyglądali jak rybki w akwarium. Nieme i nieruchome. Jakby zastygły w oczekiwaniu na atak drapieżnika. Gotowe do ucieczki. Jedną z nich była niewyraźna kobieta. Najmarniejsza z rybek. Nie zamierzałem ciągnąć tego porównania. Nie w jej przypadku. Kobiety w szarej sukience i o poszarzałej twarzy. Słabo widocznej na tle szaroburego obicia fotela.

Pani od bluzgu, który zabrzmiał jak skarga.

Zrobiłem dwa założenia. Jeśli zdecydowała się opuścić pokój, nie mogło być z nią najgorzej. A przynajmniej lepiej niż przy pierwszym naszym spotkaniu. Jeśli nadal była w lekkim szoku, nie powinna zbytnio protestować, jeżeli będę zdecydowany i sensownie nią pokieruję.

Wszedłem do hallu i stanąłem przed żoną Zawadzkiego. Podniosła na mnie wzrok, co nie wróżyło najgorzej.

– Pamięta mnie pani – stwierdziłem i zignorowałem jej zdziwione spojrzenie. – Muszę z panią porozmawiać. Tylko przez chwilę. – Wyciągnąłem w jej stronę rękę. – To ważne. Bardzo – dorzuciłem.

Podążyła mi dłoń i grzecznie poszła za mną. Oba moje założenia okazały się mniej więcej słuszne. Nie posiadałem się z radości.

Siedzieliśmy na ławce przed budynkiem stojącym na skraju kompleksu hotelowego. Nie chciałem, żeby ktoś nam przeszkadzał. Paliliśmy. To

znaczy ja paliłem. Żona Zawadzkiego jedynie udawała, że pali, puszczając kłęby dymu. Nie wiem, czemu wzięła jednego, kiedy odruchowo wyciągnąłem ku niej paczkę.

Wydawała się spokojniejsza i stabilniejsza niż przy naszym poprzednim spotkaniu. Jej równowaga jednak mogła być chwiejna. Musiałem być ostrożny, żeby jej nie spłoszyć.

Chrząknąłem.

– Pani... – Nie mogłem mówić do niej per pani Zawadzka. Brzmiało zbyt drętwo, wprowadzało niepotrzebny dystans. A nie pamiętałem, czy Kiełbasa sprzedał mi jej pełne personalia. Najpewniej tak, tylko zapomniałem. Jak to ja. – Przepraszam, jak pani ma na imię?

Wzrok wciąż miała wbity w żar papierosa. Otrząsnęła się, jakby moje słowa dotarły do niej z opóźnieniem. Dotknęły ją. Fizycznie. Spojrzała, nieco zdziwiona, na tkwiącą między palcami fajkę, a potem pstryknięciem posłała przed siebie. Tłący się pet wylądował na spalonym słoncem trawniku. Jeszcze tylko pożaru w tym hotelu było potrzeba.

– Helena. Helena Zawadzka. – Jej głos miał szorstkość gruboziarnistego papieru ściernego. Tak jak podejrzewałem, musiała w ciągu ostatnich dni sporo chlać. I raczej nie były to niewinne szprycerki. – Ale wszyscy mówią na mnie Lena.

– Pani Leno, dobrze, że pani wreszcie wyszła z pokoju.

– Musiałam. Kazali się zebrać wszystkim z naszej wycieczki w jednym miejscu. Policja ma znowu przyjechać. Czy coś... – Machinalnie przeczesła włosy. Tłuste pasma przyklepione do czaszki. – A skąd pan wie, że zamknęłam się w pokoju?

– Byłem u pani.

Chciałem dodać, że rozmawialiśmy, ale krótką wymianę zdań trudno było uznać za rozmowę.

– Aha. Może.

Znamienne było, że ani nie sprawiała wrażenia przesadnie zdziwionej, ani nie miała zamiaru w jakikolwiek sposób się tłumaczyć z luk w pamięci. Byłem pewien, że w jej przypadku najlepiej sprawdzi się

strategia jasnych pytań. Niezbyt skomplikowanych. Przez chwilę rozważałem, czy rozpytanie zacząć od Filipa, czy od Kaliny. Uznałem, że temat męża mimo wszystko będzie bezpieczniejszy.

– Chciałem porozmawiać o pani mężu.

– Ale po co? – spytała takim tonem, jakby odpowiedź w gruncie rzeczy zupełnie jej nie obchodziła.

Po raz kolejny przedstawiłem moją wątpliwą legendę. Nie skomentowała choćby słowem. Wydawało mi się, że nagle zapadła się w siebie, ale może zwyczajnie przetwarzała informacje, bo po chwili milczenia zapytała:

– I zajmuje się pan sprawą śmierci mojego Filipa?

– Nie do końca. – Starałem się krótko i precyzyjnie formułować myśli. – Traktuję sprawę pani męża jako element większej całości. Chcę się dowiedzieć, co się dzieje w tym hotelu. Z ludźmi z waszej wycieczki. A dzieje się coś złego. Albo przynajmniej niezrozumiałego. Zgodzi się pani ze mną?

Wzruszyła ramionami i powiedziała bez przekonania:

– Może.

– To po kolei. Czy tego dnia, kiedy zniknął pani mąż, działo się coś niezwykłego?

– Ale właściwie co? Nie rozumiem, do czego pan zmierza.

Jasne. Zadałem zbyt otwarte pytanie.

– Pani Leno, kiedy ostatni raz widziała pani męża? – Zawahałem się przez chwilę. Czy jeśli doprecyzuję, spłoszę ją? Zaryzykowałem: – Żywego.

– Przy kolacji. – Westchnęła. Nie miałem pojęcia, czy ta rozmowa męczy Lenę. Jej twarz nie wyrażała absolutnie nic. – Zjedliśmy razem kolację. Był trochę napity. Ale w normie. Jego normie. Potem powiedział, że idzie się przejść. Sam.

Domyślałem się, o co chodzi. I byłem pewien, że akurat ten temat nie powinien jej sprawiać problemów. Pewnie przerabiała podobne roz-

mowy już wcześniej. Nie raz, nie dwa.

– Poszedł do knajpy? Dobić się?

– No raczej. Pewnie już tu wszyscy panu powiedzieli. Filip pił. Właściwie chlał. I nie krył się z tym.

– Nie wie pani, do którego lokalu poszedł? Miał tu jakiś ulubiony?

– Ulubiony... – Zaśmiała się krótko. Właściwie była to namiastka śmiechu. – Lubił wszystkie, w których polewali wodę. Mógł być w każdym w okolicy.

– A kiedy zaczęła pani szukać Filipa?

– Nie pamiętam dokładnie. Było chyba dobrze po północy.

– Tak późno?

– Późno, nie późno – podsumowała. Nie wiedziałam, co dokładnie miała na myśli. – Filipowi po wódzie włączał się szwendacz... Mógł się polecć gdziekolwiek.

– Ale czemu nad bagnisko? Tam nic nie było.

– Mówiłam mu wcześniej, że tam poszłam. Z ciekawości. W końcu w tej okolicy nie ma zbyt wielu atrakcji. Może zapamiętał, kto go tam wie. A może po prostu zapomniał skręcić do hotelu. Z nim wszystko było możliwe.

Lena była jedną wielką rezygnacją. Pewnie już wcześniej przestała się przejmować pijaństwem męża. Ale czy je w pokrętny sposób zaakceptowała? Nauczyła się z tym żyć? Podczas policyjnej służby widziałem wiele takich kobiet. Z różnych światów, z rozmaitych środowisk. Prostych, zmiętych przez życie sprzątaczek i wyrafinowanych prawniczek w ciuchach za średnią krajową. Pograżonych w toksycznych związkach, bez nadziei na jakąkolwiek sensowną zmianę.

Postanowiłem zmienić temat:

– Wiedziała pani, że Kalina Kowalska była koleżanką pani męża z liceum?

Zawadzka parsknęła rehotliwym śmiechem.

– Pewnie. Filip opowiadał mi wszystko, czy chciałam słuchać, czy nie. Lubił sobie pogadać.

Wyglądało, że z pana doktora był kawał bezlitosnego sukinsyna. Zanim wtrąciłem się z pytaniem, pociągnęła wątek:

– Popijali razem. To znaczy tutaj, bo w Krakowie to nie wiem, czy się spotykali. I opowiadali jakieś bzdurne szkolne legendy. Nudziło mnie to. I jeśli pan spyta, czy mi przeszkadzało, że wolał przesiadywać z nią niż ze mną, to powiem szczerze, że nie – stwierdziła nad wyraz trzeźwo. – Od dawno nic mi nie przeszkadzało. A już na pewno nie te jego żałosne romanse, te pielęgniareczki, te wdzięczne pacjentki. On się z tym nawet nie krył, a ja nie drażyłam. Nie było po co.

To mogłoby być życiowym mottem Heleny Zawadzkiej: „Nie ma po co”. Nie sądziłem, żeby kłamała. I tak upadł pomysł zazdrości jako motywu ewentualnej zemsty.

– A nie wydało się pani dziwne, że ona się znalazła w tym samym miejscu w tym samym czasie, co wy? Mam na myśli ten hotel – dorzuciłem dla jasności.

– Przypadek – odparła.

Wszystko w okolicy działo się przez przypadek. I przez to było niepokojące. Nad wyraz.

Chciałem pożegnać się i odejść, ale kiedy podniosłem się z ławki, chwyciła mnie za ramię. Zdziwiłem się, nie spodziewałem się po niej tak gwałtownego gestu.

– A wie pan, co jest najdziwniejsze?

– Nie – odparłem automatycznie.

– Że nic nie czuję. Nic a nic. I pewnie dlatego piję, żeby poczuć. Ale to nie działa. Rozumie pan? Wcale nie działa.

Rozumiałem Lenę. Ale prawdopodobnie byłem ostatnią osobą, która mogłaby ją pocieszyć.

Pocieszenia na pewno potrzebował Staszek, który nerwowo krążył przed recepcją. Od jednego jej krańca do drugiego jak sumienny wartownik, dzielny wojak Kiełbasa. Kiedy tylko mnie dostrzegł, zaczął wykrzykiwać:

– Gdzie ty się podziewasz, no gdzie? – Podskoczył ku mnie i klepnął mnie w ramię. Zachowywał się, jakbyśmy nie widzieli się wieki całe. – Już myślałem, że i tobie się coś stało.

Wzruszyło mnie, że tak się o mnie martwił, ale nie dałem niczego po sobie poznać i burknąłem:

– Spokojna twoja rozczochna, złego diabli nie biorą.

Staszek bezwiednie przeczesał palcami blond włosiny. Wyglądał komicznie i zarazem nieco rozczulająco.

– Bo ty nie wiesz, no nawet nie wiesz, co się dzieje – zajęczał, zamilkł na chwilę, a potem wrzasnął tak, że aż się przeląknęłam: – Nie żyje!

– Kto znowu?

Zacząłem się obawiać, że w Arkoudi szykuje się jakaś grubsza apokalipsa.

– No jak to, no ta cała Kalina w szpitalu umarła. Nie odratowali, dzwoniли do rezydentki. No i, no chyba nie żyje. Tyle rezydentka powie-działa, no i, no i zemdląca.

Miałem absolutnie dosyć powtarzanego przez Staszka „no i”, zdruzgotanej rezydentki, tego hotelu i w ogóle wywczasów, które miały być romantyczną przygodą, a zmieniły się w dręczącą, morderczą codzienność. We wszystkich znaczeniach tych słów.

To nie był koniec złych wiadomości, jakie miał dla mnie Kiełbasa.

– A i wiesz, no nie wiesz, co ja miałem z Pauliną po drodze. Była wściekła jak osa. Co ty jej właściwie, no co zrobiłeś?

Nie odpowiedziałem. Po pierwsze, nie miałem zamiaru wtajemniczać Staszka w szczegóły moich relacji z Pauliną. Po drugie, naprawdę

nie wiedziałem, o co mojemu zauroczeniu chodzi. A przynajmniej nie do końca.

Pociągnąłem Kielbasę za sobą i powiedziałem:

– Chodź, popytamy jeszcze ludzi, jak już są tu wszyscy razem.

Dalszy ciąg rozpytania nie bardzo mnie interesował. Chodziło mi przede wszystkim o to, by Staszek nie zadawał kolejnych pytań, nie drążył. Aby zwyczajnie się zamknął.

Weszliśmy do środka. Rozejrzałem się, próbując wytypować kolejną ofiarę na rozmowę. Większość zgromadzonych przy recepcji spojrzała na nas przelotnie. Nie wyglądali na gotowych, by zeznawać całą prawdę i tylko prawdę. Zresztą co oni mogli wiedzieć? Bez wątplenia niewiele więcej niż ja. O Staszku nie wspominając.

Jednak tego wieczora nie dane mi było z nikim się rozmówić. Zanim zdecydowałem się podejść do kogokolwiek, przed budynek zajechał samochód. Oznakowany. Wysiadło z niego dwóch umundurowanych policjantów. Wyglądali na znudzonych i zirytowanych. Jednocześnie. A przynajmniej tak mi się wydawało. Może było to zwyczajowe przesłanie mowy ciała greckich policjantów. Nie zamierzałem dociekać prawdy, chciałem jak najszybciej zniknąć funkcjonariuszom z oczu. Na wszelki wypadek. Żeby uniknąć pytań, na które będę musiał udzielać odpowiedzi z gruntu kłamliwych. Rzuciłem w stronę Staszka, że spadam i wpadnę jutro z samego rana. Zignorowałem jego nerwowe i pozbawione sensu, no ale, no, i wyszedłem na zewnątrz krokiem znużonego walką ze złem rewolwerowca ze spaghetti westernu.

Dopiero po chwili zrozumiałem, jaki jestem tępy. Przecież spaghetti westerny to był włoski wynalazek. Nie grecki.

Do wioski nie tyle szedłem, ile wlokłem się noga za nogą. Podejrzywałem, co mnie czeka w hotelu. Więcej, byłem pewien, co mnie nie minie. W szczeniacki sposób odwlekałem nieuniknione. I zadawałem sobie proste pytanie, co ja tu właściwie robię? W Grecji na wakacjach bezrobotnego. A przecież powinienem siedzieć w Ciechanowie i po raz

kolejny organizować sobie życie. Od nowa. Wiedziałem, że jestem zdecydowanie za stary na zbywanie problemów stwierdzeniem, że jakoś to będzie, się poukłada. Na wyjeździe u boku dwudziestolatki. Dlaczego zdecydowałem się na coś, co wyglądało jak związek z Pauliną, chociaż lata temu dałem sobie słowo, że nie uwiklam się w żadne nowe związki z kobietami? Proste pytania, na które – jak to często ze mną bywało – nie miałem równie prostych odpowiedzi.

Zwalniałem kroku, jak tylko mogłem, ale w końcu doszedłem do naszego hotelu. I naszego pokoju.

Dzień skończył się tak, jak się zaczął. Awanturą.

15 września 2014, poniedziałek, Grecja

W kółko powtarzała swoje, nie i nie, nie zgadzam się. Nie wiedziałem, co ją opętało. Prawdopodobnie kilka dni z rzędu spędzonych razem skumulowało zbyt wiele atrakcji. Wątpliwych. Dla niej, i dla mnie także. W końcu wybiegła z pokoju, trzaskając drzwiami. W pierwszej chwili pomyślałem, a niech biegnie. Jogging z rana jej nie zaszkodzi, a może ochłodzi nieco głowę. Choć w upał było to mało prawdopodobne. Nie mogłem jednak zostawić jej samej. W tej wiosce ewidentnie działa się coś złego. Czyhało na moich rodaków. Rodakami w swojej masie niespecjalnie się przejmowałem. Za to bałem się o Paulinę.

Paulina biegła. Faktycznie wyglądało to tak, jakby odbywała poranny trening. Kierowała się w stronę hotelu Kiełbasów. Po co? Nie wiedziałem. Z trudem za nią nadażałem. Nigdy nie lubiłem biegać, przez lata nie dbałem o kondycję, więc – mimo że ostatnio nieco schudłem – męczyłem się jak basset z astmą. Zbiegła z chodnika i pomknęła przez gaj oliwny. Wydawało mi się, że zwolniła. Nagle wyłożyła się jak długa. Przyśpieszyłem. Bałem się, że skręciła albo złamała sobie kostkę. Tylko tego jeszcze brakowało, aby ostatecznie uznać nasz wyjazd za fatalny. W skutkach. I prognozach na przyszłość.

Siedziała na piaszczystej ziemi i wbijała wzrok w coś, co wyglądało jak spora, przykurzony kamień. Jednak kamieniem nie było.

- Zabili mi żółwia - powiedziałem.

- Że niby co? - spytała odruchowo, bardziej zdziwiona słowami niż nagłym objawieniem się u boku mężczyzny jej życia. Wciąż miałem nadzieję, że życia.

- Był kiedyś zespół o takiej nazwie. Raczej słaby.

- Co ty mi tu pierdolisz?

Chyba było to pytanie retoryczne. Dla rozładowania atmosfery chciałem zaśpiewać jakiś kawałek tego niespecjalnie znanego zespołu, ale uświadomiłem sobie, że pamiętam jedynie tytuł ich demo, „Mordercy żółwia”. Nie potrafiłem przypomnieć sobie choćby wersu z ich piosenek.

Paulina kucnęła obok gada. Usiadłem po turecku naprzeciwko niej. Pomyślałem, że może smutny los żółwia na nowo nas zjednoczy. Zaraz jednak dotarło do mnie, że chyba mam nie po kolei w głowie.

- Chyba tego nie przeżył - powiedziała i delikatnie dotknęła palcem gada, który nie zareagował, bo dla czego miałby to zrobić.

- Niekoniecznie. - Potarłem policzek naznaczony kilkudniowym zarostem w kolorze pieprz i sól. - To żółw grecki, a właściwie żółwik, jeszcze dosyć mały. A takie młode osobniki mają dosyć miękką, plastyczną skorupę. Mógł przetrwać.

- A od kiedy to znasz się na żółwiach, w dodatku greckich?

- Lata temu kolega hodował coś takiego.

- To ty masz kolegów? - Nie mogła darować sobie drobnej złośliwości.

Westchnąłem i wbiłem wzrok w Paulinę. Podniosła żółwika z ziemi i oglądała ze wszystkich stron. Zbyt wiele nie zauważyła, ponieważ delikwent tkwił wewnątrz skorupy. Żywy lub martwy.

Odstawiła gada z powrotem na ziemię. Patrzyłem na nią, a ona patrzyła na gada. Doskonała metafora związku w kryzysie.

Po chwili zółw wystawił łeb i nogi ze skorupy, i powoli, jakby na próbę, pokonał kilka centymetrów.

– On żyje! Nie zabiłam go! – wykrzyknęła, podskoczyła i rzuciła mi się w ramiona.

Paulina cieszyła się, że gad przeżył. Ja zaś cieszyłem się, że cieszy się Paulina.

– A co wy tu, co robicie? Oliwki na zimę zbieracie?

Odwróciliśmy się jednocześnie jak na komendę od zółwika, który mozolnie brnął w sobie tylko znanym celu. Pewnie aby jak najdalej od nas. Staszek zaś najwyraźniej szedł ku nam.

– Na zbiór oliwek jeszcze za wcześnie – powiedziała Paulina.

– Opiekujemy się żywą przyrodą. Wciąż jeszcze żywą – dorzuciłem.

Kielbasa stał przed nami i kręcił głową. Zapewne z politowaniem.

– Ja to was jakoś nie bardzo rozumiem.

– I vice wersacze – wypaliła.

– Skąd się tu wzięłeś? – postanowiłem przerwać słowny ping pong.

– A bo miałeś, przecież miałeś przyjść do nas rano. I już jest rano, więc pomyślałem, że zapomniałeś, to poszedłem do wioski, ale zobaczyłem was tu...

– Staszek – wbiłem mu się w słowo – wracaj do hotelu. Zaraz tam przyjdziemy.

– Aha – sapnął i spojrzał na nas porozumiewawczo. Choć cholera go wie, czego porozumienie miałyby dotyczyć.

Kielbasa powłókł się przez gaj oliwny. Paulina i ja po chwili ruszyliśmy za nim. Najpierw przeprosiłem moje zauroczenie, chociaż nie za bardzo wiedziałem za co. Za to, że się o nią troszczyłem, chciałem, żeby była bezpieczna w tym greckim raj, który okazał się skażony grzechem? Mniejsza. Moja babuleńka często powtarzała, że lepiej przeprosić o jeden raz za dużo niż o jeden za mało. Tym razem zastosowałem się do jej światłej rady. Paulina oświadczyła, że przeprosiny przyjmuje.

Powiedziałem, jak widzę rozpoczęty niezbyt fortunnie dzień. Wspólny. Że pokręcimy się trochę po hotelu Brati, popytamy o wczorajszy wypadek. Ja popytam, sprecyzowałem. Dodałem, że chcę mieć ją u boku. Nie powiedziałem, że również chcę mieć ją na oku. Dla bezpieczeństwa. Tym razem nie skomentowała ani nie fuknęła ze złością. Dobre i tyle. Zapowiedziałem też, że resztę dnia chcę spędzić z nią i tylko z nią. Na drobnych przyjemnościach. W końcu miał to być ostatni dzień naszego romantycznego wypadu. Zaakceptowała mój plan. Chwalić Pana!

Był czas wydawania hotelowego posiłku i Staszek zaproponował, abyśmy pośniadali wspólnie z jego wesołą rodziną. Takiego słowa użył: „pośniadajmy”. Chociaż przez kolejną, poranną odśłonę kłótni nic jeszcze z Pauliną nie jedliśmy, odmówiłem. Co za dużo, to niezdrowo. Jeszcze postne hotelowe smakołyki stanęłyby mi ością w gardle. Wykręciłem się, że chcę jak najszybciej popytać o wczorajsze zajście.

– Chyba zejście – rzucił Paulina.

Zgromiłem ją wzrokiem. Rozłożyła dłonie w przeproszającym geście.

Nawet Staszewi zbyt nie nałgałem. Zamierzałem odnaleźć rezydentkę i popytać, co właściwie stało się z Kaliną Kowalską. Tylko ona mogła mieć informacje ze sprawdzonego źródła. Miałem nadzieję, że nieszczęsna pracownica biura podróży jako tako poskładała się w całość. Sama z siebie lub za pomocą pigułek w wesołych kolorach. I że w ogóle przywlecze się tego ranka do hotelu.

Rezydentka okazała się osobą obowiązkową. Siedziała przy stoliku w hallu recepcji. Minę miała zbolalą, a wzrok, jak mi się wydawało, nie do końca przytomny. Rozmawiała z kolegą ze swojej firmy, chyba, bo był odziany w taką samą jak ona koszulkę z krótkim rękawem z logo biura turystycznego. Że rozmawiała, to za dużo powiedziane, bo mężczyzna nawijał, a ona słuchała i jedynie co jakiś czas kiwała głową. Zbierała równy opieprz? Bardzo być może.

Postanowiłem odczekać, aż rezydentka zostanie sama. Siedliśmy z Pauliną na sofie, nawet dosyć wygodnej. Wyjęła iPhone i zagłębiła się w odmęty sieci społecznościowej. Mętne. Sięgnąłem po leżące na niskim stoliku foldery zachęcające do poznania atrakcji Peloponezu. Samochodowa wyprawa na Olimp? Wystarczyło mi, że znalazłem mity greckie, samej góry nie musiałem oglądać. Wizytacja jakichś ponoć niesamowitych plaż? A co oni tu właściwie mieli do zaoferowania? Nie widzieli plaż bałtyckich.

Po dziesięciu minutach Paulina się znudziła. Na co, prawdę mówiąc, liczyłem. Dochodzenie to nie jest rzecz dla niecierpliwych kobiet. Spytała, czy może pójść do restauracji pogadać z Kielbasami. Grzeczna dziewczynka. Wprawdzie miałem jej nie spuszczać z oczu, ale nie sądziłem, żeby mogło się jej coś stać po drodze do sąsiedniego budynku. Pozwoliłem, poszła. Po dwudziestu minutach się zirytowałem. Mężczyzna siedzący z rezydentką wciąż snuł opowieści dziwnej treści. Miał facecina gadane. Oby rezydentka miała mi coś do powiedzenia. Cokolwiek.

Nie zamierzałem spędzać w hotelu połowy dnia, podszedłem do rezydentki, przywitałem się, grzecznie przeprosiłem, że przeszkadzam w zajmującej ze wszech miar konwersacji, i spytałem, czy może mi poświęcić pięć minut. Ku mojemu zdziwieniu odezwał się towarzysz kobiety:

– Nie widzi pan, że rozmawiamy?

Owszem, widziałem. I nie zamierzałem tracić energii na odpowiadanie na bzdurne pytania. Nieodmiennie było na to zbyt gorąco.

– I kim pan właściwie jest?

Wstał. Był mojego wzrostu i prawdopodobnie w mniej więcej tym samym wieku co ja. Typ fit, szczupły i żyłasty, z wyraźnie zaznaczonymi gruzłami mięśni na ramionach. Mocno opalony, z cienkimi blond włosami wypalonymi słońcem tak, że wyglądały prawie na białe. A może był zwyczajnie posiwiasty? Nigdy nie umiałem tego do końca ocenić. Miał okrągłą buźkę rolnika z mazowieckiej wioski, w której jednak coś

mi nie grało. Po chwili wiedziałem, co takiego: oczy. Ciemnoniebieskie, niemal granatowe. Zimne.

- Ten pan...

Przerwałem rezydentce. W dwóch zdaniach powiedziałem, kim jestem i z czym przybywam. A właściwie, w jakim celu. Potem dodałem, że bardzo zależy mi na rozmowie z rezydentką.

- Nie obchodzi mnie, kim pan jest. - Co tu kryć, typ do konsekwentnych nie należał. - Nie powinien się pan tu kręcić. To nie pana sprawa.

- Widzę to nieco inaczej - odparłem spokojnie.

- To pana problem. Jestem przełożonym Karoliny i nie życzę sobie, żeby pan z nią rozmawiał. Ani w jakikolwiek sposób niepokoił. Powtórzę raz jeszcze, problemy naszego biura nie są pana problemami. Jasne?

Pan przełożony, który nawet nie raczył się przedstawić, mówił w sposób na pozór spokojny. Ale gdzieś tam w środku buzowały emocje, które nieźle ukrywał. Do pewnego stopnia nawet go rozumiałem. Każda mniejsza lub większa firma, nie mówiąc o korpo, starała się ukrywać swoje wpadki i problemy przed światem. Pan przełożony mógł mieć wątpliwości, kim naprawdę jestem i czy nie roztrąbię na cały świat o promocyjnej wycieczce zorganizowanej przez ich biuro, która zaowocowała śmiercią all inclusive. Potrójną. Mimo to nie zamierzałem odpuszczać. Ale też nie chciałem się z nim wyklócać. Postanowiłem, że zastosuję najlepszą w tej sytuacji strategię. Przeczekania. Typ prędzej czy później zniknie, a wtedy spokojnie pogadam z rezydentką.

Wzruszyłem ramionami i bez słowa wyszedłem z recepcji. Chciałem wyrwać Paulinę z familijnego ciepła Kiełbasów i pójść z nią na śniadanie. We dwoje. Najpierw jednak zapaliłem, ignorując narastający z minuty na minutę upał.

Miałem już serdecznie dosyć tego hotelu. I tej greckiej oazy pozornego spokoju. Najchętniej zostawiłbym to wszystko jak najszybciej za sobą i wrócił do mojego ciechanowskiego lokum, w którym porządek był rzadkim i niespecjalnie oczekiwanym gościem. Zamknąłbym się przed światem na cztery spusty, by oddawać się nieskomplikowanym

rozrywkom. Czytaniu książek, na które wcześniej nie miałem czasu, i popijaniu alkoholi niegodnych dżentelmena. Zastanawiałem się, czy mój spadek nastroju wynikał ze scysji z Pauliną. Bardzo prawdopodobne. Przez długie lata nie kłóciłem się z moimi przelotnymi narzeczonymi. Nie dopuszczałem do takich sytuacji. Kiedy tylko zaczynały się narzekania czy wyrzuty, odwracałem się i odchodziłem. Mistrz uników i ucieczek, tak, to ja.

Z lekko złośliwą satysfakcją cisnąłem niedopałek na chodnik i przydeptałem go. Niech Grecy cierpią, niech wyrzekają na niesfornych turystów, którzy na dokładkę padają jak muchy w ich hotelu czy jego okolicach.

- Taaak, jeszcze tylko dzień. Jeden dzień – powiedziałem na głos.

Wracaliśmy z Pauliną do wioski, po raz kolejny mijając gaj oliwny.

- Ciekawe, jak tam żółwik? – zastanowiła się na głos.

- Bryka pośród pól i łąk.

Roześmiała się pełnym głosem i poczochnęła mi włosy.

- Debilek – wymruczała.

Miałem nadzieję, że jest to określenie pełne żartu i ciepła. Na wszelki wypadek wolałem jednak nie dopytywać.

Minął nas oznakowany wóz policji, który skręcił do hotelu Brati. Wyglądało na to, że ewakuowałem się stamtąd w odpowiednim momencie. Rosło we mnie przekonanie, że powinienem definitywnie dać sobie spokój ze śmiesznym dochodzeniem, które ani mnie, ani pewnie nikomu do niczego nie było potrzebne.

Dochodziliśmy już do pierwszych zabudowań Arkoudi, kiedy policyjny radiowóz znowu pojawił się w zasięgu mojego wzroku. Auto minęło nas, ale po chwili stanęło. Zawyla syrena. Krótko i przeraźliwie. Rozejrzałem się dokoła, ale oprócz nas dwojga nie dostrzegłem nikogo. Choćby nawet jednego marnego turysty, który przekraczałby drogę w miejscu niedozwolonym. Zresztą, jak zauważyłem, tutaj takimi dro-

biazgami nikt się nie przejmował. Oczywiście, mogłem zignorować jednoznaczny sygnał, jednak z zagraniczną policją nie należy bez powodu zadzierać. Nie to, co z polską.

Stanęliśmy. Paulina najpierw spojrzała na radiowóz, potem na mnie i spytała z niepokojem:

- Co się dzieje?
- Chyba nic strasznego. Zobaczymy.

Czego mogła chcieć od nas grecka policja? Jeśli już, to raczej ode mnie. Podejrzałem, że to robota pana przełożonego, który postarał się zadbać, abym nie kręcił się po hotelu i nie węszył. Czyli coś tam jednak mogłem odkryć?

Z auta wysiadł mężczyzna, który już na pierwszy rzut oka wyglądał na psa. Choć niekoniecznie miejscowego. Ostrzyżone na zapałkę blond włosy, kwadratowa szczeka, skóra nietknięta słońcem. Poruszał się w sposób nieco leniwy, ale zdecydowany. Typ jak z amerykańskiego serialu kryminalnego. Stał metr od nas i zapytał jak najbardziej w języku Mickiewicza:

- Pan Rowicki?
- A kto pyta?

Skrzywił się jak człowiek przyzwyczajony, że to on zadaje pytania i błyskawicznie otrzymuje odpowiedzi, a nie odwrotnie. Z racji pełnionej funkcji.

- Komisarz Kamil Koseła, Komenda Miejska Policji w Krakowie.

Co było do przewidzenia, nadciągnęła kawaleria.

- Konrad Rowicki, a to...

- Możemy porozmawiać w cztery oczy? - przerwał mi prezentację Pauliny.

Poprosiłem, żeby poczekała na mnie w zaprzyjaźnionej tawernie, obiecując, że rozmowa nie potrwa długo. Wzruszyła ramionami, wgapiając się prowokacyjnie w Kosełę, wycedziła: „Nie do widzenia”, odwróciła się na pięcie i poszła w upał.

– Ma charakterek... – powiedział komisarz, śledząc Paulinę wzrokiem.

– Fatygował się pan tu aż z Krakowa, żeby pogawędzić o wadach i zaletach mojej dziewczyny?

Odwrócił się gwałtownie w moją stronę. Uśmiezek zgasł na jego twarzy w jednej sekundzie. Skądś znałem te tanie chwyty. Ale nie ze mną te numery, Brunner.

– Kim pan właściwie jest? – spytał niecierpliwie.

Lubił chłopak zadawać pytania. Postanowiłem trochę go podrażnić. Tyle mojego.

– Pewnie odpowiedź, że zwykłym turystą szukającym słońca, radości i wypoczynku, nie przejdzie?

Koseła nie należał do cierpliwych typów.

– Wie pan, że mogę pana...

– Ależ oczywiście. – Tym razem ja wbiłem mu się w zdanie.

– Podobno jest pan prywatnym detektywem i węszy przy nie swojej sprawie? – konsekwentnie zadawał pytania ze swojego zestawu. Ciekawe, czy wcześniej spisał je w notesie.

– Zgadza się. Mniej więcej.

Mogłem się z nim jeszcze droczyć długo, tyle że rozmowa z krakowskim psem nie sprawiała mi przyjemności. Zdawałem sobie sprawę, że ściema z detektywem nie przejdzie z Kosełą. Komisarz był w stanie zwerfikować tę informację bardzo szybko.

– Dobra, gorąco jest, nie ma co tu stać po próżnicy i smażyć się jak jajka sadzone. Zacznijmy jeszcze raz, tak jak trzeba, *prawilno*. Podkomisarz Rowicki. – Wyciągnąłem rękę. Koseła zawahał się, ale uściśnął moją dłoń. – Właściwie w stanie spoczynku. Służyłem w komendzie w Ciechanowie. Ale swego czasu też w miejskiej w Kraku.

– Jakoś pana nie kojarzę.

Cisnęło mi się na usta zdanie, że jak pracowałem w krakowskiej komendzie, on w szkole ciągnął koleżanki za warkocze, ale zmilczałem

i rzuciłem:

– Dawne dzieje.

Wyciągnąłem w jego stronę paczkę fajek. Pokręcił głową. Tak, nowa policja – nowe porządki. Zapaliłem. Z wielką przyjemnością.

– To właściwie o co chodzi z tym prywatnym detektywem? Jest pan nim czy nie?

– Nie bardzo. Jak zaczęły się tu nieszczęścia z udziałem turystów, kolega, też z tego hotelu, poprosił mnie o pomoc. Bał się o rodzinę. Żeby mu poprawić samopoczucie, uspokoić, pokręciłem się trochę po hotelu, popytałem. I tyle.

Nie polubiłem pana komisarza, więc nie zamierzałem dzielić się z nim strzępami informacji, jakie udało mi się zebrać.

– Jaki kolega?

– Stanisław Kielbasa.

Popatrzył na mnie uważnie. Zrobiłem minę, która w moim zamierzeniu miała oznaczać: „No cóż, takie nazwisko”. Wystawiłem Staszka policjantowi z radością. Wiedziałem, że Koseła będzie chciał z nim porozmawiać. Przynajmniej Kielbasa nie będzie zawracał mi głowy ostatniego dnia wielkich, wyjątkowych greckich wakacji.

– Dobra, jest pan kolegą z firmy, to nie będę wnikał, jako kto się pan przedstawiał. – Łaskawość Koseły nie miała granic. – A czegoś się pan dowiedział?

– A czego mogłem się dowiedzieć? – odpowiedziałem pytaniem na pytanie. – Wiem tyle, ile wszyscy tutaj. Że dziwnym zbiegiem okoliczności w ciągu zaledwie kilku dni rozstały się z życiem trzy osoby z tej samej grupy polskich turystów. Przecież nie sądzi pan, że poszedłem pytać się ich o szczegóły spraw?

Wskazałem ręką na greckich policjantów. Popatrzyli na mnie. Jak mi się zdawało, uważnie.

– No tak, no tak... – skomentował moją niewiedzę.

– A pan już coś wie? Tak z próżnej ciekawości tylko pytam.

– Co ja mogę wiedzieć! – odparł wyraźnie zirytowany. – Dopiero wczoraj wieczorem dowiedziałem się, że mam tu lecieć.

Tak jak podejrzewałem, przyjazd Kosęły był jedynie czymś w rodzaju zasłony dymnej. Albo przygotowaniem sobie dupochronu dla jakiegoś urzędasza. Dzielny komisarz Kosęła nic nie wie i najprawdopodobniej niewiele ustali. Tyle jego, że złapie trochę opalenizny. A ktoś w naszym pięknym kraju będzie miał odhaczone, że polska policja czy polskie władze troszczą się o obywateli, którym za granicą dzieje się krzywda. Typowe.

– Jeszcze coś, bo, rozumie pan, kobieta czeka? – spytałem.

Pokręcił głową i podał mi dłoń na pożegnanie. Ledwie zrobiłem kilka kroków, usłyszałem, że Kosęła woła za mną:

– Aha, jeszcze jedno!

Odwróciłem głowę.

– Co takiego?

– Wolałbym, żeby pan się już nie kręcił po hotelu i nie zadawał pytań. Jasne?

Nie musiałem potwierdzać, że zrozumiałem. Ruszyłem w stronę wioski.

Pojadaliśmy niespiesznie. Souvlaki i tztziki. I popijaliśmy białym winem. Dużą ilością białego wina. Powoli przekonywałem się do tutejszego żarcia. Prawdopodobnie polubiłbym je, gdyby przyszło mi tu mieszkać na dłużej. Co jednak nie zmienia tego, że na mojej prywatnej liście potraw wszech czasów nieodmiennie na pierwszym miejscu królował bigos warzony przez babkę Felicję.

Placyk w centrum Arkoudi żył swoim życiem. Jak zwykle przed południem nieco udawanym. Jakby na pół gwizdka. Jedynie staruszka spod platanu była czujna i zwarta. Trzymała w ryzach lokalny świat, od czasu do czasu popatrując na mnie. Przynajmniej tak mi się zdawało. Dobrze przynajmniej, że tym razem nie popluwała na mój widok. Może się do

mnie przyzwyczała. Albo uznała, że nie warto na mnie marnować uroków.

Paulina pytała o przebieg rozmowy z – jak się wyraziła, – bucem z Krakowa. Potwierdziłem, że faktycznie nie tylko wyglądał na buca. Opowiedziałem, o czym gawędziliśmy. Przemilczałem, że praktycznie zakazał mi pokazywać się w hotelu Brati.

– I co teraz będzie? – spytała niezbyt konkretnie.

– Jak to co? Życie, plaża i przyjemności stołu. Dokładnie tak jak w tej chwili.

– Wiesz, o co pytam? O sprawę tych... zmarłych.

– Nie ma sprawy. Przynajmniej dla mnie. Przyjechał fachowiec i wszystko ogarnie.

Absolutnie nie wierzyłem w to, co mówię, ale Paulina nie musiała o tym wiedzieć. Miałem nadzieję, że odpuści, nie będzie już namawiać mnie do jakichkolwiek działań. W końcu byliśmy już niemal, dosłownie i w przenośni, na wylocie z Grecji. Zmilczała, co było mi na rękę. Prawdopodobnie zdawała sobie sprawę, że znowu doszłoby do scysji albo kłótni. I nie zamierzała męczyć nas drobną wojną podjazdową, która do niczego dobrego nie prowadziła.

Snuliśmy plany na resztę dnia. Skrótowe, bo też czasu nie było za wiele. Zasadniczo pomysł był taki, aby jak najprzyjemniej spędzić czas, który pozostał nam w Grecji. Było to do zaakceptowania, więcej nawet, podobało mi się w stopniu znacznym.

Nie obsługiwał nas tym razem zaprzyjaźniony kelner. Płacąc, Paulina zapytała jego kolegę, czy nasz znajomek będzie jutro rano w pracy. Uznała, że należy się z nim pożegnać. Byłem tego samego zdania. Jakby zamknęła się wokół nas bańka sielanki. Jakby kłótnie poranna i wieczorna wcale nie miały miejsca. Było przyjemnie. Choć po głowie chodziła mi myśl, czy nie nazbyt. Gdzie, w czym i jaka kryje się zasadzka?

Szliśmy do hotelu po plażowe utensylia, kiedy Paulina rzuciła niewinnym głosem pytanie:

– A mówiłam ci?

Jakbym był duchem świętym albo nazbyt pewnym siebie psychologiem, któremu wydaje się, że potrafi czytać w myślach innych.

– Nie bardzo – burknąłem.

– Umówiłam się z Kielbasami na krótką pożegnalną kolację.

Czyli jednak zasadzka.

Postanowiłem, że nie będę się denerwował, irytował czy choćby zrzedził, przynajmniej do wylotu z Peloponezu. Może to nie najambitniejsze postanowienie z możliwych, ale jakieś było. Dzięki temu chciałem przeżyć miły i spokojny czas. Choćby nawet wszyscy obecni w promieniu kilku kilometrów robili wszystko, aby wyprowadzić mnie z równowagi. Będę jak Siedzący Byk, jak premier Mazowiecki – żywa personifikacja siły spokoju.

Popołudnie spędziliśmy z Pauliną na plaży. Coraz wyraźniej czuło się nadchodzący koniec sezonu. Miłośników kąpieli w słońcu i wodzie było coraz mniej. Poborcy plażowego myta poruszali się szybko, nerwowo, by zarobić, ile się jeszcze da, łupiąc ostatnich turystów. Nie był to jednak mój problem. Skupiałem się, żeby robić to, co sobie założyłem. Cieszyć się drobnymi radościami. Paulina raz po raz wskakiwała do wody, nurkowała i przynosiła całe garście muszelek. Nawet ładnych, choć wciąż nie rozumiałem, po co ludzie taszcza z mniej lub bardziej egzotycznych wakacji całe ich wory. Przecież na prapolskiej ziemi w pierwszym lepszym sklepie typu: tysiąc i jeden przedmiotów, które niczemu nie służą, a bez wahania możesz nimi unieszczęśliwić znajomych – za grosze da się nabyć takie same. Albo i ładniejsze. Raz czy dwa zanurzyłem się w wodzie, nie powiem, ciepłej i przyjemnej. W końcu nie miałem pojęcia, kiedy będę miał znowu okazję taplać się w morzu. Jakimkolwiek, nie mówiąc już o tak przyjemnym. Poza tym robiłem to, co zwykle na plaży. Palilem papierosy i popijałem słabe drinki, bo do miejscowego piwa już nie miałam serca i nie podejrzewałem, żeby ten stan miał się zmienić. Spędzałem czas, czy właściwie zabijałem go, starając się zbytnio nie myśleć o czymkolwiek konkretnym. A już na pewno nie

o zabijaniu. Co jakiś czas Paulina przysiadła na leżaku obok mnie. Milczeliśmy albo rzucaliśmy krótkie zdania. Pojedyncze. Lustrowaliśmy wzrokiem horyzont niczym strażnicy wybrzeża. Ale tak naprawdę chronić i bronić mogliśmy tylko siebie. Nie wiem, czemu akurat takie zdanie przyszło mi do głowy.

Zmierzch powoli rozpuszczał kolory. Paulina po raz ostatni tego dnia wyszła z wody. Istna królowa greckiego wybrzeża. Zaryzykowałbym nawet, że wszystkich wybrzeży Morza Śródziemnego. Usiadła obok mnie. Blisko. Woda z mokrych włosów skapywała na moje ramię. Nie było to niemiłe. Po chwili poprawiłem się w myślach, że powinienem stwierdzić, że było to miłe. Niby sens ten sam, ale jednak oba warianty zdania znacząco się różniły.

- Dobrze mi i błogo - powiedziała, patrząc przed siebie. - Szkoda, że zaraz wyjeżdżamy. A tobie jak jest?

- Jako tako - palnąłem, nim się zastanowiłem.

- Gejzer entuzjazmu.

Spojrzała na mnie i skrzywiła się nieco.

- Czy ty w ogóle kiedykolwiek czymś się zachwycasz?

- Tak, ale...

Przerwała mi nie tyle ze złością w głosie, ile raczej z żalem:

- No właśnie, ty ciągle wyjeżdżasz z tym swoim „tak, ale”...

- Daj mi dokończyć. - Tym razem ja wbiłem się Paulinie w zdanie. - Nie tyle czymś się zachwycam, ile kimś.

Odwrociłem się do niej. Ująłem jej głowę w ręce i spojrzałem prosto w oczy.

- Tobą.

Całowałem się z Pauliną, nie zważając na plażowego chłopaczka, który czaił się nieopodal, by wcisnąć mi ostatniego drinka po cenie wysoce niepromocyjnej.

Z rodziną Kielbasów spotkaliśmy się pod naszym hotelem. Przez dobre kilka minut trwały przepychanki, w której najpóźniej odbędziemy pożegnalny wieczór. Gośka upierała się, żeby pójść do restauracji prowadzonej przez Polkę. Kiedyś o niej wspominała. Mnie się to nie uśmiechało, czwórka rodaków wokół mnie w zupełności mi wystarczała. Staszek, co było do niego niepodobne, nie miał zdania. Ich córka konsekwentnie nie zwracała na nas uwagi, nie tyle nawet przesadnej, ile żądanej. Koniec końców Paulina zarządziła, żeby pójść do knajpy, w której byliśmy z Kielbasami poprzednio. I tak się stało.

Zamówiliśmy kilogramy owoców morza pod różnymi postaciami i litry wina. Coś trzeba było zrobić z resztą eurasów, które nam jeszcze zostały w portfelach. Radosny wakacyjny potlach. Jedliśmy powoli, przerzucając się pojedynczymi zdaniem w leniwym small talku. Kielbasa był podejrzanie milczący, ale przy kolejnej karafce wina nie zdzierzył.

– A wiesz, no wiesz, że mnie przesłuchiwał policjant?

– Grecki?

Udałem nieświadomego, choć doskonale wiedziałem, że chodzi o komisarza Kosełę. Pseudonim Buc.

Staszek nerwowo zamachał witkami i kontynuował:

– Jaki tam, jaki grecki?! Z Polski wreszcie raczył ktoś przyjechać. Wyobrażasz sobie?!

Zrobiłem krzywą minę, jakbym sobie wyobrażał. Obstawiałem, że mój kolega zaraz mnie oświeci. I się nie pomyliłem.

– No bo, płacisz te podatki, wrzucasz, no ciągle wrzucasz kasę do nie swojej świnki skarbonki, ale jak ci potrzeba z niej coś wybrać, to widzisz takiego wała jak Polska cała!

Gwałtownym ruchem pokazał, o jakiego wała mu chodzi. Zaczepił przy tym o kant stołu, rozhuśtał kieliszki z winem. Jeden z nich przewrócił się, ale nie rozbił. Na szczęście obrus był papierowy, więc nie nastąpiła winna powódź. Gośka westchnęła i wywróciła oczyma, Baśka

bez słowa odsunęła się z krzesłem od stołu. Staszek zdawał się nie zauważać katastrofy i ciągnął:

– Przecież, my przecież zaraz wyjeżdżamy, a ten cały policjant dopiero raczył się zjawić. Jak już praktycznie jest po wszystkim. I co on chce tu wyjaśniać, no co?

Nie chciałem bez potrzeby nakręcać Staszka, więc nie skomentowałem, że na trzech zgonach wcale nie musi się skończyć. Noc jeszcze długa. Oczywiście, wolałem, żeby nic złego się już w Arkoudi i okolicach nie działo. Przynajmniej za mojej bytności. Naszej, zaraz poprawiłem się w myślach.

– I myślałem, że ten cały inspektor będzie prowadził jakieś śledztwo, tak...

– Komisarz – sprostowałem odruchowo.

– Komisarz? To ty z nim gadałeś? – Kielbasa był czujny jak pies podwójny. – Nic nie mówiłeś.

– Nie pytałeś. A i nie było o czym mówić. Zamieniłem z komisarzem kilka zdań. I tyle.

– I on miał prowadzić śledztwo, a tylko ze mną porozmawiał. Jakieś, no maksymalnie trzy minuty na to poświęcił. – Staszek ciągnął swoją kwestię. – Właściwie z nikim więcej już nie gadał.

Nagle zamilkł. Co ciekawe, Staszka nie zdziwiło ani nie zastanowiło, dlaczego komisarz Kosela właśnie jego wybrał sobie na rozmówcę spośród wszystkich uczestników wywczasów. Prawdopodobnie uznał to za absolutnie oczywiste.

– A właściwie dlaczego, no czemu ty zniknąłeś gdzieś na cały dzień?

– Kielbasa ewidentnie musiał mieć trochę czasu, aby przeanalizować fakty.

– Komisarz kazał mi spadać – przyznałem się szczerze.

– I posłuchałeś go? – Paulina się zdziwiła.

Nie wprowadzałem jej w szczegóły mojej pogawędki z psem z krakowskiej miejskiej. Nie uważałem, żeby było to konieczne. Uznałem jed-

nak, że muszę jeszcze raz wszystko dokładnie objaśnić. Paulinie i Stasz-
kowi. Żeby uniknąć bzdurnych pytań, których miałem po gwizdek.
I aby do końca pobytu w kraju Zeusa mieć już święty spokój. By nie
rzec: boski.

- Dla niego jestem tylko cywilem. Nikim więcej. Nie ma znaczenia,
że kiedyś byliśmy w jednej formacji. To świeżak, a do tego starszy stop-
niem ode mnie, więc dla niego jestem nikim. Kolesiem z przeszłością,
o której nie ma bladego pojęcia. Poza tym komisarz Koseła - niemal
przeliterowałem jego nazwisko, co miało zabrzmieć ironicznie, tyle że
nikt nie spróbował wykrzywić ust w uśmiechu - właściwie nie będzie tu
prowadził dochodzenia. A już na pewno nie zaraz. Przyjechał, żeby
w miarę możliwości wyciągnąć od Greków, co zdołali do tej pory ustalić,
jakie mają poszlaki i dowody.

- A ci będą udawać Greka - skomentowała Paulina i zaśmiała się
krótko.

- Albo przekonywać, że nic się nie stało, że chodzi o splot nieszczę-
śliwych wypadków - podrzuciłem kolejną możliwość. - Pewnie ostat-
nim, czego potrzebują do szczęścia w krainie permanentnego kryzysu,
jest seria morderstw w kurorcie. Taka reklama to żadna reklama.

- Czyli myślisz, że ten cały inspektor przyjechał tylko pro forma? Że
to zasłona dymna?

- Komisarz - powtórzyłem cierpliwie, nie licząc, że stopień Koseły
utrwali się w pamięci Staszka. - Głównie idzie o to, aby ci, którzy wrzu-
cają kasę do świnki skarbonki, czuli się zaopiekowani i uspokojeni -
pociągnąłem jego metaforę.

- Ależ, no przecież to jedna wielka ściema!

Staszek ewidentnie się zdenerwował. Walnął pięścią w stół, tym
razem nie powodując żadnych katastrof. Gośka syknęła i wycedziła
przez zęby, żeby się kontrolował i przestał robić sceny, bo ludzie patrzą.
Z tego, co zauważyłem, ludzie mieli akurat ciekawsze zajęcia niż śledze-
nie ataku furii Staszka. Krótkiego.

- I ty pewnie też już odpuściłeś, co, no odpuściłeś?

Kiełbasa wycelował we mnie palec. Prawdopodobnie spodziewał się, że zaprzeczę. Nie zamierzałem poprawiać mu samopoczucia. Nie chciałem tracić energii na zwodzenie go. Nie miałem żadnych zobowiązań. Ani wobec Staszka, ani wobec nieszczęśników, dla których tegoroczne wakacje okazały się ostatnimi w życiu.

– Daj spokój. Za kilkanaście godzin już mnie tu nie będzie. Was zresztą też.

– Co z oczu, to z serca – skomentowała Gośka, zapewne chcąc mnie wspomóc w zmaganiach z mężowskimi obsesjami.

– I ty, i ty niby byłeś policjantem. Służyłeś...

W głosie Staszka wyczuwałem żal i zawód. Jakbym mu cokolwiek obiecywał. Choć prawdopodobnie Kiełbasa żył w błędnym przekonaniu, że coś mu jednak przyrzekłem. Pomoc. Albo ochronę. Mniejsza o większość. Nie do końca rozumiałem, co nim kierowało, bo chyba nie tylko dbałość o bezpieczeństwo rodziny. W ogóle ostatnio doszedłem do wniosku, że im dłużej żyję, tym mniej biegle odczytuję sens ludzkich działań i motywacji. Babka Felicja zwykła podsumowywać opowieści o moich problemach w relacjach interpersonalnych wciąż tą samą frazą: „Stary, a głupi jak przedszkolak”. Coś w tym było.

Wspólna kolacja dobiegała końca i nikt nie zamierzał jej na siłę przedłużać. Rozmowa się nie kleiła. Staszek się nadał. Gośka gadała z Pauliną o jakichś zabiegach kosmetycznych, które mojej dziewczynie zapewne były zbędne. Nie zamierzałem otwierać gęby bez potrzeby. Baśka konsekwentnie miała nas w dupie.

Zjedliśmy i wypiliśmy wszystko, co jeszcze pozostało na stole. Zostawiliśmy hojny napiwek. Pewnie tylko po to, żeby przez chwilę poczuć się jak paniska. Obywatele niespecjalnie dostatniego kraju dokazujący w kraju jeszcze biedniejszym. Choć być może jedynie chwilowo.

Wieczór niespecjalnie różnił się od poprzednich. Było gorąco i duszno. Po wąskich uliczkach w centrum wioszczyzny przewalały się tabuny ludzi. Nie ogarnął mnie nastrój zielonej nocy. Nie żalowałem, że już jutro znajdę się w kraju. Poniekąd własnym. Choć nigdy z ojczyź-

nianą ziemią przesadnie się nie utożsamiałem. Co tu kryć, żaden ze mnie patriota. Nawet nie lokalny, mimo że chwilowo nie wyobrażałem sobie, abym miał mieszkać w innym miejscu niż Ciechanów.

Ruszyliśmy w stronę naszych hoteli, dzieląc się na podgrupy. Co unaoczniało, jak niezwykle zgraną jesteśmy paczką. Z tyłu wlokła się córa Kielbasów, o dziwo nie wgapiając się w smartfon. Kilka metrów przed nią dreptały Paulina z Goską. Rozmawiały z ożywieniem. Nie wiedziałem o czym. Zdziwiła mnie ich komitywa. Może Paulinie zwyczajnie brakowało rozmów. Szukając winy w sobie, myślałem, że przez ostatnie dni, kiedy bawiłem się w śledztwo, które nim nie było, moją dziewczynę trochę zaniedbałem. Na przedzie szliśmy Staszek i ja. Kielbasa drobił obok mnie i nieustannie nawijał. Że jak już wpadliśmy na siebie po latach, długich, to musimy teraz utrzymywać kontakt. Że zaprasza do Krakowa, że właściwie mogę wpadać do nich, kiedy tylko chcę. Sam albo z Pauliną. Do wyboru. Że bardzo się cieszy z tak niespodziewanie odnowionej znajomości. Że... Słuchałem go piąte przez dziesiąte. Marzyłem tylko o jednym, aby jak najszybciej znaleźć się w naszym pokoju, przytulić się do Pauliny i zasnąć. Niekoniecznie od razu.

W Arkoudi, na szczęście, wszędzie było blisko. Po kilku minutach doszliśmy do naszego hotelu. Chodnik przed nim był wąski, więc stanąłem na ulicy. Paniom się najwyraźniej nie spieszyło, więc by zabić czas i zarazem nikotynowy głód, zapaliłem. Staszek skrzywił się, odsunął ode mnie i spytał:

– A te fajki to ci nie szkodzą?

– Ani trochę. Pozwalają mi oddychać pełną piersią.

Pozwoliłem sobie na wątpliwy żart i żeby unaocznić Kielbasie spełniającą mnie błogość, przymknąłem oczy i wydmuchałem z dna płuc chmurę dymu.

– Koonrad!!!

Wrzask Staszka wwiercił mi się w uszy. Spojrzałem na niego ze zdziwieniem. Kątem oka zarejestrowałem błysk. Odwróciłem głowę w lewo.

Zza zakrętu pnącej się w górę ulicy waliło prosto na mnie auto. Bijąc po oczach długimi światłami.

Dziennik roku pierwszego VI

12 grudnia 1998

Nadal nie jestem pewien, czy nic porozumienia, które próbowałem nawiązać z uczniami mojej klasy, nie pękła. I czy mnie szanują. Jako swojego nauczyciela i wychowawcę. Pedagoga. Na razie ich wzburzenie przygasło. Może jedynie dlatego, że nie było żadnych punktów zapalnych. Uznałem, że okres przedświąteczny nie jest najlepszym czasem na sprawdziany i kartkówki. Postanowiłem, że przerobimy kolejną przewidzianą w programie nauczania partię materiału, a dopiero po przerwie świątecznej zapowiem im sprawdzian z zagadnień, których uczyliśmy się przez całe półrocze. Wedle mojego założenia miał on być kluczowy. Po pierwsze, w styczniu bliżej będzie do terminu wystawiania ocen na półrocze. Do czego muszę mieć solidne podstawy. I wewnętrzną pewność, że stawiam takie stopnie, na które poszczególni uczniowie faktycznie zasłużyli. Sprawiedliwe oceny. Nawet jeśli surowe. To bardzo ważne! Po drugie, wyniki sprawdzianu unaocznia mi, czy moje plany co do zakładanych wyników w II mat.-fiz. i stosowanych przeze mnie metod nauczania ziściły się, czy też nie. Innymi słowy, czy jestem skuteczny jako nauczyciel matematyki. Byłem przekonany, pewny, że robię, co mogę. ALE CZY TO SAMO MOGŁEM POWIEDZIEĆ O UCZNIACH II MAT.-FIZ.?!

Nie rozumiałem i wciąż nie rozumiem, co dzieje się między mną a moimi wychowankami. Przynajmniej nie do końca. Z czego wynika napięcie między nami. Znowu poszedłem na rozmowę z pedagog szkolną. Wyłożyłem mój problem, przedstawiłem wątpliwości. Słuchała mnie uważnie, kiwała głową. Wydawało mi się, że

rozumie mój problem. Zaczęła jednak od stwierdzenia, że prawdopodobnie jestem przewrażliwiony, za mocno reaguję na zwyczajne zagrywki uczniów, którzy robią, co mogą, by migać się od obowiązków. Zwyczajnie sprawdzają, na ile mogą sobie pozwolić. Takiego właśnie użyła słowa – „zagrywki”. Powiedziałem wprost, że nie sądzę, by pomiędzy nami toczyła się gra. Wzruszyła ramionami. Poradziła mi, żebym unikał zbędnych sytuacji konfliktowych i nie budował w sobie negatywnego nastawienia do uczniów. **JAKBYM BYŁ DO NICH UPRZEDZONY!!!** Podkreśliła, że nie miała w tym roku szkolnym żadnych sygnałów od innych nauczycieli o naganym zachowaniu uczniów II mat.-fiz., w ostatnich miesiącach moi uczniowie w ogóle nie łamali regulaminu szkoły. W porównaniu z pierwszym rokiem nauki, mówiła, wyraźnie się uspokoiłi. Jakbym pytał o nieregulaminowe zachowania? Oschle podziękowałem pedagog szkolnej za poradę. Po tym spotkaniu byłem pewien, że rozmowy z nią nie przyniosą mi żadnego pożytku.

Prawdopodobnie powinienem szukać pomocy czy choćby konsultacji z innymi nauczycielami, którzy uczą w II mat.-fiz. Nie jestem jeszcze na to gotowy. Tak sądzę. Jak do tej pory kontakty z kolegami z pokoju nauczycielskiego mam nikłe. Oczywiście poza polonistką, ale ona nie uczy w mojej klasie. Może zanim spróbuję otworzyć się przed nimi, zwierzyć z moich rozterek, powinienem się do nich zbliżyć. Może...

1 stycznia 1999

Lubię święta. Przede wszystkim dlatego, że mogę wtedy więcej czasu spędzać z mamą. Rozmawiamy, oglądamy telewizję albo jedynie siedzimy obok siebie. Z książkami czy gazetami w rękach. Taka bliskość jest ważna. Dla mnie. Pewnie także dla matki. Mimo że nie mówi o tym wprost.

Świąteczne rytuały uspokajają mnie. Pozwalają mi odbudować wewnętrzną równowagę. Przedświąteczne porządki, ubieranie choinki, przygotowywanie potraw na wieczerzę wigilijną. Zawsze tych samych. Podawanych w tej samej kolejności. Łamanie się opłatkiem. Życzenia. Pasterka. Nie jestem przesadnie religijny. Właściwie nie do końca nawet wiem, czy wierzę w Boga. Nie czuję tego w sobie. Może dlatego, że jestem matematykiem przywykłym do racjonalnego myślenia. Nie wiem. Ufam jednak, że Kościół ze swoimi obrządkami i rytmem świąt może pomóc człowiekowi w porządkowaniu życia.

Pogoda w święta była paskudna. Bardziej to wyglądało na wiosnę niż zimę. Nie lubię takich nieokreślonych pór roku. Rozmytych. Jednak chodziliśmy z mamą na spacer. Żeby się przewietrzyć i trochę poruszać. Mama ostatnio trochę narzekała na zdrowie. Że zatyka ją, gdy idzie po schodach. I ma kołatania serca. Przez jakiś czas wzbraniała się przed pójściem do lekarza. Bagatelizowała sprawę. Ale w końcu ją przekonałem. Zrobiła badania. Ponoć nie wykazały nic podejrzanego czy niepokojącego. Przemęczenie, utrata sił wraz z wiekiem. Trochę mnie to zaniepokoiło. Mama jest coraz starsza, ale przecież nie stara.

Obiecałem sobie, że muszę się nią bardziej opiekować. Wyręczać, w czym się da. I przede wszystkim nie martwić ponad miarę. Nie przysparzać kłopotów. MAMA POTRZEBUJE SPOKOJU. Byłem tego pewien.

A jeśli już chodzi o obietnice... W sylwestra myślałem o postanowieniach na 1999 rok. Nowy Rok powitałem razem z mamą. Właściwie jak zwykle. Tylko dwa razy, raz pod koniec liceum i raz na studiach, dałem się namówić, by pójść na sylwestrową imprezę. Nie sprawiły mi one większej przyjemności. Prawdę powiedziawszy – żadnej. Drażniła mnie alkoholowa euforia ludzi wokół mnie. I to świąteczne bratanie się, życzenia składane przez obcych ludzi,

obściskiwanie się, poklepywanie po plecach. Zdecydowanie woląłem spędzać sylwestra z mamą.

Właśnie – postanowienia:

1. W SZKOLE REALIZOWAĆ PLAN, KTÓRY STWORZYŁEM PRZED POCZĄTKIEM ROKU. KONSEKWENTNIE!
2. POPRAWIĆ RELACJE Z UCZNIAMI.
3. POZNAĆ KOLEGÓW NAUCZYCIELI. MOŻE NIEZBYT BLISKO, ALE PRZYNAJMNIJ PRÓBOWAĆ.
4. OPIEKOWAĆ SIĘ MATKĄ!!!

9 stycznia 1999

Do kluczowego sprawdzianu w pierwszym półroczu przygotowywałem się długo. Wertowałem rozmaite zbiory zadań. Rozważałem, które z zadań wybrać. Zastosowałem metodę kolejnych przybliżeń. Zadania musiały być zróżnicowane. Od łatwiejszych po takie, które byli w stanie rozwiązać tylko najlepsi uczniowie II mat.-fiz. Liczyłem się z tym. Zadania nie mogły być za łatwe. Ale też nie mogłem postawić jedynie na te o podwyższonym stopniu trudności. Z gwiazdką. Nie było mi łatwo znaleźć złoty środek. Tym bardziej że zgodnie z postanowieniem noworocznym nie zamierzałem rezygnować z planu uczynienia mojej klasy wiodącą w liceum.

Zapowiedziałem, że sprawdzian będzie rozbudowany. Przewidziany na dwie godziny lekcyjne. To uczniom się nie spodobało. Szemrali. Narzekali, że dopiero niedawno skończyły się ferie świąteczne. Pytali, czy to konieczne. Oświadczyłem im z całą stanowczością, na którą było mnie stać, że nie wynegocjują ze mną żadnych zmian. Że nie odpuszczę. Zdaje się, że przyjęły to do wiadomości. Ale niechętnie.

W dzień sprawdzianu kilku uczniów było nieobecnych. Zapowiedziałem, że dokładnie sprawdzę ich zwolnienia. Dodałem, że unikanie sprawdzianów nie jest żadnym rozwiązaniem. Rozdałem

kartki z zadaniami. Przez kilka minut w klasie panowała cisza. Potem zaczęły się jęki: „Trudne, za dużo zadań, za mało czasu...”. Przeczekałem. Wskazałem na zegarek i przypomniałem, że czas mija nieubłaganie. W pewnym momencie Zawadzki wstał, rzucił długopis na stolik i powiedział, że on to pierdoli, wychodzi, bo nie będzie tutaj siedział bez sensu. Byłem wstrząśnięty. W pierwszej chwili z miejsca chciałem wysłać go do dyrektorki. Uznałem jednak, że wprowadzi to niepotrzebne zamieszanie, zdekoncentruje innych uczniów. To nie był dobry moment na awantury. Powiedziałem ostro, że ma zostać na miejscu i zająć się sprawdzianem. Wzruszył ramionami, ale usiadł. Przez większość sprawdzianu gapił się przez okno albo mazał na kartce.

Jak sprawdziłem później, Zawadzki nawet nie spróbował rozwiązać jakiegokolwiek zadania. Po zakończeniu drugiej lekcji i sprawdzianu kazałem mu zostać w klasie. Zaznaczyłem, że jestem bardzo zawiedziony jego zachowaniem i że to postawa niegodna ucznia. Poleciałem mu zameldować się u dyrektorki i opowiedzieć o scysji, o tym, że przeklinał. Nic nie mówił. Spytałem, czy nie ma mi nic do powiedzenia. Odparł, że nie. Kazałem mu zejść mi z oczu.

Uniosłem się NIEPOTRZEBNIE. Ale przecież, mimo że jestem z natury spokojny, nie mam nerwów ze stali.

10 stycznia 1999

Następnego dnia po sprawdzianie wicedyrektorka Jagiełło zaprosiła mnie na rozmowę. Chodziło o aferę z Zawadzkim. Chciała poznać moją wersję. Opowiedziałem ze szczegółami. Podkreśliłem, że Zawadzki sprawia problemy. Wyraźnie lekceważy naukę matematyki. W sposób ostentacyjny. Jagiełło potwierdziła, że jest trudnym uczniem. Spytałem wicedyrektorke, czy zamierza podjąć jakieś kroki w jego sprawie. Wydawała się zdziwiona. Powiedziała, że

udzieliła Zawadzkiemu ustnej nagany i kazała mu mnie przeprosić. Zdziwiłem się, że tylko tyle. Nie powiedziałem tego głośno. Powiadomiłem wicedyrektorę, że Zawadzki jest poważnie zagrożony z matematyki i może mieć bardzo słabą ocenę z zachowania. Jagiełło westchnęła. Potem zaczęła mi tłumaczyć, że stawianie na otwarty konflikt z uczniami nie jest najlepszym rozwiązaniem. W moim przypadku. Nauczyciela na początku drogi zawodowej, zaznaczyła. Tym bardziej że naciskają na nią rodzice uczniów z II mat.-fiz. Skarżą się, że mam wobec uczniów wymagania wzięte z sufitu. Że przeze mnie uczniowie są przepracowani i zestresowani. A więc o to chyba głównie chodziło, a nie tylko o Zawadzkiego. Przysparzałem jej problemów. Trudno. Powiedziałem, że moje wymagania mieszczą się w ramach programu nauczania matematyki w klasie II mat.-fiz. I nie wydaje mi się, bym miał konflikt z uczniami tej klasy. Nie byłem co do tego przekonany, ale Jagiełło nie musiała o tym wiedzieć. Na odchodne poradziła mi, żebym starał się być elastyczny. I w procesie dydaktycznym, i wychowawczym brał pod uwagę możliwości i potrzeby moich uczniów.

Co to właściwie znaczy, że powinienem być bardziej elastyczny?

CZY JAGIEŁŁO STOI PO MOJEJ STRONIE, CZY RACZEJ PO STRONIE UCZNIÓW I ICH RODZICÓW?

Tego samego dnia na przerwie Zawadzki podszedł do mnie i wyburczał, że przeprasza za swoje zachowanie. Nie czułem w jego głosie skruchy. A może tylko tak mi się wydawało. Powiedziałem, że przeprosiny przyjęte. Chciałem jeszcze powiedzieć mu, że oczekuję zmiany jego zachowania. Ale szybko rzucił „do widzenia”, odwrócił się i odszedł. Chyba powinienem go w tej chwili przywołać. Dokończyć rozmowę, która, moim zdaniem, nie była skończona. Nie zrobiłem tego.

13 stycznia 1999

Dzisiaj miała miejsce dziwna sytuacja. Po lekcji Kowalska poprosiła mnie o chwilę rozmowy. Myślałem, że jako gospodyni znowu będzie w imieniu klasy prosiła o złagodzenie moich wymagań albo męczyła mnie o wycieczkę. Ale nie. Zaczęła od tego, że obawia się, że jej stopień z matematyki na półrocze będzie słaby. Jak najbardziej słusznie. I że bardzo jej zależy na poprawieniu stopni. Dla siebie samej, ale też dla rodziców, którzy sporo od niej wymagają. Nie wiedziałem, do czego Kowalska zmierza. Powiedziałem wprost, że jeśli chce mieć lepsze stopnie, zwyczajnie powinna się więcej uczyć. Zgodziła się z tym. Zaraz jednak powiedziała, że potrzebuje pomocy, dodatkowych lekcji. Chce, by ktoś ją na bieżąco sprawdzał. A potem spytała, czy nie mógłbym jej udzielać korepetycji. Oczywiście odpłatnie. Zaskoczyła mnie, i to bardzo. Odpartem, że nie widzę możliwości, abym ja, jej nauczyciel matematyki i do tego wychowawca, udzielał jej płatnych korepetycji. Naciskała, mówiła, że bardzo jej na tym zależy. Poradziłem, by zwróciła się do innych nauczycieli. Z naszego liceum albo innego. Z tego, co wiedziałem, rynek korepetycji był duży, więc bez trudu znalazłaby kompetentnego nauczyciela. Była zawiedziona.

Niespodziewanie położyła dłoń na moim ramieniu. Odruchowo chwyciłem ją za rękę. Zawsze źle reagowałem na bliski kontakt fizyczny z innymi. Spytałem ostro, o co jej chodzi. Powiedziała ze śmiechem, że ubrudziłem marynarkę kredą. Spojrzałem na ubranie. Wydawało mi się czyste. W drzwiach klasy nagle pojawił się Zawadzki z kolegą. Puściłem rękę Kowalskiej. Powiedział zupełnie bez sensu, że chyba nam przeszkadza. Zatrzasnął drzwi z hukiem. Usłyszałem ich śmiechy.

Kowalska z uśmiechem powiedziała, że jeśli nie dam jej korepetycji, to trudno, jakoś sobie poradzi. I wyszła z klasy.

KOWALSKA ZACHOWYWAŁA SIĘ DZIWNIE.

Dochodzi jedenasta wieczorem. Już dawno powinienem spać. Jednak gonitwa myśli w głowie nie pozwala mi zasnąć. Zacząłem poprawiać sprawdzian. Wyniki były lepsze niż ostatnio, wciąż jednak daleko im było do dobrych. Czy nawet zadowolających. Zapowiedziałem, że oddam sprawdzian w piątek, chyba jednak zrobię to po weekendzie. Muszę mieć czas, by dokładnie wszystko sprawdzić. Nie mogę się pomylić. Czuję, że u wicedyrektor Jagiello jestem na cenzurowanym.

I jeszcze ta sytuacja z Kowalską. Nie rozumiałem jej zachowania.

18 stycznia 1999

KURWA! KURWA! KURWA!

Część II

Zostanę, kim zostanę

Rozdział pierwszy

Kolor popiołu

3 października, 2014, piątek, Ciechanów

Przekładając końcówkę węża ogrodowego z ręki do ręki, syknąłem z bólu i zakląłem. Z cicha, choć szpetnie. Nadwyrężony ponad dwa tygodnie temu prawy nadgarstek nadal mi dokuczał przy gwałtowniejszych ruchach. Oczywiście, powinienem pójść do lekarza, czego, jak łatwo się domyślić, nie zrobiłem. Jak wielu mężczyzn byłem zdania, że każda kolejna wizyta u łapiducha przybliżyła do trumny. Chciałem rzucić w cholerę podlewanie trawnika, z kwiatami i krzaczorami na dokładkę. Nieodmiennie nienawidziłem grzebania się w ziemi, a wszelkie prace ogrodowe wyczerpywały mnie bardziej niż ciężkie roboty w kamieniołomie. Na głodniaka i w nieludzkich warunkach. Ale przecież obiecałem starowinie, że podleję ogród, wyręcę ją w robocie, skoro sam nic do zrobienia nie miałem. Ani w najbliższych godzinach, ani pewnie dniach czy nawet tygodniach. Na razie nie miałem zaplanowanych żadnych wykładów czy pogadanek.

Pot spływał mi po czole. Nie było upału, ale początek października udawał koniec sierpnia. Kolejna odsłona złotej polskiej jesieni. Albo mazowieckiej. Jak kto woli. Do tego od długiego czasu nie padało. Zauważyłem, że im mniej mam do zrobienia, tym częściej myślę i rozmawiam o pogodzie. Prawie każdą pogawędkę z babką Felicją zaczynałem od omówienia sytuacji meteorologicznej. W kraju, a bywało, że i na świecie. Ze szczególnym uwzględnieniem pogodowych kataklizmów oraz globalnego ocieplenia, o którym można przecież dywagować bez końca. Jak to sobie uświadomiłem, doznałem lekkiego ataku paniki. To

już? Nastął ten nieszczęsny czas, kiedy emocji będą mi dostarczać rozważania o aurze oraz programy o licznych odmianach storczyków i behawiorach godowych słoni morskich? A co potem? Południowoamerykańskie seriale i „Klan”, który, zdaje się, będzie trwał dłużej niż ja?

Uznałem, że na dziś wystarczy prac w ogrodzie. Mimo że nie skończyłem. Przyjrzałem się tujom rosnącym na skraju ogrodu. Jak na moje oko mogły jeszcze dzień czy dwa obyć się bez wody. Zakręciłem kran, klapnąłem na ogrodowe krzeselko. Sięgnąłem po leżący na stoliku telefon. Zero połączeń, brak wiadomości. Świat się mną nie interesował. Wcześniej ja wykombinowałem sobie, żeby nie interesować się światem. Nadmiernie, co w moim przypadku znaczyło, że niemal wcale. Właściwie dostałem, czego chciałem. Na zasadzie wzajemności. Zapaliłem papierosa. Nie smakował mi. Nie było dobrze. Zdusiłem go w jednej z gigantycznych popielniczek starowinki.

Wgapiony tępo przed siebie, zastanawiałem się, co począć z tak pięknie rozpoczętym dniem. Postanowiłem, że zaczekam na Felicję. Poszła na zebranie Geriatrycznego Klubu Rozrywki – tak przezwaliśmy jej klub seniora, a ona nie protestowała. Mieli omawiać szczegóły weekendowej wycieczki emerytów. I rencistów. „W Polskę idziemy, drodzy panowie...”, zanuciłem. I panie. Potem zjemy ze starowinką obiad, wrócę do domu i może poczytam jakiś niezobowiązujący, niespecjalnie krwawy kryminał. Albo nudną, ambitną i modną powieść, w której nic się nie dzieje, ale za to bohaterowie dużo chodzą oraz mają liczne i głębokie przemyslenia. Na ostateczne dobiecie.

Felicja wpadła do domu jak burza. Albo tajfun. Wzmógłony przez globalne ocieplenie. Wprawdzie w ostatnich dniach narzekała, że czuje się nieszczęśliwie, zdaje się jednak, że dolegliwości nie pozbawiły jej energii. Pomyślałem, że chciałbym być tak żwawy jak starowinka, kiedy będę w jej wieku. Jeśli dotrвам, na co się nie zanosilo, zważywszy na mój tryb życia.

Włączyła odbiornik ostatnio ustawiony na Radio 7. Ta rozgłośnia podawała wiele informacji regionalnych, które zawsze Felicję interesowały. Szybko odgrzała obiad, który jak zwykle przygotowała na kilka dni. Zjedliśmy i wyszliśmy z kawą do ogrodu.

Kawa i papierosy, nasze małe rodzinne przyjemności. Rodziny mocno okrojonej i bardzo nietypowej. Rzekłbym, że familii poniekąd nuklearnej.

Starowinka wydmuchała chmurę dymu i zadała na pozór niewinne pytanie:

– A co ty taki bez sił, bez ducha?

– „To szkieletów ludy...” – dopowiedziałem bez zastanowienia.

– Widzę, chłopczyku, że jeszcze cośkolwiek pamiętasz z Mickiewicza.

– Mętnie.

Mogliśmy pogawędzić sobie jak polonistka z polonistą. Nic to, że Felicja była polonistką emerytowaną, a ja od dyplomu nieczynnym. Podejrzywałem, że jest to niewinny wstęp do rozmowy o większym ciężarze gatunkowym. I się nie pomyliłem. Spytała, czy podlałem ogród. Potwierdziłem, nie wspominając o tujach. One raczej nie wygadają. A później zainteresowała się moimi planami na wieczór.

– Nie wiem, może coś poczytam – odpowiedziałem zgodnie z prawdą i zaraz pożałowałem.

– No tak, przecież nie masz nic konkretnego do roboty.

– Felicja, daj spokój.

– Oczywiście, mogę dać. Ale powiem ci szczerze, że trochę mnie już drażni, jak snujesz się z kąta w kąt.

Westchnąłem. Bywały dni, kiedy starowinka nie ustępowała. Stała się wtedy bardziej uparta ode mnie. Co uznawałem za sztukę. Zdaje się, dziś był jeden z takich dni. Mogłem wymigać się wątpliwej jakości żarcikami, wiedziałem jednak, że to rozwiązanie na krótką metę.

– Chyba ci nie przeszkadza, że codziennie przyjeżdżam do ciebie?

Zazwyczaj rozumieliśmy się z babuleńką niemal bez słów, ale ostatnio byłem jakiś inny. Sam do siebie niepodobny. Wolałem się więc upewnić.

– Oj, chłopczyku, wiesz przecież, że nie o to chodzi. Jak dla mnie możesz się tu w ogóle przenieść. Po co dzień w dzień gonić tam i z powrotem. Szkoda pieniędzy na benzynę.

– Wiem. Miejmy to już z głowy. Zadaj to pytanie.

Felicja zgasiła niedopałek i od razu sięgnęła po leżącą na stoliku paczkę, by wyjąć z niej następną fajkę. Przytrzymałem jej dłoń. Uśmiechnęła się szeroko, nie przejmując się zmarszczkami, które na policzkach ułożyły się w skomplikowany wzór mapy świata, który dawno temu przestał istnieć. Nie miałem pojęcia, czemu akurat takie określenie przyszło mi do głowy. Pogłaskałem jej palce, czując skórę cienką jak bibułka. Wystarczyło, że cofnąłem rękę, zaraz chwyciła papierosa. Chciałem jej go odebrać, ale pogroziła mi palcem jak niesfornemu uczniowi. Pocieszałem się, że gdyby miała dostać raka płuc, stałoby się to już dawno temu.

Zapaliła i spytała:

– Masz już plan? – I dorzuciła, zanim zdołałem otworzyć usta: – I nie ględź mi o tych nieszczęsnych wykładach na temat policyjnych śledztw czy o czym ty tam snujesz opowieści dziwnej treści.

Nie dała mi czasu ani miejsca na uniki.

– Nie. Ciągłe się zastanawiam, co dalej.

– Konrad, ile można? Rozumiem, kwartał, pół roku, ale dwa lata?!

Sięgnąłem po papierosa, ale go nie wziąłem. Gdybym wypalił jeszcze jednego, pewnie bym się porzygał. Choć niekoniecznie tylko z nadmiaru nikotyny. Reakcja stresowa?

– Nie powiem, że się nie zastanawiałem. Ale nie wiem, Felicja, po prostu nie wiem, co dalej robić. Na razie mam kasę, jakiś czas pociągnę bez stresu.

– To przecież nie chodzi o pieniądze.

– Uściśliłbym, że nie tylko o nie chodzi. Może jak zwykle potrzebuję jakiegoś bodźca z zewnątrz. Albo czekam do ostatniej chwili, kiedy już nie będę miał wyjścia. Nie mam bladego pojęcia. Na razie nic, zero, nul.

Starowinka spojrzała na mnie. Inaczej niż zwykle i co innego niż zazwyczaj dostrzegłem w jej spojrzeniu. Zmęczenie. I coś jeszcze, czego nie umiałem w tej chwili nazwać. A może zwyczajnie nie chciałem?

– Nie lubię nakazywać, dosyć się już narozkazywałam w szkole. Wystarczy mi na resztę życia. – Zamilkła nagle. Popiła kawy. Tym razem nie wiedziałem, do czego przemowa Felicji zmierzała. – Zrozum, ty po prostu musisz mieć jakieś stałe zajęcie. Coś, co nada twojemu życiu rytm, porządek i sens.

– No tak, mogę u ciebie w ogrodzie hodować marchewkę...

– Daj spokój – warknęła.

Felicja się uniosła. Rzadko to robiła, a właściwie prawie nigdy. Co było robić? Dałem spokój.

– Powiem szczerze, twoja praca w policji od początku mi się nie podobała. Nie ukrywałam tego, choć wprost też nie mówiłam. A przynajmniej nie za często, prawda? Nie lubię zrzędzić. Ale ta cała niby-służba przynajmniej trzymała cię w jako takim pionie. Wymuszała spełnianie obowiązków. Swoje głupoty robieś, to fakt, ale...

Znowu zamilkła. Patrzyła na żar dopalającego się papierosa, jakby to w nim szukała odpowiedzi na wszystkie swoje pytania. Zadane i te niewypowiedziane, których byłem tak samo świadomy jak ona. Czy znalazła? Odwróciła się do mnie i ze smutkiem w głosie mówiła:

– Masz jeszcze pół życia przed sobą. Nie możesz ciągle płynąć z prądem. Musisz znaleźć cel i mieć plan na życie. Słyszysz, chłopczyku?

– Zdaję sobie z tego sprawę.

Sam do końca nie byłem pewny, czy powiedziałem to z przekonaniem. Nie zamierzałem mamici starowinki obietnicami. Zapewne bez pokrycia. Że już niedługo, za miesiąc czy dwa, coś się wyklaruje. Mogło, lecz nie musiało. Wiedziałem jednak, że stan zawieszenia, w którym się

znalazłem, nie może trwać bez końca, więc gdy Felicja zapytała, czy zamierzam coś z tym zrobić, odpowiedziałem, że tak, oczywiście, choć nie mogę podać konkretnego terminu. Pokiwała głową.

- Ale powiedz mi jedno - zacząłem ostrożnie - co cię tak nagle naszło na rozmowę o moich planach i celach?

W jej spojrzeniu po raz kolejny dostrzegłem niepokojące błyski. Zgaszone i przytłumione.

- Boję się - wyszeptała.

- Felicja, co ci jest?

Zerwałem się z wiklinowego fotela. Staruszka wzruszyła ramionami.

- Mnie? Nic takiego. Starość mi jest - powiedziała.

- Przesadzasz, przypomnij sobie, do jakiego wieku dociągnęła twoja matka. - Staralem się zagadać jej niepokój. Bez większego efektu.

- Nie boję się o siebie. Tylko o ciebie.

- Dlaczego?

- Kiedyś mnie zabraknie. Możemy o tym nie myśleć, ale to nieuniknione. I co wtedy będzie z tobą?

Podobnie jak na wiele innych na to pytanie nie miałem ani dobrej, ani złej odpowiedzi. Nie miałem żadnej. I wiedziałem, że w tej chwili nie muszę mieć. Ale kiedyś będę musiał się z tym problemem zmierzyć.

Podszedłem do starowinki, kucnąłem przed nią i położyłem głowę na jej kolanach. Zaczęła głaskać mnie po głowie. Jej palce pachniały tytoniem. Czulem spokój.

Wysiadłem z samochodu Mitsubishi Eclipse, którego pieszczotliwie nazywałem miśkiem, pomasowałem się po plecach. Od incydentu w Grecji ciągle jeszcze pobolewał mnie kręgosłup. A może to zwyczajnie wiek dawał znać o sobie. Woląłem tego nie rozstrzygać.

Do wieczora pozostał jeszcze kawał czasu, a mój sąsiad Mareczek - konsekwentny bezrobotny, mający w głębokim poważaniu rządową politykę aktywizacji wykluczonych społecznie - był już mocno zrobiony. Ledwo zachowywał jako taki pion, siedząc na ławeczce ustawionej przy

wejściu do klatki schodowej. Z puszką piwa pod ręką i petem w ustach. Nie stracił jednak czujności. dzielnie walcząc z płaczącym się językiem, sprzedał mi informację, która zapewne była newsem dnia dla małej społeczności bloku przy ulicy Sienkiewicza. Szukała mnie jakaś kobieta, kilka razy dobijała się do moich drzwi, pytała też Mareczka, czy ciągle tu mieszkam. Rozpytałem go o szczegóły. Sąsiad twierdził, że była starszawa, na pewno nie z Ciechanowa, bo on przecież lokalsów świetnie kojarzy, z twarzy taka bardziej podobna do nikogo. Nie skomentowałem, że w jego stanie najprawdopodobniej było mu trudno dostrzec szczegóły. Podziękowałem za info i chciałem pójść do domu, ale przytrzymał mnie za rękę:

– Wiesz, sąsiad, ja tam nie wtrącam się w policyjne sprawy, więc nie podkablowałem. Poszedłem w legendę, że w gościach jestem. Nikogo nie znam, o niczym nie wiem. Taki ze mnie kapitan Nemo.

Śmiech Mareczka płynnie przeszedł w rżężenie. Charknął i splunął w bok. Byłem pewien, że ukraińskie fajki niedługo go wykończą.

– Nie jestem już psem – przypomniałem mu, bo nie byłem pewien, jaki procent pamięci jeszcze zachował. Stawiałem, że nikły.

– Nie obraź się, sąsiad, ale na mój rozum to psem się zostaje na całe życie.

Nie obraziłem się, nie było o co. Tym bardziej że nie wykluczałem, że Mareczek miał rację.

W moim jednopokojowym mieszkaniu o wątpliwym standardzie panował nieporządek. Miałem mnóstwo wolnego czasu i wielkie nic do zrobienia, ale zawsze wynajdowałem zajęcia ciekawsze i pilniejsze od sprzątanía. W tym przypadku konsekwentnie stosowałem zasadę: kiedyś się wezmę. Oraz pokrewną: przewróciło się, niech leży. Wyciągnąłem z lodówki piwo, otworzyłem i umościłem się w fotelu. Przez myśl przemknął mi Mareczek, który dwa piętra niżej siedział z puszkowym browarem w ręku. Albo pod ręką. Z piwem o marce tak wątpliwej, że aż nieistotnej. Dzieliło nas ledwie kilkanaście metrów w pionie. A jaka

była między nami odległość egzystencjalna? Mój sąsiad przekroczył już granicę, za którą czekała go samozagłada. Rozłożona w czasie, być może nawet nie tak znowu krótkim. Na razie jeszcze nie zaszedł zbyt daleko w mrok. Stać go było na najtańszy browar i papierosy bez banderoли. Jeszcze dzieliło go kilka kroków, dosłownie i w przenośni, od koleżków zbierających się co rano przy osiedlowym śmietniku, by szperać w poszukiwaniu puszek i sępic drobne. Zdawałem sobie sprawę, że sporo mnie od Marcuszka różniło, jednak bardziej istotne, a zarazem niepokojące było to, co nas łączyło. Brak celów. Postanowiłem zagłuszyć nieprzyjemne myśli. Pociągnąłem łyk piwa, zapaliłem papierosa i sięgnąłem po książkę. W jakiejś softpsychologicznej publikacji przeczytałem, że istotne jest, aby konsekwentnie realizować cele krótkoterminowe. To akurat mogłem zrobić. Bez większego problemu. Dopić piwo, dopalić papierosa, skończyć lekturę książki. Inna sprawa, czy poprawi mi to samopoczucie.

Ostatnio wzięło mnie na czytanie kryminałów retro. Nie wiem czemu, może tak jak znużyła mnie rzeczywistość, znużyły mi się współczesne historie kryminalne? Sięgnąłem więc po „Morderstwo pod cenzurą” Marcina Wrońskiego i zagłębiłem się w świat przedwojennego Lublina. Głównym bohaterem był gliniarz, Zyga Maciejewski, były bokser ze złamanym nochem. Swoją drogą, prosty, ale dobry patent, żeby ukazać psa jako twardziela. Pewnie już niedługo w kolejnych powieściach zaroi się od mniej lub bardziej spełnionych pięściarzy. Mnie do boksu nigdy nie ciągnęło. Ani do innych sztuk walki. Ze sportu wystarczała mi piłka nożna, choć nie pamiętam, kiedy ostatnio miałem piłkę przy nodze. A co do walki, poznałem podczas szkolenia trochę chwytów, bo musiałem. W mojej, pożałuj Boże, służbie przyszło mi stosować je z rzadka. I dobrze. Nie lubiłem mordobicia, środków przymusu bezpośredniego używałem jedynie wtedy, kiedy nie widziałem innego wyjścia.

Dzwonek u drzwi oderwał mnie od prowadzonego przez Maciejewskiego przesłuchania. Głównie za pomocą pięści. Pomyślałem, że to naj-

pewniej Mareczek wydobyl ze swojej zdefektowanej pamieci informacje, która koniecznie musial się ze mną podzielić. Albo wspiął się do mnie, by pożyczyc na piwo. Na wieczne nieoddanie. Postanowiłem nie reagować. Jednak piskliwy dźwięk dzwonka, który już dawno miałem zmienić, wciąż wwiercał mi się w uszy. Co było robic. Westchnąłem i poszedłem otworzyć drzwi. A potem zamarłem.

Wyklinałem. Choć jedynie w myślach. Wyklinałem Staszka Kielbasę, mojego kolegę-niekolegę, którego los po latach znowu złośliwie postawił na mojej drodze. Kląłem na Mareczka, choć nie do końca wiedziałem dlaczego. Ale przede wszystkim przeklinałem własne słabość i głupotę, które kazały mi wpuścić kobietę o włosach koloru popiołu do mieszkania. Siedziała za stołem w mojej zabałaganionej kuchni, popijała miętę, którą jej zaparzyłem, bo okazało się, że nie mam żadnej herbaty, i zalewała mnie słowami. Istnymi potokami zdań. A ja nie umiałem jej przerwać. Być może całkiem siadła mi asertywność. Albo za bardzo skupiałem się na wyklinaniu. Staszka, Mareczka i siebie. Niekoniecznie w tej kolejności.

Kobieta o włosach koloru popiołu nazywała się Wiera Dworzak i była matką Nataszy, która całkiem niedawno zakończyła żywot na czarnej skale w Grecji. W Arkoudi, gdzie sam o mało... Mniejsza o to. Mój numer telefonu i adres dostała od Staszka Kielbasy. Ponoć próbowała się do mnie dodzwonić, ale nie odbierałem. Zarówno jedno, jak i drugie było wielce prawdopodobne. W stanie jakiejś pomrocności jasnej podałem Staszce namiary na siebie, kiedy zegnaliśmy się w Grecji. Zakładałem, że prędzej czy później spróbuje się ze mną skontaktować. Taki typ. Nie spodziewałem się jednak, że bez konsultacji ze mną będzie rozdawał moje namiary na prawo i lewo. Okazało się, że jest do tego zdolny. Niewykluczone, że Wiera Dworzak próbowała się do mnie dodzwonić, tyle że odkąd skończyłem robotę w ciechanowskiej komendzie, przestałem odbierać połączenia z nieznanym mi numerów.

Tak czy siak, Wiera Dworzak tkwiła teraz za stołem w mojej kuchni i opowiadała, płacząc wątki, że Natasza była jej oczkiem w głowie, wyczekiwany dzieckiem, jedynym. Była taka dumna z córki, która świetnie się uczyła, potem sprawnie osadziła się w dorosłym życiu. Teraz została sama jak palec, złamana nieszczęściem, najgorszym dla rodzica, bo mąż odszedł dawno, rak, wie pan, wychlipała i sięgnęła do torebki po chusteczkę, mimo że jedną międlila w palcach. Mówiła, że ma już dosyć odsyłania od Annasza do Kajfasza, nie może wytrzymać żalu, który w niej siedzi. Jej Nataszka była taka mądra i dobra, a teraz leży w grobie, to okropne. Ledwie przeżyła pogrzeb, myślała, że serce jej pęknie, tak naprawdę, a nie metaforycznie. Ten żal w niej z każdym dniem staje się coraz większy, tym bardziej że ona, Wiera, nie rozumie, dlaczego ktoś zrobił krzywdę tak mądrej i dobrej, a do tego pięknej istocie. Kto w ogóle słyszał, żeby Bóg na takie rzeczy pozwalał, no, ona akurat nie, nie do pojęcia jest to dla niej, że matka w rozpacz wciąż chodzi od jednego urzędnika do drugiego, od jednego policjanta do kolejnego i pyta, dlaczego jej Nataszka zginęła i kto jest za to odpowiedzialny. Nieustannie pyta i nie otrzymuje żadnej zadowolającej odpowiedzi, takiej, która choć na chwilę rozpędziłaby jej żal, ukoiliła żalobę, właściwie żadnej konkretnej odpowiedzi nie dostaje...

Wiera Dworzak mówiła i mówiła, a ja wreszcie otrząsnąłem się z pierwszego szoku. Zdałem sobie sprawę, że muszę kobiecie przerwać, bo inaczej jej rozpacz sącząca się z każdego słowa zaleje mnie i zatopi. Bez pytania o zgodę, w końcu byłem u siebie, zapaliłem papierosa. Z fajką będzie mi jakoś raźniej, pomyślałem i wbiłem się w słowotok Wiery:

- Naprawdę współczuję, ale dlaczego pani mi o tym mówi?

Urwała w pół słowa. Nawet nie zamknęła ust. Spoglądała na mnie z lekka nieprzytomnym wzrokiem. Jakby była w szoku. Najprawdopodobniej pozostawała w nim od momentu, kiedy dostała wiadomość, że wakacje w Grecji były ostatnimi w życiu jej córki.

- Właściwie dlaczego pani do mnie przyjechała?

– Bo pan tam był i może mi pan pomóc, bo... – Nagle jej głos się załamał, uwiązał w krtani.

– Skąd pani przyszedł do głowy taki pomysł?

– Pan Staszek mi mówił, że pan jest prywatnym detektywem i badał sprawę tam na miejscu w Grecji.

Mogłem się domyślić, że Kielbasa naopowiadał kobiecie w żalobie niestworzonych rzeczy. Kim to niby nie jestem i co mogę. Byłem wściekły na Staszka. Zachował się jak sukinsyn. Czy nie zdawał sobie sprawy, że krzywdzi Wierę Dworzak, mając ją złudną nadzieją? Stawiałem na to, że nie. W kategorii „człowiek o najlepszym samopoczuciu” bez wątpienia mieścił się w czołówce krajowej. A pewnie i europejskiej.

– Nie jestem żadnym detektywem. I nic w sprawie pani córki nie wiem. Naprawdę. Tylko byłem na miejscu tragedii – wyjaśniłem. – A tak z ciekawości, jak pani dotarła do Kielbasy? – Włączył mi się tryb przesłuchiwania.

Wiera Dworzak siorbnęła miętę, zapewne już zimnej i obrzydliwej.

– Policjant mi powiedział.

Teraz dla odmiany trzeba było wszystko wyciągać z niej niemal siłą.

– Który i co?

– Chodziłam na tę komendę i chodziłam, aż wreszcie skierowali mnie do policjanta, który prowadzi śledztwo. Ale właściwie on nic nie robi! Wyobraża sobie pan?!

Zapowiadało się na dalszy ciąg niezbornej opowieści, więc przerwałem ją kolejnym pytaniem:

– Komisarz Koseła?

– Aha, czyli jednak trochę pan się orientuje w sprawie.

Wystawiłem się na strzał, jakbym pierwszy raz w życiu prowadził przesłuchanie. Przecież podstawowa zasada brzmi: nie sprzedawać żadnych informacji, pozyskiwać, ile się da.

– Rozmawialiśmy przez chwilę w Grecji. I on pani dał kontakt do Staszka Kielbasy? – Zdziwiłem się.

– Dał mi listę wszystkich, którzy byli z Nataszką na wakacjach.

Koseła nie wyglądał mi na przesadnie rozgarniętego. Mogłem jednak zrozumieć, dlaczego przekazał Wierze Dworzak poufne informacje. Nachodziła go, więc na odczepnego przekazał kobiecie listę osób, które pojechały z Nataszą w poszukiwaniu greckich przygód. I wypoczynku. Pewnie kombinował, że w ten sposób będzie miał ją z głowy. Przynajmniej na jakiś czas.

– Nie chciał mi dać – wyjaśniała – ale przekonywałam pana komisarza, że po prostu muszę z nimi porozmawiać, popytać o ostatnie dni życia Nataszki. Wydobyc od nich zdjęcia córeczki, jeśli ktoś je zrobił. W końcu dał. Tak trafiłam na pana Staszka, a dalej na pana...

Nieźle podeszła Kosełę. Szach i mat w kilku prostych ruchach, bo mało kto jest w stanie odmówić pomocy matce w żałobie. Po jedynym dziecku. Nie byłem pewien, czy Wiera Dworzak była tak sprytna, czy jedynie zdesperowana. Nie chciałem tego rozstrzygać. Musiałem jak najszybciej przerwać to szaleństwo. Wiera Dworzak szukała pocieszenia i ukojenia żalu. Nie umiałem jej go dać. Nie czułem się na siłach.

– Niepotrzebnie przyjeżdżała pani do Ciechanowa. Nie mogę pani pomóc. W żaden możliwy sposób. Jestem byłym policjantem, który przez przypadek trafił na miejsce, w którym znaleziono... – Na chwilę się zawiesiłem. – No, wie pani. Powtórzę jeszcze raz, nic nie mogę zrobić w tej sprawie.

Wiera Dworzak spojrzała na mnie. W oczach kobiety płonęło zimne piekło. Jej twarz była zmięta niczym chusteczka, którą ścisnęła w dłoni. A jej włosy bardziej popielate niż wtedy, kiedy zobaczyłem ją przed drzwiami mojego mieszkania. Choć może była to kwestia wieczornego światła.

– To niech mi pan chociaż opowie o tym miejscu, gdzie zginęła. Proszę. Niech pan opowie dokładnie. Chcę je zobaczyć.

Opowiedziałem. Tyle akurat zrobić mogłem.

4 października 2014, sobota, Ciechanów

Do południa snułem się po mieszkaniu bez celu. Nie miałem długiej drogi do pokonania, co jeszcze bardziej mnie irytowało. Zjadłem śniadanie. Bardziej z rozsądku, by nie palić na czczo, niż z głodu. Dokończyłem lekturę powieści Wrońskiego. Pomyślałem, że to nawet niezły kryminał. Wsłuchałem się w siebie, by przekonać się, czy mam ochotę na lekturę kolejnej części tej serii. Nie usłyszałem niczego. Zadzwoiłem do Felicji, zapowiadając się na obiad. Babuleńka wyraziła entuzjazm, który wydał mi się udawany. Przekreśliłem do Pauliny. Okazało się, że abonentka jest czasowo niedostępna. Wszystkie te czynności przedziełałem celebrowanymi ponad miarę rytuałami palenia papierosów. Zbyt częstymi. Zaczęło drapać mnie w gardle. Być może była to jedynie reakcja psychosomatyczna na życie, które z dnia na dzień uwierało mnie coraz bardziej.

Zdawałem sobie sprawę, że byłem znużony i znudzony. Do tego drażniła mnie kartka leżąca na stole w kuchni. Im bardziej starałem się nie zwracać na nią uwagi, tym bardziej tam była. Oczywiście, mogłem ją gdzieś schować albo wyrzucić do śmieci. Jednak wciąż bym o niej pamiętał. O zwykłej kartce z notesu, którą zostawiła Wiera Dworzak. Z numerem telefonu, który nie mówił mi nic, oraz adresem, który oznajmiał, że mieszka w nie najlepszej krakowskiej dzielnicy na ponurym blokowisku. Nie chciałem kartki z zamiarami Wiery Dworzak. Inna sprawa, że nie protestowałem, kiedy kładła ją na stole. Może miałem wyrzuty sumienia, że wyrzucam kobietę wieczorem z domu, zmuszając do powrotnej tułaczki do Krakowa. Przy – jak sądziłem – nie najlepszych połączeniach kolejowych. Jednakże czy zapraszałem do siebie tę nieszczęsną kobietę?

Pojechałem na obiad do Felicji. Na szczęście babuleńka była podekscytowana wycieczką, więc nie ciągnęła tematu moich planów na przyszłość. Bliższą oraz dalszą. W poniedziałek seniorzy ruszali w kilkudniową objazdówkę po Warmii i Mazurach. Czas na wczesnojesienną podróż jak znalazł. Wciąż było ciepło, przyjemna aura miała się utrzymywać przez najbliższe dni. Opowiadała, gdzie będą i co zobaczą. Mieli

nawiedzić między innymi Sanktuarium Maryjne w Gietrzwałdzie, bo jej koleżaneczki, wierne fanki Radia Maryja, zarządziły, że koniecznie chcą zobaczyć rosnący tam klon, na którym objawiła się Matka Boska. Ponoć we własnej Boskiej osobie. Nieodmiennie nie mogłem pojąć, w jaki magiczny sposób Felicja, która z wiarą była na bakier, dogaduje się z tym całym z lekka zdewociałym emeryckim towarzystwem. Inna sprawa, że babuleńka potrafiła się dogadać z każdym. W przeciwieństwie do mnie.

Szybko zwinąłem się z babcinego domostwa, tłumacząc, że mam coś pilnego do zrobienia. Felicja na szczęście nie dopytywała, cóż to takiego. Musiałbym kłamać, a akurat babuleńki nie lubiłem zwodzić. No dobrze, okłamywać. Nie miałem pomysłu, czym wypełnić czas. Trochę pojeździłem samochodem po mieście. Przejechałem spacerowym tempem przed budynkami komendy policji ulicą 11 Pułku Ułanów Legionowych. Chciałem sprawdzić, co czuję. Może żal, odrobinę zawodu? W końcu pracowałem tam przez kilka ładnych lat. Nie poczułem nic. Właściwie nawet mnie to nie zdziwiło. Pojechałem za miasto, wijącą się po niewielkim zboczu moreny czołowej drogą do Opinogóry. Jazda nią zwykle wprawiała mnie w nastrój medytacyjny, pozwalała uporządkować myśli. Dojechałem do Opinogóry, inną trasą wróciłem do Ciechanowa. Nie znalazłem spokoju.

Pozostawało mi tylko jedno – telefon do przyjaciela.

Ogródek piwny przy Rynku, który od kilku lat nosił dumne miano placu papieża męczennika Polaka, był jeszcze czynny. Słońce prażyło, spragnionych ochłody i procentów nie brakowało. Zastanawiałem się, jak długo jeszcze potrwa udawane lato. Prędzej czy później przyjdą jesienne ciemności i słoty. A wtedy życie w Ciechanowie stanie się nie do zniesienia.

Chcąc odgonić niewesołe myśli, zamówiłem kufel lokalnego piwa, które – ku mojemu zdziwieniu – wcale się nie popsulo. Nie byłem już psem, więc właściwie nie powinienem pić, jeśli miałem zamiar jeździć

autem. Uznałem jednak, że hasło: „Chrzanić system!” – będzie mottem na ten dzień. Usiadłem przy ostatnim wolnym stoliku, zapaliłem i pociągnąłem łyk piwa. Patrzyłem na płytę rynku, po której przemieszczali się ludzie mający pilne sprawy do załatwienia. W odróżnieniu ode mnie. Przypomniałem sobie, że to właśnie w tym miejscu po raz pierwszy zobaczyłem Paulinę. Właśnie, Paulina... Co z tym fantem zrobić? Ciekawe, że akurat słowo „fant” przyszło mi od razu do głowy. Jakże niejednoznaczne i świetnie pasujące do historii mojego związku z Pauliną. Dziewczyna była dla mnie niczym wygrana na loterii, nie przeczę. Nie spodziewałem się, że ktoś taki jeszcze mnie... Pokocha? Polubi? Mniejsza o to. Ale przecież w grach towarzyskich fantem nazywano przedmiot do wykupu, który należało dać, jeśli się złamało reguły. Wiążąc się z nią, pogwałciłem niepisane reguły gier społecznych. Dwadzieścia dwa lata różnicy? Takie rzeczy się zdarzały, to prawda. Jednak nieodmiennie wzbudzały albo niezdrową sensację, albo jakże zdrowe oburzenie. Że prędzej czy później przyjdzie mi za to wszystko zapłacić, byłem tego pewien.

Poddając się pierwszemu odruchowi, sięgnąłem po komórkę i zadzwoniłem do Pauliny. Włączyła się poczta głosowa. Mogła być na zajęciach. Ale nie musiała. Nie chciałem zastanawiać się, gdzie jest. I z kim. Dosyć już miałem złych emocji. Podczas pobytu w Grecji coś się stało między nami. Do końca nie byłem pewien co. Może było to zwykłe ochłodzenie emocji. Albo przejście związku na inny poziom. Nie wiedziałem, bo i skąd. Po tym, jak w bólu i skowycie skończyło się moje małżeństwo, właściwie nigdy nie byłem z żadną kobietą w stałym, dłuższym związku. Ale czy nieco ponad trzy miesiące z Pauliną mogłem uznać za dłuższą relację, czy może jedynie rozciągnięty w czasie epizod? Poza tym ostatnie tygodnie były specyficzne. Najpierw nasze nie do końca udane wakacje w Grecji, potem powrót Pauliny na studia, ponowne przenosiny do wynajmowanego z koleżanką małego, dwupokojowego mieszkania w starej kamienicy we Wrzeszczu Dolnym. Przy ulicy Wajdeloty. Śmiałem się, że specjalnie wybrała ten adres, żeby

mnie, poloniście, sprawić przyjemność. Mieszkania, w którym już bywałem i w którym – byłem tego pewien – nigdy nie zamieszkać z nią na dłużej. Oczywiście, rozumiałem i akceptowałem sytuację. Zajmowanie się bezrobotnym Don Juanem w wieku średnim z pewnością nie należało ani do ciekawszych, ani do ważniejszych spraw, jakie teraz musiała ogarnąć.

Ostatnio byłem u Pauliny przed inauguracją roku akademickiego. Zawsze włóczyliśmy się trochę po okolicy, która ma coś z atmosfery krakowskiego Kazimierza sprzed knajpiano-turystycznego boomu – pewien rodzaj swojskiego, sympatycznego zapuszczenia. Ale, prawdę powiedziawszy, nie skupiałem się na atrakcjach Wrzeszcza Dolnego. Większość czasu spędziliśmy z Pauliną w łóżku. Może rzeczywiście w moim związku z nią coś się bezpowrotnie odmieniło, ale wciąż jest przyjemnie i miło.

Prawdopodobnie doszedłbym do kolejnych budujących i podsycających mój wąty optymizm wniosków, gdyby nagle obok mnie nie wyrósł męczyzna intensywnie pachnący nie najlepszymi fajkami.

– Kombinujesz, jak tu zarobić, ale się nie narobić?

Klepnął mnie w ramię i klapnął na krzesło stojące naprzeciwko mnie. Z nieodłącznym papierosem pomiędzy palcami. Z umiarkowanym poczuciem humoru. Z wielką tolerancją wobec mojej osoby i moich licznych ekscesów. Po prostu Leszek Koziej, szef techników z ciechanowskiej komendy powiatowej. Może przyjacielem nazywałem go nieco na wyrost, ale jedno nie ulegało wątpliwości – Koziej nigdy mnie nie zawiódł. Prawie.

Zarządził, żebym postawił mu browara, skoro już go ściągnąłem do piwnego raję, odrywając od doglądania ogniska domowego, o które dbał z miłości. Taki typ. Przyniosłem kolejne dla siebie i od razu dwa dla niego. Nie chciałem, aby pomyślał, że na bezrobociu cienko pręde. Choć zapewne stan moich finansów był jednym z ostatnich zagadnień interesujących Kozieja.

Z grzeczności zapytałem, co słyhać u niego prywatnie oraz na froncie walki z miejscową przestępczością. Raczej drobną. Odpowiedział, że w domu, dziękować Bogu, wszyscy zdrowi, a o jego obecnych zajęciach pracowniczych wolę nie wiedzieć. Chyba że lubię opowieści o tym, co dzieje się ze zwłokami staruszka pozostawionymi w spokoju i upale przez prawie dwa tygodnie. Nie lubiłem, ale spytałem, pewnie powodowany resztkami zawodowej ciekawości:

- I nikt się nim przez ten czas nie zainteresował?

- Nawet sąsiedzi nie zwrócili uwagi.

- Znieczulica.

- Dodałbym jeszcze, że niebagatelną rolę odegrały solidne i dosyć szczelne drzwi antywłamaniowe. Dopiero jak zaczęło bardzo śmierdzieć...

- Wystarczy mi.

Zapaliliśmy i przez chwilę podumaliśmy w milczeniu nad losem samotnych staruszków. Zazwyczaj ponurym. Zorientowanemu familijnie Koziejowi raczej on nie groził. Mnie jak najbardziej.

- Dobra, jeśli tak nagle zapragnąłeś się ze mną spotkać, to chyba masz mi coś ciekawego do powiedzenia - przeszedł do konkretów.

Ostatni raz dłużej rozmawiałem z Leszkiem jeszcze przed wyjazdem do Grecji. Od tego czasu sporo się wydarzyło, ale przecież nie chciałem mu opowiadać o wszystkich moich przypadkach i przygodach. Przez moment jednak kusiło mnie, żeby nieco pokluczyć, zanim zadam Koziejowi najistotniejsze dla mnie pytanie. Przynajmniej ważne w tej chwili. Wiedziałem, że nie z technikiem te numery. Zacząłem opowiadać historię pobytu w Arkoudi. Już po kilku zdaniach skrzywił się i zapowiedział, że naprawdę ma ciekawsze zajęcia niż wysłuchiwanie opowieści o uroczach greckich wakacji. I że przy stoliku trzyma go tylko niedopite piwo. Zacząłem się streszczać. Opowiedziałem o przypadkach-wypadkach, które przytrafiły się trójce polskich turystów. Z tego samego turnusu i hotelu. W tym samym miejscu. Trzem osobom, które mogły być ofiarami wypadków. Jak najbardziej nieszczęśliwych. Ale równie dobrze

mogły zostać przez kogoś zamordowane. Wydało mi się, że Koziej jest średnio zainteresowany case'em, co mnie nie zdziwiło. Technik robił, co do niego należało, ale nigdy nie ekscytował się pracą. Wyraził zdziwienie i odrobinę żalu. Powiedział, że szkoda ludzi. Zadał kilka pytań. Powiedziałem, co wiedziałem, czyli niewiele.

– Rozumiem, że trafiły ci się wątpliwe rozrywki wakacyjne, ale właściwie po co mi o tym opowiadasz? – drażył Leszek. – Jeśli powiesz, że brakuje ci policyjnej roboty i najchętniej wróciłbyś do fabryki, to cię wyśmieję.

Technik trochę mnie znał, ale nie dość. Zresztą jak większość ludzi. Jedyną osobą, która znała mnie na wylot, była Felicja.

– Wiesz, prowadziłem tam coś na kształt śledztwa. Oczywiście nie-oficjalnie.

– No, nie wierzę. Wiem, że pasjami lubisz pakować się w kłopoty, ale powiedz mi z łaski swojej, po co ci to było? Nudziłeś się? Paulinka dostarczała ci za mało atrakcji?

– Zostaw Paulinę – burknąłem.

Zostawił. Wiedziałem, że nie akceptował mojego nowego związku. Leszek mówił o tym wprost. Prawdopodobnie dlatego, że sam miał córkę. Wprawdzie młodszą od Pauliny, ale w jego ojcowskiej głowie nie mogło się pomieścić, że mężczyzna, który ma już pewnie większość życia za sobą, dokazuje z tak młodą kobietą. Koziej zaś zdawał sobie sprawę, że żadne przedstawiane przez niego argumenty nie skłonią mnie do rzucenia Pauliny. Stuknęliśmy się pokalami, by potwierdzić, że kruche porozumienie między nami wciąż trwa.

A potem opowiedziałem Leszkowi o niespodziewanych odwiedzinach Wiery Dworzak. I o moich licznych wątpliwościach. Czy mam jej pomóc? Czy ciągnąć dalej śledztwo, które najprawdopodobniej wszyscy będą chcieli jak najszybciej zamknąć? Zarówno Grecy, jak i Polacy. Znowu bawić się w samotnego szeryfa? Z dużo większym ryzykiem, bo teraz nie otwierała mi drzwi i nie chroniła policyjna blacha. Właściwie po co miałbym to robić? Właśnie, dobre pytanie, sam się pochwaliłem,

bo Koziej milczał. Zapalił papierosa, wydmuchiwał wielkie kłęby dymu. Nie patrzył na mnie, tylko gdzieś obok. Jakby miał mnie i moich ciągłych wątpliwości dość. W sumie racja, nie raz, nie dwa przerabialiśmy już podobne dysputy.

Milczenie Leszka zaczęło mnie uwierać.

– Wydusisz wreszcie coś z siebie? Co ja mam zrobić?

– Świat się kończy! Rowicki pyta kogoś o radę. I to wprost, otwartym tekstem. Tego jeszcze nie grali.

Zaniósł się śmiechem. Właściwie miałem za swoje.

– Tak, rób sobie ze mnie jaja...

– Zrób cokolwiek.

– Co ty mówisz?!

– Nie dociera? To powtórzę: cokolwiek. Tylko przestań się obijać, głądzić jak emeryt z dylematami na ryby, na grzyby czy na działkę. Zrób coś od początku do końca.

Wbiłem wzrok w Kozieja. Mówił poważnie. Przynajmniej tak mi się zdawało. Zastanawiałem się nad słowami technika. Zrobienie czegoś, choćby niewielkiego, od początku do końca, konsekwentnie, było pewnym rozwiązaniem. Właściwie sam już wcześniej na to wpadłem. Albo i nie było. Nie mogłem tego rozstrzygnąć, byłem jednak pewien, że coś zrobić muszę. Koniecznie.

Już otwierałem usta, aby powiedzieć Koziejowi o moich kolejnych dylematach, ale zastopował mnie gestem dłoni.

– Nic mi, Konrad, nie mów. Nie chcę słyszeć, co postanowiłeś i dlaczego. Zmęczyłeś mnie swoimi rozterkami. I tyle.

Zduślił niedopałek w popielniczce. Ja go zmęczyłem? Przede wszystkim zmęczyłem sam siebie.

Koniecznie chciałem zmienić coś w swoim życiu, więc wieczorem zamiast popijać piwo, wybrałem czerwone wino. Nie za bardzo miałem pomysł, co ze sobą zrobić. Podobnie jak przez ostatnie dni. Nie chciało

mi się czytać. W telewizji leciały same stare filmy, które już widziałem. Niektóre nawet po kilka razy. Po raz kolejny tego dnia wybrałem numer Pauliny. Tym razem odebrała. Poopowiadała, co tam na studiach, o zakupach w centrum handlowym. Rzuciłem niezobowiązujący pomysł, że podjadę w weekend do Gdańska. Powiedziała, że chętnie by się ze mną spotkała, bo tęskni, ale akurat w sobotę ma już umówioną imprezę z towarzystwem ze studiów, więc nie będzie mogła poświęcić mi zbyt wiele czasu. Uciałem, że nie ma sprawy, żaden problem. Spotkamy się przy następnej okazji, za czas jakiś. Nie podzieliłem się z Pauliną smutną myślą, że następna okazja może się szybko nie zdarzyć. Potem przekręciłem do Felicji, żeby spytać, czy nie podwieźć jej na miejsce zbiórki przed wyjazdem. Odpowiedziała w niepowtarzalnym stylu, że wprawdzie swoje lata ma, ale z nogami u niej wciąż nie najgorzej, w innym razie nie pchałaby się na wycieczkę. Życzyłem starowince mocy atrakcji. Jak najbardziej szczerze.

Szczodrze nalałem sobie wina. Było dobre jak na swoją, co tu kryć, niewysoką cenę, ale jednak kolejne łyki merlota nie uspokajały, nie kołyły. Czuję narastającą irytację. Paulina będzie korzystała do woli z uroków studenckiego żywota. Do czego ma prawo. Felicja będzie poznawała atrakcje warmińsko-mazurskiej przyrody ożywionej i martwej, jak również zabytki. By nie rzecz – monumenty. Co też się jej od życia jak najbardziej należało. Tylko ja będę tkwił jak polodowcowy ostaniec wbity w żyzną ziemię ciechanowską, nie mając nic do roboty.

Nie ma co, piękne, kurwa, perspektywy na weekend i życie. Jeśli zacząłem kłąć w myślach, nie mogło być ze mną dobrze.

Szarpała mną złość. Na siebie samego i cały świat. Złość i frustracja nigdy nie były dobrymi doradcami, wiedziałem o tym aż za dobrze, ale z pełną premedytacją wykorzystałem przyływ złych emocji, aby podjąć decyzję. Obracałem przez jakiś czas w myślach argumenty za i przeciw. Za działaniem i zaniechaniem. Naciski Felicji i Kozieja, abym wreszcie zrobił coś z własnym życiem, ustalił priorytety i wyraźne cele – nie były aż tak dokuczliwe, przynajmniej na razie, bym zmusił się do aktywno-

ści. Smutna historia Wiery Dworzak poruszyła mną, jednak nie do tego stopnia, bym z miejsca rzucił się z pomocą. Ani nawet chęć, by stanąć twarzą w twarz ze Staszkiem i opieprzyć go z góry na dół za liczne przewiny, nie była w stanie skłonić mnie do wyjazdu do Krakowa – równie dobrze ukończyłby mnie bluzgi rzucające przez telefon.

Było jednak coś, co sprawiło, że postanowiłem pojechać do Krakowa. Na wariata.

Dziennik roku pierwszego VII

19 stycznia 1999

NIE ROZUMIEM, CO SIĘ DZIEJE. Nie wiem, w czym uczestniczę. Czuję się, jakbym trafił w środek filmu. Bez własnej zgody. Jak aktor zabłąkany na planie. Nie znam scenariusza. Reżyser nic mi nie podpowiada. Jaki wykonać ruch, co powiedzieć.

Najgorsze, że NAD NICZYM nie panuję. Absolutnie nie mam pojęcia, co i jak mam robić. Niczego nie mogę zaplanować. Nie jestem w stanie. Nie mam nawet cienia szansy.

Jestem całkowicie bezradny.

20 stycznia 1999

Przedwczoraj i wczoraj po powrocie do domu dałem się ponieść emocjom. To nowość dla mnie. Nie potrafię nad nimi zapanować, mimo iż bardzo chcę. Więcej – muszę nad nimi zapanować, jeśli mam wyjść cało z afery, w którą zostałem wplątany. Wczoraj nie mogłem nawet pisać o tym, co się wydarzyło. Teraz muszę spróbować, postarać się UPORZĄDKOWAĆ CHAOS. Niemożliwe? Nie do końca. Jeśli istnieje teoria chaosu, musi istnieć też sposób na opanowanie chaosu, w którym zdają się pogrążyć. Może być nim pisanie (MUSI?). Teraz widzę, że pomysł z zapisywaniem przemyśleń,

dokumentowaniem ważnych dla mnie zdarzeń czy obserwacji był sensowny i celowy.

Wróć do poniedziałku, 18 stycznia. Daty dla mnie być może granicznej. Mimo że do żadnej granicy nie chciałem dotrzeć. Nie zarejestrowałem, że znajduję się w strefie nadgranicznej. Byłem jak ślepiec. Zbłąkany.

Odbywałem kolejne zajęcia bez większych problemów i niespodzianek. Zgodnie z planem. Podczas ostatniej lekcji, którą miałem z moją klasą, zajrzała do sali sekretarka, oznajmiając, że po zajęciach pani wicedyrektor prosi mnie do siebie. Zdziwiłem się, ale nie dałem tego po sobie poznać. Wydawało mi się, że niektórzy uczniowie roześmiali się, ale nie byłem tego pewien. Dokończyłem lekcję, zadałem pracę domową. Jak zawsze. W trakcie przerwy, przebijając się przez tłum uczniów na korytarzu, szedłem do gabinetu wicedyrektorki. Zastanawiałem się, o co może chodzić. Stawiałem na to, że przelożona zamierza przekazać mi, wciąż traktowanemu jako początkujący pedagog, jakieś uwagi i wskazówki. W mniemaniu wicedyrektorki zapewne cenne.

Już od początku rozmowa zmierzała w dziwnym kierunku. Tak to ocenilem. Jagiełło zapytała mnie, czy mam jakieś konflikty z uczniami. Jakies konflikty... Było to określenie dla mnie bardzo niejasne. Poprosiłem, żeby doprecyzowała. Trochę się plątała, mówiła w sposób dla mnie absolutnie pozbawiony logiki. Zrozumiałem tyle, że wicedyrektorce chodziło o to, czy otwarcie klóciłem się z którymś z uczniów, czy doszło do gwałtownej wymiany zdań. Zastanawiałem się przez chwilę. Były napięcia, to fakt, ale przecież z żadnym z uczniów się nie wyklócałem. Chyba w ogóle nie umiałem się klócić. Nie byłem do tego zdolny. Tak zostałem wychowany przez mamę, która uważała, że kłótnia jest oznaką słabości i niedojrzałości obu stron. Odpowiedziałem pytaniem na pytanie, choć wiedziałem, że jest to zachowanie niegrzeczne: czy wicedyrektorka ma na myśli rozbieżności między mną a uczniami II mat.-fiz.

w sprawie wycieczek szkolnych. Dla mnie nie były to kłótnie. Jedyne zderzenie odmiennych stanowisk w danej sprawie. Moim zdaniem niezbyt kluczowej. Jagiełło westchnęła. Sprawiała wrażenie, że rozmowa ją męczy. Nawet nie patrzyła na mnie, tylko jakby w bok. Obok mojej głowy. A może tylko tak mi się wydawało. Potwierdziła, że kwestia wycieczki również wy płynęła. Również? To mnie po raz kolejny zadziwiło. Jagiełło kontynuowała, że dotarły do niej skargi uczniów i ich rodziców, bardzo poważnych ludzi, jak zaznaczyła, nie wiedzieć czemu, że mam wobec uczniów absurdalnie wysokie wymagania, jeśli chodzi o naukę. Absurdalne? Nie wytrzymałem i zapytałem. Wicedyrektor zareagowała jedynie skrzywieniem ust i dalej mówiła swoje, że podobno nie umiem znaleźć porozumienia z uczniami, a do tego nie szanuję ich, wprost i pośrednio podważając ich wiedzę i możliwości intelektualne. Milczałem, bo nie wiedziałem, co mam odpowiedzieć na te niesprawiedliwe zarzuty. Zabolało mnie, że ktoś chodzi na skargę do mojej przełożonej, zamiast próbować znaleźć porozumienie bezpośrednio ze mną.

A dalej było JESZCZE GORZEJ... Jagiełło powiedziała, że w zaistniałej sytuacji, kiedy atmosfera wokół mnie jest niezwykle napięta (NAPIĘTA!? Nie wyczuwałem napięcia między mną a uczniami. ŻADNEGO), jest zmuszona traktować z niezwykłą powagą każde doniesienie dotyczące moich relacji z uczniami. Oczywiście, mówiła, że niczego nie rozstrzyga ani nie osądza... Przerwała i tym razem spojrzała mi prosto w oczy.

Już spodziewałem się, że zaraz coś na mnie spadnie. Coś potwornego. Ale...

I spadło.

Wicedyrektor zajrzała do leżącej na jej zabałaganionym biurku kartki, a potem powiedziała, że Kalina Kowalska przyszła do niej i poskarżyła się, że najpierw stawiałem jej celowo zaniżone oceny, a później złożyłem propozycję, że udzielię jej płatnych korepetycji, co

poprawi oceny. Nie panując nad sobą, zerwałem się z miejsca i opierając dłonie o biurko, krzyknąłem, że to bzdura, kłamstwo, bo to Kowalska pytała mnie, czy nie dam jej korepetycji, na co odpowiedziałem, że nie ma takiej możliwości. Jagiełło odruchowo odjechała w stronę okna, nie wstając z fotela z kótkami. Zimnym tonem kazała mi się uspokoić i przede wszystkim usiąść. Niepotrzebnie tak zareagowałem. Było mi WSTYD. „Także – ciągnęła wicedyrektor, znowu spojrzawszy na kartkę – uczeń Filip Zawadzki twierdzi, że sugerował pan mu, że musi brać korepetycje, jeśli nie chce mieć problemów z promocją do następnej klasy”. W głowie zadźwięczało mi słowo „SPISEK”, ale zrobiłem wszystko, by zapanować nad sobą. Udało mi się, na szczęście. Odparłem, że Zawadzkiemu jedynie zwracałem uwagę, raz czy dwa, zresztą zawsze przy świadkach, że jeśli nie weźmie się do systematycznej pracy, to będzie miał duże problemy z matematyką, włączając zagrożenie oceną niedostateczną. Nic więcej. O żadnych propozycjach, żadnych korepetycjach mowy nie było.

Lubię jasne sytuacje i wyraźne deklaracje, dlatego jeszcze raz oświadczyłem, że nie składałem żadnemu uczniowi propozycji udzielenia płatnych korepetycji. Ani z klasy, w której mam wychowawstwo, ani z jakiegokolwiek innej klasy naszej szkoły. Dorzuciłem z żalem, że Kowalska i Zawadzki kłamią. I że nie wiem, jaki mają w tym cel.

Jagiełło przez długie minuty milczała, wzdychając raz po raz. W końcu się odezwała. Prawdę powiedziawszy, wolałbym nie usłyszeć jej słów. Mówiła, że nawet jest skłonna mi wierzyć (SKŁONNA... Już to słowo mnie ubodło), ale w zaistniałej sytuacji (znowu ta ZAISTNIAŁA SYTUACJA, która dla mnie była jak cios w serce) musi urządzić konfrontację z oskarżającymi mnie uczniami. Musi, żeby ktoś jej nie zarzucił faworyzowania nauczycieli względem uczniów.

KONFRONTACJĘ?! Wprost nie mieściło mi się to w głowie.

21 stycznia 1999

Jutro ma się odbyć zapowiedziana przez wicedyrektor Jagiełło konfrontacja z pomawiającymi mnie uczniami. Wciąż nie wiem, co mam o tym myśleć. I jak mam to konfrontacyjne spotkanie potraktować. Przecież logicznie rzecz biorąc, jeśli Kowalska z Zawadzkiem nie wycofają się ze swoich oskarżeń, a ja potwierdzę własną wersję, co tam wersję – po prostu powiem prawdę, to wciąż będzie tylko słowo przeciwko słowu. Ktoś będzie musiał rozstrzygnąć, kto mówi prawdę. Przyszło mi na myśl określenie: „wydać WYROK”. Kto to będzie? Pewnie Jagiełło. A może sama dyrektor Kownacka. Chociaż z tego, co usłyszałem od innych nauczycieli, dyrektorka zazwyczaj wszelkie sprawy dotyczące uczniów pozostawiała swojej zastępczyni. I na jakiej właściwie podstawie ma być ten WYROK wydany?

Pomyślałem, że powinienem się przygotować. Poszukać rady kogoś kompetentnego. W końcu nigdy wcześniej nie byłem w podobnej sytuacji. Nawet nie przewidywałem, że coś takiego może mi się przydarzyć. W pierwszej chwili przyszła mi na myśl pedagog szkolna. Tyle że po wcześniejszych kontaktach straciłem do niej zaufanie. Siedząc dzisiaj w pokoju nauczycielskim na długiej przerwie, rozważałem, czy może powinienem zapytać innych nauczycieli. A jeśli oni nie wiedzą o całej sprawie? Jednocześnie było to mało prawdopodobne, zważywszy, że w pokoju nauczycielskim nieustannie plotkowało się o tym, co się dzieje w szkole. O uczniach i ich rodzicach. Szczерze mówiąc, zwyczajnie wstydzilem się publicznie opowiedzieć o zarzutach Kowalskiej i Zawadzkiego. Byłoby to jak przyznanie się do porażki. Nieco upokarzające. A właściwie bardzo upokarzające. Podobnie jak wczorajsza rozmowa z Jagiełło. Uznałem, że nie będę prosił o konsultację i radę żadnego z kolegów z mojej szkoły. Nawet polonistki, która jako jedyna zdawała się okazywać mi zainteresowanie. Dopiero wracając z pracy na piechotę do domu, z nadzieją, że spacer mnie uspo-

koi, wymyśliłem, do kogo mogę zadzwonić, aby opowiedzieć o moim problemie i poprosić o radę.

Urlopowana wychowawczyni II mat.-fiz. Turowska!

Wybrałem rozmowę telefoniczną. W ten sposób było mi łatwiej, niż gdybym stanął z poprzednią wychowawczynią twarzą w twarz. Odebrała od razu. Wydało mi się, że ucieszył ją mój telefon. Zanim zebrałem się w sobie i zacząłem opowiadać, spytała, co tam nowego u jej wychowanków. Dobrze – jej wychowankowie, ale problem mój! Przez moment żałowałem, że wybrałem numer Turowskiej. Ale jeśli powiedziałem A, musiałem powiedzieć B. Konsekwencja! Odpowiedziałem, że z klasą jako całością nie jest wcale źle (nie byłem o tym przekonany, jednak nie chciałem ciągnąć w jednej rozmowie kilku wątków). Potem w skrócie opisałem „afere” z Kowalską i Zawadzkiem. Zamilkła. Milczała długo. Myślałem, że się rozłączyła, ale nie. Powiedziała, że jest zdziwiona i zaniepokojona. Przecież NIE BARDZIEJ NIŻ JA! Poprosiła, żebym przysiągł, że nie zrobiłem nic nieostrożnego. Zalała mnie złość. Następna, która mi nie wierzy. Chciałem się rozłączyć. Jednak tego nie zrobiłem. Zapewniłem, że nie padły z mojej strony żadne propozycje korepetycji.

Turowska powiedziała, że mi wierzy. I że w trakcie naszego jedyne spotkanie zrobiłem na niej dobre wrażenie. Zapytałem wprost, co mam robić. Byłem bezradny. Irytowało mnie to bardzo. Odrzekła, że nie ma pojęcia, ponieważ nigdy nie była w podobnej sytuacji. Dodała, że muszę postępować ostrożnie z Kowalską. Sprawia wrażenie zwykłej, miłej nastolatki, ale potrafi być wredna. Turowska użyła słowa: „źmijka”. Podobno trochę poniewierała mniej inteligentnymi i biedniejszymi koleżankami. Ale właściwie nigdy nie zrobiła nic niezgodnego z regulaminem szkoły. Przypomniała sobie, że kiedyś Kowalska chodziła z Zawadzkiem, ale czy teraz są razem, tego nie wie. U nastolatków tak szybko się to zmienia. Podziękowałem za informacje, choć właściwie nie było za co.

Na koniec powiedziała, że mogę zawsze do niej zadzwonić, jakby działa się coś złego. Tylko co mi po tych telefonach?!

Czy Kowalska chodziła z Zawadzkim? Może zmówili się, by mi zaszkodzić. Czemu nie, uczniowie wpadają na przedziwne pomysły. NIE ROZUMIAŁEM jednak, czemu chcieliby mi zaszkodzić... Po co mieliby rozkręcać taką aferę? CO CHCIELI ZYSKAĆ?

Mama wyczuwa moje zdenerwowanie. Jak zawsze. Chyba nawet lepiej wylapuje szarpiące mną nastroje niż ja. Pytała raz i drugi, co się dzieje. Nie mogłem, nie chciałem powiedzieć prawdy. Jeszcze nie teraz. Nie w momencie, kiedy miałem nadzieję, że wszystko jakimś cudem się ułoży. Musiałem kluczyć. Jak to się mówi: nie skłamać, ale prawdy też nie powiedzieć. Czuję się z tym źle. Po prostu fatalnie. Odpowiedziałem, że stresują mnie koniec półrocza i konieczność oceny, wystawienia stopni. Że robię to pierwszy raz, co powoduje moje wahania. Powiedziała, że zwyczajnie muszę być sprawiedliwy, a wszystko pójdzie dobrze. SPRAWIEDLIWY! Gdyby mama wiedziała... Ale nie odważyłem się opowiedzieć o aferze, w którą zostałem wplątany... Nie mogłem.

JAK MOGŁEM BYĆ SPRAWIEDLIWY, JEŚLI ZOSTAŁEM POTRAKTOWANY TAK NIESPRAWIEDLIWIE?!

Jest już po północy. Nie mogę spać. Nie chciałem, by mama zauważyła, że siedzę po nocy. Przyszłaby do mnie i pytała, co się dzieje. Nie miałem na to siły. Wziąłem małą lampkę z biurka, schowałem się pod kołdrą. Jak dzieciak. Jak przestraszony dzieciak. I piszę. Piszę, bo już nie mogę się doczekać jutra. Tego, co Jagiełło nazwała konfrontacją. Piszę, bo się boję.

Rozdział drugi

Taki ze mnie kolega

**6 października 2014, poniedziałek,
droga do Krakowa i Kraków**

Ktoś w Grecji chciał mnie zabić. Albo uszkodzić. Mniejsza o większość. Dybał na mnie. Nie należę do furiatów, ale uznałem, że nie mogę tego skwitować wzruszeniem ramion. Przynajmniej spróbuję dorwać drania. Tyle mogłem.

Auto mruczało niecierpliwie na niskich obrotach. Ruszyłem do Krakowa samochodem, choć wygodniejsza i szybsza byłaby podróż pociągiem, ale własny środek lokomocji mógł mi się przydać na miejscu, jeśli już postanowiłem zająć się śledztwem. Właściwie jego namiastką. Sunałem krajową siódemką, drogą, która tylko na kilku krótkich odcinkach ma status ekspresowej, a zazwyczaj służy nie tyle sprawnemu przemieszczaniu się z miejsca na miejsce, ile raczej podziwianiu z okna uroków środkowej Polski. Niespecjalnych. Wlokłem się za kolumną tirów gdzieś pomiędzy Radomiem a Kielcami. Zachowywałem buddyjski spokój, ignorując trąbienie i nerwowe manewry rodzimych kamikadze wyprzedzających na trzeciego. Miałem czas, żeby pomyśleć. Więc myślałem.

Po raz kolejny rekonstruowałem to, co wydarzyło się w poniedziałkowy wieczór w Arkoudi. Stałem na wąskiej ulicy przed naszym hotelem, obok mnie Kielbasa. Nagle kątem oka zobaczyłem światła jadącego szybko samochodu. Zdecydowanie za szybko jak na warunki i zwyczaje komunikacyjne panujące w tej wioszcynie. Staszek wrzasnął i szarpnął

mnie za rękę. Potykając się o krawężnik, poleciałem na plecy. Samochód przemknął o centymetry obok moich nóg. Walnąłem o chodnik, ledwie amortyzując się ręką. Ból wbił długie igły w nadgarstek i krzyż. Pociemniało mi w oczach, na szczęście tylko na chwilę. Samochód z piskiem opon i rykiem klaksonu hamował przed placykiem. Trudno, żeby było inaczej, kręciło się tam mnóstwo ludzi, którzy teraz uskakiwali przed maską, złorzecząc w rozmaitych językach. Auto przebiło się przez tłum i zniknęło za zakrętem. Miałem jednak wystarczająco dużo czasu, żeby mu się przyjrzeć. To był czarny volkswagen golf na greckich blachach, stary, klasyczny model. Kilka dni wcześniej w Kyllini, kiedy późnym wieczorem wizytowaliśmy z Pauliną bagienko śmierci, też widziałem na parkingu czarnego golfa. Podobnego czy tego samego? Ani za pierwszym, ani za drugim razem nie dostrzegłem, kto siedział za kierownicą, nie zapamiętałem numerów. Bo i po co? Mogły to być dwa różne golfy. Ale ile podobnych samochodów mogło się kręcić po takim zadupiu jak okolice Arkoudi? Raczej niewiele. Tym bardziej że miejscowi, z tego, co zauważyłem, gustowali przede wszystkim w mercach. I dlaczego na pustym parkingu w Kyllini późnym wieczorem stał czarny golf, którego kierowca, gdy nas zobaczył, odjechał? Przypadek? Nie wierzyłem w przypadki podobnie jak w wygraną w totka. Oczywiście, nie zwierzyłem się nikomu z moich wątpliwości. I tak było wiele zamieszania i lamentów Pauliny oraz Kiełbasów, że o mały włos nie zginąłem. Uznaliśmy, że to jakiś niepoważny Grek nadużył tsipouro i postanowił podnieść sobie poziom adrenaliny rajdem po zatłoczonych uliczkach. Wesoly weekend jak wszędzie. „Te sprawy”, jak skomentowałby mój, na szczęście już były, przełożony Gajowniczek.

Znudziło mi się oglądanie napisów reklamowych na tyle naczepy tira, więc zjechałem przed zajazd stojący w cherlawym lasku. Zajazd, jakich wiele, popłuczyny góralszczyzny. W środku intensywnie pachniało starożytną smażeniną, więc kupiłem kawę i wyszedłem do ogródka. Pusto, warkot samochodów zagłuszający szum drzew. Zapaliłem papierosa i upiłem łyk kawy. Skrzywiłem się. Chyba jednak zrobił-

bym lepiej, gdybym zaryzykował konsumpcję smażonej kiełbasy z cebulą.

Filip Zawadzki. Natasza Dworzak. Kalina Kowalska. A na dokładkę ja jako potencjalna ofiara, jeśli nawet nie śmierci, to na pewno kalectwa. Nieźle jak na kilka dni wakacyjnego wypoczynku. Grupa Kiełbasów wróciła do kraju i skończyło się znajdowanie umarłaków w okolicach Arkoudi. Przynajmniej nie natrafiłem w internecie na informację o kolejnych zbrodniach w tej wiosce. Raczej nie można było tego tłumaczyć końcem sezonu wakacyjnego. Oczywiście, mogły to być nieszczerliwe wypadki. Bez wątpienia można by rozważać, czy nie było to dzieło miejscowego albo przyjezdnego psychopaty, który nagle poczuł żądzę krwi. Moim zdaniem czysto teoretycznie. Jeśli nawet brać pod uwagę przypadkowego seryjnego, dlaczego polował tylko na Polaków, i to w dodatku z jednego hotelu i tej samej grupy? Jakiś zawzięty Rusek, których tam mnogo, mszczący się na Polaczkach za krzywdy dziadów? Wolne żarty. To była polska sprawa i jak sądziłem, jej rozwiązanie znajdowało się w Krakowie. Tylko co ja byłem w stanie zrobić?

Odsunąłem filiżankę z kawą, której nie zamierzałem dopijać, przyniosłem z baru gazowaną mineralną i znowu zapaliłem. Palenie albo zdrowie, wybór należy do ciebie. Tyle dobrego, wybrałem już dawno temu. Na parking zajechał SUV. Wysiedli z niego kobieta w pretensjach i mężczyzna w furii. Z tylnych siedzeń wyrzaskiwały coś dzieciaki. Typowa polska rodzina modelu dwa plus dwa podczas wyjazdu. Zapewne rekreacyjnego.

Moje możliwości były ograniczone. Łudzisz się, pomyślałem. Moje możliwości były prawie żadne. Byłem jedynie ekspliną. Prawdopodobnie nawet nie najlepszym. Miałem za to chęć szczerą, przynajmniej do momentu, aż mnie to wszystko nie zmierzi. Co, jak przypuszczałem, mogło nastąpić szybko. Zastanawiałem się, co do tej pory zrobiłem w sprawie trójki zmarłej w Grecji i co jeszcze jestem w stanie zrobić. Wyjąłem z kieszeni kurtki notes i długopis. Zawsze lepiej mi się myślało, kiedy bazgrałem po kartkach. Byłem w dwóch miejscach zbrodni albo

wypadków. Stawiałem jednak na zbrodni, bo zasadniczo jestem zdania, że świat jest bardziej zły niż dobry. Oględziny miejsca zbrodni to już coś, choć nigdy ich wcześniej nie demonizowałem. Byłem w wielu miejscach, gdzie popełniono mniej lub bardziej poważne przestępstwa. Żadne z nich do mnie nie przemówiło. Podczas pobytu w Grecji prowadziłem rozpytania, bawiąc się rolą prywatnego detektywa wynajętego przez Kielbasę. Robiłem to jednak bez przekonania, więc właściwie niczego sensownego się nie dowiedziałem. Zamierzałem przede wszystkim, o tyle, o ile będzie to możliwe, przyjrzeć się bliżej życiu tych, którzy zmarli. Życie zmarłych, niezły patent na tytuł książki. Może mieli jakieś mroczne tajemnice. Porozmawiać z innymi uczestnikami turnusu w hotelu Brati. Może z rozpytań wyniknie coś ciekawego, pojawi się choćby cień śladu, którym podążę. Powinienem też przyjrzeć się bliżej organizatorom feralnego pobytu. Tylko czy z biura turystycznego miałem szansę wydobyć jakiegokolwiek informacje? Bez blachy, pozbawiony jakiegokolwiek formalnego umocowania?

– Jestem człowiekiem nieumocowanym – powiedziałem na głos, gasząc papierosa.

Przechodząca obok mnie kobieta z SUV-a spojrzała na mnie dziwnie. Obdarzyłem ją szczerym uśmiechem, co skwitowała wzruszeniem ramion. Tak, świat jest pełen wariatów. I ciągle szczerzyłem się jak ktoś niespełna rozumu.

Miałem jeszcze asa w rękawie.

Wydawało mi się, że stanie w korku – zdawać by się mogło, nieskończonym – przy wjeździe do Krakowa jest najgorszym, co mnie tego dnia może spotkać. Grubo się myliłem. Próba znalezienia na Kazimierzu miejsca do parkowania doprowadziła mnie do szału. Waliłem dłońmi w kierownicę, miałem ochotę wysiąść i strzelać do wszystkiego, co się rusza. Całe szczęście, że dawno temu zdałem broń służbową.

Lokum znajdujące się na Kazimierzu wybrałem nieprzypadkowo. Tyle że nie miałem pojęcia, iż od mojej ostatniej bytności w tej dzielnicy

– fakt, lata temu – tak wiele tam się zmieniło. Trafiłem w sam środek knajpiano-imprezowego armagedonu. Było już po zmierzchu, wszędzie przewalały się tłumy ludzi bardziej nawalonych niż trzeźwych, niemal w każdej kamienicy była knajpa, a w niektórych po dwie lub trzy. W innych okolicznościach, w innym życiu prawdopodobnie taki stan rzeczy by mi się spodobał. Jednak nie teraz. To nie był Kazimierz, który znałem. To zdecydowanie nie był Kazimierz, który polubię.

Jechałem żółwim tempem. Pomyślałem o greckim żółwiku, którego Paulina wdeptała w ziemię. Przeżył? Oby. Moja dziewczyna przeżyła bez wątpienia i ma się teraz dobrze. A pewnie nawet świetnie. Nie chciałem o niej myśleć. Nie dziś. Skupiłem się na unikaniu wesołych ludzieńków, którzy ładowali mi się pod koła. Wreszcie wydostałem się na ulicę Krakowską i mostem Piłsudskiego przemknąłem za rzekę. Wjechałem na Stare Podgórze. Niegdyś była to taka sobie dzielnica, którą nawiedzali tylko ci, którzy musieli. Czyli głównie lokalsi. Patrząc na prawo i lewo, widziałem zmiany. Na lepsze. Choć wciąż była to nieco podejrzana dzielnica. Zaparkowałem na pierwszym wolnym miejscu. Miałem nadzieję, że dobre auto na blachach spoza grodu Kraka nie wzbudzi specjalnego zainteresowania. A gdyby nawet, w mišku były zamontowane zmyślne zabezpieczenia. Tak się pocieszałem.

Na piechotę, taszcząc na ramieniu ciężką torbę, wracałem przez most, a potem Krakowską. Swego czasu wiele razy chodziłem tą ulicą. Chodziliśmy. Z Marią, moją żoną. W nosie czułem swędzenie, kichnąłem raz i drugi. Smog krakowski wita. Zawsze po dłuższej nieobecności w mieście świetnie go wyczuwałem. I czułem nienawiść. Do Krakowa. Chociaż właściwie nienawidziłem każdego miasta, w którym dane mi było mieszkać. Albo choćby pomieszkiwać. Prawdopodobnie więc problem nie tkwił w takiej czy innej specyfice przestrzeni miejskiej. W smogu czy jego braku. Przestrzeń mogła wyglądać jak prosty, robotniczy paw Angola w okolicach Rynku. Albo przedstawiać się jak wymuskany Włoch na wycieczce w czasie świąt kościelnych. Problemem byłem ja sam.

Wynająłem pokój w hostelu Klezmerzy, znajdującym się w kamienicy przy ślepej części ulicy Miodowej. Pokój jak pokój, mały, z miniaturową łazienką, ale schludny. Mogłem wynająć coś w zwykłym hotelu, miałem jeszcze na tyle kasy, ale nie było co żyć ponad stan. Na razie wynająłem lokum na tydzień, z nadzieją, że tyle czasu wystarczy, bym rozejrzał się w sprawie i realnie ocenił swoje możliwości. A potem się zobaczy. Wyborna strategia.

Rzuciłem torbę na łóżko i wyszedłem. Tego wieczoru musiałem jeszcze zrobić jedną rzecz. I bynajmniej nie było to picie w okolicznych knajpach. Z alkoholizowaniem postanowiłem przystopować, jeśli moje działania w Krakowie miały mieć sens. Przeszedłem szeroką ulicę Dietla i skręciłem w kierunku Starowiślnej. Wydeptana droga, znane budynki, ale jakby inne. Nowe miejsca, nowe szyldy. Tu knajpa, tam hostel, jakiś sklep, którego nazwa nic mi nie mówiła. Mnóstwo obcojęzycznych turystów przemierzających się we wszystkie strony w poszukiwaniu nie wiadomo czego. Ale turyści byli już w Kraku za moich czasów. Szukałem tego, co raczej zmienić się nie powinno. I się nie zmieniło. Zbyttnio.

Moja kamienica. Nasza. Ta sama poszarzała elewacja. Podniosłem wzrok na wysokość trzeciego piętra. Mieszkałem tam przez lata sam, a później z Marią. Któryś z sąsiadów, znany mi, a może już całkiem inny, wymienił okna na nowe, administrator wstawił nowe skrzydło bramy wejściowej. Tylko jedno, bo nigdy nie lubił szastać kasą, co – jak widać – akurat mu pozostało. Spotkało mnie w tym miejscu wiele dobrego, ale tragedia, jaka się tu wydarzyła, sprawiła, że nie chciałem mieć z tym mieszkaniem nic wspólnego. Potem sprzedałem je niemal z miejsca, pierwszemu chętnemu, który się trafił. Pewnie sporo straciłem na tej transakcji, ale nie myślałem wtedy o pieniądzach. W gruncie rzeczy nie myślałem wtedy o niczym, pozwalałem nieść się wydarzeniom. Pozbyłem się mieszkania przy Dietla. Uciekłem z Krakowa. Tak po prostu. Na lata ukryłem się w Ciechanowie.

A teraz stałem i patrzyłem w okna niegdyś mojego mieszkania. Naszego. Parapety zapełniała kolekcja storczyków. Za naszych czasów

było inaczej, bo ani Maria, ani ja nie mieliśmy serca ni ręki do kwiatów. Stałem, patrzyłem i wsłuchiwałem się w siebie. Nie czułem żalu, który szarpał mną przed długi czas, latami. Właściwie do niedawna. Odczuwałem jedynie lekki niepokój, jak po długiej podróży, jak przed powrotem do znanego miejsca, w którym nie było się przez długie lata. Czyżby faktycznie po sprawie samobójstw nastolatek definitywnie coś się w mnie przełamało?

7 października 2014, wtorek, Kraków

Z moim asem z rękawa umówiłem się w Drukarni na Podgórzu i z trudem przebijając się przez Kazimierz, błogosławiłem ten pomysł. Na Żydzie pełno już było turystów. Mimo wczesnej pory niemal wszystkie miejsca w ogródkach knajp były zajęte, a ludność miejscowa i napływowa raczyła się niekoniecznie tylko kawą. Wróciłem na ulicę Bożego Ciała, dalej poszedłem przez plac Wolnica. Dotarłem do kładki dla pieszych i rowerzystów nie tak dawno przerzuconej przez Wisłę. Nie widziałem jej wcześniej, wyglądała malowniczo. Wedle ostatniej mody przyozdobiono ją masą poprzipinanych pod poręczami kłódek z inicjałami zakochanych. Ciekawe, ile tych związków się rozpadnie, nim kłódky zarzewieją. A zaraz potem pomyślałem o Paulinie. Powinienem do niej zadzwonić, ale uznałem, że spokojnie mogę to zrobić później.

Sprawdziłem, czy moje auto wciąż stoi tam, gdzie je wczoraj zaparkowałem. Na szczęście stało. Poszedłem do Drukarni. Mój as z rękawa siedział przy stoliku ustawionym przed knajpą i grzał twarz w październikowym słońcu.

Komisarz Karol Lewandowski. Był z kryminalnego, miał kilka lat więcej niż ja. Jeden z moich nielicznych bliższych znajomych z czasów, kiedy byłem rzecznikiem prasowym w komendzie miejskiej w Krakowie. Tak naprawdę jedyny znajomy, bo z innymi chłopakami było mi wtedy jakoś nie po drodze, a zresztą i tak większość czasu poświęcałem

żonie. Karol pomagał mi w trudnych chwilach z Marią, wiedział o mnie trochę. Choć nie wszystko.

Stałem obok niego i rzuciłem na powitanie:

– Kraków się zmienił i kolega Lewandowski też.

Zaśmiał się, wstał i przejechał dłonią po łysej czaszce.

– Po prostu przestałem udawać, że jeszcze mam włosy.

Przywitaliśmy się, poszedłem po piwo, uznając, że mimo wszystko jedno mogę wprowadzić do organizmu z okazji spotkania ze starym kumplem. Poczęstowałem go fajką, ale odmówił. Stracił nie tylko włosy, ale pozbył się też nałogu. Szczęściarz.

– Myślałem, że już nigdy nie ruszysz dupy z tej swojej wioski – powiedział.

– Drogi panie, Ciechanów to miasto, niegdyś nawet wojewódzkie.

Zaśmiał się zaraźliwie. Może właśnie ze względu na ten śmiech tak go kiedyś polubiłem.

– Słyszałem o tej aferze z samobójstwami dziewczyn. Podobno nieźle sobie poradziłeś.

– Nie podejrzewałem, że zyskam krajową sławę – zdziwiłem się. – I tyle mojego, bo w nagrodę dostałem kopa w zad.

– Wyrzucili cię z firmy?

– Powiedzmy, że musiałem się zwolnić.

– Dlaczego?

– Nadepnąłem na odciski kilku osobom. W tym głównodowodzącemu.

– Czyli musiałeś ich grubo podkurwić.

– Myślę, że to nawet lepsze określenie.

Rytualnie ponarzekaliśmy na firmę, służbę, która więcej odbiera, niż daje. Poopowiadaliśmy o tym, co się z nami działo przez ostatnie lata. Tematu Marii Karol nie tykał. Byłem mu za to wdzięczny. W końcu padło pytanie, które wisiało w powietrzu:

– Wiesz, jak do mnie przedwczoraj zadzwoniłeś, to się ucieszyłem. Kopę lat... Ale potem zacząłem kombinować, że musi być jakiś konkretny powód, dla którego przypomniałeś sobie o starym kumplu.

– Ale ty podejrzliwy jesteś – powiedziałem ze śmiechem.

– Taka profesja. Dajesz, o co biega!

– Podobno zajmujecie się sprawą trzech trupów z Grecji.

– No, widzę, że kolega dobrze poinformowany. Kamilek Kosęła w tym grzebie. Albo tylko udaje, że coś robi.

– Kosęła, pseudonim Buc.

Lewandowski po raz kolejny wybuchnął szczerym śmiechem.

– Bardzo trafne określenie. Ty... Skąd go znasz?

Opowiedziałem o spotkaniu z komisarzem Kamilem Kosęłą, o moim pobycie w Arkoudi i związkach z całą sprawą. Na razie nikłych. O tym, że ktoś na mnie dybał i bardzo mi się to nie spodobało.

– A Kamilek nawet wspominał, że jakiś frajer kręcił się w tej całej Grecji koło hotelu i węszył.

– Mówiłem przecież, że na pierwszy rzut oka wydał mi się bucowaty.

– A do tego Kosęła jest z tych policjantów, którzy nie lubią wnikać. Pewnie dlatego tam go posłali.

– Czyli całe to śledztwo Buca to klasyczny dupochron?

– Wiesz, jak jest. – Karol wzruszył ramionami. – Urzędasy mają odhaczone, że policja interesuje się sprawą, która jest w toku. I tyle. A z dochodzeniami na spółkę z obcymi policjantami zawsze jest kłopot. Grecy pewnie coś tam rzeźbią po swojemu, wymiana informacji kuleje, a Kosęła co jakiś czas wyprodukuje raport o nikłych postępach w sprawie i ma z bańki. Ale tak naprawdę nie wiem, nie interesowałem się tym case'em.

– A mógłbyś się zainteresować?

Lewandowski wbił we mnie spojrzenie i przejechał dłonią po głowie.

– Ty chyba naprawdę się nudzisz – mówił. – Weź, znajdź sobie prawdziwą robotę albo hobby. Ooo, łowienie ryb jest dobre.

– Wędkarstwo mnie nie kręci.

– To siądź na dupie i kontempluj upływ czasu. – Do tej pory Karol nie objawił mi się jako twórca bon motów. Pewnie wyrobił się z wiekiem. – Na kiego ci zajmowanie się pokręconą sprawą, którą wszyscy olewają?

– Bo ktoś mnie tam w Grecji próbował zabić.

– Ale mu się nie udało, więc ciesz się życiem i spokojem.

Podejrzewałem, że z Lewandowskim może być ciężko. Westchnąłem i zapaliłem papierosa. Przez chwilę rozważałem, czy nie wziąć następnego piwa, ale byłem twardy.

– Chcę się tym zająć i tyle. Taki ze mnie uparty typ. Pomożesz mi?

– Niby jak? – burknął, wykazując entuzjazm bliski zeru.

– Popytaj Kosełę, co do tej pory ustalił, jeśli cokolwiek. A najlepiej wyciągnij na chwilę akta sprawy, żebym mógł do nich zajrzeć.

– Nie mam pojęcia, co i jak robiliście na tej twojej wiosce...

– Ciechanów to miasto – przerwałem Karolowi, powtarzając kwestię i dziwiąc się nagłemu przyplýwowi patriotyzmu lokalnego. Pewnie tak podzielał na mnie przyjazd do Krakowa.

Karol zignorował mój wtřet i ciągnął dalej:

– ...ale u nas sporo się pozmiańiało i takie numery juź nie przechoǳą. O aktach zapomnij. A poza tym Kamilek to ųaden mój kumpel, niewykluczone, ųe nic mi nie powie. Bo i z jakiej racji?

Bardzo dobre pytanie, tym bardziej ųe i ja nie miałem pojęcia, jaką rację bytu ma moje śledztwo. Jak najbardziej prywatnie.

– Bardzo mi na tym zaleųy. Spróbujesz?

Lewandowski zdawał się wahać, ale w końcu skinął lekko głową i powiedział:

– Dobra, ale nic nie obiecuję.

Podziękowałem z góry. Podejrzewałem, ųe frazę „nic nie obiecuję” w najbliųszych dniach usłyszę często. Byłem na to przygotowany.

Rozmawialiśmy jeszcze przez kwadrans. Czuję, ųe atmosfera zważyła się definitywnie. Prawdopodobnie Karol ųałował, ųe odebrał tele-

fon ode mnie i zgodził się na spotkanie. Nic dziwnego. Do Lewandowskiego prawie zawsze przychodziłem jedynie z problemami. Taki ze mnie świetny kolega.

Postanowiłem zacząć od ścieżki, którą miałem jako tako wydeptaną, i pojechałem do kobiety o włosach koloru popiołu. Sunąłem powoli przez miasto, bo sporo się pozmieniało w systemie komunikacyjnym Krakowa. Dotarłem jednak bez specjalnego błędzenia na Prądnik Białą, byle jaką dzielnicę, w której Wiera Dworzak mieszkała w byle jakim czteropiętrowym bloku. O ile z zewnątrz budynek z odświeżoną niedawno elewacją wyglądał jeszcze znośnie, o tyle klatka schodowa mówiła wszystko o mieszkańcach – życie od pierwszego do pierwszego, bez szans na zgromadzenie oszczędności. Wnętrze mieszkania Wiery świetnie się w ten lekki syf wpisywało, choć pewnie jeszcze kilka miesięcy temu było wymuskane i wychuchane. Teraz oddawało stan ducha kobiety. Zwały kurzu w kątach, wszędzie porostawiane nieumyte naczynia, zerwana z kilku żabek firanka, porozrzucane ubrania. Przechodząc przez przedpokój, zerknąłem do jednego z dwóch pokoi. Na środku beżowego dywanu leżały skłębione rajstopy – rzucone tuż po zdjęciu zawsze wyglądają smutno.

Wiera była zadowolona, że mnie widzi, chociaż emocje okazywała w stonowany sposób. Trudno, aby było inaczej. Wyjaśniłem na wstępie, że przyjrzę się sprawie, ale nie mam pojęcia, co z moich działań wynika, więc niech nie spodziewa się zbyt wiele i nie robi sobie nadziei. Kiwała głową. Prawdopodobnie wystarczyło jej, że ktoś się tym w ogóle zainteresował. I będzie miała z kim porozmawiać o córce. Rozmawialiśmy. Poznawałem świat nieszczęsnej Nataszy, która wiodła smutne życie. Chyba nawet smutniejsze od mojego. Choć może tylko tak mi się wydawało.

Natasza miała trzydzieści siedem lat i wciąż mieszkała z matką. W sumie nie ona jedna, w czasach, kiedy ze zwykłej pensji trudno było uskrobać na własne lokum. Mimo to wydawało mi się, że w pomieszczi-

waniu z matką była żalność. Obejrzałem jej pokój – schludny i w miarę przyjemny, urządzone funkcjonalnie, ale jakby bezosobowy. Przywodził mi na myśl hotelowy numer, wygodny, lecz taki, który opuszcza się bez żalu. Natasza pracowała jako księgowa w niedużym biurze rachunkowym. Ta profesja nawet pasowała do tego, co o kobiecie zmarłej na czarnych skałach mówił w Grecji Pan Pekaes. Natasza średnio odnajdowała się wśród ludzi, za to pewnie świetnie radziła sobie w rzeczywistości porządkowanej przez tabelki z Excela. Winien i ma, przychód i dochód, zyski i straty.

Córka Wiery definitywnie była przypisana do rubryki „strata”, o czym jej matka przypominała niemal w co drugim zdaniu. Wyciągnęła stertę albumów ze zdjęciami. Głównie samej Nataszy, z rzadka tylko pozującej z ojcem albo obojgiem rodziców. I opowiadała, sterowana moimi pytaniami. Że kiedyś Natasza miała narzeczonego, ale skrzywdził ją, naobiecował, że nie opuści aż do śmierci, a potem zostawił dla innej. Zwykły drań, jakich wielu. Od tej pory była uprzedzona do mężczyzn, właściwie wcale nie szukała ich towarzystwa. Że właściwie Natasza nie potrzebowała znajomych obok siebie. Miała tylko przyjaciółkę z pracy, Beatę, poza tym chyba nikogo. Wiera podała mi namiary na nią. Nikt Nataszy nie odwiedzał w domu, prawie nie wychodziła na spotkania na mieście. Tyle Wiera zaobserwowała. Jej córka miała dwie pasje, kino i podróże, głównie podróże. Przez cały czas oszczędzała na wyjazdy, wycieczki, zjeżdżała pół świata. I tak, faktycznie, podróżowała sama. Tylko dwa razy pojechały we dwie, do Chorwacji i Wiednia. Tyle że ona, Wiera, nie była zapaloną podróżniczką, owszem, miło zobaczyć nowe miejsca, pozwiedzać zabytki, ale nie aż tak, by jeździć rok w rok. Natasza jeździła regularnie, czasami nawet dwa, trzy razy w roku, na krótsze i dłuższe wypady. Lubiała to, pewnie nawet kochała. Robiła masę zdjęć, sporządzała nawet zapiski z podróży, taki rodzaj dziennika... Chciała mi te zdjęcia pokazać.

Miałem już dość przeglądania fot, za to zerknąłem do zapisków podróżnych. Unaoczniały systematyczność księgowej. Takie same kilku-

nastokartkowe, tanie zeszyty, na każdy wyjazd jeden. Dokładne dane dotyczące przejazdów, hoteli, miast odwiedzanych podczas podróży. Wyliczanka zaliczonych zabytków. Ceny produktów. Specjały lokalnych kuchni. Od czasu do czasu opis przyrody. Z rzadka sylwetki spotkanych ludzi, co zaciekało mnie najbardziej. Prawdopodobnie Natasza kolejny, podobny zeszyt miała ze sobą w Grecji. Co w nim zapisała? Szansa, że będę miał okazję zerknąć do niego, była mała. Najprawdopodobniej mieli go greccy policjanci. I raczej nie poszli w koszty, by wynająć tłumacza i dowiedzieć się, co w nim jest.

Po trzech godzinach w towarzystwie matki w żalobie wymiękłem. Poprosiłem o listę osób, z którymi Natasza pojechała na ostatnią wyprawę życia. Adresy, telefony, nawet miejsca pracy – było tam wszystko. Komisarz Buc się postarał. I dobrze, dzięki temu będę miał mniej roboty. Pożegnałem się z Wierą, obiecując, że będziemy w kontakcie. Wyraźnie żałowała, że wychodzę, mówiła, że ma jeszcze tyle do opowiedzenia o Nataszy.

W to nie wątpiłem.

Stawiałem, że Wiera mówiła o Nataszy samą prawdę i tylko prawdę, tyle że czasami dzieci mają przed rodzicami tajemnice, niekoniecznie mroczne, które umiejętnie skrywają. Nawet córka połączona z matką nieodciętą pępownią. Chciałem z miejsca zweryfikować informacje podane przez Wierę, więc umówiłem się z Beatą, która na szczęście była i w Krakowie, i w domu.

Beata mieszkała w małej kawalerce w kamienicy przy ulicy Lea. Była jedną z tych pozbawionych wyrazu kobiet, o których po pierwszym spotkaniu nie można powiedzieć absolutnie nic. Zdecydowanie bardziej wyraziste były jej dwa koty, które obchodziły mnie szerokim łukiem, jakby wiedziały, że nie cierpię futrzaków. Potwierdziła, że kolegowwały się, ale przyjaźnią raczej by tego nie nazwała. Często rozmawiały ze sobą, głównie w pracy i o pracy. Jasne, przecież siedziały biurko w biurko. Owszem, czasami wychodziły razem do kina albo do centrum

handlowego. Beata nie wiedziała nic o mężczyznach Nataszy. Z wyjątkiem dawno niebłędnego narzeczonego. Trochę ją drażniło, że Natasza nie wykazuje zainteresowania damsko-męskimi perypetiami, bo ona, Beata, miała z mężczyznami problemy i chętnie by się z nich zwierzała. Nataszy nie mogła, bo natrafiała na mur milczenia. Zresztą, jak stwierdziła Beata, Natasza była milczkiem, właściwie żyła w swoim świecie, w którym, zdaje się, było jej dobrze. Bo nigdy się nie skarżyła, choć nie wyglądała na przesadnie wesołą, ale na smutną też nie. Taki typ, emocjonalnie wyciszona, podsumowała Beata.

A potem zaproponowała mi kawę, kawałek ciasta, które właśnie upiekła, i kieliszek czerwonego wina. Dodała, że we dwoje byłoby przyjemniej spędzić wieczór. Potwierdziłem, ale podziękowałem.

Zdaje się, że trafiłem na długą listę mężczyzn bez serca, którą Beata uzupełniała od lat.

Wizja domowego ciasta przypomniła mi, że od śniadania nic nie jadłem. Chciałem wejść do pierwszej lepszej, byle niespecjalnie drogiej restauracji, ale wpadł mi do głowy inny pomysł. Jako wyrzut sumienia nawiedzę Kielbasów i zażądam porządnej kolacji. I tak zrobiłem, zamiast skręcić na Kazimierz, pojechałem za rzekę.

Dom Kielbasów znajdował się przy krótkiej ulicy, w bok od Płaszowskiej. Mimo że było stąd stosunkowo niedaleko do centrum, okolica wyglądała bardziej na podmiejską niż miejską. Domy i domki, przemieszane stare i nowe, nieliczne sklepy i liczne rudery. Posesja Kielbasów była zadbana, podobnie jak niewielki dom z użytkowym poddaszem. Pojechałem tam w ciemno, licząc, że wieczorem Staszek z rodziną nie będą szlajać się po mieście lub poza nim.

Nie pomyliłem się, bo ledwo nacisnąłem dzwonek, drzwi się otworzyły i stanął w nich Staszek.

- No, Konrad, Konrad, co za niespodzianka! Właż, chłopie, no właż!
- wykrzykiwał, rzuciwszy się do nieporadnego misia.

Planowałem z miejsca opieprzyć Kielbasę za to, że dał moje zamiary Wierze Dworzak, ale uznałem, że byłaby to jawna niekonsekwencja. Skoro zdecydowałem się poprzyglądać bliżej sprawie trzech trupów z Arkoudi, powinienem zaakceptować to, że Staszek nasłał na mnie Wierę. Taką kierowałem się logiką. A może po całym dniu rozmów zwyczajnie nie miałem siły na konfrontację. Bo raczej nie kłótnię. Ze Staszkiem było to niemożliwe.

Pokrzykując radośnie, Staszek zaprowadził mnie do salonu. Jego kobiety nie wykazały równie wielkiego entuzjazmu. Kielbasówna, z nieodłącznym smartfonem w dłoni, burknęła coś, co zabrzmiało jak „bry”, i pomaszzerowała do swojego pokoju. Gośka podstawiła policzek do pocałowania, wyraziła zdziwienie, że mnie widzi bez zapowiedzi.

– A co tam u Pauliny? – spytała.

– Zaczął się rok akademicki, więc siedzi w Gdańsku.

– To co ty właściwie tu robisz?

Doskonałe pytanie. Bo co ja robiłem w Krakowie? Pewnie ścigałem chimery albo umykałem przed czymś, co mnie nie ścigało. Powiedzialem Goście o śledztwie. Skrzywiła się wyraźnie. Zdaje się, że nie byłem jej bohaterem.

Jednak kolację raczyła zrobić. Nawet dobrą. Wiadomo, gość w dom, kielbasa na stół. Siedzieliśmy, rozmawiając raczej o niczym niż o czymś. Gośka szybko skończyła posiłek i oznajmiła, że musi sobie przygotować ubrania na jutro do pracy. Bo niektórzy pracują, rzuciła z przekąsem. Przyszło mi do głowy, że mogłaby porozmawiać z Felicją na temat niepracujących facetów. Choć koniec końców uznałem, że to nie jest najlepszy pomysł.

Wyszedłem do ogrodu zapalić. Staszek podreptał za mną, ciągnąc historię, której wątek dawno straciłem. Nagle zamilkł. Nie mówił nic przez minutę. Jak na niego był to istny bezmiar milczenia.

– I co, będziesz dalej prowadził to śledztwo? – spytał i spojrzał mi prosto w oczy.

– W miarę możliwości – potwierdziłem.

A potem przypomniałem sobie, że przecież nie zrobiłem czegoś, co powinienem zrobić dawno temu. Po raz drugi tego dnia przeleciała mi przez głowę fraza: taki ze mnie kolega.

– Aha, i dzięki za to wtedy w Grecji.

– Nie ma, no nie ma za co. Przecież nie mogłem pozwolić, żeby ten kutas cię rozjechał. – Znowu zamilkł na chwilę, czochrając resztki blond czupryny. Był tego wieczora w nastroju wysoce refleksyjnym. – Ale powiedz, na pewno dokończysz to śledztwo?

– A co ty się tak dopytujesz? – zirytowałem się.

– No bo, no bo wtedy, na tych wakacjach z trupami, jak to ty mówiłeś, no, że cię ta sprawa nie obchodzi, że to nie twój biznes, to pomyślałem, że przez pracę w policji stałeś się taki, no taki – trochę się płatał, jakby nie mógł znaleźć właściwych słów – no, że, nie obraź się, że stałeś się złym człowiekiem. A ty jednak jesteś dobry chłop – dokończył i palnął mnie w ramię.

Przyznam szczerze, że przemyślenia Staszka trochę mnie zadziwiły. Czy byłem dobry? Wystarczyłoby mi, gdybym nie okazał się zły.

Tym razem znalazłem miejsce parkingowe na Miodowej, niemal pod samym hostelem. Było późno, ale nie chciało mi się jeszcze spać. Poszedłem na spacer. W pierwszym odruchu chciałem skręcić z Krakowskiej w prawo, przejść obok mojej byłej kamienicy, ale stwierdziłem, że wypracowywanie zbędnych rytuałów nie ma sensu. Zrobiłem w lewo zwrot, po kilku minutach dotarłem na bulwary nad Wisłą i ruszyłem w stronę mostu Piłsudskiego.

Po bulwarach spacerowało jeszcze sporo ludzi. Mieszczanie z psami, turyści, młodzież szkolna i studencka, roztasowana na ławkach i popijająca alkohole proste. Zwyczajny ciepły jesienny wieczór w Krakowie. Wlokłem się krok za krokiem, myśląc o Nataszy. Wszystko wskazywało, że w jej niespecjalnie długim życiu nie było tajemnic i problemów, które mogłyby doprowadzić do tragicznego finału na czarnych skałach. Żyła samotnie, nie szukała kontaktów z innymi. Raczej nikomu się nie nara-

ziła. Chyba że nawywijała coś w pracy, prowadziła kreatywną księgowość albo sprzedawała jakąś informację o kliencie. Ale jaka miałyby to być kreatywna księgowość w biurze rachunkowym, które, z tego, co mówiła Beata, obsługiwało głównie drobnych przedsiębiorców i indywidualnych klientów. Czyżby więc Nataszy faktycznie przydarzył się nieszcześliwy wypadek, zbiegiem okoliczności w tym samym miejscu i podobnym czasie, co dwóm innym osobom? Tak to wyglądało.

Nie zamierzałem dalej badać życia Nataszy. Nie było czego. Przez chwilę zastanawiałem się, czy córka Wiery była szczęśliwa? Przypomniały mi się słowa Beaty: „ani smutna, ani wesoła”. Na pewno Natasza żyła inaczej niż jej rówieśniczki. Bez wątplenia po mojemu. Czy koniecznie musiało to być gorsze życie? Nie sądziłem.

Dochodziłem do mostu. Zabrzęczała komórka. Przypomniała sobie o mnie Paulina. Nie miałem ochoty z nią rozmawiać. Nie tego wieczoru. Po kilkunastu sekundach telefon zamilkł, a potem piknął, oznajmiając nadejście wiadomości. Postanowiłem, że odczytam ją nazajutrz.

Zszedłem z bulwarów i wspiąłem się po schodach na Krakowską. Idąc w stronę hostelu, zastanawiałem się, jakie właściwie jest moje życie. I czy jestem raczej smutny, czy wesoły? Dobry czy zły?

Dziennik roku pierwszego VIII

22 stycznia 1999

Spotkanie z wicedyrektorem i dwójką moich uczniów miało się odbyć po lekcjach. Spotkanie nazwane przez Jagiełło KONFRONTACJĄ. Miałem tego dnia trzy lekcje z innymi klasami. Byłem całkowicie rozbity i rozkojarzony. Nie mogłem się skupić, chociaż starałem się z całych sił zapamiętać nad emocjami. Złymi emocjami. W końcu się poddałem. Kazałem uczniom samodzielnie rozwiązywać kolejne zadania ze zbioru. Siedziałem za biurkiem i patrzyłem w okno. Nic nie widziałem. Jakby szyby straciły przezroczystość. Przez cały czas

mieliłem w głowie możliwe scenariusze rozmowy. Musiałem się przygotować. Nie wiedziałem jak.

Tego dnia Kowalską i Zawadzkiego zobaczyłem dopiero przed gabinetem wicedyrektor. Powiedzieli „dzień dobry”, potem odwrócili wzrok. Wydawało mi się, że nie wyglądają na zmieszanych czy niepewnych. Tak dobrze udawali? Przez chwilę miałem ochotę wygarnąć im, co myślę o ich pomówieniach, o ich postawie. Niegodnej uczniów. Uznałem jednak, że lepiej będzie to zrobić, jeśli już się zdecyduję, w obecności Jagiełto. Żeby mieć świadka. Żeby znowu czegoś nie przekręcili, nie przekłamali.

W końcu sekretarka poprosiła nas do środka. Jagiełto siedziała za biurkiem. Jak zwykle zabałaganionym, pełnym papierów. My usiedliśmy po drugiej stronie. Uczniowie obok siebie z lewej. Ja z prawej. Uświadomiłem sobie, że ulokowałem się jak najdalej od nich. Jagiełto zaczęła rozmowę, która – jak dla mnie – przypominała przesłuchanie. Pytała uczniów, kiedy, gdzie i w jakich okolicznościach rozmawiali ze mną o korepetycjach. Kowalska powiedziała, zgodnie z prawdą, że rozmawiała ze mną na ten temat po lekcji, jakoś na początku stycznia, w klasie, byliśmy tylko we dwoje. Skłamała, że to ja wyszedłem z propozycją płatnych zajęć uzupełniających, tak to nazwała, mówiła, że dokładnie takich słów użyłem. BREDNIE! Chciałem od razu stanowczo zaprotestować, ale pomyślałem, że nie mogę reagować zbyt gwałtownie. Jagiełto będzie miała mi to za złe. Później mówił Zawadzki. Że odbył ze mną podobną rozmowę jak Kowalska. Też po lekcji i też w cztery oczy. Od początku do końca były to kłamstwa. BEZCZELNE. Wypowiadał je, patrząc na mnie. Zdawało mi się, że lekko się uśmiecha.

Wicedyrektorka spytała, co ja na to. Staralem się mówić spokojnie. Wskazałem, co faktycznie miało miejsce, a co nie. Wypunktowałem ewidentne kłamstwa. I pewnie nie dałbym się ponieść emocjom, gdyby Zawadzki nie burknął: „To mamy problem”. Zerwałem się z krzesła. Pytałem, właściwie krzycząc, czemu kłamię w żywe

oczy, dlaczego mi to robią! Jagiełło uderzyła pięścią w biurko. Kazala mi się opanować, a uczniom wyjść.

Nawet ja dostrzegłem, że Jagiełło jest bardzo zirytowana. Może nawet zła, wściekła. Powiedziała, że nie życzy sobie krzyków w gabinecie. KRZYKÓW! Faktycznie, trochę się uniosłem. Miałem przecież powody. Przeprosiłem. Spytałem, co o tym wszystkim sądzi. Czy ma jakiś pomysł, dlaczego uczniowie pomawiają mnie. Odparła, krzywiąc się, że sprawa wciąż jest dla niej niejasna. Byłem zdziwiony. I przerażony. Nie wytrzymałem, zapytałem wprost, czy myśli, że mogłem zrobić coś takiego. Coś tak bezmiernie głupiego przede wszystkim. Odpowiedziała, że tak naprawdę nie zna zbyt dobrze ani mnie, ani Kowalskiej czy Zawadzkiego. Musi się skonsultować z innymi nauczycielami. I ze szkolną pedagog. Na razie nie jest w stanie rozstrzygnąć sprawy.

Odczułem, że Jagiełło dystansuje się wobec mnie. Nie chce stanąć po mojej stronie. DLACZEGO? Bo byłem młodym nauczycielem? Chodziło o to, że jestem mężczyzną?

Na koniec wicedyrektorka powiedziała, że może będzie potrzebna kolejna rozmowa. KONFRONTACJA... Z udziałem rodziców Kowalskiej i Zawadzkiego. Bo to poważna sprawa i zbyt poważni ludzie, aby ich nie poinformować o tym INCYDENCIE. Powiedziałem, że nie było żadnego INCYDENTU. I wyszedłem.

Obawiam się, że cała ta sprawa nie skończy się dla mnie dobrze.

23 stycznia 1999

W nocy śnił mi się koszmar. Nie pamiętałem jaki. Wiedziałem tylko, że był to koszmar. Obudziłem się spocony i przestraszony. Przez większość soboty nie mogłem dojść do siebie. Snułem się z kąta w kąt. Czułem niepokój. Nie mogłem się na niczym skupić. Mama pytała, co mi jest. Odpowiadałem, że nic. Tylko kręciła głową.

Późnym popołudniem zadzwoniła Jagiełło. Oznajmiła, że umówiła spotkanie z Kowalską i Zawadzkim oraz rodzicami obojga. W poniedziałek o osiemnastej. „Nie muszę dodawać, że pana obowiązkiem jest na nie przyjść”, powiedziała. „Też mam przyjść z mamą?”, wypaliłem bez zastanowienia. To nie czas na żarty, rzuciła zimno. Nie wiem, co mnie podkuśiło, żeby tak powiedzieć.

Faktycznie, NIE BYŁ TO CZAS NA ŻARTY.

Nie mówiąc nic mamie, wyszedłem z domu. Trochę błąkałem się wokół Rynku. Było zimno. Wszedłem do pierwszej lepszej knajpy. Nawet nie spojrzałem na sztyld. Siadłem przy barze. Poprosiłem o setkę wódki. Barman spytał, jakiej? Nie miałem pojęcia. W ogóle nie piłem wódki. Powiedziałem, że obojętnie. Nalał, postawił przede mną. Wychyliłem na raz. Zakrztusiłem się. Poczulem mdłości. Zażawionymi oczami patrzyłem na moje odbicie w lustrze. Było rozmyte.

Nie mogłem być ROZMYTY. Upijanie się było kiepskim rozwiązaniem. Musiałem mieć trzeźwy umysł, jeśli chciałem się wybronić. A chciałem. Podejmę walkę. Tak zdecydowałem. Nie dam się zniszczyć. Czułem, że Jagiełło chce postawić na mnie krzyżyk. Bardziej zależy jej na uczniach. I dobrych relacjach z ich rodzicami. W końcu, kim dla niej byłem? Młodym nauczycielem bez zbytniego doświadczenia. Łatwo z kogoś takiego zrezygnować w razie kłopotów. Najprostsze rozwiązanie.

Nie dam się!!!

Wracając do domu, zdecydowałem, że opowiem wszystko mamie. Należy jej się to. Szczerość. Prawda. Niepotrzebnie ukrywałem przed nią moją skomplikowaną sytuację. Komplikującą się z dnia na dzień. Ale przecież miałem dobre intencje. Chciałem chronić mamę. I tak ma przecież nielekko w życiu.

Usiadłem obok mamy na kanapie. Wbiłem wzrok w ścianę. Było mi wstyd. Zaczęłam opowiadać. Od początku. O kłopotach z moją klasą. O aferze z Kowalską i Zawadzkim. Ich kłamstwach i pomó-

wieniach. Mama kiwała głową i mówiła cicho: „Wiedziałam, dobrze wiedziałam, że coś jest nie tak”. Skończyłem i przeprosiłem, że ukrywałem przed nią prawdę. „Wiem, że chciałeś dobrze”, powiedziała. Przyciągnęła mnie do siebie. Położyłem głowę na jej kolanach. Mama głąskała mnie po włosach. Koita. Dotykam i głosem. „Synku, wpadłeś w gniazdo szerszeni, boli, ale czasami musi boleć. Wiem, że sobie poradzisz, tak jak zawsze sobie radziliśmy i jak ja sobie radziłam. W końcu jesteś moim synkiem”.

25 stycznia 1999

Poniedziałkowe lekcje nie tyle przeprowadziłem, ile raczej przecze-kałem. Również tę z II mat.-fiz. Dyskretnie obserwowałem Kowalską i Zawadzkiego. Zachowywali się normalnie. Wyglądali na spokojnych i wyluzowanych. Jakby nic się nie stało! Jakby tego dnia wieczorem nie miało dojść do żadnej przykrej rozmowy! Bo że tak będzie wyglądała kolejna KONFRONTACJA, byłem pewien.

Po lekcjach nie chcieli mi się wracać do domu. Na obiad poszedłem do pobliskiego baru mlecznego. Zjadłem kotlet, który smakował jak zmielona tektura. Przynajmniej ziemniaki i buraki były dobre. Nie chcieli mi się jeść, ale zjadłem z rozsądku. Musiałem mieć siłę, by WALCZYĆ. O siebie i swoją godność. GODNOŚĆ NAUCZYCIELA.

Przespacerowałem się, żeby odnaleźć w sobie spokój. Trudno powiedzieć, czy mi się to udało. Wróciłem do szkoły i zamknąłem się w pustej klasie. Jeszcze raz sprawdziłem informacje o rodzicach Kowalskiej i Zawadzkiego. Rodzice dziewczyny prowadzili rodzinną firmę transportową. Nie pamiętałem ich z wywiadówek, nawet nie byłem w stanie sobie przypomnieć, czy pojawiła się na nich matka, czy ojciec. Za to ojca Zawadzkiego kojarzyłem jak najbardziej. Pan adwokat. Stawiałem, że to on przyjdzie z synem na spotkanie.

Wicedyrektorka sprawiała wrażenie spiętej. Również uczniowie nie byli już tacy spokojni jak podczas lekcji. Pewnie tak wpływała na nich obecność rodziców. Jak przewidywałem, przyszli adwokat Zawadzki oraz matka Kowalskiej. Dopiero kiedy ją zobaczyłem, przypomniałem sobie, że to ona chodziła na wywiady. Ale chyba ze mną nie rozmawiała, pewnie nawet nic na wywiadówkach nie mówiła. Też sprawiała wrażenie zmieszanej. W odróżnieniu od prawnika, który z miejsca zaczął narzekać, że nie ma czasu, a musi się stawiać na bezsensownych spotkaniach, że ma dosyć problemów z klasą syna. „I z panem”, dodał, patrząc na mnie. Nie skomentowałem. Nie chciałem zaczynać rozmowy od scysji. O dziwo Jagiełło też nie skomentowała słów Zawadzkiego. Tylko chrząknęła i poprosiła uczniów i mnie, w takiej właśnie kolejności, o przedstawienie sytuacji. Powtórzyła się niemal słowo w słowo rozmowa z piątku. Tyle że tym razem byłem opanowany. Nie krzychałem. Nawet nie podniosłem głosu. Przedstawiliśmy nasze stanowiska. Zapadła cisza.

Zawadzki zaczął przemowę, że nie wyobraża sobie, bym dalej był wychowawcą w klasie jego syna, w ogóle że bym był nauczycielem w tej szkole, uważanej za wiodącą w mieście. Nie po takiej afere, dodał na koniec. Matka Kowalskiej tylko pokiwała głową. „Na razie nie ma żadnej afery”, skomentowała wicedyrektorka. Myślałem, że powie coś jeszcze. Ale nie. Musiałem się bronić. Starłem się tak dobierać argumenty, aby trafiły do ojca Zawadzkiego, a jednocześnie nie zaogniły sprawy. Powiedziałem, że być może Kowalska z Zawadzkim źle zrozumieli moje słowa. Faktycznie napominałem uczniów, że powinni bardziej przykładać się do matematyki, ale z mojej strony na pewno nie padły żadne propozycje płatnych korepetycji. To nieetyczne, zakończyłem. „Dziwne, że dwoje uczniów źle zrozumięło”, adwokat nie wyglądał na przekonanego. Spróbowałem z innej strony. Wspomniałem, że wcześniej już uczyłem na zastępstwach w innych szkołach i nigdy nie było na mnie skarg.

Poza tym uczniowie z innych klas naszej szkoły, w których ucze, nie zgłaszali przecież żadnych problemów, choć niektórym też grożą słabe oceny. Gdybym chciał dorabiać korepetycjami, to nie ograniczałbym się tylko do dwójki uczniów, bo to nieduże pieniądze. „Może nie ma tam uczniów, którzy mają bogatych rodziców”, wycedził ojciec Zawadzkiego. Zawrzało we mnie. Opanowałem się, chociaż z trudem. „Nie ma żadnych dowodów, że składałem propozycje korepetycji”, powiedziałem. Prawnik prychnął, a potem zwrócił się do Jagiełło z pytaniem, co zamierza z tym wszystkim zrobić. Wicedyrektorka westchnęła. Po raz kolejny. „W tym momencie sprawa jest w toku – następne westchnięcie – zwołam radę pedagogiczną, to delikatna sprawa, tym bardziej że do tej pory nie miałam – spojrzała na mnie – do pana większych zastrzeżeń”. Czyżby jednak Jagiełło miała stanąć po mojej stronie? „Czyli nie zamierza pani dyrektor zwolnić tego – ojciec Zawadzkiego jakby się zawahał – tego naciągacza?”. „Panie Zawadzki, proszę”, wicedyrektorka sprawiała wrażenie zirytowanej. „Na razie nie ma mowy o żadnym zwolnieniu”. Adwokat już się rwał do komentarza, ale powstrzymała go gestem dłoni. „To nie takie proste”. Czyli jednak Jagiełło lawirowała. Nie chciała zdecydowanie stanąć po niczyjej stronie. Poczulem, że jestem sam. Że nikt mi nie pomoże.

Tego, co stało się po chwili, nie pojąłem i wciąż nie pojmuję. Nie chcę o tym myśleć. Czułem się tak, jakbym zwariował, jakbym odkleił się od rzeczywistości.

Moja uczennica opuściła głowę tak, że długie włosy zakryły jej twarz. Cichym głosem powiedziała jedno zdanie.

Tylko jedno.

Pociemniało mi w oczach. Myślałem, że zemdleję. Nie zemdlałem.

Rozpętało się prawdziwe piekło.

Rozdział trzeci

Grzeszki i grzechy

8 października 2014, środa, Kraków

Nigdy nie lubiłem rozmawiać przez telefon, bo nie widziałem wtedy twarzy rozmówcy. A już szczególnie mierziło mnie telefonowanie do kobiet mojego życia. Choćby nawet przelotnych. Do Pauliny jednak zadzwoniłem z samego rana z nadzieją, że nie poszła jeszcze na zajęcia.

– Proszę, proszę, Rowicki raczył się odezwać. – W jej głosie czuć było wczesnojesienny przymrozek.

– Co tam u ciebie? Wszystko w porządku? – Nie zamierzałem się tłumaczyć, czemu wczoraj nie odebrałem telefonu.

– Co u mnie, raczej wiesz, bo ci mówiłam o moich planach. Mnie interesuje, co z tobą? Nawaliłeś się wczoraj jak taczanka czy co?

Westchnąłem. Mimo że nie lubię komplikacji, sam sobie ściągam problemy na głowę. Nieodmiennie. Dotarło do mnie, że decydując się na wyjazd do Krakowa, nikomu o tym nie powiedziałem. Ani Felicji, ani Paulinie. Musiałem to naprawić, choć podejrzewałem, co mnie czeka.

– W Krakowie jestem.

– Niby że gdzie!?

– W mieście, w którym jest taka duża budowla, nazywają ją Wawelem.

– Nie wykręcisz się tanimi żartami, Rowicki.

Jeśli Paulina konsekwentnie mówiła do mnie po nazwisku, nie było dobrze.

– Nie mówiłeś, że się wybierasz do Kraka. Co tam robisz? – drążyła.

– Postanowiłem przyjrzeć się tej sprawie greckich trupów, bo...

– Ty?! – wbiła mi się w zdanie. – Przecież jeszcze niedawno w ogóle nie chciałeś mieć z tym do czynienia. Opętało cię?

– Zmieniłem zdanie. To się zdarza. Nawet mężczyznom w moim wieku.

– Weź przestań! Po co ci to? Masz to zostawić. W weekend widzę cię w Gdańsku.

Znowu westchnąłem. Męczyła mnie ta rozmowa. I męczyła Paulina. Nie był to dobry znak.

– Zobaczę, poumawiałem się już z ludźmi – skłamałem.

– Widzę cię w weekend albo nie chcę cię widzieć wcale.

Rozłączyła się. Ładnie, tak szybko doszliśmy do etapu ultimatów.

Poszedłem na ulicę Szeroką i rozłożyłem się z miniaturowym, przenośnym biurkiem w ogródku jednej z licznych tam knajp. W środowe przedpołudnie było pusto jak na porannej mszy. Po ulicy, która przypominała plac, snuli się nieliczni autochtoni. Przymaszerowała też wycieczka nastoletnich Izraelitów. W większości sprawiali wrażenie znudzonych i rozleniwionych. Zawodową czujność zachowywał tylko przydzielony im ochroniarz, zwałisty typ o ponurym spojrzeniu. Biada temu, kto w jego obecności wzniesie antysemityczne hasło.

U młodej kelnerki, pewnie studentki, zamówiłem podwójne espresso i mineralną. Nie zamierzałem kulturować postchandlerowskich behawiorów prywatnego detektywa i pić alkoholu od rana. Choć przez moment miałem na to ochotę. Położyłem na stoliku listę uczestników wyjazdu do Arkoudi i telefon. Upiłem łyk kawy, niezłej, i spojrziałem w niebo. Wciąż było ciepło, ale nad Krakowem zaległy ciemne chmury. Powietrze było jakby przydymione, rozmazane jak na sepiowej fotografii. Czyżby zbliżał się koniec złotej polskiej jesieni? Właściwie było mi to obojętne. Obserwacje meteorologiczne służyły jedynie temu, by odwlec moment sięgnięcia po komórkę. Skoro jednak sam włożyłem

sobie na barki ten krzyż, musiałem brnąć w śledztwo, z którego zapewne nic nie wyniknie. Do klanu bezrefleksyjnych optymistów nigdy nie należałem.

Z góry założyłem, że do niektórych osób z listy w ogóle nie mam po co dzwonić. Nie sądziłem, żeby Pan Pekaes czy weseli chłopcy z basenu, z którymi gadałem w Grecji, mieli jeszcze cokolwiek ciekawego do powiedzenia. Powoli nabrałem w płuca powietrza i jeszcze wolniej wypuściłem, jakbym szykował się do długiego biegu. Zacząłem wybierać kolejne numery. Część z odpytywanych przeze mnie ludzi w ogóle nie chciała ze mną rozmawiać. Co mnie to obchodzi, zawracanie głowy, nie moja sprawa, takie słyszałem komentarze. Nawet się im zbytnio nie dziwiłem. „Ktoś zginął, oni przeżyli. A karawaniarz jedzie dalej”, jak zwykła komentować Felicja. Pozostali wykazywali szczątkową empatię, wyrażali żal. Taka tragedia, taki strach, bo wie pan, ciągle mam kłopoty z zasypianiem. Poza tym nie mieli mi do przekazania żadnych przydatnych informacji.

Na liście zostały mi tylko dwa nieodhaczone nazwiska. Te, które interesowały mnie najbardziej. Innych uczestników wyjazdu do Arkoudi sprawdzałem jedynie dla spokoju sumienia, żeby nie wyrzucać sobie, że coś zaniedbałem czy odpuściłem. Dwa pozostałe nazwiska były moimi priorytetami. I szansą na jakikolwiek trop, który mógłbym podjąć. Zapaliłem papierosa i po raz kolejny tego dnia sięgnąłem po telefon.

Najpierw wybrałem numer kobiety, która wyartykułowała najbardziej żalosne i rozpaczliwe „wypierdalać”, jakie kiedykolwiek usłyszałem. Helena Zawadzka, wdowa po Filipie. Nie odebrała. Postanowiłem, że spróbuję złapać ją w domu. Może jako tako przepracowała stratę i tym razem nie zatrzaśnie mi drzwi przed nosem. Przecież już raz ze mną dłużej rozmawiała. Następnym był mąż Kaliny Kowalskiej. Zdziwiło mnie nieco, że zmarła pozostała przy panińskim nazwisku. Jej mąż nazywał się Zbigniew Skarzyński. Nie zdążyłem porozmawiać z nim w Grecji. Jak się nazywa, dowiedziałem się z notatek Wiery Dworzak, która wcześniej obdzwoniła wszystkich z listy. Dlaczego Kalina nie przy-

jęła nazwiska po mężu? Może wynikało to z pobudek ideologicznych. Feminizmy i gendery, temu podobne sprawy. W końcu pan Zbigniew miał całkiem przyjemne nazwisko. Odebrał od razu. Kiedy przedstawiłem mu sprawę, nie wykazał przesadnego entuzjazmu. Mimo to zgodził się na spotkanie wieczorem. „Wolę mieć to wszystko jak najszybciej z głowy”, podsumował. Podał adres na Woli Justowskiej. Proszę, proszę, Wola Justowska, pomyślałem z podziwem, choć bez zazdrości.

Kelnerka zdawała się znudzona donoszeniem kolejnych kaw. Próbowала mnie namówić najpierw na późne śniadanie, a później na wczesny lunch, ale odmawiałem. Nie byłem głodny. I nie rokowałem jako donator hojnego napiwku. Chciałem zamknąć poniedziałkową sesję telefoniczną. Wybrałem numer Felicji. Brak odzewu. Może jeszcze wracała z wyprawy w mazurskie knieje i ostępy. No i, rzecz jasna, jeziora. Nie pamiętałem, kiedy dokładnie miała wrócić do Ciechanowa. Oto, jakim wnukiem byłem. Przekreśliłem do Lewandowskiego, by spytać, czy już miał okazję pogadać z komisarzem Bucem. Chyba go zdenerwowałem. Burknął, że nie, a jak będzie coś miał, da mi znać. Zaczynałem wątpić w jego pomoc, postanowiłem więc wprowadzić w życie plan B. Dotyczący Koseły. Nieco ryzykowny i bez wątpienia wredny. Ale mówi się trudno i robi się prywatnych wrogów dalej.

Do spotkania ze Skarżyńskim miałem jeszcze dużo czasu. Spokojnie mogłem pójść inną ścieżką mojego wątpliwego śledztwa. Wyciągnąłem z torby laptop i odpaliłem wi-fi, które na Szerokiej hulało bez problemu. Poszukałem w necie informacji na temat biura turystycznego, które zorganizowało greckie wywczasy ze zbrodnią w pakiecie. Dzięki której, oczywiście przez przypadek-wypadek, zyskali wątpliwą reklamę. Zeus Tour. Jaki nieszczęśnik wymyśla te nazwy? Przeglądałem ich stronę, jak na biuro turystyczne nawet przejrzystą. Rodzima firma, nie jakiś potentat, ale zdaje się, solidny średniak. Specjalizowali się w wycieczkach i pobytkach na południu Europy. Głównie Grecja i Chorwacja. Trochę ofert było na Włochy i Hiszpanię. Ceny mieli przystępne, a obsługę,

o czym przekonałem się w Arkoudi, na akceptowalnym poziomie. Zbudowali sporą sieć biur, szczególnie na południu kraju, z główną siedzibą w Katowicach. Zadzwoiłem do ich placówki w Krakowie. Odebrało dziewczę o zmysłowym głosie, które od pierwszego zdania wyrażało chęć pomocy. Ale tylko do momentu, kiedy wspomniałem o trupach. Wtedy zaczęła się wić, że o niczym nie wie, że nie jest przeszkolona w obsłudze greckiej destynacji, a nawet gdyby coś wiedziała, nie może na temat tragicznie zakończonego pobytu w Arkoudi z kimkolwiek rozmawiać. I podała mi namiary na rzeczownika prasowego firmy, który urzędował na Śląsku. Od razu do niego zadzwoniłem. Poważny głos poprosił o pozostawienie wiadomości. Tak uczyniłem. A potem dla pewności wysłałem jeszcze do rzeczownika e-mail.

Powoli przebijałem się w kierunku Woli Justowskiej i z każdą minutą traciłem cierpliwość. Przez lata mieszkania w Ciechanowie odzwyczaiłem się o korków. Zbliżała się osiemnasta, teoretycznie powinno być już po szczycie ruchu, ale sznur aut zdawał się nie mieć końca. Trudno się dziwić, przez Wolę Justowską prowadziła jedna z dróg na lotnisko w Balicach.

Dawno nie byłem w tej okolicy, więc podczas jazdy rozglądałem się na prawo i lewo. Po jednej z najbardziej wypasionych dzielnic w mieście. Lokum tych, którym w życiu zdecydowanie się powiodło. Obszerne działki, wille za grube miliony. Istny raj dla architektów z ambicjami, projektantów ogrodów i speców od kładzenia kostki. Niekoniecznie z Polbruku. Reagowałem alergicznie na głos kobiety z GPS-a, dlatego trochę pobłądziłem, jednak udało mi się trafić przed posesję Skarżyńskiego, która zamykała krótką ulicę.

Wysiadłem z miśka i zapaliłem. Nie chciałem, żeby podczas rozmowy nękał mnie głód nikotynowy. Patrzyłem na dom Skarżyńskiego. Właściwie jedynie na dach, bo więcej nie byłem w stanie zobaczyć. Posesję otaczał wysoki na więcej niż dwa metry kamienny mur. Przy automatycznie otwieranej bramie tkwiła kamera monitoringu. Wyglą-

dało to trochę jak twierdza, choć zważywszy na okolicę, takie zabezpieczenia nie zakrawały na zbytnią ekstrawagancję. Wdeptałem niedopałek w dziwne kamyczki, którymi był wysypany podjazd. Nie zdziwiłbym się, gdyby się okazało, że zostały wyciągnięte z odmętów Amazonki albo innej równie egzotycznej rzeki. Pogadałem ze ścianą, to znaczy z domofonem. Byłem oczekiwany. Pewnie nie z otwartymi ramionami.

Idąc krętą alejką, przyglądałem się willi. Była to jedna z tych jednokondygnacyjnych budowli, która sprawia wrażenie ciągu chaotycznie połączonych przybudówek, ale pewnie kosztowała krocie i miała na oko ze dwieście metrów powierzchni użytkowej. Jak nie więcej. Otworzyła mi wiotka brunetka, która wyglądała tak, jakby wylądowała w Woli Justowskiej prosto z wybiegu w Mediolanie. Nie spieszyła się z prezentacją, poprowadziła mnie od razu do salonu, gdzie czekał na mnie Skarżyński.

Był zadbanym facetem, który równie dobrze mógł mieć zarówno czterdzieści, jak i pięćdziesiąt lat. Szpakowaty, niewysoki, z figurą świadczącą o latach trudu i znoju na siłowni. Uścisk dłoni miał krzepki. Solidny facet na trudne czasy.

Złożyłem kondolencje, opowiedziałem pokrótce, kim jestem i z czym przybywam. Skarżyński przez chwilę w zamyśleniu gładził brodę, jakby sprawdzał, czy sprzedawca ekskluzywnych maszynek do golenia go nie oszukał.

– I na pewno nie jest pan dziennikarzem? – spytał. – Ma pan legitymację?

– W samochodzie, mogę przynieść, jeśli to konieczne – zablefowałem. – Ale już tę sprawę prowadziłem w Grecji, pewnie pan słyszał.

– Coś obilo mi się o uszy. Dobrze, ale jeśli się okaże, że pan kłamie, to... – Nie dokończył, nie musiał.

Nie lubiłem, kiedy ktoś mi groził. Szczególnie na początku znajomości. Powstrzymałem się jednak od komentarza.

Do salonu wdefilowała brunetka, niosąc kawę, o którą nie prosiłem, i butelkę jakiegoś fikuśnego i zapewne drogiego lyskacza, o którego nie

prosiłem tym bardziej. Czym chata bogata.

– Tina, proszę, zostaw nas samych.

Tina? Z tym Mediolanem chyba faktycznie było coś na rzeczy.

– Pomoc domowa? – spytałem tonem, który sugerował absolutny brak zainteresowania.

– Powiedzmy – burknął i zaraz zmienił temat. – Mówiąc szczerze, wciąż nie rozumiem, po co pan chciał się ze mną spotkać.

– Chciałem porozmawiać o pana żonie.

Wzruszył ramionami.

– To dla mnie ciężka sprawa, straszna tragedia. Kalina zatrula się nie wiadomo czym i zmarła. Tyle.

Wbiłem w Skarżyńskiego wzrok. Nie wyglądał na złamanego żalobą wdowca.

– Jest pan pewien, że to było przypadkowe zatrucie?

– Tak mi powiedział policjant, który prowadzi sprawę, komisarz jakiś tam – odparł.

– A co wykazała sekcja?

– Sekcja? Jeszcze nie wiem.

– Jak to? – zdziwiłem się. – Ale chyba przeprowadzono sekcję?

– Tak, jeszcze w Grecji. Ten komisarz miał mnie powiadomić o wynikach, ale ostatnio nie dzwonił.

Mogłem zrozumieć, że komisarz Buc nie palił się do podejmowania nazbyt licznych czynności służbowych, ale brak zainteresowania sprawą ze strony męża zmarłej kobiety zdawał mi się podejrzany. Jak ty się nie interesujesz, ja się zainteresuję. Postanowiłem, że jutro koniecznie muszę porozmawiać z Kosełą, jeśli tylko jest w Krakowie.

– Dobrze, zostawmy to – powiedziałem. – Czym się zajmowała pana zmarła żona?

– Była radcą prawnym, z koleżanką prowadziły kancelarię.

– Czy praca pani Kaliny mogła przysporzyć jej jakichś wrogów? Skonfliktować z kimś?

- Kalinę? Jeśli już, to na pewno nie z powodu pracy. - Zamilkł, znowu gładził brodę. Nerwowo tik? Próbował łącać? - Powiem panu szczerze, kancelarię właściwie prowadziła koleżanka żony. Kalina... Kalinę głównie interesowały wyjazdy do spa. Czasami odnosiłem wrażenie, że jej życiowym celem było zaliczenie wszystkich tego rodzaju przybytków w kraju i większości za granicą.

Wszystko wskazywało, że Kalina Kowalska i Zbigniew Skarżyński nie zdołali stworzyć wzorowego stadła małżeńskiego. Na razie nie zamierzałem dociekać, dlaczego tak się stało. Nie chciałem spłoszyć delikwenta. Poprosiłem o kontakt do współpracownicy zmarłej. Wstał, z szuflady komody, która wyglądała na antyk i pewnie takowym była, wyjął wizytówkę. Nie kłopotał się podawaniem kartonika, rzucił na szklany blat ławy. Zdawało mi się, że moja obecność coraz bardziej go irytowała.

- Jeszcze tylko jedna kwestia. Z tego, co widzę - rozejrzałem się dookoła z miną głupiego Jasia, który trafił do krainy dziwów - te greckie wywczasy były mocno poniżej państwa standardu życia.

Skarżyński prychnął. Można to było uznać za śmiech.

- To był pomysł Kaliny. Wygrała ten pobyt w jakiejś promocji czy konkursie. Nie pamiętam. Nie paliłem się do wyjazdu, bo już tyle razy byłem w Grecji... A jak się jeszcze dowiedziała, że ten cały Zawadzki też tam będzie, nie dawała mi żyć. W końcu się zgodziłem. Na jej nieszczerście. I moje.

Czy mówił szczerze? Niekoniecznie. Mógł odgrywać dramę na mój użytek.

- Wiedział pan, że oni się znali z liceum?

- Oczywiście, nawet byli parą przez jakiś czas. Wie pan, z żoną nie mieliśmy przed sobą tajemnic.

- I nie przeszkadzało panu, że oni tam będą razem? Wie pan, stara miłość nie rdzewieje.

Popatrzył na mnie uważnie, znowu pogładził brodę.

- On tam był z żoną. Poza tym, jak pan zauważył, stare dzieje, a ja nie zwykłem patrzeć w przeszłość, tylko w przyszłość.

Obecność Tiny zdawała się potwierdzać jego słowa.

– Nie zauważył pan w Grecji czegoś podejrzanego? Może ktoś się kręcił koło pana żony albo były jakieś nietypowe zdarzenia?

– Wyjazd jak wyjazd, nic specjalnego się nie działo. Oczywiście – zaraz się zreflektował – oprócz tych zgonów. – Na chwilę zamilkł, jakby rozważał, czy sprzedać mi kolejną informację. – Ale nie byłem przez cały czas z Kaliną. Trochę jeździłem sam po Peloponezie. Co nie zmienia tego, że żona nie wspominała o żadnych niebezpiecznych czy dziwnych sytuacjach.

– A czemu jeździł pan sam?

– Nie wiem, czemu interesują pana takie rzeczy. – Chciałem mu objaśnić, że nigdy nie wiadomo, co się może przydać w śledztwie, ale nie dał mi dojść do słowa. – Ale powiem. Nudziło mnie przesiadywanie nad basenem w obskurnym hotelu. I jeszcze te greckie schorowane kobiety. Nie było w tym miejscu przesadnie miło. A Kalina czasami wolała siedzieć z Zawadzkiem i popijać, zamiast jechać ze mną na wycieczkę. Ten Zawadzki to straszny pijus był.

Akurat o miłości Zawadzkiego do alkoholu już wiedziałem.

– Czyli nie zawsze miał pan żonę na oku? – wolałem się upewnić.

– Kalina jak to Kalina, zaraz tam nowe koleżaneczki zapoznała. No i poza tym, jak już mówiłem, przesiadywali z tym całym Zawadzkiem i wspominali legendy z liceum. Generalnie nuda. Przynajmniej dla mnie.

– Jakie legendy?

– Nie mam bladego pojęcia. Nie słuchałem, nie interesowało mnie to.

Zdaje się, że Skarżyński w ogóle przesadnie nie interesował się żoną.

– Jeszcze coś, bo...?

Niezbyt zasmucony wdowiec wymownie spojrział na zegarek, który, jak mi się zdawało, wart był tyle, ile mój samochód. Albo niewiele mniej.

Było późno, miałem dosyć kręcenia się po mieście. Postanowiłem pomieszkać trochę w hostelowym pokoju. Położyłem się do łóżka, kosiłem przez jakiś czas na zbyt miękkim materacu i myślałem o wciąż świeżym wdowcu.

Bez wątpienia Skarżyński nie był zdruzgotany śmiercią żony. Nie wydawało mi się to dziwne czy niepokojące. Widziałem wiele małżeństw, które po latach trzymało razem jedynie przyzwyczajenie. Albo dzieci lub pieniądze. Właśnie... Wszystko wskazywało, że Kalinie i Skarżyńskiemu nie brakowało kasy. Tylko czyje właściwie były to pieniądze? Bardziej jej czy jego? Będę musiał to sprawdzić. Do tego wyjazd do byle jakiego hotelu w Grecji. Hotel Brati miał przecież ledwie trzy gwiazdki, a z tego, co widziałem na miejscu, zasługiwał najwyżej na dwie. Dla takich ludzi to jak jechać na wakacje pod namiot. I jeszcze jedno, być może najistotniejsze. Odniosłem wrażenie, że Skarżyński kłamie albo coś zataja. Dla mnie sprawiał wrażenie śliskiego. Może chodziło o Tinę. Jednakże wiotką brunetkę mógł spokojnie przede mną ukryć. Intuicja podpowiadała mi, że gość jest podejrzany. Zwykłem słuchać intuicji, choćby nawet szeptała cicho i niezbyt zrozumiale. Albo bredziła niczym nacpana Pytia.

Gdybym wciąż był gliniarzem, sprawa byłaby prosta. Wrzuciłbym Skarżyńskiego na bęben i wszystko stałoby się jasne. Albo i nie. Ale będąc psem, na pewno nie zajmowałbym się teraz trzema niejasnymi zgonami w Grecji. Co by było, gdyby... Miałem świadomość, że tego rodzaju rozważania nie mają sensu. Najmniejszego.

Musiałem poszukać pomocy. Sprawdziłem godzinę na komórce, dobrze po dwudziestej trzeciej. Zdecydowanie nie był to dobry czas na telefon do Kozieja. Nawet jeśli nie spał, pewnie był zajęty pielęgnowaniem rodzinnych więzi. A przeszkodzić mu w tym, to jak podpisać na siebie wyrok. Jutro, wszystko jutro, wymruczałem. Zасыpiając, w ostatnim przeblysku myśli uświadomiłem sobie, że tego dnia nawet przez chwilę nie myślałem o spacerze pod moją dawną kamienicę.

9 października 2014, czwartek, Kraków i Katowice

Dzień zaczął się podobnie jak poprzedni. Od obmierzłego mi korzystania z telefonu. Najpierw Paulina przysłała mi esemes. Krótki i jakże znaczący. By nie rzec, złowieszczy. „?”. Tylko tyle. Nie lubię idiotikonów, ale wysłałem roześmianą buźkę. Zwyczajnie nie miałem pomysłu na inną odpowiedź. Później, wyciągając mnie spod prysznic, zaczęła się dobić babuleńka.

– Chłopczyku, będziesz dziś na obiedzie?

– Nie mów do mnie „chłopczyku” – z rezygnacją wypowiedziałem jedno z najczęściej padających w naszych konwersacjach zdań.

– Oj tam, oj tam. To podjedziesz?

– Będzie trudno.

– Dlaczego? – Zdziwiła się szczerze. – Nie mów tylko, że nie chce ci się ruszyć szanownych czterech liter z mieszkania.

– Pojechałem do Krakowa.

Zapadła cisza. Słyszałem jedynie świszczący oddech Felicji, a zaraz szczęknięcie zapalniczki. Milczenie trochę mi doskwierało, zacząłem je nieudolnie zagadywać:

– I zostanę tutaj jeszcze przez kilka dni. Chcę się przyjrzeć sprawie trupów z Grecji. – Starowinka raz i drugi głośno wypuściła dym. – Pomyślałem, że może w ten sposób sprawdzę, czy dam radę pracować jako prywatny detektyw. Zawsze to jakaś praca. Mniej więcej konkretna. Przecież chciałaś, żebym się czymś wreszcie zajął.

Plotłem, dziwiąc się samemu sobie. Czy powiedziałem tak, bo rzeczywiście chcę zostać detektywem? W Grecji traktowałem ten pomysł jako rodzaj żartu. Niespecjalnie śmiesznego. Ale teraz? Prawdopodobnie zwodziłem Felicję, jednocześnie mając samego siebie. Konrad Rowicki, prywatny detektyw, zdrady małżeńskie, zaginięcia i inne dary losu? Wolne żarty!

– Może i chciałam, byś, chłopczyku, znalazł sobie zajęcie. – Felicji wróciła mowa. – Ale nie takie. I na pewno nie tam.

– W Ciechanowie jako detektyw się nie utrzymam. – Brnąłem w rozwijanie wątpliwej wizji mojej przyszłości. Zawodowej i nie tylko.

– Porozmawiamy, jak wrócisz.

Babuleńka uratowała mnie przed wygadywaniem kolejnych bzdur. Odetchnąłem z ulgą. Zeszliśmy na neutralne tematy. Wypytałem Felicję, jak tam wycieczka. Powiedziała, że było bosko, przyroda w jesiennym pięknie, zabytki solidne i godne oraz nieliczne, na szczęście, elementy powszechnej dewocji. Babuleńka skomentowała, że woda ze świętego źródelka w Gietrzwałdzie smakowała gorzej niż niegazowana Kropla Beskidu. Spytała, kiedy zamierzam wrócić. Odrzekłem z pełnym przekonaniem, że kiedyś, niedługo. Felicja powstrzymała się przed komentarzem.

Kiedyś, niedługo, bardzo wygodne określenia.

Koziej nie odbierał. Prawdopodobnie zbierał ślady na miejscu zdarzenia w rodzaju włamania do domku w ogródkach działkowych. Straty: czajnik elektryczny, ocynkowane wiadro i przede wszystkim kilka butelek domowej nalewki. I zero szans na odzyskanie fantów. Wysłałem mu esemes, prosząc, by wrzucił na bęben Kowalską i Skarżyńskiego, a potem zadzwonił do mnie w wolnej chwili.

Nie byłem głodny, ale z rozsądku postanowiłem coś przegryźć. Poszedłem na Żyda na zapiekankę, smakołyk, z którego to miejsce słynęło. Proste, ale dobre żarcie na zagrychę. Była chyba nawet lepsza niż kiedyś, lata temu. Albo może pamięć miałem już nie najlepszą.

Zapaliłem, wpatrzyłem się w zasnułe chmurami niebo. Zanościło się na deszcz. Przemknęło mi przez głowę, żeby rzucić całe to dochodzenie do prawdy, której być może nikt nie potrzebował, wrócić do Ciechanowa i żyć jak zwykły, szary obywatel. Tylko czy rzeczywiście tego chciałem? Nie byłem pewien. Zresztą jak ostatnio niczego.

Postawiłem na działanie, pocieszając się trywialną frazą: „co ma być, to będzie”. Namierzyłem komisarza Kosełę, choć nie bez trudu, bo dyżurny w komendzie miejskiej długo dociekał, kim jestem i czego chcę od szanownego oficera. I dlaczego akurat od niego. Trochę naściemniałem, skutecznie. Wreszcie połączył mnie z komisarzem Bucem. Nie zdziwiło mnie, że od początku jest na nie. Nie ma czasu, zarobiony jest. Skusiłem go jednak, mówiąc, że mam kluczową informację w sprawie zgonów w Arkoudi. Właściwie nawet specjalnie nie nałgałem.

Z trudem przebiłem się przez Aleje i Karmelićką na Siemiradzkiego. Nie miałem pojęcia, w jaki magiczny sposób potrafiłem lata temu jeździć po tym mieście, zachowując spokój i pozytywne nastawienie wobec innych użytkowników ulic. Może ruch był mniejszy. Zaparkowałem byle jak przed budynkiem komendy, wychodząc z założenia, że pod latarnią najciemniej. Komisarz Buc czekał na mnie, stojąc na chodniku. Ubrany był w czarną skórzaną kurtkę i wąskie dżinsy. Na czubku jego głowy tkwiły okulary przeciwsłoneczne, choć dziś na słońce raczej nie było szans. Komisarz jak z obrazka. Raczej zagranicznego niż rodzimego. Miałem nadzieję, że zaprosi mnie do środka, do miejsca, w którym niegdyś spędziłem sporo czasu. Nie takiego znowu najgorszego. Koseła uparcie tkwił na chodniku.

Wyciągnąłem rękę, uściśnął. Twarz miał nieruchomą. Może używał botoksu? Świat się zmieniał, to czemu nie mieli się zmieniać policjanci?

– Nie podoba mi się, że się pan kręci przy tej sprawie – wypalił bez wstępów. Jego zdaniem pewnie zbędnych. – Czemu właściwie pan to robi?

– W imię prawdy. Aha, i żeby ludziom żyło się bezpieczniej. Chronić i bronić. Czy jakoś tak... – Uśmiechnąłem się szeroko.

– Nie mam czasu się z panem przekomarzać, więc dwa szybkie pytania. Jaki jest właściwie pana status w tej sprawie? I co pan niby dla mnie ma?

– Od naszego poprzedniego spotkania nic się nie zmieniło. Jestem ekspliną na bezrobociu.

– Nie ma pan ciekawszych zajęć?

– Ciągłe słyszę to pytanie i skończyły mi się inteligentne albo dowcipne odpowiedzi, ale odpowiem: tak się składa, że nie bardzo. Ale nie o mnie mowa. Co do drugiego pytania, to właściwie nic nie mam dla pana. Poza propozycją, żebyśmy się wymieniali informacjami w tej sprawie.

Komisarz Buc zaczął rechotać, szeroko otwierając paszczę pełną nieskazitelnie białych zębów. Trochę mu ich zazdrościłem. Po chwili uspokoił się na tyle, że był w stanie mówić:

– Dobrze, bardzo. Pan mi od początku wyglądał na niepoważnego, ale to był naprawdę świetny żart.

– Sprawa dotyczy śmierci, potrójnej, więc jestem śmiertelnie poważny. To co, współpraca ponad podziałami?

– Wykluczone. Co pan sobie w ogóle wyobraża?! – Od śmiechu płynnie przeszedł do złości. – Jest pan zwykłym cywilem, który grzebie przy sprawie, od której powinien się trzymać z daleka.

Że też trafił mi się taki oporny typ. A może zwyczajnie nie nadawałem się już do pracy z młodszymi. Inne pokolenie, odmienna filozofia pracy w firmie. Z wewnętrznej kieszeni ulubionej kurtki, która wyglądała niczym klasyczna stachurówka, wyjąłem złożoną kartkę, powoli rozprostowałem ją i podsunąłem mu pod nos. Chyba nieco za blisko, bo śmiesznie zmrużył oczęta. A jakże, błękitne.

– Ale... – Chciał przejąć papier, ale byłem szybszy. – Skąd to masz? – warknął.

W ten sposób przeszliśmy na „ty”, pomijając rytuał bruderszaftu. Wiadomo, inne pokolenie.

– Drogi kolego, od znanej ci kobiety, której udostępniłeś kompletne dane osobowe grupy. Chyba nie muszę ci klarować, że popełniłeś przestępstwo?

Milczał. Długo. Może zastanawiał się, co i jak może mi zrobić. Albo nie myślał nic, tylko trwał w zdziwieniu. Kto tam takiego Buca wie.

Rozłożyłem ręce w jednoznacznym geście pojednania.

– Nie zamierzam nikomu robić kwasów bez potrzeby. Robię swoje, a jeśli będę miał jakieś pytanie, to mi na nie odpowiesz. – Chciał coś wtrącić, ale nie dałem mu szansy. – Też na tym zyskasz, bo jak coś konkretnego ustalę, dam ci to i zniknę jako ten sen złoty. A ty pozbierasz konfitury z półki.

– Że co?

Nie podejrzewałem, że Koseła jest przesadnie lotny. I się nie pomyliłem.

– Wyjdzie wtedy na to, że rozwiązałeś sprawę. Bo mnie tu przecież nie ma.

Syknął głową tak energicznie, że okulary spadły mu na nos. Syknął. Podejrzewam, że nie po raz ostatni w mojej obecności.

Rozmowa z komisarzem Bucem wbrew pozorom nie podniosła mi ciśnienia. Byłem senny, pewnie przez pogodę. Poszukałem przy ulicy Karmelickiej pierwszej lepszej kawiarni. Czarną podawali nawet nie najgorszą.

Odpaliłem laptop i sprawdziłem e-maile. Rzecznik prasowy biura turystycznego nie raczył się do mnie odezwać. Pomyślałem, że tak nie będzie ze mną pogrywał, i wybrałem numer jego telefonu. Nawet odebrał, tyle że z rozmowy nic interesującego nie wyniknęło. Hubert Warszkyki zbył mnie okrągłymi formułkami, które pewnie miał spisane na kartce. Jego firma nie jest stroną w sprawie, nieszczęścia, takiego słowa użył, nie miały związku z usługami oferowanymi przez biuro. Oczywiście, jego firma rozumie powagę sytuacji i jest jej nawet przykro, ale nie ma więcej do przekazania. Firmie jest przykro. Paradne.

W pierwszej chwili chciałem to zostawić tak, jak jest, miałem jednak dużo wolnego czasu i jeszcze trochę zapału, postanowiłem więc pojechać do Katowic i powęszyć wokoło firmy Zeus Tour. Nie była to do końca spontaniczna, wariacka decyzja. W przypiływie olśnienia przypomniałem sobie, że w stolicy Śląska mam może nie asa, ale przynajmniej waleta. W rękawie.

Siąpiło, jednak to nie aura najbardziej wkurzała mnie podczas jazdy autostradą z Krakowa do Katowic. Migające sygnalizatory raz po raz ostrzegały, że autostrada jest w naprawie. Jak zwykle. Zwalniałem, przyspieszałem i próbowałem zachować spokój. Na szczęście humor poprawił mi telefon od przyjaciela. Nie znośiłem rozmawiać przez zestaw głośnomówiący, więc odrzuciłem połączenie i zjechałem na pierwszą stację benzynową, która się przede mną pojawiła.

Koziej odebrał po pierwszym sygnale.

– Gdzie jesteś? – zaczął klasycznie.

– Jadę do Katowic.

– Gdzie?

– Kazałeś mi zrobić cokolwiek, to robię.

– Że też mnie podkusiło. – Westchnął ciężko. – Ale dobra, rozumiem, że chodzi o tę grecką sprawę.

– Jak najbardziej.

– Nawet mnie nie dziwi, że na własne życzenie ściągasz sobie na łeb kłopoty. Ale twoja wola.

– Jeśli będę w rozpacz, nie omieszkam wyplakać ci się w rękaw. Mów, co masz, bo czas stygnie.

Usłyszałem szelest przekładanych kartek. Choć może Koziej właśnie odfoliowywał kolejną paczkę fajek.

– Ta cała Kowalska jest czysta jak łąka.

– Nie ma niewinnych, są tylko nieprzyłapani. – Nie mogłem odmówić sobie komentarza.

Prychnął.

– Zostaw sobie błyskotliwe teksty na głuszenie niedorośłych lasek.

Akurat tego wątku nie zamierzałem ciągnąć, więc spytałem:

– A Skarżyński?

– Powiem ci, ciekawy przypadek. Pojawił się przy sprawie przemytu fajek z Ukrainy.

– Przemytu? Fajek?

– Coś nie pasuje?

– Widziałem gościa i jego dom. Nie zarobiłbyś na tę hacjendę, choćbyś miał siedem żyć. Skarżyński nie wygląda na drobnego przemytnika.

– To wcale nie była drobna sprawa. Może pamiętasz, bo to nawet zmyślne było. Celnicy namierzyli, zresztą ciekawe jak, pewnie konkurencja ich podpierniczyła, duży transport drewna. Dłużyce jak dłużyce, tyle że w środku nawiercone i wypełnione fajkami.

– Niezły patent, z tych bardziej kreatywnych.

– Tak, i kosztowny. We dwóch ze szwagrem raczej takiej przewalki nie zrobicie.

– Nie mam szwagra – powiedziałem nie wiadomo czemu. – Czyli jakaś grubsza akcja?

– Na to wygląda.

– Co Skarżyński miał z tym wspólnego?

– Cały transport dłużyc był zorganizowany przez jedną z jego firm.

– Jedną? – Zdziwiłem się szczerze.

Usłyszałem, że Koziej zaciągnął się z błogością. Chyba wyszedł przed komendę albo akurat był w królestwie techników sam.

– Może najpierw ogarnij temat, zanim zaczniesz zamęczać mnie pytaniami – odpowiedział zrzędliwie. – Skarżyński to Pomysłowy Dobromir, ma kilkanaście firm jakoś tam ze sobą połączonych. Nie badałem zbyt tego tematu. Transport, spedycja, mieszalnia betonu, budowlanka, jakaś deweloperka. Aha, i ferma kur.

– Co?

– Mówiłem, pomysłowy.

Zazwyczaj żyłem w błogim przekonaniu, że mam sporą wyobraźnię. Jednak przy sprawach gospodarczych najwyraźniej mi jej brakowało.

– I jak się zakończył case przemytu?

– Skarżyński się wyłgał, powiedział, że nie miał o niczym pojęcia, nie steruje ręcznie wszystkimi swoimi firmami. I nikt go nie podpierdolił.

– Czyli coś jakby mafia?

– Ja tam nie wiem, ja z prowincji – odparł Koziej i zaśmiał się głośno.

– Pytaj w Krakowie.

Mogłem spytać. Inna sprawa, czy by mi ktoś odpowiedział.

– Masz coś jeszcze? – chciałem się upewnić.

– Chyba żartujesz. I tak wyrobiłem dwieście procent normy. – Koziej zamilkł na chwilę. – Tylko nie za bardzo wiem, do czego ci się to przyda. Nawet gdyby chodziło o jakieś porachunki, nie sądzę, żeby zasadzali się na tę Kowalską w Grecji. Równie dobrze mogliby ją zadołować gdzieś pod Krakowem.

– Nie mam pojęcia. Ta sprawa jest dziwna.

– Dziwny to ty jesteś. Cześć pracy!

Zupełnie nie wiem, dlaczego przypomniała mi się fraza z piosenki sprzed lat: „Dziwny, dziwny... czas”.

Zastygłem w zadziwieniu. Niby już widziałem tę budowlę, ale – jak się okazało – nieodmiennie działała na mnie tak samo. Skrzyżowanie szpitala wojewódzkiego z czasów PRL-u ze zwichrowanym gdańskim falowcem. Czyli komenda policji w Katowicach w pełnej krasie. Granatowo-pomarańczowej jak fasada.

Zapaliłem i spokojnie czekałem na waleta z rękawa. Wcześniej odwiedziłem siedzibę Zeus Tour przy ulicy Mikołowskiej, właściwie jedynie dla błogiej świadomości, że staram się, jak mogę. Próżny trud. Rzecznika Warszackiego już nie było, a nikt inny nie zamierzał odpowiadać na moje pytania. Recepcjonistka powiedziała, że jest jej przykro, że się fatygowałem aż z Krakowa. Pewnie nieszczerze.

Właśnie wdeptywałem w kostkę niedopałek, kiedy ich zobaczyłem. Nadkomisarza Edmunda Polańskiego, jak zwykle w gajerze, albo jak Ślunzoki mówią, w ancugu, i pod krawatem oraz jakiegoś drepczącego za nim łacha. Przywołałem na usta najpiękniejszy z moich uśmiechów.

Nie miałem bladego pojęcia, czemu Mundek z miejsca zgodził się na spotkanie ze mną.

Nadkomisarz Polański był jednym z najlepszych psów w kraju. Rozwiązał kilka naprawdę skomplikowanych spraw. Uratował swojego podwładnego, który podczas wakacji na Helu został oskarżony o zabójstwo. Rozwiązał sprawę z Nikiszowca, gdzie historia i teraźniejszość splątały się w mroczny węzeł. Po prostu mistrz. Poznaliśmy się jeszcze w krakowskiej miejskiej, gdzie zaczynaliśmy. On jako śledczy, ja w roli rzeczownika prasowego. Już wtedy podejrzewałem, że osiągnie coś, ja zaś nic. Słusznie. Trudno powiedzieć, że byliśmy przyjaciółmi. Połączyły nas ancugi. Polański zawsze dbał o wygląd. Ja nie bardzo. Jednak jako rzecznik musiałem jakoś wyglądać, a nie w każdej sytuacji wypadało występować w mundurze. Mundek polecił mi świetnego i niezbyt drogiego krawca. Garniturów, które wtedy sobie obstałowałem, mógłbym używać po dziś dzień. Gdyby nie kilka nadprogramowych kilogramów w okolicy brzucha.

Po powitaniach okazało się, że łań w džinsach z wypchanymi kolanami i bluzie z kapturem to nie kto inny, tylko podkomisarz Adam Tyszka, któremu Mundek pomagał na Helu. Niezły był z nich duet. Tyszka zaproponował, żeby przenieść się na pogaduszki do knajpy na Mariackiej. Było mi wszystko jedno. Zapakowali się do mojego auta, Tyszka robił za żywą nawigację, bo nie za bardzo wiedziałem, jak się poruszać po centrum Katowic, pełnym ulic jednokierunkowych.

Na Mariackiej byłem lata temu, więc jej widok mnie zdziwił. Jakis czas temu Katowice reklamowały się sloganem „miasto ogrodów”, dla mnie było to miasto zdziwień. Permanentnych. Mariacka była po wyrażonym liftingu. Większość kamienic odnowiono, wzdłuż ulicy szeregiem stały knajpiane ogródki, poustawiano ławki, które udawały współczesne rzeźby – albo naprawdę nimi były. Tylko zamykający ulicę kościół ze strzelistą wieżą wydawał się taki sam. I wciąż tkwił tam niczym memento albo zadra.

Usiedliśmy w ogródku baru, który miał śledzia w nazwie. Tyszka zaproponował, że skoczy po zimne napoje. Poprosiłem o małe piwo.

– Piwo? – Polański podniósł brew. – Przecież prowadzisz.

Zapomniałem, że w kwestii przestrzegania prawa z Mundkiem nie było żartów, więc:

– Wyglupiam się – od razu sprostowałem i poprosiłem o sok żurawinowy, co znowu wprawilo w zdumienie Tyszkę, który pierwszy raz słyszał o takim wynalazku.

Wreszcie każdy miał przed sobą, co zaordynował, i mogliśmy pogadać.

– Wiesz, Edmund, nie spodziewałem się, że będziesz chciał tak szybko się spotkać – zagałem.

– To przez tego patafiana Heinza – wtrącił się Tyszka.

Polański zgromił go wzrokiem, a ja już nawet nie liczyłem, który to raz tego popołudnia zastygłem w zdziwieniu.

– Właściwie to prawda. – Nadkomisarz urwał, jakby się nad czymś zastanawiał. – Rudolf sporo opowiadał o przypadku z Ciechanowa, serii samobójstw nastolatków. Bardzo nietypowa sprawa. Byłem ciekaw, jak właściwie wpadłeś na rozwiązanie, jak to wyglądało od twojej strony.

Było jasne, że niespecjalnie interesowałem Mundka, w końcu nie byliśmy przyjaciółmi, za to interesował go ciekawy case. Zawsze poświęcony pracy, cały Polański. Nie było mi przykro. Opowiedziałem w skrócie, w jaki sposób prowadziłem w Ciechanowie śledztwo, które wszyscy chcieli jak najszybciej zamknąć. Ostatnie w mojej, pozał się Boże, karierze w służbie mundurowej.

– Intrygujący przypadek, z którym dobrze sobie poradziłeś – pochwalił mnie nadkomisarz. Poczulem się tak, jakby generał właśnie przypinał mi medal do wypiętej piersi.

– A co u was na froncie walki z przestępczością? Objawił się jakiś nowy Wampir z Zagłębia?

– Rutyna, sama drobnica – odparł Tyszka.

– Niestety – skomentował Polański i westchnął. – A Ciebie co sprowadza na gościnną ziemię śląską?

– Arkoudi.

– Słucham? – Tym razem zdziwił się Mundek.

– Kojarzycie sprawę trójki turystów, którzy zginęli w Grecji?

– Wszyscy o tym słyszeli, też ciekawe – rzucił nadkomisarz.

– Byłem tam w tym czasie.

Spojrzeni po sobie, a potem obaj wbili we mnie wzrok.

– Chocie, ty to dopiero przyciągasz problemy. Na twoim miejscu bym z chałupy nie wychodził. – Tyszka tylko pokręcił głową.

W skrócie przedstawiłem im, co widziałem i czego się dowiedziałem w greckiej wiosce. Powiedziałem o Wierze Dworzak i jej prośbie, bym spróbował wyjaśnić, co właściwie przytrafiło się jej ukochanej córce.

Polański chrząknął i jak zawsze spokojnym głosem spytał:

– Wiesz, że działasz i będziesz działać na granicy prawa?

– Edmund, bez przesady, jest instytucja zatrzymania obywatelskiego, to czemu nie ma być śledztwa obywatelskiego.

Tyszka patrzył wzrokiem, w którym malowało się totalne niezrozumienie. Polański milczał.

– A właściwie czemu to robisz? – spytał nadkomisarz.

– W imię matki.

Nie skomentowali, tylko pokiwali głowami. Wiadomo, matka święta rzecz.

– A tak na poważnie... – ciągnąłem. – Ktoś tam w Grecji próbował mnie przejechać. Raczej nie był to przypadek. Chcę się dowiedzieć kto i dlaczego, a wydaje mi się, że ma to związek z tymi zgonami. I przyjechałem prosić o pomoc. Jak mawiał towarzysz Gierek: pomożecie?

– Nie mówię tak, nie mówię nie. – Edmund był ostrożny.

– Biuro turystyczne, które zorganizowało ten nieszczęsny pobyt w Arkoudi, ma siedzibę w Kato, byłem u nich, ale nie mam podejścia.

Rzecznik firm przez telefon mnie zbył, tu nikt nie chce ze mną gadać. Może spróbowałibyście popytać? Tak nieoficjalnie.

– My nie prowadzimy tego dochodzenia – wypalił Polański, strażnik procedur. – Jak ty to sobie wyobrażasz?

– Myślałem... Mniejsza, nie było prośby.

Nie obraziłem się, zdawałem przecież sobie sprawę, że mało kto będzie chciał mi pomóc. Duże ryzyko, żaden zysk. Porozmawialiśmy jeszcze niezobowiązująco o życiu rodzinnym i pracy, dopiliśmy i zarządziłem koniec spotkania. Mundek poszedł na tramwaj, zostałem z Tyszką.

– Ty jedziesz do Krakowa, ja?

Potwierdziłem.

– Mogę się z tobą zabrać do Mysłowic? Po drodze jest.

Zgodziłem się, bo dlaczego nie, czasu miałem pod dostatkiem. Poszliśmy do miśka, podkomisarz znowu wcielił się w rolę żywego GPS-a, który sprawnie doprowadził mnie do ulicy Wielka Skotnica. Dziwna nazwa, choć jako upadły polonista wiedziałem, że ma to coś wspólnego ze staropolską nazwą bydła – skot. Zanim wysiadł, Tyszka powiedział:

– Spróbuję ci, synek, pomóc, choć nic nie obiecuję.

Zdaje się, że to miało być ostatnie śląskie zdziwienie tego dnia.

– Dlaczego?

– Bo cię jakoś, synek, polubiłem.

Klepnął mnie w ramię i wysiadł. Właściwie już wiedziałem, dlaczego kiedyś wpakował się w kłopoty na Helu.

Do Krakowa dotarłem jeszcze przed zmierzchem i nie miałem nic w planach. Zdawałem sobie sprawę, że brak zajęcia nie wpływa na mnie zbyt dobrze. Jeszcze przyjdą mi do głowy jakieś głupoty. Spróbowałem więc szczęścia i wybrałem numer żony Filipa Zawadzkiego. Odebrała i nawet mnie nie zbyła, zgodziła się na spotkanie. Po raz kolejny spraw-

działa się jedna z maksym Felicji: „Kto nie próbuje, tuszonki nie kosztuje”.

Zawadzcy mieszkali na Zabłociu, do niedawna dzielnicy postprzemysłowej nędzy i rozpacz, która powoli przeobrażała się w kwartał wypasionych apartamentowców. W jednym z nich mieszkała Helena Zawadzka. Zaprowadziła mnie do pomieszczenia łączącego salon z kuchnią, wielkiego jak niejedno mieszkanie w zwykłym bloku, i usadziła na skórzanej kanapie. W całym apartamencie czuć było lekarską solidność. Popijała drinka, ale nie wyglądała na wstawioną. Może od czasu Arkoudi udało się jej przystopować z pić. Mnie też zaproponowała małe co nieco. Tym razem nie pilnował mnie wzorowy policjant, więc nie odmówiłem.

Opowiedziałem, z czym przybywam. Helena zawiesiła na mnie wzrok, a potem skomentowała:

– Nie rozumiem, po co pan w tym grzebie. Chciałabym o wszystkim jak najszybciej zapomnieć. I o śmierci Filipa, i o życiu z nim.

Nie był to najgorszy pomysł. Zdaje się, że żona Zawadzkiego powoli odzyskiwała emocjonalną stabilność. Pewnie dzięki pomocy hojnie opłacanego psychoterapeuty.

– Nie wszystko w tej sprawie wydaje mi się jasne.

– Jak to nie? – Zawadzka była wyraźnie zdziwiona. – Filip się nawalił, polazł, gdzie nie trzeba, i utonął. Sekcja nie wykazała żadnych śladów przemocy. Koniec kropka.

Przynajmniej jedna z osób bliskich ofiarom zainteresowała się sekcjami.

– Pani Heleno...

– Mów mi Leno – przerwała mi.

Mogłem tak mówić, czemu nie.

– Leno, może przypadek twojego męża wydaje się jasny, ale w tej sprawie jest coś dziwnego, niepokojącego. Za wiele zbiegów okoliczności. Chcę to wyjaśnić. Dla Filipa, ale też Nataszy i Kaliny.

– Miejsmy to już za sobą, pytaj. – Bez zbędnych ceregieli przeszła ze mną na „ty” i upiła łyk drinka. Uznałem to za namiastkę bruderszaftu.

– Nie zauważyłaś, żeby tam, w Grecji, działo się coś podejrzanego?

– Nie, standard.

– To znaczy?

– Filip łoił jak zwykle, a ja próbowałam odpocząć, wyluzować się trochę. I jako tako go pilnować, żeby nie narobił głupot. Średnio mi to wyszło...

– A czy twój mąż miał jakichś wrogów?

Zastanawiała się przez chwilę, kręcąc w palcach szklaneczką.

– Nie. Nie sądzę. Przynajmniej nic takiego do mnie nie dotarło. Jaki był, taki był, ale w pracy trzymał pion. I był dobry. Gdyby coś zawalił, popełnił gruby błąd, tobym się dowiedziała, nawet jeśli by mi nie powiedział.

– Niby skąd?

– Też jestem lekarzem, pediatrą, tylko w innym szpitalu. W środowisku lekarskim o takich rzeczach się mówi.

– Może coś po pijaku zrobił?

– A to niewykлучzone. Tylko że nic na ten temat nie wiem.

To była ślepa uliczka. Z policyjnego doświadczenia wiedziałem, że pijackie zatargi rozwiązuje się z miejsca za pomocą pięści, butelek czy co tam akurat biesiadnicy mają pod ręką. Gdyby Zawadzki coś takiego wywinął, szybko by się to wydało.

– Właściwie dlaczego wybraliście akurat ten wyjazd na wakacje? – zmieniłem temat.

Zaśmiała się cicho.

– To raczej on nas wybrał.

– Nie bardzo rozumiem.

– Była jakaś promocja czy loteria. Nie pamiętam już dokładnie. Filip wygrał pięćdziesięcioprocentową zniżkę. Okazja, jednym słowem. Poza tym w Arkoudi jeszcze nie byliśmy. No i na nieszczęście pojechaliśmy.

Ciekawe. Nawet bardzo. Skarżyński też wspominał, że wygrali ten wyjazd w konkursie. Wreszcie pojawił się cień śladu. Niewyraźny, ale jednak był. Na tym etapie śledztwa musiałem się chwytać wszystkiego, co wpadło mi w oko. Choćby nawet były to mrzonki i majaki.

- Nie zdziwiło cię, że była tam też Kalina?
- Przypadek.
- Powtórzę: dużo w tej sprawie zbiegów okoliczności.
- Nie wiem. Może. Nie myślałam o tym w ten sposób.

Podniosła szklaneczkę, ale tylko na nią spojrzała. Alkoholu było jeszcze na dwa palce. Odstawiła na ławę. Zdaje się, że kontrolowała picie, jak umiała.

- Ale wiedziałaś, że oni kiedyś byli parą?

- Szczeniacka miłość – prychnęła. – Filip mi o tym mówił. Zresztą jak o wszystkich byłych przede mną. Lubił sobie pogadać. Nakręcało go nawijanie o swoich podbojach. Ale o zdrachach, z którymi mnie zdradzał, już nie.

Była w niej cicha gorycz permanentnie oszukiwanej kobiety. Do tego kobiety bezsilnej, która nie umiała albo nie chciała odejść od faceta, który nią poniewierał. Nie ona jedna.

- Podobno sporo czasu spędzali ze sobą w Grecji?

- Jak to na takim wyjeździe. Też kilka razy sobie z nią pogadałam, choć specjalnie interesująca nie była. Taki raczej pustak. Ciuchy, kosmetyki, zabiegi w spa. Takie tematy. A że przesiadywali razem? Też lubiła sobie golnąć. Ze dwa razy z nimi imprezowałam, ale to nudne było, bo głównie wspominali czasy liceum.

- A mąż Kaliny nie miał nic przeciwko temu? – zapytałam, żeby zwerifikować opowieści pana biznesmena.

- Ten cały Skarżyński? On miał wszystko, za przeproszeniem, w dupie. Najczęściej wsiadał z rana w samochód i gdzieś jeździł po okolicy.

Wyczerpałem zestaw pytań do Leny. Podziękowałem za drinka i zacząłem zbierać się do wyjścia. Byłem już prawie w drzwiach, kiedy w miejscu zatrzymał mnie jej niepewny głos:

– A wiesz, coś mi się przypomniało. Ale to chyba głupstwo...

– W takich śledztwach nigdy do końca nie wiadomo, co okaże się ważne – wypaliłem policyjną mądrością.

– Któregoś wieczoru w Grecji siedzieliśmy na tarasie naszego pokoju. Filip był markotny. Nawet chyba nie za bardzo pijany. Gapił się przed siebie, jakby coś ciekawego widział w sosnowym zagajniku. I nagle powiedział, że z Kaliną łączy go ponura tajemnica.

– Ponura tajemnica? – zdziwiłem się.

– Spytałem, o co chodzi, ale tylko wzruszył ramionami i powiedział, że to stare, licealne sprawy. Uznałam, że to bezsensowny bełkot pijaka.

Ciekawe. Czyżby zaczynały wychodzić na jaw grzechy i grzeszki?

Dziennik roku pierwszego IX

28 stycznia 1999

Dwa dni praktycznie przeleżałem w łóżku. Mogłem, bo Jagielto kazała mi wziąć tydzień wolnego. Pewnie i tak nie byłbym w stanie prowadzić lekcji. Już wcześniej nie bardzo potrafiłem skupić się na czymkolwiek.

Leżałem w łóżku. Gapiłem się w sufit. Nie wiedziałem, że tak można. Godzinami. Poznałem każdy centymetr kwadratowy sufitu. Rysy i pęknięcia. Grube maziaje farby. Nedoróbki. Zdaje się, że próbowałem myśleć. Pewnie o całej AFERZE. Myśli przelatowały mi przez głowę i znikaly. Bez śladu. Goniłwa myśli. Tak to się chyba nazywa. Z trudem zmuszałem się, żeby pójść do łazienki. Nie jadłem. Piłem tylko wodę z kranu.

W poniedziałek wróciłem do domu wstrząśnięty. Tak samo wstrząśnięta była mama, kiedy mnie zobaczyła. Pytała, co się stało, co oni mi zrobili. Wydukałem, że wszystko opowiem, ale nie teraz. Nie jestem w stanie. Przez dwa dni zaglądała co jakiś czas do mojego pokoju. Nic nie mówiła. Czekala. Dostrzegałem, że z każdą godziną cienie pod jej oczami stają się głębsze. Pewnie płakała. Ja nie mogłem. Nie potrafiłem. PEWNIEM LEPIEJ BY BYŁO, GDYBYM WYPŁAKAŁ CAŁY BÓL.

Dziś to coś, co odbierało mi siłę, wolę życia odpuściło. Trochę. Wstałem bez potrzeby pójścia do łazienki. Zataczałem się, jakbym był pijany. Mama na szczęście była w pracy, więc nie musiała mnie oglądać. Znalazłem w lodówce garnek z zupą. Odgrzałem. Próbowalem zjeść choć kilka łyżek, ale zaraz pobiegłem do łazienki i wymiotowałem.

Teraz jest już późny wieczór. Mama śpi, a ja siedzę i piszę.

MUSZĘ uporządkować myśli. Pisanie jest najlepszym na to sposobem.

Kiedy mama wróciła do domu, powiedziałem, że już mi lepiej. „Tak się bałam”, wyszeptala i przytulila mnie. Chciała, żebym wszystko opowiedział. Natychmiast. Poprosiłem o jeszcze jeden dzień. Nie byłem gotowy. Nie rozumiałem i pewnie nigdy do końca nie zrozumieję, co naprawdę się stało. Ale przynajmniej nauczę się o tym mówić. Dla mojego dobra. I mamy.

Kiedy Kowalska...

29 stycznia 1999

Chciałem opisać to, co się zdarzyło podczas poniedziałkowej KONFRONTACJI, jeszcze wczoraj. Nie dałem rady. Po trzech bezsennych nocach zasnąłem przy biurku. Tak mi się przynajmniej zdawało, bo obudziłem się około południa w łóżku. Albo sam się powlokłem, albo pomogła mi mama. Nie wiem.

Jestem sam w domu. Udało mi się zjeść śniadanie. Piję kawę. Organizm powoli wraca do normy. ALE CO Z PSYCHIKĄ? Czy po czymś takim można żyć normalnie? Mam udawać, że nic się nie stało? BARDZO SIĘ STAŁO.

Pamiętam tę scenę ze szczegółami. Jakby znowu, kolejny raz rozgrywała się na moich oczach. Jakby czas się zapętlił i odtwarzał w kółko kilka tych samych zdarzeń.

Trwa KONFRONTACJA w gabinecie Jagiełło. Wydaje mi się, że jest pat. Wicedyrektorka się waha. Nie chce stanąć ani po mojej stronie, ani po stronie uczniów. Asekurantka. I wtedy Kowalska pochyla głowę. Jej długie włosy zasłaniają twarz. Te opadające włosy wciąż mam przed oczami. Jak na zwolnionym filmie. Mówi cicho w podłogę: „ON MNIE MOLESTOWAŁ”. Teraz cytuję jej słowa, ale wtedy, w poniedziałek, w pierwszej chwili nie dotarły do mnie. Pierwszy zareagował adwokat, pytając, że niby co? Kowalska podniosła głowę, łzy płynęły po jej policzkach. „ON MNIE MOLESTOWAŁ”, powtórzyła. Zerwałem się z krzeselka. Chciałem zaprzeczyć, krzyczeć. Coś ścisnęło mi gardło. Nie mogłem wydobyć głosu. Zawadzki skoczył do mnie, krzycząc: „Ty skurwielu!”. Pchnął mnie. Zatoczyłem się i uderzyłem o ścianę. Jagiełło zerwała się z biurka. Stała pomiędzy nami. Jej usta poruszały się, ale straciłem nie tylko mowę, lecz także słuch. Zawadzki ciągle stał blisko mnie. Zaciskał pięści. Został mi tylko wzrok. Widziałem, że matka obejmuje Kalinę. Z drugiej strony obejmował ją młody Zawadzki. Wicedyrektorka odwróciła się w moją stronę. Mówiła do mnie. Stałem jak skamieniały. Niemy i głuchy. Zamachała dłonią przed moją twarzą. Ocknąłem się. Tak jakby. Dotarło wreszcie do mnie, co mówi. Miałem wyjść na korytarz i poczekać. Wyszedłem. Nogi ugięły się pod mną. Osunąłem się po ścianie na podłogę. W mojej głowie wciąż dudniły słowa: „ON MNIE MOLESTOWAŁ”. Znałem znaczenie każdego z nich, ale razem nie składały się w całość. Nie sumowały. Jakby mój mózg odrzucał rozwiązanie operacji dodawa-

nia znaczeń. Po kilku, może kilkunastu minutach zrozumiałem, o co zostałem oskarżony. To się nie dzieje, to nie ma prawa się dziać, powtarzałem raz po raz. Czekałem. I im dłużej czekałem, tym bardziej byłem pewien, że cała ta AFERA, którą bagatelizowałem, nie skończy się dobrze. Zacząłem się zastanawiać, czy ktoś mi pomoże, czy ktoś wystucha moich racji. Przy takim oskarżeniu. Byłem pewien, że nie Jagiełło.

Nie wiem, ile to trwało. W końcu drzwi gabinetu się otworzyły. Najpierw wyszli adwokat z synem. Żaden z nich nawet na mnie nie spojrział. Potem obie Kowalskie. Objęte. Starsza nachyliła się nade mną i wyszczała: „zбочzeniec”. Poszli. Usłyszałem wołanie Jagiełło. Nawet nie pofatygowała się, żeby do mnie wyjść. Nie wiem, czemu wtedy o tym pomyślałem. I nie wiem, czemu mnie to zabolalo. Może to był znak, że wszystko jest stracone. Nieodwołalnie.

Kazała mi usiąść naprzeciwko siebie. Nie wiem po co, bo nie patrzyła na mnie, tylko gdzieś obok. Twarz Jagiełło przypominała maskę. Wydawało mi się, że mówiąc, nie otwiera ust. Każde jej słowo było jak CIOS. Wedle Kaliny Kowalskiej podczas rozmowy w sprawie korepetycji, rzekomo płatnych, położyłem jej rękę na ramieniu i zaproponowałem, że możemy to załatwić inaczej. Że głaskałem uczennicę po szyi i ramionach. A ona stała jak wmurowana. I miałem powiedzieć, że taka ładna dziewczyna musi lubić seks. I że bez trudu może mieć piątkę z matematyki. W tej klasie i każdej następnej. Co więcej, Zawadzki potwierdził, że gdy przypadkowo zajrzał do klasy, zobaczył mnie i Kowalską w dziwnej sytuacji. Obejmowałem Kowalską. Przynajmniej tak to wyglądało z jego perspektywy. Słowo „perspektywa” wyrwało mnie z odrętwienia. Powiedziałem powoli, że taka sytuacja nie miała miejsca. Tak samo jak propozycja płatnych korepetycji. To jakiś absurd! Albo spisek uczniów, którzy chcą mi zaszkodzić. Jagiełło spytała, dlaczego tej dwójce uczniów miałyby zależeć na skalowaniu mnie. Wzruszyłem ramionami. „Może nie lubią mnie, bo jestem wymagający,

bo chcę, by ta klasa była najlepsza”, odpowiedziałem. „Czyli zaprzecza pan wszystkiemu?”. Odpowiedziałem, że cała ta sprawa jest jednym wielkim kłamstwem. Milczała. Nie byłem w stanie nic wyczytać z jej twarzy. Wreszcie kazała mi zejść jej z oczu. Dokładnie tak. I wziąć wolne do końca tygodnia. Kiedy podnosiłem się z krzesła, powiedziała, że to wszystko zaszło już za daleko. ZASZŁO JUŻ ZA DALEKO. A co ja mam powiedzieć?

30 stycznia 1999

Sobota. Obudziłem się wcześniej, ale słyszałem, że mama już krząta się po kuchni. Poczulem zapach kawy. I ogromną chęć na kawę. Nie pamiętałem, kiedy ostatnio ją piłem. Przeraziło mnie, że nie pamiętam. Przez całe napięcie, w którym żyłem, mój mózg był dziurawy. Żałosne. I choć miałem wielką ochotę na kawę, leżałem w łóżku. Godzinę. Albo i dłużej. Obawiałem się rozmowy z mamą. Tego, jak zareaguje. Tak cieszyła się, że dostałem stałą pracę w liceum. Zresztą ja też. Spełnienie marzeń, ambicji, możliwość rozwoju i samorealizacji. Marzeń moich, ale i mamy. A teraz wszystko WALIŁO SIĘ! Z HUKIEM! W nagłym przebłysku jasności myślenia uświadomiłem sobie, że przecież mogą mnie oskarżyć. Wytoczyć jakiś PROCES... Był taki bohater w książce... Ale to chyba było coś z zamkiem, nie o procesie... Nigdy nie miałem pamięci do literatury, książek i pisarzy. Nawet jeśli czytałem lektury, szybko zapomniałem.

Nie mogłem być tchórzem. Nie mogłem bez końca ukrywać się w swoim pokoju. Zmusiłem się, by wstać i pójść do kuchni. Przywitałem się bez słów, tylko uściskiem. Mama podała mi śniadanie. Nic nie mówiła, nie pytała, nie naciskała. Wiedziała, że na słowa przyjdzie czas. KOCHANA MAMA.

Usiedliśmy z kawą w pokoju. Zacząłem opowiadać. Zwiążłem. Same fakty. Miałem już to jako tako poukładane. Widziałem, jak

z każdym wypowiedzianym przeze mnie zdaniem mama smutnieje. A potem dostrzegłem w jej twarzy coś nowego. Nie wiedziałem, co to jest. Rodząca się FURIA? Skończyłem. Milczała. Długo, bardzo długo. A mnie pękało serce. Po kawałku. Mamie pewnie też. Nie wytrzymałem, spytałem, czy mi wierzy, czy wierzy, że nic złego nie zrobiłem. Pokręciła głową. Raz i drugi. Trzeci. „Jakże mogłabym ci nie wierzyć – mówiła – przecież cię znam, wiem, że mój syn nie mógłby zrobić takich rzeczy, doskonale wiem, jak cię wychowałam”. Oczywiście, że wiedziała. Przecież nigdy jakiegokolwiek moje relacje z dziewczynami czy kobietami nie były przyczyną problemów. Z prostego powodu – właściwie ich nie było. W podstawówce czy liceum przychodziły do mnie koleżanki, którym pomagałem w matematyce. Tylko koleżanki. Nigdy mnie specjalnie do dziewcząt nie ciągnęło. A przynajmniej nie tak intensywnie jak moich kolegów. Nie żeby mnie dziewczyny czy kobiety wcale nie interesowały. Zdawałem sobie jednak sprawę, że na razie nie mam na takie rzeczy czasu. Muszę się dalej uczyć, pomagać mamie. Mam obowiązki, które muszę wypełnić. Na kobiety przyjdzie jeszcze czas.

Mama o tym doskonale wiedziała, ja o tym wiedziałem. Ale jak PRZEKONAĆ INNYCH?!

Rozdział czwarty

Życzenie kłopotów

10 października 2014, piątek,

Kraków i Mysłowice

Grzechy grzechami, ale kiedy wczoraj wierciłem się w łóżku, próbując zasnąć, ciągle myślałem o wakacyjnych wyjazdach wygranych w konkursie. Dwa przypadki na trzy osoby, które straciły życie. Nie ma co, dziwność nad dziwnościami.

Rano, jeszcze przed śniadaniem, zadzwoniłem do Wiery Dworzak z pytaniem, czy Natasza zdobyła wyjazd do Grecji dzięki promocji albo wygrała go w konkursie. Nieszczęsna matka niezbyt dokładnie pamiętała, ale wydawało jej się, że nie. Natasza od dawna chciała odwiedzić północno-zachodni Peloponez, bo tam jeszcze nie była. Zdaje się, że ten wyjazd zamówiła i opłaciła z wielomiesięcznym wyprzedzeniem. I tak nikły ślad zniknął jak odcisk buta w śniegu podczas roztopów.

Zjadłem byle co, aby tylko nie burczało mi w brzuchu. Wyszedłem przed hostel i zapaliłem. Miodową szybko przemykali ludzie. Pewnie mieli się do czego spieszyć. Ja nie. Wybrałem numer Pauliny. Nie odebrała. Może to i lepiej, bo pewnie musiałbym się tłumaczyć, co wytrąciłoby mnie z równowagi. Był już piątek, a wciąż nie miałem pojęcia, czy pojedę do niej w ten weekend tak, jak się tego domagała. Jeśli chciałem ruszyć ze sprawą, zrobić postępy, musiałem się na niej skupić. Na sprawie, nie na Paulinie. Ustalić priorytety. A zwykle najlepiej myślało mi się w marszu.

Przeciąłem Dietla i wszedłem w Stradomską. W tej okolicy akurat niespecjalnie wiele się zmieniło. Na rogu wciąż straszyla ładna, ale zaniedbana kamienica z wielką kopułą. Doszedłem do Wawelu i pokłoniłem się zamkowi. Wiadomo, ojczyznę i historię trzeba kochać i szanować, nie deptać flagi i nie pluć na godło. Przynajmniej tak mi się wydawało. Coś kiedyś było o tym w szkole. Albo jakiejś piosence. Skręciłem w Grodzką, gdzie robiło się coraz gęściej od ludzi. O dziwo nie przeszkadzało mi to zbyt. Czyżby ledwie kilku-miesięczny związek z Pauliną tak mnie przeprogramował, że przestali mnie drażnić ludzie? Być może. Choć pewnie wynikało to z faktu, że ostatnio zbyt często przebywałem w najlepszym z możliwych towarzystwie. Swoim własnym. Jednak na Rynku zrobiło się nieznośnie. Tłumy turystów fotografujących wszystko, jak leci – dorozki ciągnięte przez pośmierdujące, apatyczne konie, wszechobecne meleksy obwożące leniwych turystów zapewne po wygórowanych stawkach, a na dokładkę jakiś festyn na płycie Rynku okadzany dymem grilla. Przemknąłem obok Sukiennic i wieży ratusza, wszedłem w Szewską. Przypomniałem sobie, że ktoś mi mówił, że przy Bunkrze Sztuki jest teraz knajpa, w której można palić.

Pod zadaszeniem ustawiono kilkadziesiąt stolików. Prawie wszystkie były zajęte. Klientela zaiste różnorodna, począwszy od lokalnego ekspolityka, który miał kiedyś zostać premierem, a skończywszy na migdałających się bez skrępowania licealistach. Nikt tu na nikogo nie zwracał przesadnej uwagi, więc rozłożyłem się z przenośnym biurkiem: laptop, telefon, notes, kartki, częściowo zabazgrane, po części na zabazgranie czekające. Zamówiłem kawę i mineralną. Grzeczny chłopczyk, pochwaliłem sam siebie.

Co właściwie miałem? Co ustaliłem? Niewiele, by nie powiedzieć – nic. Wciąż nie dawała mi spokoju loteria czy promocja zorganizowana przez biuro Zeus Tour. Dwoje znajomych wygrywa wyjazd. Przypadek? W tej sprawie było, jak na moje oko, zdecydowanie za wiele przypadków. Musiałem się dowiedzieć, co to była za akcja, jak została zorganizowana, w jaki sposób wyłoniono zwycięzców. Zadzwoiłem do Tyszki.

Skoro zadeklarował chęć pomocy, niech się na coś przyda. Nie odebrał. Co jeszcze? Kreśliłem po kartce, wpisując hasła, nazwiska, łącząc je strzałkami, opatrując znakami zapytania i innymi oznaczeniami zrozumiałymi jedynie dla mnie. „Ponura tajemnica” Kowalskiej i Zawadzkiego sprzed lat. Słaby trop, ale zawsze jakiś. Mogła to być głupota w rodzaju kradzieży kilku butelek piwa w sklepie albo eksperymentów z narkotykami. Jednak mogło to być też coś poważniejszego. Czy byli notowani? Kowalska nie, zostawał Zawadzki do sprawdzenia. Coraz wyraźniej uświadamiałem sobie, że porwałem się z motyką na słońce. Kiedyś sprawdzenie takiej informacji zajęłoby mi chwilę, teraz stanowiło problem. Ale od czego był gliniarz jak z zagranicznego obrazka. Przy okazji sprawdzę, na ile komisarz Buc jest skłonny do współpracy. Postanowiłem, że zadzwonię do niego za jakiś czas.

Ani Lena, ani Skarżyński nie znali szczegółów nastoletnich awantur swoich drugich połówek. Powinni na ten temat wiedzieć coś rodzice Kowalskiej i Zawadzkiego. Choć znowu – mogły to być tajemnice dzieci, o których starzy nie mieli pojęcia. Błatego. Postanowiłem zdobyć ich namiary. Zadzwoniłem do Skarżyńskiego. Odrzucił połączenie. Przekreśliłem do Leny, nawet odebrała, ale tylko po to, by powiedzieć, że jest w pracy i nie ma czasu na pogawędkę. Krótka sesja telefoniczna pozwoliła mi zrozumieć jedno – nie miałem czego szukać w branży telemarketingu, bo nie zarobiłbym nawet na waciki. Dla Pauliny.

Zapałem papierosa i zapatrzyłem się na ekspolityka, który perorował z przejęciem, płynnie gestykułując dłońmi. Pewnie przeszedł szkolenia z mowy ciała czy czegoś tam. Jak oni wszyscy. Zapewne kreślił wizję nowej, lepszej Polski. Dostatniej, solidarnej i sprawiedliwej. Albo obrabiał dupy znajomkom. Jak to w Krakowie. Zamordowałem papierosa w popielniczce. To wkurzało mnie coraz bardziej. I męczyło. Moja bezradność.

Co jeszcze rzuciło mi się w oczy? Pewna powtarzalność, ledwie widoczny wzór takiego samego losu. Kowalska i Zawadzki znali się z liceum, podobno połączyła ich „ponura tajemnica”, oboje tkwili w nie

najlepszych małżeństwach, obojgu nieźle się powodziło pod względem finansowym, oboje zeszli z tego świata na tym samym greckim wypizdowie. Mało? Postanowiłem, że posprawdzam, co się da, i jeśli do niedzieli nie natrafię na żaden sensowny trop, zbieram się do Gdańska. Do Pauliny, która, być może – na to po cichu liczyłem – nie wścieknie się zbyt. Z krótkim przystankiem w Ciechanowie. Myśl, że udało mi się stworzyć szczyłek planu na najbliższe dni, nieco mnie uspokoiła. Wypadało to uczcić. Zamówiłem niewielką, zupełnie niegroźną wiśnióweczkę, która przecież jeszcze nikomu nigdy nie zaszkodziła. W końcu byłem w Krakowie.

Chciałem zadzwonić do komisarza Buca, ale uświadomiłem sobie, że gdy widzieliśmy się ostatnio, nie wziąłem od niego numeru telefonu, a nie chciało mi się znowu przebijać przez dyżurnego komendy. To ja na drugie imię powinienem mieć Buc, a na trzecie Bęcwał. Od Bunkra Sztuki na Siemiradzkiego był rzut beretem, zaryzykowałem więc przechadzkę, nie mając pewności, czy zastanę Kosełę. Na szczęście był. Znowu niewdzięcznik nie chciał zaprosić mnie do środka. Wyszliśmy przed budynek, zaproponowałem spacer, bo nie chciałem wystawać z nim na widoku. Nie wyglądał na zadowolonego.

Kazałem Kosele sprawdzić, czy Zawadzki był notowany dawnymi laty. Tylko skinął głową. Poprosiłem o wizytówkę z jego komórką, dałem mu swój numer. Wyciągnął z kieszeni i podał mi bez słowa.

– Nie bądź taki spięty, nic ci nie zrobię – rzuciłem dla rozładowania atmosfery.

– Chcesz jeszcze czegoś? – warknął.

– Bez nerwów, w końcu jesteście tak jakby partnerami.

Nie skomentował, nawet nie wzruszył ramionami.

– Potrzebuję namiary na rodziców Kowalskiej i Zawadzkiego – wyjaśniłem.

Stanął i spojrzął na mnie wzrokiem, w którym malowało się totalne zadziwienie rzeczywistością oraz tkwiącym przed nim dziwnym, upierdliwym jestestwem.

– Na kiego ci to?

– A to już moja sprawa. Przyjdzie pora, to się dowiesz. Albo i nie, jeśli okaże się, że to ślepy trop.

– Sam sobie bez trudu znajdziesz, bo ojciec Zawadzkiego to znany adwokat, a starzy Kowalskiej mają firmę spedycyjną. – To już wiedziałem, skąd ten dobrobyt, na który co krok się natykałem. Bogaci z domu, tak to się mówi. Szkoda tylko, że dwójce nieszczęśników nie tak znowu długo przyszło się cieszyć obfitością dóbr i kasy. – Właściwie to już chyba stara Kowalskiej, bo jej ojciec zdaje się nie żyje.

– A jak firma się nazywa?

– Kowalska i Kowalski.

Parsknąłem śmiechem.

– Pomysłowe – skomentowałem. – A jak już tak sobie miło gawędzimy... Sekcje zwłok robili tylko Grecy?

– Tutaj też były.

– I co wyszło?

– A co niby miało wyjść? – zachnął się Koseła.

– Wiem, że masz tę sprawę głęboko w tyle, ale tak się składa, że akurat mnie ona bardzo interesuje, więc grzecznie proszę o szczegóły.

– Zawadzki się utopił, Dworzak miała pękniętą czaszkę i uraz mózgu, Kowalska się zatrula, nie wiadomo czym, bo nie wykryto obecności żadnych podejrzanych substancji, poza śladami jakiejś tam solaniny.

– To jakaś trucizna? – Wołałem się upewnić, bo z Bucem nigdy nie wiadomo, co mówi i myśli.

Wzruszył ramionami i powiedział:

– Ja tam nie wiem, nie wnikałem.

No jasne.

- A w ogóle ci greccy policjanci coś ciekawego znaleźli, bo wydawało mi się, że w pewnym momencie jakby bardziej zaczęli się kręcić wokół sprawy?

- Nie wiem, czy powinienem... - Komisarz podjął próbę ochrony świętej tajemnicy śledztwa.

- A ja nie wiem, czy nie powinienem odwiedzić twoich przełożonych... - Zawiesiłem głos i miałem nadzieję, że zabrzmiało to złowieszczo.

- Pod paznokciem Dworzak znaleźli obcy naskórek.

Gwizdnąłem z wrażenia. Natasza musiała się z kimś szarpać, bo raczej, z tego, co się o nieboszczce dowiedziałem, nie uprawiała dziokiego seksu, rozorując partnerowi pleców paznokciami. Mieli więc DNA prawdopodobnego sprawcy. Przynajmniej w przypadku jednego zgonu. Tyle że nie bardzo mieli z czym to DNA porównać.

- Pana pytanie to jakiś nieprzystojny żart? - wycedził mecenas Zawadzki.

Zabrzmiało to srogo, jakby pytanie wcale nie dotyczyło żartu, lecz masowego mordu ze szczególnym okrucieństwem. Nie wiedziałem, co odpowiedzieć, więc milczałem.

A wydawało mi się przez chwilę, że - jak nie ja - mam wreszcie odrobinę szczęścia. Znalazłem w necie adres kancelarii mecenasa Zawadzkiego, która mieściła się w kamienicy przy św. Tomasza. Solidna lokalizacja, więc i pewnie praktyka adwokacka z gatunku solidnych. I popłatnych. Co więcej, udało mi się umówić z sekretarką prawnika na wizytę, bo okazało się, że jej pryncypał ma okienko w licznych, zapewne ważnych spotkaniach. Moje szczęście skończyło się, kiedy wszedłem do urządnego za grube dziesiątki tysięcy gabinetu mecenasa.

Zawadzki nie tylko brzmiał, lecz także wyglądał srogo. Krótko przystrzyżone stalowoszare włosy, kwadratowa, mocna szczęka, bujne brwi

i zimne spojrzenie. Wręcz lodowate. Właśnie – wiało od niego arktycznym zimnem.

Jak to papuga lubił sobie pomonologować, więc szybko przerwał ciszę:

– Przychodzi pan do ojca w żałobie i pyta o jakieś zamierzchłe historie. – Wstał z wielkiego, skórzanego fotela, oparł ręce o biurko i wychylił się ku mnie. Banalny chwyt obliczony na zdominowanie rozmówcy. – A w ogóle ma pan jakieś pełnomocnictwo od pani Dworzak? Albo chociaż legitymację detektywa?

– Nie mam – odpowiedziałem szczerze, wiedząc, że gra kłamstwami z mecenasem Zawadzkiem nie przejdzie. – Pomagam pani Dworzak prywatnie i nieoficjalnie. Z dobrego serca – dorzuciłem z niewinnym uśmiechem.

– Za to ja oficjalnie zapowiadam, że jeśli będzie pan nachodził mnie i moich bliskich, żeby zadawać bzdurne pytania, oskarżę pana o uprzejme nękanie. Chce pan mieć do czynienia z policją?

Tym razem nie mogłem odpowiedzieć tekstem, którego przez lata od czasu do czasu używałem: „To ja jestem policja”.

Nie zamierzałem jednak poddawać się bez walki:

– Myślałem, że zależy panu na wyjaśnieniu, kto zabił pana syna?

– Zabił? – Krzaczaste brwi pojechały prawie na środek czoła. – Nie zamierzam tracić czasu na tę bezsensowną rozmowę. Radzę panu, bardzo dobrze radzę, żeby pan się skoncentrował na przypadku tej tam Dworzak. Jeśli pan już musi. Żegnam.

Byłem pewien, że od mecenasa Zawadzkiego niczego nie wydobędę. Podniosłem się z krzesła, skinąłem głową. Szkoda mi było dla niego słów.

– I niech pan się nie waży grzebać w przeszłości naszej rodziny. Nie wyjdzie to panu na dobre – powiedział, kiedy już ruszyłem do drzwi.

Zatrzymałem się i spojrzałem na niego. Nie musiał tego mówić. Ale powiedział. Ciekawe.

Dziwne było to dochodzenie, do którego prowadzenia zgłosiłem się na ochotnika, niczym naiwny stachanowiec. Dziwna też była nazwa firmy spedycyjnej, więc nie zaskoczyło mnie ani trochę, że Kowalska ma również dziwaczne imię: Zenobia.

Złapałem ją telefonicznie w firmie, ale nie chciała się tam ze mną spotkać, w ogóle nie za bardzo miała ochotę mnie widzieć. Musiałem się nieźle nagimnastykować, żeby nakłonić Zenobię do spotkania. I do rozmowy o Kalinie. Powtarzałem do znudzenia słowa klucze „Kalina” i „córka” tak długo, aż serce matki zmiękło. Wyzaczyła spotkanie na dziewiętnastą w restauracji Parkowej w Swoszowicach. Niby jeszcze Kraków, ale nie do końca. Mętnie kojarzyłem, że było tam uzdrowisko, jakieś kąpiele siarkowe, borowiny czy inne poprawiacze zdrowia oraz urody. Wcześniej nigdy tam nie byłem.

Do spotkania z Kowalską miałem kilka godzin. Najpierw snułem się po centrum Krakowa, potem poszedłem na obiad do pierwszej restauracji, której szyld wpadł mi w oczy. Kuchnia polska i włoska. Niezły zestaw, ale karmili przyzwyczajenie.

Próbowałem wydzwonić Tyszkę. Bez powodzenia. Zirykowałem się, bo najpierw chłop deklaruje, sam z siebie, pomoc, a potem znika jako ten sen złoty. Może jednak prowadził właśnie z Polańskim śledztwo, a znając pracoholizm Mundka, pewnie Adaś nie miał czasu nawet podrapać się po tyłku, o odbieraniu prywatnych telefonów nie wspominając. Zastanawiałem się też nad ostatnimi słowami mecenasa Zawadzkiego. Dlaczego wspomniał, żeby nie grzebał w przeszłości jego rodziny? Co miał na myśli? Zwyczajnie chciał chronić bliskich, złamaną świeżą traumą? A może sam miał coś za uszami? Co Zawadzki senior nawywiijał prywatnie albo zawodowo, to nie była moja broszka. Interesował mnie przecież Zawadzki junior. Czy słowa, którymi pożegnał mnie mecenas, mogły sugerować, że faktycznie była jakaś „ponura tajemnica” z przeszłości? Na dwoje babka wróżyła.

Restauracja Parkowa bardziej nadawała się na duże imprezy – wesela, komunie czy stypy – niż na rozmowę w cztery oczy, na szczęście jednak w piątek wieczorową porą było pustawo, można było spokojnie porozmawiać. W dużej sali samotnie siedziała tylko jedna kobieta. Obstauiem, że to nie kto inny jak Zenobia Kowalska. Nie pomyliłem się.

Zenobia Kowalska wyglądała jak bogatsza wersja Wiery Dworzak. Bogatsza w sensie dosłownym. Świeżo zrobione włosy, odprasowane markowe ciuchy, staranny makijaż. Zenobia miała jednak tę samą poszarzałą twarz i to samo puste spojrzenia co Wiera.

Nie zamierzałem męczyć Kowalskiej, powiedziałem, kim jestem i co obecnie robię, podkreślając, że przy okazji mogę odkryć, co tak naprawdę przytrafiło się jej córce. Popatrzyła na mnie dziwnie, jakby dając do zrozumienia, że nie do końca mi wierzy, ale skinęła głową. Sprzeczny przekaz, ale nie zgłębiałem, co to oznacza. Od razu spytałem ją o „ponurą tajemnicę”. W pierwszej chwili uciekła wzrokiem w bok, wykrzywiając przy tym usta, jakby na ścianie tuż obok zobaczyła obrzydliwego, włochoatego pajaka. Zaraz jednak spojrzała na mnie i powiedziała, że nie ma żadnych tajemnic, przynajmniej takich, o których by wiedziała, że Kalina świetnie się uczyła, była lubiana. Istny ideał. Nie wnikałem. Wystarczył mi umykający wzrok Zenobii. Nie drążyłem tematu dlatego też, że byłem pewien, że Kowalska nic mi już nie powie. Poza tym doznałem nagłego olśnienia i wiedziałem, którą ścieżką podążać, aby dowiedzieć się czegoś konkretnego o tajemnicy sprzed lat. Albo jednoznacznie potwierdzić, że takowej nie było.

– Lepiej niech pan się przyjrzy temu całemu Skarżyńskiemu – wypaliła niespodziewanie.

– Mężowi Kaliny? A co z nim nie tak?

– Wszystko. Tyle razy prosiłam Kalinkę przed ślubem, żeby dobrze się zastanowiła. Od początku mi się nie podobał. I tak zostało.

Jasne, mogło tak być. Ale ile matek nie lubi swoich zięciów? Imię ich milion.

– Dlaczego Skarżyński nie wydawał się pani dobrą partią?

– To nawet nie chodzi o takie myślenie – powiedziała szybko. – Partia nie partia... Wcześniej nie wtrącałam się w związki Kalinki, nawet specjalnie nie komentowałam. To były jej wybory. Ale Skarżyński... Niby miły, kulturalny, jakieś biznesy kręcił, więc facet z potencjałem... Tyle że wydawał mi się śliski i fałszywy. I odniosłam wrażenie, że wcale Kalinki nie kocha.

Nie skomentowałam, że wszystkie wniosłe uczucia, szczególnie w małżeństwie, są mocno przereklamowane. Nie chciałem sproszyć Zenobii, pozwoliłem się wygadać kobiecie, bo robiło się coraz bardziej interesująco.

– Nawet intercyzy nie podpisali, choć mąż nieboszczyk naciskał, żeby wszystko było na papierze. Kalinka dostała od nas sporo pieniędzy. I stało się to, co się stało.

– A dokładniej?

– Kiedy Skarżyński dostał dzięki Kalince zastrzyk finansowy, całkiem poszedł w biznesy i przestał się córcią zajmować. Właściwie żyli obok siebie. Nawet dziecka nie chciał jej dać...

Spuściła głowę. Zenobia Kowalska, która nie doczeka się już wnuków, bo Kalina była jedynaczką. To mogło wyjaśniać, dlaczego Kalina skupiła się na pielęgnowaniu urody i popijaniu. Choć nie musiało. Równie dobrze mogła być pustą lalą, której taki styl życia zwyczajnie odpowiadał.

Obiecałem, że będę przyglądał się wszystkiemu i każdemu, o ile tylko wyda mi się to istotne. To mnie nic nie kosztowało. Dopilem kawę i chciałem się pożegnać, kiedy nagle Kowalska powiedziała z naciśnięciem:

– I niech pan więcej się ze mną nie kontaktuje.

– Ale...

Przerwała mi i dorzuciła:

– Chyba że pan odkryje, że ktoś Kalince zrobił krzywdę.

Zanim ruszyłem z powrotem do Krakowa, sięgnąłem do schowka po telefon, który tam zostawiłem. Jedna wiadomość i cztery nieodebrane połączenia. „Zawadzki czysty”, lakonicznie raportował komisarz Buc. Dzwoniła Paulina, ale nie nagrała wiadomości. Chciałem od razu oddzwonić, ale się rozmyśliłem, odłożyłem to na jakieś bliżej nieokreślone potem. Zdaje się, że zaczęło mi to wchodzić w nawyk. Dobijał się też Staszek Kielbasa. I tak długo wytrzymał, wcześniej podejrzewałem, że będzie mnie nękał telefonami dzień w dzień. Pewnie miał robotę albo szanowna małżonka pilnowała go, aby bez potrzeby nie kontaktował się z podejrzanym kolegą. Z paplaniny Staszka zrozumiałem tyle, że chce się ze mną umówić na piwo. Będzie na to czas albo i nie. Im mniej Kielbasy w moim życiu, tym lepiej. W końcu raczył się też objawić Tyszka, dzwonił dwa razy, ale nie raczył zostawić żadnej wiadomości. Oddzwoniłem, długo trwało, nim odebrał. W tle słychać było knajpiane odgłosy. Zacząłem mówić, czego mi trzeba, ale nie chciał mnie słuchać. Powiedział głosem, w którym pobrzmiwało kilka głębszych, że najlepiej by było, żebym podjechał do Mysłowic i pogadał z nim jak biały człowiek, twarzą w twarz, bo on nie lubi gadek przez telefon. Dobre sobie. Jednak go rozumiałem. Poza tym nie miałem już tego dnia nic do roboty, do Mysłowic nie było daleko, a do tego znajdowałem się niedaleko południowej obwodnicy Krakowa, z której od razu wpadało się na autostradę A4. Zgodziłem się. Tyszka czekał na mnie w pubie U Ponurego Szwagra. Śliski zięć, ponury szwagier. Nieźle jak na jeden wieczór.

Nazwa knajpy była jak najbardziej odpowiednia. Mieściła się w niewielkim, parterowym budynku stojącym na skraju zdziczałego parku. Zakurzone szyby, szary tynk skruszony przez oplatającą wszystkie ściany winorośl. Mimo wieczornego chłodu przy stoliku ustawionym na niewielkiej werandzie siedziało nad piwem czterech typów. A jakże, ponurych. Odprowadzili mnie wzrokiem. Na szczęście bez słowa. Mieli czarne kreski na powiekach. Górnicza brać.

Kiedy otworzyłem drzwi, uderzył we mnie smród przetrawionego alkoholu, starego tłuszczu, moczu i fajek. Nikt tu nie przejmował się zakazem palenia w knajpach. Tyszka siedział w kącie przy niewielkim stoliku, na którym stały cztery kufle z grubego szkła. Trzy puste i jeden z pozostawionym łykiem piwa. Zanim usiadłem, zanim w ogóle się odezwałem, podkomisarz popukał palcem w niedopity kufel. Zrobiłem w tył zwrot do baru i przyniosłem mu kolejny browar.

– A ty co, synek, chory? Nie zdziwiaj, tylko napij się ze mną.

Wróciłem do baru. Może picie przed powrotem samochodem do Kraków nie było najrozsądniejsze, ale raz, że zwyczajnie miałem ochotę na piwo, dwa, nie chciałem zrażać Tyszki, którego pomocy przecież potrzebowałem.

Przepiliśmy do siebie, zapaliliśmy. Streściłem podkomisarzowi, co do tej pory udało mi się ustalić. Nie przerywał mi, tylko co jakiś czas kiwał głową. Nie do końca wiedziałem, co potakiwanie oznacza.

– I co niby mam dla ciebie zrobić? – zapytał, kiedy już skończyłem sprawozdanie ze śledztwa. Nie tak znowu długie.

– Dowiedzieć się w biurze turystycznym wszystkiego, co się da, o tej promocji czy loterii. Jak to się odbywało, kto tym kierował.

– Myślisz, że to jest jakiś trop? – Tyszka wydawał się sceptyczny.

– Innego nie mam. Poza tym dwie znajome osoby wygrywają wyjazd i na tym wyjeździe giną. Co najmniej zastanawiające.

– Ja tam na biurach, wyjazdach i promocjach się nie znam. – Tyszka zakaszła i odpałił od niedopałka następnego papierosa. – Najdalej byłem na Helu. I źle się to skończyło. Od tego czasu nie ruszam rzyci ze Śląska, jak nie muszę. Ale zrobię to dla ciebie. Popytam.

O nic więcej mi nie chodziło. Niech Tyszka chociaż spróbuje zweryfikować ślad, do którego nie miałem dojścia.

Siedzieliśmy bez słowa, popijając i paląc. U Ponurego Szwagra nie puszczano muzyki. Wkoło szemrały głosy facetów, którym zapewne nigdzie się nie spieszyło. A już na pewno nie spieszyło się do domów.

Przyszło mi do głowy pytanie, którego nie powinienem zadawać. Ale zadałem:

– Nie masz do kogo wracać?

Tyszka wypuścił dym nosem i spojrzął na mnie przez szary całun. W jego wzroku zobaczyłem zmęczenie i rezygnację.

– Matka umarła, ojciec schorowany i marudny. Rodzeństwa nie mam. A kobiety... – zawiesił głos. – Była niedawno jedna, nawet... Ale w naszej robocie wiesz, jak jest, trudno utrzymać związek.

Nie musiał mi tego tłumaczyć. Był w Tyszcze głęboki smutek, o tyle dotkliwy, że oswojony i zaakceptowany. Nie chciałem, żeby przelał się na mnie. Nie teraz. Dopilem piwo i skłamałem, że muszę się zbierać, bo na rano mam umówione spotkanie. Tyszka tylko kiwnął głową. Nie wstał, nie wyciągnął ręki na pożegnanie. Kiedy podnosiłem się krzesła, powiedział:

– Synek, uważaj na siebie.

Przez całą drogę do Kraka zastanawiałem się, dlaczego wypowiedział to zdanie.

11 października 2014, sobota, Kraków

Czasami mam problemy z ustaleniem priorytetów. Z kilku rzeczy, które powinienem zrobić, zazwyczaj biorę się za najmniej istotną. Bałamutna strategia uników. Nie chciałem się męczyć, unikałem poważnych spraw i ostatecznych rozwiązań. Powtórzę: zazwyczaj. Taki ze mnie był życiowy bohater. Tego przedpołudnia też postawiłem na unik i zamiast zrobić to, co zaplanowałem sobie jeszcze poprzedniego wieczoru i co uznałem za najważniejsze, postanowiłem spotkać się ze Skarżyńskim.

Słowa Kowalskiej seniorki zaintrygowały mnie, to prawda. Bez wątpienia małżeństwo Kaliny nie było modelowe, Skarżyńskiemu mogło chodzić tylko o pieniądze. Nie on pierwszy, nie ostatni. Chociaż nie wydawało mi się prawdopodobne, że właśnie on zrobił żonie krzywdę. Po co miałby to robić? Przecież dostał, czego chciał. Poza tym, z tego, co

mówił Koziej i co wyszperałem w internecie, pieniędzy mu raczej nie brakowało, jego liczne, zróżnicowane i zbilansowane biznesy kręciły się jak karuzela przy święcie. A ponieważ zdarzało mu się działać na granicy prawa albo nawet poza nim, powinno mu zależeć, żeby nie pchać się w światła policyjnych jupiterów. „Ciszej jedziesz, dalej dotrzesz”, tak, zdaje się, mawiają Rosjanie. Aż tu nagle nieszczęśliwa śmierć żony. Nie mieściło mi się w głowie, że mogło chodzić o inną kobietę, choćby o tę długonogą klaczkę jak z żurnala mód, która teraz urzędowała w jego domu. Pewnie i tak miał cały harem na telefon albo pożądające sponseringu studentki zainstalowane w wynajętych kawalerkach. Doskonale zdawałem sobie z tego sprawę, jednak było w Skarżyńskim coś, co mnie niepokoiło, nie dawało mi spokoju. Od pierwszej rozmowy z nim. Co to takiego? Nie miałem pojęcia. I do tego zwyczajnie go nie lubiłem, nie miałem więc obiekcji, żeby szanowanego człowieka biznesu ponękać.

Skarżyński tradycyjnie nie odebrał telefonu, zrzucając mnie z linii. Tym razem byłem jednak uparty i zdeterminowany. Podjechałem do biura jego firmy matki, które mieściło się przy Zakopiańskiej, mając cichą nadzieję, że przy sobocie świeży wdowiec jednak tam będzie. Biznesów w końcu trzeba pilnować. I trafiłem. Biuro jak biuro, widziałem takich setki, wyglądało na średni interes. Żadnej ostentacji, zero pokazówki, jedynie sekretarka była wysoce dekoracyjna. Nałgałem jej, że jestem umówiony z panem prezesem. Skupiła się na poszukiwaniach mojego nazwiska w kajeciku, więc z miejsca ruszyłem w stronę drzwi gabinetu szefa. Bidula zorientowała się, co się dzieje, kiedy sięgałem do klamki.

- Ale nie można, pan prezes zajęty - pisnęła, zrywając się na równe nogi.

Bez pukania wparowałem do środka. Skarżyński rzeczywiście był zajęty. Klarował coś lekko spoconemu młodziankowi, który nerwowo przerzucał trzymane w ręku kartki. Pewnie podwładny, który właśnie zbierał opinie. Pan prezes wbił we mnie wzrok. Nieco zdziwiony. Gęba

wyrzywiła mu się w parodii uśmiechu. W tej chwili nie wyglądał na spokojnego, solidnego biznesmena.

Sekretarka, pokrzykując w kółko, że nie można, chciała się rzucić między mnie a prezesa. Zaiste dzielna, oddana robocie pracownica. Skarżyński powstrzymał ją gestem dłoni, drugim odprawił młodzianka, który błyskawicznie pozbiierał papiery i pomknął za drzwi. Musiał ich tu wszystkich trzymać krótko. Trzecie machnięcie skierowane było w moją stronę. Odczytałem gest jako zaproszenie, żebyśmy usiadł.

Nie przywitałem się z nim, on ze mną również nie. Milczeliśmy.

– Jak to pan określił przy naszej poprzedniej rozmowie? Że jest pan prywatnym detektywem? – spytał.

– Tak – brnąłem w kłamstwo, choć czułem, co się święci.

– Nie jest pan detektywem, sprawdziłem – powiedział lekkim tonem, jakby nie chodziło o ewidentne kłamstwo, ale drobne nieporozumienie towarzyskie. – Jakiś czas temu zwolnił się pan z policji. Czyli, jak dla mnie, jest pan nikim.

Do mistrzów delikatności nie należał, ale też niezbyt delikatnie wprosiłem się do niego na audiencję.

– Właściwie powinienem teraz zadzwonić po ochronę... – Spojrzał na zegarek, jak mi się wydawało inny niż ten, który widziałem przy pierwszym naszym spotkaniu. – Ale bawi mnie pana zajadłość, więc daję panu pięć minut.

– Wystarczy, bo mam tylko dwa pytania.

Znowu machnął dłonią, potem potarł podbródek. Zastanawiająca nadczynność ruchowa.

– Żona Zawadzkiego potwierdziła, że była jakaś „tajemnica z przeszłości”, która połączyła Zawadzkiego i pana żonę. Pewnie dlatego po latach tak do siebie lgnęli. – Ostatniego słowa użyłem specjalnie. Nie zrobiło jednak wrażenia na moim rozmówcy. Żadnego. – Stwierdził pan, że mówiliście sobie wszystko. Naprawdę nigdy nic nie wspominała na ten temat?

- A pan znowu o tych pierdołach - zachnął się pan prezes. - Nie mam bladego pojęcia, o jaką tajemnicę chodzi. Absolutnie nie interesowałem się szczegółami licealnego pożycia Kaliny.

- To raczej nie o pożycie...

- Drugie pytanie, bo czas mija - przerwał mi bezceremonialnie.

- Rozmawiałem z matką Kaliny. - Skrzywił się wyraźnie. Pewnie podobnie jak nie kochał żony, tak nie miał ciepłych uczuć dla teściowej.

- Nie podpisał pan z żoną intercyzy.

Wbił we mnie wzrok, złożył dłonie w piramidkę. I tak trwał przez dłuższą chwilę. Pan prezes sfinks.

Nagle wybuchnął głośnym rechotem. Aż podskoczyłem na krześle. I tak właśnie. Nie był to zwykły śmiech, ale rechot. Wydał mi się trochę obleśny.

- I wykombinował pan sobie - zaczął, gdy się już narechotał - że zabiłem Kalinę, żeby się dostać do jej kasy, tak?

Potwierdziłem skinieniem głowy, że właściwie odczytał moją śledczą intuicję.

- Panie niby-detektywie, to ja miałem i mam prawdziwą kasę. - Ostatnie trzy słowa niemal wyskandował. - Kalina miała tylko drobne. Niezależnie od tego, co bredzi ta stara wiedźma, jej matka.

Urwał i spojrzał na zegarek.

- Dzwonić po ochronę czy sam pan znajdzie drogę do wyjścia?

Żaden z nas nie wypowiedział pożegnalnych formułek. Prezes Skarżyński nie był tego wart. Pewnie on był tego samego zdania.

Więzienie albo koszary. Tak pomyślałem, stojąc na ulicy Retoryka i patrząc na stary budynek, w którym mieściło się VII Liceum Ogólnokształcące, ponoć jedno z lepszych w Krakowie. Zresztą większość budowli użyteczności publicznej wzniesionych przez zaborców na południu i zachodzie kraju wyglądała podobnie. Ponura, złowieszczą funkcjonalność.

Musiąły trwać lekcje, bo cisza na korytarzu aż dzwoniła w uszach. Znalazłem sekretariat, zapukałem, wprawdzie nie usłyszałem zaproszenia, ale wszedłem. Za biurkiem królowała kobieta z wielkim, siwym kokiem na czubku głowy. Spojrzała na mnie znad okularów, zmrużyła oczy, jej twarz pokryła się siateczką zmarszczek. Pewnie pracowała tu od dziesięcioleci. Albo od zawsze. Wyłuszczyłem, z czym przybywam, starając się włożyć jak najwięcej emocji w zapewnienia, że bardzo zależy mi na wyjaśnieniu tajemnicy śmierci absolwentów tej jakże zacnej placówki edukacyjnej.

– Pamiętam bidulkę. Kalinka tak dobrze się uczyła – powiedziała chropawym głosem nałogowej, wieloletniej palaczki.

Sporo już się o Kowalskiej dowiedziałem, ale jak dotąd nikt nie twierdził, że świetnie się uczyła. Może sekretarka zwyczajnie zmyślała, może miała wybitną pamięć, co w jej zawodzie nie było rzadkością, kto wie. Spytałem, czy jest dyrektorka, akurat była u siebie i zostałem wpuszczony.

Z dyrektorką, zasuszoną czterdziestolatką w za dużej garsonce, nie poszło mi już tak dobrze. Na pytanie o szkolną karierę Kowalskiej i Zawadzkiego u schyłku lat dziewięćdziesiątych odpowiedziała, że wtedy jeszcze nie pracowała w VII LO. Na prośbę o podanie namiarów na kogoś, kto wiedziałby coś konkretnego o tych uczniach, zasłoniła się ustawą o ochronie danych osobowych. Nieużyta sucz. Nie powiedziałem tego na głos, pożegnałem się z wyszukaną galanterią.

Skinąłem głową sekretarce na do widzenia i ruszyłem do drzwi, ale na chwilę zatrzymał mnie jej szept:

– Pan poczeka za drzwiami.

Nie czekałem długo. Wymknęła się cicho ze swojej biurowej świątyni i pociągnęła mnie za rękaw za sobą. Schodkami zesłiśmy do drzwi prowadzących na tyły szkoły, stanęliśmy za załomem muru. Sekretarka wyciągnęła papierosy i zapaliła. Trafiliśmy do nielegalnego kącika palacza. Poczułem się jak za starych szkolnych czasów, kiedy popalaliśmy

przy garażach za szkołą. Też wyciągnąłem swoje fajki. Jak sztama, to sztama.

- Co, niczego się pan od tej tam nie dowiedział? - To było raczej stwierdzenie niż pytanie. Zdaje się, że nie pałała do przełożonej przesadną miłością.

Pokręciłem głową.

- Tak mi szkoda tych dzieci - powiedziała nieco płacząco.

- Dzieci? - W pierwszej chwili nie załapałem, o kogo chodzi.

- No, Kalinki i Filipka.

Trudno mi było myśleć o zmarłych trzydziestolatkach w kategoriach dzieci, pewnie jednak dla starożytnej sekretarki było to najzupełniej naturalne. Pytałem, czy wie coś na ich temat, czy może byli uwikłani w jakąś szkolną aferę. Wypuściła chmurę dymu, zdeptała niedopałek i powiedziała:

- Było, coś tam było. Ale ówczesna dyrektorka trzymała wszystko w wielkiej tajemnicy. Nawet mnie nic nie chciała powiedzieć. - W głosie sekretarki zabrzmiał wyrzut.

Już otwierałem usta, żeby poprosić o kontakt do dawnej dyrektorki, gdy wcisnęła mi do ręki małą kartkę.

- Telefon do dyrektora Jagiełło - powiedziała. - Muszę iść, bo jak ta zołza się zorientuje, że z panem rozmawiam, zrobi mi piekło.

Stałem na tyłach budynku VII LO, patrzyłem na zwykłą, samoprzylepną kartkę i czułem, że od dzisiaj będę lubił kobiety z kokami.

Ogródki działkowe rozciągające się na sporym obszarze między ulicą Nowohucką a Wisłą niewiele miały wspólnego z ciechanowskimi działkami, na które prowadziła mnie lata temu Felicja. Właściwie ciągnęła, bo szczerze nienawidziłem grzebania w ziemi. Wtedy były to głównie warzywniki, dzięki którym ludzie mieli dostęp do świeżych i tanich plonów ziemi. Teraz otaczały mnie zewsząd minirodzy pełne roślin, których nie umiałem nazwać, a pewnie nawet nigdy wcześniej takich nie

widziałem. Niektóre zaś altany wyglądały jak niewielkie, wypieszczone dacje.

Szukałem działki numer 298, zajęło mi to trochę czasu, bo system numeracji był zawiły. Jednak, jeśli chciałem zostać detektywem, znaleźć musiałem. I znalazłem. Pchnąłem uchyloną furtkę, poszedłem dróżką wykładaną płaskimi kamieniami w stronę altany. Wyszła mi naprzeciw kobieta w roboczym stroju, nie wyglądała jak staruszka. Wiadomo, wczesna emerytura nauczycielska.

Dyrektor Jagiełło chciała się ze mną spotkać od razu, nie musiałem jej nawet zbyt namawiać przez telefon. Niewykluczone, że zwyczajnie się nudziła, potrzebowała rozmowy z kimś nowym, jednak z jej głosu wyczytałem coś w rodzaju ulgi pomieszanej z napięciem. Pomyślałem, że chyba czekała na kogoś takiego jak ja. Kogoś, kto przyjdzie i wprost zada pytanie o „ponurą tajemnicę” Kowalskiej i Zawadzkiego. Zanim jednak przeszliśmy do rzeczy, zrobiła mi na gazowej kuchence kawy, poczęstowała jabłkami i gruszkami prosto z niewielkich drzew rosnących wokół domku. Nie miałem ochoty na witaminy, zdecydowanie większą na informacje.

– Właściwie kiedyś dałam słowo, że nikomu o tym nie powiem – zaczęła, gdy już zasiedliśmy za solidnym, drewnianym stołem. – Ale po tym, co się stało w Grecji...

Jagiełło zamilkła i zapatrzyła się przed siebie. Co widziała? Klomb róż czy obrazy z przeszłości?

– Wie pan, po latach ta sprawa wciąż nie daje mi spokoju.

– Proszę mi powiedzieć, co się stało?

– Właściwie do końca nie jestem pewna – powiedziała i westchnęła.

Zacząłem się obawiać, że tak prowadząc rozmowę, nie skończymy przed zmrokiem.

– W 1998 roku przyszedł do nas nowy nauczyciel matematyki... – Jagiełło wreszcie zdecydowała się przejść do rzeczy. Przynajmniej miałem taką nadzieję. – Niby miał trochę doświadczenia, uczył na zastęp-

stwach, ale w gruncie rzeczy był zielony. A przy tym taki jakiś za spokojny, jakby wycofany. Chociaż może tylko tak mi się zdawało.

- Ale co to ma wspólnego z tą dwójką, która mnie interesuje? - Zacząłem się niecierpliwić.

- Dojdę do tego - odparła spokojnie. - Był bardzo ambitny, zależało mu, żeby jak najlepiej przekazywać wiedzę. Tak początkujący nauczyciele często mają, później zwykle ich zapał stygnie. Ta praca, wie pan, szybko wypala. Nazywał się dosyć zabawnie Jacek Staś.

Upiła łyk kawy i po raz kolejny zapatrzyła się przed siebie.

- I co z nim?

- Dałam mu wychowawstwo klasy, w której uczyli się Kowalska i Zawadzki, bo akurat ich wychowawczyni poszła na macierzyński. - Miałem nadzieję, że Jagiełło zbliża się do sedna sprawy. - Na moje nieszczęście. Przez pierwsze miesiące roku szkolnego był względny spokój. Potem zaczęły się skargi, że Staś za dużo zadaje, że nie pozwolił na wyjazd na klasową wycieczkę, bo to ponoć miało zaburzyć tok nauki. Mówiłam, był z tych ambitnych. Z ręką na sercu, zbagatelizowałam sprawę. Tak bywa z nowymi wychowawcami. Potrzebują czasu, żeby się z dziećmi dotrzeć.

Jagiełło znowu przerwała, najwyraźniej ta opowieść sporo ją kosztowała. Wykorzystałem moment i spytałem, czy mogę zapalić. Bez słowa wstała i przyniosła popielniczkę.

- Rozumiem, że to nie był koniec problemów - powiedziałem, by zachęcić ją do mówienia.

- Później w ogóle było fatalnie. - Westchnęła. - Kowalska przyszła na skargę, że Staś wymusza na uczniach płatne korepetycje.

- Kiedyś to chyba w szkołach była powszechna praktyka - palnąłem. Jagiełło zgromiła mnie wzrokiem.

- Może, ale na pewno nie u mnie w szkole. Myślałam, że da się sprawę załagodzić, wytłumaczyć, że może doszło do nieporozumienia. I wtedy Kowalska wypaliła, że nauczyciel ją molestował.

- W sensie ten Staś?

- Tak, właśnie, nauczyciel matematyki, do tego jej wychowawca. A Zawadzki dorzucił, że widział coś podejrzanego podczas przerwy. Nie mieściło mi się to w głowie. Wie pan, czasy były takie, że o molestowaniu czy pedofilii jeszcze się tak powszechnie nie mówiło, nie pisało.

- Co na to matematyk?

- Zaprzeczał, wypierał się wszystkiego, ale tak jakby bez przekonania. Urządziłam konfrontację z udziałem uczniów i ich rodziców. Był mecenas Zawadzki i matka Kowalskiej. I tak jakoś wyszło...

- Mogę się domyślać, poznałem oboje. Ten cały mecenas jest nieprzyjemny.

- Może, nie wiem. Tyle że to szanowany w mieście człowiek. Naciśkał bardzo. Poza tym musiałam dbać o reputację szkoły, nie mogłam dopuścić, aby jakieś smrody roznosiły się wokół liceum. - „Smrody”, ciekawy eufemizm. - Dałam Stasiowi wybór: albo sam się zwolni, albo idę na policję. Nie chciał walczyć, następnego dnia złożył wypowiedzenie.

Nie skomentowałem, że dyrektor Jagiełło chyba niezbyt dogłębnie zbadała sprawę. Wolała poświęcić nauczyciela, niż wejść w konflikt z „szanowanym człowiekiem”. Jednocześnie ciekawe, jak bym postąpił w podobnej sytuacji? Nie miałem pojęcia. Całe szczęście, że nigdy nie byłem nauczycielem.

- I sprawa zamknięta - skomentowałem.

- I tak, i nie. Staś zniknął mi z oczu, potem jednak miałam wyrzuty sumienia.

- A to dlaczego? Podjęła pani decyzję, i tyle.

- Wie pan, targały mną emocje. Nieoficjalnymi kanałami wysłałam Stasiowi wilczy bilet, powiedziałam kilku koleżankom, żeby raczej go nie zatrudniały. - A to żmijka. Nic dziwnego, że miała potem wyrzuty sumienia. - A do tego... Do matury były jeszcze dwie sprawy, tym razem pomiędzy uczniami, z udziałem Kowalskiej. Jakieś oskarżenia, pomó-

wienia, nie pamiętam już szczegółów. W jednej z nich wyszło, że Kowalska kłamała...

– Czyli mogła także skłamać w sprawie nauczyciela.

– Jak teraz o tym myślę, na chłodno, była do tego zdolna – przyznała, choć, jak mi się wydawało, niechętnie.

Zamilkła po raz kolejny. Zgasiłem niedopałek, który zaczął parzyć mi palce.

– Wie pani, co się potem działo ze Stasiem?

– Nie, jakoś tak nie było okazji, by się dowiedzieć.

Ani też nie było woli, ani chęci. Podejrzywałem, że dyrektor Jagiełło szybko wyrzuciła młodego nauczyciela z pamięci. Dla higieny psychicznej.

Pożegnałem się z emerytowaną nauczycielką, zastrzegając, że może jeszcze będę miał do niej pytania. Szedłem powoli przez działki, które już wyzłociły się jesienią. Złamana kariera nauczycielska jest jakimś motywem zbrodni. Ale żeby mordował nauczyciel? I do tego tyle lat po sprawie? Nie mieściło mi się to w głowie.

Wróciłem na Kazimierz, żeby zjeść obiad. Postawiłem na kolejną lokalną atrakcję kulinarną, czyli bar U Endziora w Okrągłaku na Żydzie, słynący z ogromnych kotletów a la sznyצל wiedeński z zasmażaną kapustą. Czekaając na jedzenie, wydzwoniłem komisarza Buca, każąc mu poszukać adresu Jacka Stasia. Pomruczał pod nosem, ale potwierdził, że niedługo znajdzie. Przyznam szczerze, rozkazywanie prywatnemu niewolnikowi coraz bardziej mi się podobało.

Żując mięso, niestety, niezbyt wybitne, miałem w głowie nowe dane. Wreszcie pojawił się w sprawie jakiegokolwiek motyw. Zadra sprzed lat, niby nie tak znowu wielka, ludzie przecież tracili pracę, to się zdarzało. Jednak mordowano z błahszych powodów. Musiałem sprawdzić, jak dalej potoczyły się losy mężczyzny o nazwisku Staś.

Nagle zastygłem z widelcem pełnym kapusty tuż przy ustach. Uświadomiłem sobie, że być może brałem się do sprawy od niewłaściwej strony. Właściwie od samego początku założyłem, że w Arkoudi grasował seryjny. Lecz właściwie na jakiej podstawie? Modus operandi w każdym przypadku był odmienny. Dwie osoby znały się wcześniej, ale całą trójkę połączył tylko jeden grupowy wyjazd. Niewiele więcej. Może faktycznie czas i miejsce były przypadkowe. Ale zgony już niekoniecznie. Zawadzki mógł się sam utopić po pijaku albo pokłócić się z kimś w knajpie i ten ktoś mu nieco pomógł w odejściu do lepszego świata. Dworzak najpewniej została napadnięta wieczorem na czarnych skałach, o czym świadczył naskórek pod paznokciami. Lubiała się włóczyć sama po zmierzchu, miała też w sobie coś z ofiary, słabość wypisaną na twarzy, co zauważyłem, oglądając dziesiątki jej zdjęć. I na koniec śmiertelne zatrucie Kowalskiej. Staś miał powód, aby się na niej mścić. Tylko jakim cudem miały się znaleźć w Grecji razem z nią? Nikogo takiego nie było na liście uczestników pobytu w hotelu Brati. Mógł być w innej grupie w okolicznych hotelach. Mogli całkiem przypadkiem na siebie wpaść. Takie rzeczy wbrew pozorom się zdarzają.

I odżyła nienawiść.

Ciepnałem widelec na talerz, rozchlapując kapustę po stoliku. Para siedząca obok popatrzyła na mnie z przyganą. Trudno. I drugie trudno, że wciąż jedyne, co miałem w sprawie trupów z Arkoudi, to hipotezy. Wątle.

Cichy brzdęk zasygnalizował nadejście esemesa. Buc się spisał. Jego ustalenia mnie zaintrygowały, bo podał tylko ostatni adres, z którego Staś się wymeldował w 2001 roku, a nie ustalił nowego miejsca stałego pobytu. Co się z tym facetem stało? Oczywiście mógł to być błąd administracyjny, a komisarz przesadnie nie drażył tematowi.

Zostawiłem niedojedzonego kotleta. Na pewno zajmą się nim miejscowe żuliki. Albo wszystkożerne gołębie, krakowskie latające szczury.

Stałem na ulicy Kościuszki przed trzypiętrową kamienicą. Na pozór świetna miejscówka: blisko Rynku, kilka kroków od Wisły, jednak nie chciałbym mieszkać przy ruchliwym trakcie, którym raz po raz śmigały tramwaje. Choć to pewnie kwestia przyzwyczajenia, jak wszystko. Obok znajdowała się siedziba zacnego wydawnictwa Znak. Pomyślałem, że to może dobry omen. Albo zły. Się okaże.

Wspiałem się na drugie piętro, zapukałem w solidne, stare drzwi. Odpowiedziały mi echo i szuranie kapturami. Otworzyło mi dziewczę w stroju, który określiłbym jako negliż. Trochę się zdziwiłem. Po wyjaśnieniach, kim jestem, wpuściło mnie do środka. Iście dziewczęca lekomyślność. W kuchni siedziało drugie dziewczę, tak samo bardziej rozebrane niż ubrane, które paliło papierosa i wykazywało bardzo umiarkowane mną zainteresowanie – a pewnie też całym światem. Zdaje się, że obie były mocno skacowane.

Nie kojarzyły Jacka Stasia ani nawet poprzednich mieszkańców. Mieszkanie wynajęły od firmy Domix, która zajmowała się sprawami tego lokalu. To jej płaciły, to jej pracownik zjawiał się w razie problemów. Tyle mojego szczęścia. Wypaliliśmy po papierosie, dziewczę, które mi otworzyło, ponarzekowało, że drogo im wychodzi to mieszkanie. Dziewczę kuchenne odezwało się po raz pierwszy i ostatni z przesłaniem, że trza się przenieść.

Zszedłem na dół, dla spokoju sumienia zadzwoniłem do Domixu, aby się dowiedzieć, co było do przewidzenia, że nie mają w zwyczaju udzielać obcym informacji o swoich klientach. Tym bardziej przez telefon. Stałem tuż przy ścianie, zastanawiając się, co dalej. Staś mógł być wszędzie, mieszkać na sąsiedniej ulicy, na drugim krańcu Polski, gdzie nie sięgała zła sława, o którą zadbała dyrektor Jagiełło. Albo szorować gary w Anglii.

Poczułem na sobie czyjś wzrok, spojrzałem w górę i na wysokim parterze zobaczyłem babę okienną, starszawą, z ramionami grubymi jak moje uda. Najlepsze z możliwych źródeł informacji. Sprzedałem jej kit, że jestem kolegą z liceum Stasia, że straciliśmy kontakt, bo wyjecha-

łem do Stanów, i teraz go szukam. Dziwiąc się sobie, że umiem tak łączyć na poczekaniu.

– Jakoś cię tu, chłopcze, nie widziałam... – Była nieufna jak to baba okienna.

– Na pewno pani mnie widziała, tylko latka lecają, ludzie się zmieniają, ja akurat bardzo. – Rozłożyłem ręce, by bez słów wyrazić żal za młodością, która mija nazbyt szybko.

– Ale ty, chłopcze, nie jesteś żadnym tam zboczeniem, co?

– Polak, katolik, z żoną i dziećmi, jak się należy – zapewniłem z pasją.

– To zapraszam, porozmawiamy.

O nic innego mi nie chodziło. Trochę zdziwiło mnie, że po jej niewielkim mieszkaniu nie płacze się ani kot, ani pies. Najwyraźniej należała do rzadkiego podgatunku bab okiennych, które nie przepadały za zwierzętami. Posadziła mnie przy stoliku nakrytym koronkową serwetą, ugościła przesłodzoną herbatą i ciastem, które upiekła chyba przed Świętami Wielkanocnymi. Paplała bez przerwy o pogodzie i dręczących ją dolegliwościach. Chciałem już jej przerwać, gdy zrobiła zboląłą minę i powiedziała:

– A ze Stasiami prawdziwa tragedia była. Nie chciałam ci mówić od razu, chłopcze, żebyś na szok nie zapadł.

Nie powiem, zaskoczyła mnie tak, że ledwo wydukałem, co pewnie w jej oczach potwierdziło moją legendę:

– Co się stało? Co z Jackiem?

– Z Jackiem to za bardzo nie wiem. Będzie ładnych parę lat, jak go tu widziałam. Zniknął.

– Ale dlaczego? – udawałem niezorientowanego w temacie problemów Stasia.

– Do końca to nie wiem. Jacek i jego matka, no nie powiem, grzeczni, zawsze „dzień dobry”, czasem tylko na schodach o pogodzie zagadali, ale jacyś tacy nietowarzyscy byli. Kiedyś nawet Stasiową

zapraszałam na kawę, ale ona nie i nie, zawsze się wykręcała, że niby zabiegana. Kobiecinę rozumiałam, sama z dzieckiem. Nielekko w życiu miała.

– Proszę, Jacek... – przerwałem, bo pewnie mogła ciągnąć swoją opowieść bez końca.

– A Jacek, tak. – Oderwała kawałek ciasta, przyjrzała mu się uważnie i chyba stwierdziła, że nie ma co ryzykować zdrowia, bo odłożyła na brzeg talerzyka. – Dostał pracę w liceum. Bo on nauczycielem został.

– Ooo! – Udałem zdziwienie.

– Tak. Powiem ci, chłopcze, wiedziałam, że nic z tego dobrego nie będzie. – Wszystkowiedząca, jak to baba okienna. – To przecież taki niemęski zawód. Nie minęło wiele czasu i go zwolnili. Stasiowa tak biadoliła, że dobry chłopak, że go skrzywdzili. Nie wiem, o co poszło. Chyba już z miesiąc albo i dwa Jacek bez roboty był, kiedy Stasiowa się obwiesiła.

– Jak obwiesiła? – Tym razem byłem rzeczywiście zdumiony.

– Normalnie, chłopcze, na kłamce.

Raz i drugi dobijał się do mnie Tyszka, ale akurat trafił na moment, kiedy rozmawiałem z babą okienną. Wyraźnie skrzywiła się na dzwonek telefonu, więc go wyłączyłem. Nie chciałem jej zrazić. Teraz z kolei ja próbowałem dodzwonić się do podkomisarza z Mysłowic. Bezskutecznie. Komunikacja z nim to była jedna wielka rozpacz, niechęcią do odbierania połączeń przebijał nawet mnie. Miałem tylko nadzieję, że trzyma dla mnie w rękawie coś ciekawego i nie każe mi po raz kolejny jechać na Śląsk.

Znowu wbiłem się w korki, powoli sunąłem w stronę Kazimierza, ale tym razem nie irytowałem się ani trochę. Byłem podekscytowany rozmową z sąsiadką byłego nauczyciela. Matka Stasia popełniła samobójstwo. Przez tę aferę z pomówieniem o molestowanie? Być może, na razie nie wiedziałem, ale wszystko wskazywało, że Jacek Staś miał

naprawdę poważny motyw, żeby mścić się na Kowalskiej. A pewnie i Zawadzki. Tylko jak go namierzyć? Baba okienna mówiła, że przez pewien czas po śmierci matki Jacek jeszcze mieszkał przy Kościuszki, prawie nie wychodził z domu. A potem z dnia na dzień zniknął. Pojawił się jeszcze kilka razy, ale mieszkanie dał na wynajem. Skąd ona o tym wiedziała? Pomijając to, że baby okienne z założenia wiedzą wszystko, miała znajomą pracującą w obrocie nieruchomościami, od niej się dowiedziała. Przez jakiś czas, póki ludzie pamiętali o samobójstwie, mieszkanie stało puste. „Kto chciałby mieszkać tam, gdzie huśtał się trup?“, spytała retorycznie. Potem jednak zaczęli tam mieszkać studenci. Skaranie z nimi boskie, podsumowała.

Dowlokłem się wreszcie na ulicę Miodową, miejsce do parkowania znalazłem tym razem na jej początku, niedaleko Starowiślnej, więc miałem trochę do przejścia. Znowu wybrałem numer Tyszki, znowu podkomisarz nie odebrał. Szedłem powoli, starając się wyciszyć myśli po całym dniu. Nie najgorszym. Przynajmniej dla sprawy, którą zdecydowałem się prowadzić. Byłem kilkanaście metrów od mojego hostelu, kiedy usłyszałem zza siebie:

– Rowicki?

Odwrociłem się powoli. Stały przede mną dwa klony. Ostrzyżeni krótko, postawni, na oko silni, jednak nie dzięki mięśniom pasionym sterydami. Obaj w ciemnych okularach. Czyżbym miał problemy?

– Taaak – powiedziałem, przeciągając samogłoskę.

Szerszeń, przeleciało mi przez głowę, kiedy poczułem ból z prawej strony piersi. Całe stado szerszeni.

A potem zapadła ciemność.

Dziennik roku pierwszego X

1 lutego 1999

Bałem się tego poniedziałku, ale też czekałem na ten dzień. Bardzo niecierpliwie. Napięcie mnie wykańczało, chciałem, by coś się rozstrzygnęło, wyjaśniło. Żeby skończył się nieznośny STAN ZAWIESZENIA.

I od razu z samego rana CIOS. Zbierałem się do pracy, kiedy zadzwonił telefon. Sekretarka z liceum przekazała, że nie muszę przychodzić na lekcje, za to dyrektor Jagiełło wyznaczyła mi spotkanie na piątnastą. Poczułem uścisk w żołądku. Bardzo mocny, tym razem nie zwymiotowałem. Zdawałem sobie sprawę, że to kolejny zły ZNAK. Nie przez przypadek Jagiełło umówiła się ze mną na taką godzinę. Wtedy szkoła będzie już prawie pusta. Bała się, że zrobię scenę? Co miała mi do przekazania? Zapewne nic dobrego.

Siedzę przy biurku i piszę, by wypełnić czas do spotkania.

OCZEKIWANIE NA WYROK.

Uciekałem ze szkoły. Uciekałem ulicami Krakowa. Uciekłem do domu. A w domu uciekłem do swojego pokoju. Bez słowa.

Mama tylko popatrzyła na mnie. Tyle jej wystarczyło. Nie spytała o nic, nie przytuliła mnie. ZASTYGŁA. Trudno jej się dziwić. Wyczuła, że wszystko stracone. Bezwrotnie.

Dyrektor Jagiełło właściwie nie dopuściła mnie do słowa. Oznajmiła, że nie zamierza prowadzić w mojej sprawie śledztwa, bo nie jest policją. Chciałem się wtrącić. Powstrzymała mnie gestem dłoni. Mówiła, że policji też nie chce mieszać w tę sprawę, o ile nie będzie zmuszona. Liceum ma świetną opinię i tak ma pozostać. Nie potrzebuje wywekania brudów na zewnątrz. Bla, bla, bla. Znowu próbowałem coś powiedzieć, ale syknęła, że mam się zamknąć, że ma ze mną same problemy. Co nie było prawdą. I do końca nie wie, co zaszło między mną a Kowalską, ale nie zamierza tego dociekać, bo to poniżej jej godności. Tym bardziej że rodzice jej i Zawadzkiego są, kim są. Poważne osoby. Ludzie godni zaufania. I oni, a także inni rodzice, naciskają, bym przestał uczyć w tej szkole. „Inni

rodzice?”, powiedziałem niepewnie. „Cisza!”. Wrzasnęła na mnie jak przekupa z Kleparza.

To nie miało sensu. WYROK JUŻ ZAPADŁ. I nic go nie zmieni, niezależnie od tego, co powiem.

Dyrektor Jagiełło dała mi wybór: albo sam złożę wypowiedzenie w trybie natychmiastowym, albo zostanę zwolniony dyscyplinarnie i sprawa trafi na policję. „Zdaje pan sobie sprawę, jakie kontakty ma mecenas Zawadzki?”, dorzuciła. Niby mimochodem.

DOSKONAŁY WYBÓR. Chciałem tak powiedzieć. Ironicznie. Poświęciła mnie bez wysłuchania moich tłumaczeń, moich racji. Nie powiedziałem nic. Wstałem. Zanim doszedłem do drzwi, usłyszałem, że mam trzy dni na podjęcie decyzji.

2 lutego 1999

Nie potrzebowałem czasu do namysłu. Byłem pewien, że już nie mam czego szukać w tej szkole. Zostałem skreślony. Nie zamierzałem błagać o wybaczenie. Postanowiłem, że moja noga więcej w tym liceum nie postanie. Napisałem wypowiedzenie. Poszedłem na pocztę, wysłałem. Przez chwilę kusilo mnie, żeby pójść do szkoły i zabrać prywatne drobiazgi. Ale nie! Nie dam im tej satysfakcji. A może zwyczajnie bałem się spojrzeń, tłumionych uśmiechów. Na pewno cała historia już się rozeszła po całej szkole. Wśród uczniów i nauczycieli.

STAŁO SIĘ! Po prostu, choć trudno mi przejść nad tym do porządku dziennego.

Po kolacji usiedliśmy z mamą w pokoju. Nastawiłem cicho telewizor, bo drażniła mnie cisza. Opowiedziałem wszystko. Ze szczegółami. Dostrzegłem, jak z każdym moim słowem błędnie. Biedna mama. To był cios nie tylko dla mnie. Dla niej może nawet mocniejszy, bardziej dotkliwy. Przecież tak bardzo chciała, żeby w życiu

było mi dobrze. Tak na mnie liczyła. Zawiodłem ją bardzo. Ale czy na pewno JA?

Pocieszała mnie, jak umiała: że to bzdury, że się na mnie uwzięli. „Życie jest tak bardzo niesprawiedliwe, coś na ten temat wiem”, mówiła. I martwiła się, co dalej. Nie za bardzo wiedziałem. Nie przygotowałem sobie planu awaryjnego, bo nie przewidywałem żadnej awarii. A przynajmniej nie tak szybko. Powiedziałem, że roześlę CV po szkołach, choć trudno będzie w środku roku znaleźć jakąś pracę. Chyba że będę miał szczęście i trafi mi się jakieś zastępstwo. Ja i SZCZĘŚCIE! Dobrze sobie.

6 lutego 1999

Czuję się podle. Atmosfera w domu też jest podła. Niby rozmawiamy z mamą jak zwykle, ale w każdym słowie czai się niewypowiedziany smutek. Porozsyłałem oferty, gdzie się tylko dało. Choć wzdrygałem się przed tym, podzwoniłem po nielicznych znajomych, czy nie wiedzą przypadkiem o wolnym etacie. Niczego konkretnego się nie dowiedziałem.

Nic nie robię, a mimo to dni mijają niepostrzeżenie. Jeden za drugim. Rano mama wychodzi do pracy. Godzinami kręcę się po domu, sprzątam, choć mieszkanie łśni. Albo leżę w łóżku. Po prostu leżę. Bez jednej choćby myśli w głowie. Przeczekuję. Potem wraca mama, jemy obiad, oglądamy telewizję. Rozmawiamy, tak, rozmawiamy, jednak jakby z trudem. Nie wiem, na czym polega zmiana w relacji z mamą. Bo ZMIANA NASTĄPIŁA.

Dziś jest sobota, słyszę, jak mama kręci się po domu. Nie mam siły, by do niej pójść. Niby sobota, ale podobna do poprzednich dni. Tak samo pustych. To już tak będzie? Jak długo? Jutro niedziela, pójdziemy do kościoła i na tradycyjny spacer wokół Błoi. Dzień zostanie wypełniony zwykłymi, powtarzalnymi czynnościami, minie. Nastanie nowy dzień, który nic nie przyniesie. Nic? Nie

powiniennem tak myśleć, jeśli nie chcę osunąć się w beznadzieję. Tak jednak myślę.

26 lutego 1999

Minęły trzy tygodnie. Trzy tygodnie wypełnione bliźniaczymi dniami. Nie było żadnego odzewu ze strony szkół. W końcu po dwóch dniach wewnętrznej walki, że przecież nie mogę się poddać, nie mogę się bać, zacząłem je obdzwaniać. Słyszałem w kółko to samo. Nie ma etatów, nie ma zastępstw dla nauczycieli matematyki. Jak złowieszczy refren. Podczas kilku rozmów z sekretarkami czy wicedyrektorkami odniosłem wrażenie, że po tym, jak podałem moje nazwisko, usztywniały się, chciały jak najszybciej mnie zbyć. Może jednak jestem zwyczajnie przewrażliwiony.

10 marca 1999

Kolejne puste dni następują po sobie. Pograżam się w beznadziei. Tkwię w swoim pokoju, w łóżku. Nie mam siły, żeby wyjść z domu. Nawet nie chce mi się robić wpisów w dzienniku. Bo i po co? Nie o tym miał traktować. Miał służyć mojej pracy, a nie mam pracy.

Widzę, jak mama coraz bardziej się martwi. Zaczęła też napomykać, że powiniennem zarejestrować się w pośredniaku. Zawsze to ubezpieczenie i jakiś pieniądz, mówi. Wiem, że powiniennem. Na razie jednak odpowiadam, że pójdę jutro. Po którym następuje kolejne. Nie mam pojęcia, dlaczego mam opory przed pójściem do urzędu. Może oznaczałoby to ostateczne przyznanie się do porażki? Coś w rodzaju stempla na dokumencie, który już zawsze będzie tkwił pomiędzy moimi papierami?

18 marca 1999

Przez trzy dni szalałem z bólu. Myślałem, że zwariuję. Albo coś sobie zrobię tak, jak... Zabrali mnie do szpitala, dali zastrzyki, po których zobojętniałem. Psychiatra chciał mnie zatrzymać na oddziale, ale nie mogłem tam zostać. Nie w TEJ sytuacji. Wypisał pigułki, kazał brać regularnie. Straszyl, że w innym wypadku będzie ze mną źle. Więc biorę, nie mam innego wyjścia. Teraz jestem spokojny, bo nic nie czuję. PRAWIE. Nie mam pojęcia, czy zwyczajnie wszystko we mnie tam w środku umarło, czy to jedynie chemiczny spokój.

MOŻE JUŻ MNIE NIE MA? JEST TYLKO PUSTA SKORUPA?

Cztery dni wcześniej zmobilizowałem się i poszedłem do pośredniaka. Tylko dlatego, że już nie mogłem słuchać pytań mamy, kiedy wreszcie to zrobię, kiedy wreszcie ruszę się z domu. Oczekałem swoje w długiej kolejce, wypełniłem formularze, odpowiedziałem na bzdurne pytania, próbując nie wybuchnąć: „Ależ oczywiście, że zależy mi na pracy w zawodzie, tak, nie ma problemu, mogę podjąć pracę poniżej moich kwalifikacji i wykształcenia, nie, nie mam nic przeciwko skierowaniu na kursy przygotowujące do pracy w innym charakterze”. Czyli PORAŻKA.

Poczułem ulgę, kiedy wyszedłem z pośredniaka. Był lekki mróz, prószyl śnieg. Od dawna nie byłem dłużej na polu. Wychodziłem tylko do sklepu, jeśli mama mi kazała. I na tradycyjne niedzielne spacerki. Coś na kształt więzienia, tyle że kraty były nie na zewnątrz mnie, lecz we mnie. Poczułem ochotę, by się przejść. Wreszcie cokolwiek poczułem.

Postanowiłem, że wrócę do domu na piechotę. Na początku było ciężko. Wydawało mi się, że wszyscy mijani ludzie na mnie patrzą, próbują przejrzeć mnie na wylot. I że widzą. Nauczyciela oskarżonego o molestowanie uczennicy. Bezrobotnego, choć z prawem do zasiłku. NIEUDACZNIKA. Pochyliłem głowę. Ścisnęło mnie w żołądku. Puls przyspieszył. Powtarzałem w myślach, że to tylko

atak paniki, nic takiego, tylko atak paniki. Po kilkuset metrach puściło. Szedłem. Oddychałem. Czulem, jak mroźna wilgoć lepi się do moich policzków. Przez chwilę było mi dobrze. I tak właśnie pomyślałem: będzie dobrze. Musi.

Wcisnąłem przycisk domofonu, ale mama nie odebrała. Uznałem, że pewnie ucięła sobie drzemkę po obiedzie. Trudno, najwyżej obudzę ją, pochwalę się, że wreszcie poszedłem do pośredniaka. Zrobiłem pierwszy krok na nowej drodze. I że będzie dobrze. Wbiegłem po schodach na nasze piętro. Otworzyłem drzwi, zauważając, że przydałoby się im malowanie, bo tu i ówdzie odchodziła farba. W mieszkaniu było cicho. A więc mama śpi. Zajrzałem do kuchni. Pusto. Zapukałem do zamkniętych drzwi jej sypialni. Bez odzewu. Nacisnąłem klamkę i pchnąłem drzwi. Uchyliły się ledwie na centymetr, coś je blokowało. Dlaczego? Mama właściwie nigdy tych drzwi nie zamykała. Popchnąłem mocniej, uchyliłem na tyle, że mogłem się wsunąć do pokoju. Coś było nie tak, bardzo nie tak. Oblał mnie zimny pot.

Spojrzałem. I zaraz to, co zobaczyłem, wyrzuciłem ze świadomości. Spojrzałem znowu. I znowu... Nie chciałem zrozumieć, że widzę to, co widzę. Nie wiem, jak długo tak stałem, patrząc i nie widząc. Czulem, jak po policzkach płyną mi łzy. Bezgłośnie. Chyba. Składałem obraz w całość. Jak puzzle. Posiniąta twarz. Podkulone nogi. Sznur od prania ściągnięty z łazienki. I język, i jeszcze ten język... Nie miałem siły już patrzeć. Ukucnąłem i sięgnąłem po zmiętą kartkę leżącą przy kolanie mamy. Zwykłą kartkę w kratkę wyrwaną z zeszytu. Rozprostowałem ją starannie. Przeczytałem. Raz, drugi, trzeci...

NIE BĘDZIESZ MIAŁ ŻYCIA, PIERDOLONY ZBOCZEŃCU.

Rozdział piąty

Grecka zmyłka

**11 października, 2014, sobota,
w czarnej dupie i w Krakowie**

Pachniało podgniwającą ściółką i sosnowym lasem.

Nie było dobrze, co tu kryć, było wręcz fatalnie. Na głowie miałem wór, klęczałem na ziemi, ręce miałem skrępowane z tyłu. Słyszałem szelst. Igliwia? Zeschłych liści? Ktoś chodził kilka kroków przede mną.

Pachniało podgniwającą ściółką i dymem z papierosa.

Szarpnąłem rękami, uzyskałem jedynie tyle, że plastikowe więzy mocniej wpiły się w skórę, a ukąszenie paralizatorem w okolicach obojczyka zabolowało jak cios nożem. Syknąłem.

– Nie wierzgaj, byczku, bo będziesz miał zakwasy – usłyszałem głos chropawy od fajek.

Zawtórował mu śmiech. Było ich więc co najmniej dwóch, a ja miałem wór na łbie, związane ręce, zero szans na przybycie kawalerii i marne perspektywy wyjścia z tego w jako takiej całości. Co potwierdził wymierzony pod żebra kopniak, po którym zwałiłem się na ziemię.

Jeden z wesołych chłopców nachylił się nade mną i powiedział:

– Dostajesz pierwsze i ostatnie ostrzeżenie. Jak jeszcze raz znajdziesz się w zasięgu wzroku Skarżyńskiego, nawet przypadkowo na ulicy, skończą się pieszczoty.

Chwycił mnie pod ramiona i znowu ustawił na klęczkach.

– I chyba wiesz, złamasie, że nie ma sensu skarżyć się kumplom z psiarni?

Mimo że ewidentnie było to pytanie retoryczne, chciałem odpowiedzieć, ale...

Powoli wypelzałem z ciemności. Bolały mnie różne części ciała, najbardziej szczęka po sierpnie, który pozabawił mnie przytomności. Dwa blackouty jednego dnia, zaiste światowy wynik. Mogłem leżeć na mokrej ściółce i użalać się nad sobą, ale mogłem też działać. Wybrałem to drugie.

Strząsnąłem wór z głowy. Na szczęście nie zawiązali go wokół szyi. Z trudem poradziłem sobie z mdłościami. Stałem na w miarę równe nogi. Dotarło do mnie, że nie mam już skrępowanych rąk, były tylko zdrętwiałe, dlatego słabo je czułem. Rozmasowywałem sztywnymi palcami nadgarstki. Koniec końców, ludzkie zbiry, nie musieli przecież uwalniać mnie z więzów. Rozejrzałem się wokół. Byłem na polanie otoczonej sosnowym lasem, od której odchodziła nitka gruntowej drogi. W innych okolicznościach uznałbym, że to nawet przyjemne miejsce.

Jeśli przywieźli mnie tu samochodem, to droga doprowadzi mnie do cywilizacji. Robiąc pierwszy krok, nadepnąłem na telefon. Obok niego leżał mój portfel. Schyliłem się po nie. Zabrali całą gotówkę, której na szczęście nie miałem za wiele, przełamali kartę do bankomatu. Telefon piknięciem oznajmił brak karty SIM. Ciekawe. Goście, którzy zafundowali mi niezbyt przyjemną wycieczkę i równie nieprzyjemny oklep, nie byli więc pierwszymi lepszymi obszczymurami z osiedla. Tacy zostawiliby mnie tutaj pewnie w samych gaciach. Wyglądało to na profesjonalną robotę. Zadbali tylko o to, żebym za szybko nie skontaktował się ze światem i nie wrócił do Krakowa. Czyżby Skarżyński faktycznie był mniejszym lub większym gangusem? W tym momencie było to najmniejsze z moich zmartwień.

Zmierchało, najwyższa pora, żeby się ruszyć. Odnalazłem wyraźnie odcisnięte w piasku ślady opon. Miałem nadzieję, że nie wywieźli mnie setki kilometrów od Krakowa.

Po pół godzinie marszu dotarłem do szosy. Pojawiał się dylemat – w prawo czy w lewo. Poszedłem w prawo, bo mi się to skojarzyło z pra-

worządnością. Minęły mnie dwa samochody, próbowałem zatrzymać, ale który kierowca stanie po zmierzchu w środku lasu, by zabrać autostopowicza. Szedłem dosyć długo, starałem się oczyścić umysł z wszelkich myśli. Wiedziałem, że myślenie pobudzi we mnie furie, na którą nie mogłem sobie pozwolić. Wreszcie zamajaczyły przede mną światła. Dotarłem do tablicy z nazwą miejscowości: Dąbrowa. Kojarzyłem, że taka miejscowość jest w Puszczy Niepołomickiej. Tyle że wiosiek o takiej nazwie było pewnie w Polsce od cholery i trochę.

Okazało się, że jednak jestem niedaleko Niepołomic, czyli również stosunkowo blisko Krakowa. Lokalizację potwierdziła starsza kobieta, która zamykała sklep spożywczy. Zapewne wiele w życiu widziała, więc nie przestraszyła się mojej obitej gęby. Opowieść o tym, że zostałem okradziony i porzucony w lesie, skwitowała kiwnięciem głowy. Użyczyła mi komórki. Na szczęście miałem zwyczaj zapisywania wszystkich kontaktów w telefonie, a nie na karcie SIM, miałem więc numer do Kielbasy. Staszek długo nie odbierał, ale w końcu usłyszałem jego lekko zaspany głos. Wytłumaczyłem, że potrzebuję pomocy. Zaczął wykrzykiwać bez ładu i składu. Kazałem mu się zamknąć, powtórzyłem, gdzie jestem i prosiłem, żeby po mnie przyjechał. Wreszcie przesłanie dotarło do niego. Powiedział, że już się zbiera. Miałem taką nadzieję.

Kobieta znowu była wewnątrz sklepu. Wszedłem, żeby oddać telefon i podziękować. Bez słowa podała mi małą żołądkowej gorzkiej.

– Se golnie – rzuciła.

– Tylko że nie mam czym zapłacić.

– Nie zbiednieję. A będzie kiedy w Dąbrowie, odda.

Otworzyłem buteleczkę, pociągnąłem solidny łyk i zaraz syknąłem. Zdaje się, że miałem ranę wewnątrz ust. Nie dziwota.

– Dziękuję. Za wszystko – powiedziałem.

– Niech nie dziękuje. Niech lepiej na siebie uważa.

Kolejna osoba mówiła, że bym na siebie uważał. Czyżbym faktycznie wyglądał jak potencjalna ofiara? Nie tylko losu.

- Trzymaj kierownicę - warknąłem.

Zdaje się, że Kielbasa był bardziej przejęty zajściem niż ja. Bez przerwy paplał i lamentował niczym matka, której syn trafił na OIOM.

- No ale, Konrad, no ale oni w tym lesie mogli cię...

- Chcieli mnie tylko przestraszyć. Nic więcej mi nie groziło.

- I nie masz pojęcia, kim oni byli?

Pokręciłem głową. Sprzedałem Staszce jedyne część historii, bo obawiałem się, że jeśli wspomnę o Skarżyńskim, jutro będzie o tym wiedziało pół Krakowa.

- To pewnie w związku ze sprawą, no wiesz, grecką sprawą.

- Niewykluczone - potwierdziłem tylko po to, żeby dalej nie drażył tematu, kto obił mi facjatę.

Kielbasa nagle dał po hamulcach. Pas boleśnie wbił mi się w miejsce, gdzie dostałem paralizatorem.

- Pojebało cię do szczętu! - krzyknąłem.

Odwrócił twarz w moją stronę, choć właściwie nie była to już twarz człowieka, tylko maska przerażenia.

- Bo jeśli, no bo jeśli ktoś, kto zabijał w Grecji, chodzi za tobą...

- Staszek, ich było dwóch - próbowałem, jak mogłem, być konkretny.

- No to jeśli ich było dwóch... Jeszcze gorzej. No gorzej, cała pierdolona mafia psychopatów. I jeśli, no jeśli oni wiedzą, no w sensie ta mafia, że ja ci pomagam, to cała moja, no moja rodzina jest zagrożona i...

Potrząsnąłem nim. Nie pomogło, dalej bredził o zastępach psychopatów, którzy pewnie już czają się pod domem Kielbasów. Uderzyłem go z liścia. Niezbyt mocno.

- Czemu mnie bijesz? - powiedział płaczkliwie, ale spojrzał na mnie jakby przytomniej.

- Żebyś się opamiętał. Tobie ani twojej rodzinie nic nie grozi, rozumiesz? - Niepewnie skinął. - W ogóle nie ma czegoś takiego jak mafia

psychopatów, bywają jedynie psychopaci w mafii. A teraz jedź. Wyrzucisz mnie na Kazimierzu i spokojnie wrócisz do domu. Jasne?

– No jasne, jasne, ale...

– Nie ma żadnego „ale”. Nie bój się, nic ci nie grozi – powtórzyłem niczym mantrę chroniącą od złego.

Ruszył. Aż do Krakowa nie wypowiedział nawet słowa. Strach bywa zbawienny. Mnie wybawił od słowotoku Kielbasy.

12 października 2014, niedziela, Kraków

Ranek wcale nie był lepszy od wieczoru. Siedziałem w hostelu, przykładałem do policzka paczkę mrożonego groszku, którą kupiłem za pożyczoną od Kielbasy kasę, licząc, że domowym sposobem zmniejszę opuchliznę. Choć i tak będę miał pięknego sińca. Gość, który mnie stuknął, miał chyba kopyto zamiast pięści. Byłem coraz bardziej zły, więcej – narastał we mnie kosmiczny wkurw. Po pierwsze, czułem się upokorzony przez Skarżyńskiego, tym bardziej że miałem świadomość, że nie mogę mu nic zrobić. Nawet gdybym powiedział o leśnych igraszkach Lewandowskiemu albo Bucowi i gdyby łaskawie raczyli coś z tym zrobić, co pewne nie było, biznesmen najpewniej by się wykręcił. „O niczym nie wiedziałem, o niczym nie słyszałem. A ten niby-poszkodowany nachodził mnie, kłamiąc, że jest prywatnym detektywem”. Po drugie, z telefonu w hostelu zadzwoniłem do Pauliny, która z miejsca wystartowała do mnie z pretensjami, że co ja sobie w ogóle wyobrażam, już jest niedziela i dopiero się odzywam, a zegar tyka, bo jej ultimatum jest aktualne – nie przyjadę dzisiaj do Gdańska, mogę się jej wcale już nie pokazywać na oczy. Próbowałem tłumaczyć, że jeszcze tylko dzisiaj będę prowadził dochodzenie, potem opuszczam nieprzyjazny gród Kraka. Co poniekąd było zgodne z moim planem i przekonaniem. I że potrzebuję tylko trochę czasu, naprawdę niewiele. Odrzekła, że mętnie widzi naszą przyszłość i się rozłączyła. Mogłem się z takim twierdze-

niem zgodzić. Skoro moja przyszłość była mętna, tym bardziej niewyraźna była nasza. Rzuciłem groszkiem o ścianę.

Musiałem zapalić. W hallu dorwała mnie recepcjonistka, popatrzyła na moją gębę z wyraźną odrazą i spytała, czy zamierzam przedłużyć pobyt, bo dzisiaj kończą się opłacone dni. Dogrzebując się do ostatnich pokładów spokoju, powiedziałem, że jeszcze zostaję, a zapłacę jutro. Wtedy przypomniałem sobie, że nie mam przecież karty do bankomatu i muszę powlec się do banku. Po prostu same atrakcje. W pewnej chwili uświadomiłem sobie, że jest niedziela i banki były zamknięte.

Stałem na ulicy Miodowej, patrzyłem w niebo, po którym leniwie płynęły niewielkie, postrzępione chmury. Paliłem tylko po to, by zaspokoić głód nikotyny – fajka wcale mi nie smakowała. Czułem lekkie mdłości. Miałem wstrząs mózgu? Bardzo być może. Uznałem, że tej niedzieli nic nie zwojuję. Muszę odpocząć, trochę się zregenerować.

Zasnąć, zgasnąć. Taki był prosty plan.

13 października 2014, poniedziałek, Kraków i Katowice

Może było to irracjonalne, ale wychodząc z hostelu, rozejrzałem się na wszystkie strony, a potem stanąłem plecami do załomu muru tak, aby mieć przechodniów na oku. Doświadczenie uczy. Przynajmniej czasami. Zapaliłem. Wciąż bolał mnie pęknięty kącik ust.

Miałem coraz mniej pewności, czy dalej chcę prowadzić to dziwne śledztwo. Tak czy siak musiałem zorganizować sobie w miarę normalne życie. Pieniądże, telefon. A potem się zobaczy. Jedna z ulubionych strategii. Nie dbając o ład i porządek, rzuciłem niedopałek na chodnik.

W banku, jak to w banku, trochę mi się zeszło, ale wyciągnąłem kilka stówek. Zaszedłem do salonu operatora komórek i – ku mojemu zdziwieniu – szybko stałem się posiadaczem nowej karty SIM. Przespa-cerowałem się na Żyda, zjadłem porządne śniadanie. Powiadam wam, jajecznica na szynce czasami czyni cuda. Właśnie rozważałem, czy po

kawie nie zamówić kapki czegoś mocniejszego – przecież należała mi się rekompensata za uszczerbek na ciele i duszy – kiedy zadzwonił telefon. Tyszka.

– Ha...

– Co się z tobą, synek, działo? – podkomisarz nie dał mi skończyć. – Dzwonię i dzwonię jak głupi, a ty nie odbierasz albo wyłączasz komórkę.

W pierwszej chwili chciałem odbić piłeczkę, powyżłościwić się, że on też ma spore problemy ze znalezieniem zielonego klawisza, ale nie miałem na to siły.

– Wczoraj zebrałem oklep.

– Od kogo?

– Nie chce mi się teraz o tym gadać. – Wolałem zmienić temat. – Masz coś dla mnie?

– Poprzytałem w biurze turystycznym i trafiłem rozwojowy temat.

– To dajesz.

– Nie przez telefon.

Straciłem cierpliwość.

– Posłuchaj, Adam, bardzo ci dziękuję za pomoc i w ogóle. Ale mam spuchniętą facjatę, boli mnie rana po strzale z paralizatora, więc nie mam siły, żeby gnać na Śląsk tylko dlatego, że nie lubisz gadać przez telefon.

Nie odpowiedział od razu, trochę posapał do słuchawki.

– Nie o to biega, synek. Jak się chcesz czegoś konkretnego dowiedzieć, będziesz musiał coś tu na miejscu zrobić. Czekaj o piętnastej przed komendą.

I się rozłączył. Co za typ niereformowalny!

Przed kolejnym wyjazdem na gościnną ziemię śląską poszperałem w internecie w poszukiwaniu śladów Jacka Stasia. Bez przekonania, właściwie z nudów. Trafiłem na jakiegoś młodocianego Jacka Stasia, który radośnie wrzucił na Fejsa zdjęcie ze skrzętem marihuany w pysku,

innego w wieku już emerytalnym oraz na właściciela zakładu usługowego Opony-Gum spod Łomży. Ani śladu kogoś, kto mógłby być skrzywdzonym nauczycielem. Nawet jednego przypadkowego linka. Przypomniał mi się tekst jednego ze znajomków: „Jeśli kogoś nie ma w internecie, to znaczy, że nie żyje”. Może to nie do końca prawda, ale nawet po śmierci pozostają w sieci ślady. Co się z Jackiem Stasiem działo po śmierci matki? Czy całkiem usunął się z życia, schował w jakieś dziurze, aby pogрузić się w żałobie? Pojechał w Bieszczady wypalać węgiel drzewny? Ale ile można tkwić w smutku i żałobie? Rok, dwa, pewnie nawet i pięć. Ale prawie piętnaście? Jednakże moja żałoba po Marii też trwała bardzo długo, tyle że nie spowodowała ucieczki od życia. A przynajmniej nie do końca. Właściwie powinienem wynająć specjała od poszukiwania ludzi. Rozbawił mnie ten pomysł. Ktoś, kto, poniekąd, chce zostać prywatnym detektywem, wynajmuje innego łapsa do pomocy.

Rzuciłem poszukiwania Stasia w diabły i sporządziłem kolejną korektę planów. Zobaczę, co urodziło się w Katowicach, ale jeśli się okaże, że Tyszka wyszperał bzdurny drobiazg albo znalazł jedynie następny urwany trop, wracam do Ciechanowa. A właściwie najpierw jadę do Gdańska, by przekonać Paulinę, że nie jestem aż tak beznadziejnym facetem, na jakiego wyglądam. Bezapelacyjnie.

Tyszka kazał na siebie czekać ponad kwadrans. Skoro się jednak przywlokłem do Katowic, grzecznie czekałem. Wreszcie raczył się objawić. W wymiętych ciuchach, pewnie wczorajszych, a może i przedwczorajszych. Pachniał kiepskimi fajkami i permanentnym zmęczeniem. Kiedy tylko wsiadł do samochodu, zacząłem pytać, co dla mnie ma. Skrzywił się i powiedział, że najpierw musi coś zjeść, bo na głodniaka synapsy mu nie stykają. No, nie podejrzewałem, że podkomisarz zna trudne słowa. „Chłopczyku, nie oceniaj ludzi po wyglądzie”, mawiała babka Felicja. Jakże słusznie.

Zarządził jazdę w okolice dworca autobusowego, tradycyjnie pokazując mi, gdzie skręcać. Na miejscu wbiłem się w komunikacyjny armage-

don – remontowana ulica, jakaś budowa, autobusy, taksówki i busy jeżdżące we wszystkie strony i mijające się o centymetry. Tyszka kazał mi zaparkować gdzie bądź, tak zrobiłem, a potem powiódł mnie pod obdrapaną przyczepe, na której widniał szyld z napisem: „Wurst”. Nie zapowiadało się na ucztę smakosza, ale komisarz powiedział, żebym nie panikował, bo dają najlepszą smażeninę w mieście. Zaryzykowałem i nie żałowałem. Zjedliśmy na stojaka, później odeszliśmy na bok zapalić.

– Możesz już mówić czy teraz potrzebujesz czasu na trawienie? – Nie mogłem odmówić sobie drobnej złośliwości.

Tyszka nie skomentował.

– Spotkałem się z rzecznikiem prasowym tego biura, taki szczawik mądrala, mniejsza... I tak, zorganizowali konkurs, o który pytałeś, w internecie na swojej stronie. Pomysł podrzucił szef rezydentów z Grecji, z tego całego, no...

– Z Arkoudi.

– Może być i tak. Chciał w ten sposób zwiększyć zainteresowanie tamtą okolicą. Centrala klepnęła akcję. Dziesięć osób wygrało pięćdziesięcioprocentową zniżkę.

– Jak się ten rezydent zwie?

Podkomisarz sięgnął do tylnej kieszeni dżinsów po notes.

– Jacek Cichocki.

– A wcześniej organizowali podobne konkursy?

– A tego to nie wiem.

– Nie pytałeś?! – powiedziałem z wyrzutem.

– Synek, za bardzo nie wiedziałem, w którą stronę fedrować. Za mało mi podałeś faktów.

Tyszka był tak cierpliwy, że aż mnie ruszyło. Ewidentnie się starał, a ja strzelałem focha.

– Sorry, Adam, ale po wczorajszym trochę mi nerwy siadły.

– Bywa. – Zbagatelizował sprawę. – Teraz pojedziemy w jedno miejsce, a po drodze opowiesz, co się stało.

Usłyszawszy historię ze Skarżyńskim i nasłanymi zbirami, Tyszka zgodził się, że niewiele mogą zrobić. Chyba że marzy mi się prywatna wojenka. Akurat w tym momencie mojego życia marzeń miałem niewiele.

Zanim dotarliśmy na miejsce, wiedziałem, dokąd zmierzamy. Pod siedzibę Zeus Travel. Tyszka kazał mi zaparkować z boku, ale tak, byśmy widzieli wyjście z budynku.

– Czemu się tajniaczymy? – spytałem.

Nie pytając o pozwolenie, zapalił papierosa. Zwykle nie paliłem w samochodzie, więc tylko westchnąłem i otworzyłem okna.

– Nie jestem taki ostatni ciul, sięgnąłem głębiej. Spytałem szczeniaka, jakie były zasady konkursu, jak wyłoniono zwycięzców. Powiedział, że szczegółów technicznych nie zna, i odesłał mnie do informatyka, który tym się zajmował. Poszedłem do gościa. Mały, gruby, z resztką włosów na czubku głowy. Takiego wypatruj.

– Ale...

– Poczekaj. Informatyk powiedział, że nie mają żadnej sierotki do losowania, tylko on przygotował algorytm czy tam coś. Nie wyznają się na tych sprawach. Wrzucają zgłoszenia do komputera i maszyna wypłuka zwycięzców.

– No i?

– Pewnie to i prawda, ale wydaje mi się, że coś ukrywa.

– Skąd wiesz?

– Zdenerwował się, chciał się mnie jak najszybciej pozbyć, niby że robotę pilną ma. I pocił się jak w saunie.

– Gruby, to i się poci.

– Raczej nie w klimatyzowanym pokoju.

Mogło być coś na rzeczy, choć nie musiało. Podkomisarz Tyszka był jednak doświadczonym policjantem, postanowiłem mu zaufać.

– Jak sądzę, masz plan – powiedziałem.

– Zrobisz mu, jeśli będzie trzeba, dynamiczne rozpytanie. Mnie za bardzo nie wypada, bo i tak ryzykuję. Jak się Mundek dowie, co tu wyczyniam...

Rozumiałem, Polański nie puściłby Tyszce płażem nie-autoryzowanej akcji.

Długo nie czekaliśmy. Było ledwie kilka minut po czwartej, kiedy z siedziby biura wytoczył się nasz delikwent. Okrągłutki, różowiutki, w powyciąganym swetrze zapinanym na guziki. Istna ikona komputerowej braci.

– Jak on się nazywa? – spytałem.

– Krystian Buła.

– Tyz piknie. Zawijamy go do samochodu.

Przejeżdżaliśmy go, zanim dotarł do swojego auta. Trochę postękiwał, że się spieszy, że już przecież powiedział, co wiedział, ale mówienie w marszu szło mu nieskoro.

Milczeliśmy. Tyszka siadł z przodu. Usadziłem informatyka z tyłu i przysiadłem obok niego. Pot łał się z niego strumieniami, całe szczęście, że po sesji nikotynowej okna były wciąż otwarte. Adam odwrócił się do nas i wyjaśnił:

– To podkomisarz Rowicki z Krakowa. Ma do pana kilka pytań.

– Ale ja nic nie wiem – Buła od razu przeszedł do defensywy. Naiwna strategia.

– Coś tam pan zawsze wie – wycedziłem.

Informatyk kręcił się, jakby siadł na jeżu, co chwila ocierał dłonią pot zalewający mu oczy. Potrzyzymałem go kilka minut w niepewności, a potem wypaliłem:

– Dlaczego pan kłamie?

– Że ja? – odpowiedział informatyk i popatrywał niepewnie to na mnie, to na Tyszkę. – Ale w jakiej sprawie?

– Konkursu. Proszę jeszcze raz dokładnie opowiedzieć, w jaki sposób został zorganizowany i przeprowadzony konkurs, o który pytał wcześniej podkomisarz.

Chciałem, żeby się trochę odprężył, poczuł pewniej. Wtedy cios dotrze do niego ze zdwojoną siłą.

– Aha, no przecież mówiłem, no... – Spojrzałem na niego groźnie. Wystarczyło. – Rezydent z Grecji namówił szefostwo, żeby przeprowadzić konkurs promocyjny. Niby że mały koszt, a możliwy spory zysk. Szefostwo klepnęło temat, tym bardziej że chodziło jedynie o dziesięć osób. Drobnica. Dostałem wszystkie informacje i postawiłem konkurs na naszej stronie. Pytanie konkursowe było debilne, wiadomo: „Czy Peloponez znajduje się w Grecji?”. Miało to trwać dwa tygodnie, ale właściwie po dwóch dniach można było zamknąć temat, tyle było chętnych. Odsiałem kilka błędnych odpowiedzi, bo zawsze znajdzie się jakiś głupek, przepuściłem zgłoszonych przez program do losowania. Sam go napisałem – zaznaczył, jakby chodziło o aplikację wartą miliony dolarów. – I to właściwie tyle.

– I zupełnie przypadkiem na dziesięć osób trafiła się dwójka znajomych z Krakowa.

Uciekł wzrokiem, ale szybko się zmitygował i popatrzył na mnie jak zbity pies.

– Zawsze dbamy, żeby nikt z rodziny czy znajomych pracowników nie korzystał na naszych akcjach promocyjnych. W miarę możliwości – kluczyl.

– Nie o to chodzi. Te dwie osoby się znały. Aż taki przypadek? Nie zrobiliście żadnego wałka?

– Wszystko było przeprowadzone zgodnie z regulaminem.

Westchnąłem, choć wcale nie było mi ciężko na sercu.

– Jeśli tak pan chce z nami pogrywać... – rzuciłem obojętnym tonem. – Adam, jedziemy na komendę.

Tyszka powoli wygramolił się z samochodu i przeszedł na drugą stronę. Buła śledził wzrokiem podkomisarza, jakby ten był gwiazdą

kina. Niemego. Informatyk głośno przełknął ślinę. Właściwie już się nie pocił, tylko oblewał potem. Adam odpalił miśka. Miałem nadzieję, że dobrze prowadzi. Zawsze niechętnie oddawałem auto w obce ręce. Tyszka ruszył. Buła milczał. Wszyscy milczeliśmy. Milczenie jest dobre. Czasami.

Po dziesięciu minutach jazdy grubas wreszcie ocknął się z letargu.

– Ale jak to na komendę? Po co na komendę?

– Nie chce pan z nami współpracować. Pana wola – zacząłem klarować. – Posadzimy pana na dołku, żeby przemyślał pan sobie sprawę.

– Nie możecie – jęknął.

– Akurat możemy. Potem sporządzimy notatkę z zatrzymania, może też powiadomimy pana pracodawcę.

To była gruba ściema, nie sądziłem jednak, żeby Buła ją rozczytał.

– Nie, proszę, mam chorą matkę.

– To, synek, zdrowia matce nie przysparzasz. – Tyszka niespodziewanie włączył się do konwersacji.

– Powiem, już powiem, tylko nie na dołek, proszę.

Adam zaparkował na chodniku. Informatyka już nie trzeba było zachęcać do spowiedzi.

– To ten rezydent, Cichocki.

– Cóż takiego zrobił? – dopytałem.

– Podesłał mi dwa nazwiska. Mówił, że to jego świetni klienci, że na miejscu kupują dużo wycieczek. I że chciał im taki nieoficjalny prezent zrobić.

– I ty, boży żuczku, z dobrego serca się zgodziłeś, mimo że mógł z tego być kwas?

– No, nie do końca... Obiecał mi premię.

– To się teraz premia nazywa...

– Panowie, zrozumcie, matka chora, leki drogie...

– Dobra, będziesz się pan spowiadał przed najwyższym i przełożonymi. Jakie to były nazwiska?

– Nie pamiętam, to dawno było.

Zastanawiałem się, co zrobić z nowymi informacjami. To już było coś, lecz wciąż jeszcze zbyt mało. Potrzebowałem konkretów. Zarządziłem, żeby Tyszka wrócił pod siedzibę biura turystycznego. Buła zrobił wielkie oczy, ale nie dałem mu dojść do słowa.

– Zrobimy tak: wróci pan do pracy, sprawdzi, co to były za nazwiska, i wyciągnie wszystko, co macie w firmowej sieci na temat Cichockiego.

– Ale to niezgodne z regulaminem, dane poufne, rozumie pan?

– Rozumiem tylko tyle, że w pana przypadku regulamin już dawno temu poszedł się jebać.

Nie minęło wiele czasu, a Buła biegł już do nas z wydrukami w rękę. Choć w jego przypadku czasownik „biegł” nabierał zgoła nieoczywistych znaczeń. Podał mi przez okno kartki, posapał przez chwilę i w końcu wyrzęził:

– To wszystko, co znalazłem.

– Oby, bo jak coś się nam nie spodoba, odwiedzimy pana znowu – powiedziałem.

– I dbaj, synek, o matkę, dbaj – dorzucił Tyszka i raczej nie był to wyraz troski o zdrowie staruszki.

Podkomisarz poprosił, by podrzucić go do Mysłowic. Kiedy już przebiliśmy się przez zapchaną dwupasmówkę i wąskie gardło dziurawej drogi tuż przed wjazdem do miasta, Tyszka zarządził, żebyśmy podjechali do knajpy U Ponurego Szwagra. Zdaje się, że częściej pomieszkiwał tam niż w domu.

Znowu zasiedliśmy przy stoliku w kącie. Tyszka z kuflem piwa, ja grzecznie z mineralną, do której zdziwiony gość zza baru raczył nawet wrzucić plaster cytryny. Raczej nie pierwszej świeżości.

– I co o tym myślisz, synek? – zapytał podkomisarz, gdy już pociągnął solidny łyk i zapalił.

- Poczekaj - przerzucam wydruki w poszukiwaniu najistotniejszej dla mnie informacji. - No tak, ci niby świetni klienci Cichockiego to Kowalska i Zawadzki. Buła zaznaczył ich krzyżykami. - Adam uniósł brwi. - Zginęli w Grecji - przypomniałem.

- No i? Może przypadek.

- Mniejsza o przekręt z losowaniem, ale to oznacza, że Cichocki kłamał, bo z tego, co się dowiedziałem od małżonków tej parki, nigdy wcześniej nie korzystali z usług Zeus Travel.

- Może jakoś prywatnie się z tym całym rezydentem znali, chciał im zrobić prezent. I tyle.

- To akurat szybko można sprawdzić.

Do Skarżyńskiego nie miałem co dzwonić, ale wybrałem numer Leny Zawadzkiej. O dziwo, nawet odebrała i chciała ze mną rozmawiać. Brzmiała jak lekko splątana, pewnie zaliczyła już dwie lub trzy wieczorne lampki wina. Nie kojarzyła żadnego Jacka Cichockiego, potwierdziła, że nie mieli znajomych z branży turystycznej w Grecji.

- Dobra - zaczął Tyszką - ten cały Cichocki ustawia konkurs, ściąga Kowalską i Zawadzkiego do siebie, a ci giną, plus jeszcze jedna dziuszka. Takie są fakty.

Skinąłem głową.

- To trochę podejrzanę, ale dlaczego ten rezydent miałby ich mordować? Motyw, synek, motyw.

- Nie mam bladego pojęcia.

Tyszką skupił się na, jak mi się zdawało, ulubionych zajęciach, pociąganiu browara i paleniu jednego papierosa za drugim, a ja przeglądałem materiały, które wydobył dla nas Buła. Niespecjalnie legalnie, ale jak to mawiają, co jest nielegalne, to jest opłacalne. Oby.

Wziąłem do ręki kartkę, na której widniała fotografia Jacka Cichockiego. Nigdy nie miałem pamięci do twarzy, ale zdawało mi się, że już gdzieś widziałem tę okrągłą buźkę i bardzo jasne włosy. Tylko gdzie? Dopiero oczy Cichockiego, jego niepokojące spojrzenie niepasujące do oficjalnej foty, sprawiły, że trybiki pamięci wskoczyły w odpowiednie

miejsca. Widziałem go w Grecji, w hotelu Brati. Nieprzyjemny typ, który opieprzał miejscową rezydentkę.

- Widziałem go.

- Że co? - Zdaje się, że Tyszka przebywał w zupełnie innej czasoprze-strzeni.

- Widziałem Cichockiego w Grecji, nawet rozmawiałem z nim przez chwilę.

Adam spojrział na wizerunek Cichockiego.

- Na mordercę nie wygląda.

- Morderca zwykle nie wygląda jak morderca. Wydał mi się nieprzyjemny.

- Mielicie tam niezły sajgon ze zgonami, więc nic dziwnego, synek, że gość był zestresowany - skomentował i powrócił do pociągania piwa drobnymi łyżkami.

Najprawdopodobniej Tyszka miał rację. Wróciłem do przeglądania kolejnych materiałów. Jakies sprawozdania, notatki służbowe. Czytałem je pobieżnie. Wynikało z nich, że był najpierw zwykłym rezydentem, a później szefem rezydentów na Peloponezie. Pochwały, opinie, gładka korporacyjna nowomowa. Z dokumentów wynikało, że firma Zeus Travel miała z Jacka Cichockiego pożytek. Wreszcie trafiłem na jego CV i zaczęło być ciekawie. Urodzony w 1971 roku w Krakowie, absolwent matematyki na UJ, w latach 1996-2000 praca w szkołach na krótkoterminowe umowy, roczna dziura w zatrudnieniu, następnie dwa lata pracy w ochronie, a w 2004 roku złapał Zeusa za nogi i już nie puścił. Na pozór dziwna ścieżka kariery, ale przecież część moich znajomych z polonistyki też miała problemy, żeby znaleźć stały etat w szkole, więc chwyтали się najróżniejszych zajęć z większym lub mniejszym powodzeniem. Jak chociażby Kielbasa, któremu na oko się powiodło. Zastanowiło mnie jednak coś innego.

- Chyba coś mam - powiedziałem.

- Czyli warto było męczyć Bułę - Tyszka rzucił koszarowym żartem.

- Cichocki był z wykształcenia matematykiem i najpierw uczył w szkołach tu i tam. - Puknąłem palcem w CV.

- To mało opłacalne, ale legalne. - Podkomisarzowi po dwóch browarach chyba włączyła się funkcja „śmieszek”.

- Jacek Staś też był matematykiem. I ta zbieżność imion...

- Jaki znowu Staś?

Fakt. Nie zdążyłem powiedzieć Tyszce o moim wczorajszym odkryciu, streściłem więc pokrótce smutną historię nauczyciela posądzonego o molestowanie uczennicy, którą była Kowalska.

- Zawsze byłem zdania, że bajtle są wredne - skomentował. - Ten Staś to miał dopiero motyw po byku.

- Właśnie. I patrz! Jeden matematyk i drugi matematyk. Wprawdzie - jeszcze raz przeleciałem wzrokiem CV - Cichocki nie podaje, że uczył w tym samym liceum co Staś, ale mógł to zataić. Poza tym dziwne jest, że po roku 2000 ślad po Stasiu nagle się urywa, czyli można założyć...

- ...że zmienił nazwisko - dopowiedział. - Nie jest to znowu takie trudne. Musisz to tylko potwierdzić, że Staś i Cichocki to ta sama osoba, a wtedy będziesz miał gościa z motywem. Choć zemsta po tylu latach... Czemu tak długo miałyby czekać?

Szybko zebrałem kartki i wstałem od stolika.

- Gdzie lecisz, synek?

- Coś sprawdzić.

Tyszka nie dopytywał. Na pożegnanie wznosił kufel. Do połowy pełny.

Ledwo przestąpiłem próg, zacząłem przeproszać byłą dyrektorę, że niepokoję ją po nocy. Machnęła ręką i zaprosiła do salonu.

- Proszę pana, żaden problem. Przynajmniej mam okazję z kimś nowym porozmawiać. Wie pan, od lat jestem wdową, dzieci rozjechały się po świecie. A ile można rozmawiać z przyjaciółkami, co którą boli, no ile?

Uznałem, że jest to pytanie retoryczne. Nie chciałem, żeby Jagiełło rozkręciła się z opowieściami o swoim życiu.

– Ja tylko na chwilę z jedną sprawą.

– O nie, nie! – Uśmiechnęła się. – Od kawy i kawałka ciasta pan się nie wykręci. Sama piekłam. Tym bardziej... – przyjrzała mi się uważnie – ...że mizernie pan wygląda.

Zaakceptowałem to, że chodzi o transakcję związaną – potrzebowałem informacji, Jagiełło towarzystwa.

Upiłem kilka łyków kawy, nie najgorszej, zjadłem trochę sernika, który był przesłodzony i grudkowaty. Dyrektorka najwyraźniej nie była mistrzynią wypieków. Uznałem, że wypełniłem towarzyski obowiązek.

– Chciałbym, żeby pani spojrzała na jedno zdjęcie.

– Ooo, ale mam nadzieję, że to nic strasznego, bo jestem po zawale.

– Zwykle nie pokazuję zdjęć z miejsca zbrodni osobom postronnym.

Nie wiem, czy ją uspokoiłem. Położyłem przed nią kartkę z wydrukiem zdjęcia Cichockiego. Wystarczyło, że raz spojrzała.

– Przecież to Jacek Staś.

– Jest pani pewna?

– Na tym zdjęciu ma jaśniejsze włosy, ale to na sto procent Staś.

– Bardzo mi pani pomogła – powiedziałem, wstając z fotela.

– Ale chwila...

Stała przede mną i wbiła we mnie wzrok.

– Czy on... Czy Staś zrobił coś złego?

Podczas poprzedniej rozmowy Jagiełło wspominała, że ma wyrzuty sumienia, bo być może skrzywdziła młodego nauczyciela. Nie musiałem dokładać kobiecie zmartwień, więc powiedziałem:

– Nie, jest świadkiem w pewnej sprawie.

– Tylko?

– Wyłącznie.

Dochodziła jedenasta wieczorem, ale chciałem mieć sprawę jak najszybciej z głowy. I wreszcie zająć się sobą. I Pauliną. I przede wszystkim Felicją. Niekoniecznie w tej kolejności. Chciałem przekazać wszystkie moje ustalenia policji i niech oni zrobią z tym, co chcą. Zadzwoiłem do komisarza Koseły. Poczta głosowa. Bez większych nadziei przekręciłem do Lewandowskiego, który przecież od ostatniego spotkania unikał mnie, jak mógł. Nie odebrał. Trudno.

14 października, 2014, wtorek, Kraków

Komisarz Buc, mimo że zostawiłem mu kilka naglających wiadomości, nie raczył oddzwonić. Zaatakowałem go znowu z samego rana. Dzwoniłem raz, drugi... piąty. Zero odzewu. Byłem jednak cierpliwy, co w końcu zostało nagrodzone.

Koseła brzmiał tak, jakby znajdował się na dnie Mordoru. Wykręcał się, jak potrafił, od spotkania, ale uparcie powtarzałem, że mam zbyt ważne informacje, żeby mówić o nich przez telefon. On swoje, ja swoje. W końcu mnie oświeciło i powiedziałem, że jak chce zapracować na awans i miano policjanta roku, musi się szybko ogarnąć i za godzinę być na Kazimierzu.

Było pochmurno, ale dosyć ciepło. Siedziałem przy stoliku przed Alchemią i piłem kawę. Kosełę zobaczyłem już z daleka. Szedł przez Żyda powoli i ostrożnie, jakby stąpał po cienkim lodzie. Już nie wyglądał jak policjant z zagranicznego obrazka. Raczej jak Brudny Harry, który nadludzkiem wysiłkiem wyczołgał się z bagna. Albo i grobu.

– Pite wczoraj było? I to tak przy poniedziałku? – zagailem wesoło.

Skrzywił się i najprawdopodobniej rzucił mi mordercze spojrzenie. Jego oczy skrywały ciemne okulary.

– Mam nadzieję, że masz naprawdę coś ważnego. – Głos miał nieco skrzekliwy, ale słowa artykułował całkiem porządnie.

Opowiedziałem o moich poszukiwaniach i odkryciach. O smętnej historii Stasia, który zmienił się w Cichockiego. O ustawionym konkur-

sie. Dałem mu materiały na temat Cichockiego, zastrzegając, że nie zostały zdobyte w do końca legalny sposób. Prawdę powiedziawszy, czekałem na oklaski.

Koseła milczał i czochrał się po głowie.

– I co ja mam niby z tym zrobić? – wydusił wreszcie z siebie.

– Chłopie, jak ty się dosłużyłeś komisarza?! – nie wytrzymałem.

Wzruszył ramionami. Zdaje się, że nie miał siły, by się na mnie złościć.

– Daję ci podejrzanego, który ma motyw jak złoto. Mówiłeś, że Grecy zabezpieczyli ślady biologiczne. Wystarczy porównać DNA z tego, co wygrzebali spod paznokci Nataszy Dworzak, z DNA Cichockiego. I wszystko będzie jasne.

– No dobra, a jak nie będzie zgodności?

– Zdaje mi się, że będzie, ale nawet jeśli nie, to zapunktujesz u przełożonych. Że się niby starasz, sprawdzasz różne hipotezy. *Poniał?*

– Nie za bardzo kupuję tę historię o zemście po latach. Czemu miałby tak długo czekać?

– Może wcześniej nie miał możliwości. Może nie wiedział, jak się do tego zabrać. Może zwyczajnie musiał do tego dojrzeć.

– Nie przekonałeś mnie. No i jeszcze ta Dworzak. Z tego, co powiedziałeś, nie miała wcześniej styczności z tym Stasiem czy tam Cichockim. Dlaczego zginęła?

Skupiwszy się na wątku zemsty nauczyciela, zupełnie zapomniałem o Nataszy. Nie miałem odpowiedzi na pytanie Kosely.

– Może coś widziała. Może to faktycznie był przypadek. Albo Cichocki zasmakował w zabijaniu.

Komisarz Buc nie odpowiedział, burknął tylko, że idzie po kawę. Nie raczył spytać, czy chcę kolejną. Niewychowana młodzież. Czuję, że Koseła wykonał unik. Chyba potrzebuje czasu do namysłu. Raczej nie zachęciłem go do działania.

Wrócił po kilku minutach, ciężko usiadł na chybottliwym krześle. Sam był też nieco rozdygotany, spodek filiżanki pełen był rozlanej kawy.

– Założmy, że masz rację – zaczął bez przekonania. – Mogę nawet posprawdzać twoje rewelacje, bo nie za bardzo wierzę, że w kilka dni wpadłeś na to, do czego my się nie dokopaliśmy.

Byłem pewien, że jeśli komisarz Kosela gdziekolwiek kopał, był to jego przydomowy ogródek przygotowywany na nadejście zimy.

– Założmy nawet, że skontaktuję się z Grekami i poproszę ich o sprawdzenie DNA Cichockiego. O ile nie oleją sprawy, wiesz, że to będzie długo się ciągnęło i wymagało papierologii.

– Ale ten rezydent w każdej chwili może przysnąć. Już raz skutecznie zniknął świata z radarów.

– A sprawdziłeś, czy on w ogóle jeszcze na tym Peloponezie jest?

– Człowieku, nie było kiedy. Dopiero wczoraj wszystkie elementy ułożyłem w całość.

Kosela podniósł do ust filiżankę, kilka kropel kawy skapnęło na nieskazitelne džinsy. Zaklął z angielska.

– Rozumiem, że olewasz sprawę?

– Olewasz, nie olewasz – warknął. – Wezmę te twoje kwity, zweryfikuję, co się da, spróbuję pogadać z grecką policją. Tyle mogę.

Człowiek, który niewiele mógł. Albo w alternatywnej wersji – człowiek, który niewiele chciał. Kolejne dobre tytuły powieści, które nigdy nie powstaną.

Tkwiałem w hostelu, patrząc na komórkę i dręcząc się myślą, że nienawidzę dzwonić. Jednak przełamałem się i wybrałem numer Lewandowskiego. Wiele się nie spodziewałem. I się pomyliłem, nie pierwszy i nie ostatni raz w życiu, bo nie uzyskałem nic. Czuję, że kolegę zirytował mój telefon. Wprawdzie wysłuchał w miarę spokojnie rewelacji na temat rezydenta, ale gdy spytałem, czy jest możliwe, żeby jakoś monitorował dochodzenie albo ponaciskał trochę komisarza Buca, wybuchnął.

Wrzeszczał, że to nie jego sprawa, że jeśli chcę się bawić w prywatnego detektywa, proszę bardzo, nie zamierza nadstawiać za mnie karku. Wypaliłem z właściwą sobie delikatnością, że nie o tego rodzaju pieszczoty mi chodziło, na co Lewandowski od razu się rozłączył. Był kolega, nie ma kolegi.

Rozsądne wyjście było tylko jedno, uznać, że zrobiłem, co mogłem, resztę zostawić policji, a samemu wrócić do Ciechanowa i jako tako ogarnąć własne problemy. Jednak zaraz niczym zmora pamięci zjawiała się Wiera Dworzak, prosząca, żebym znalazł mordercę ukochanej jedy-naczki. Przecież znalazłem. Najprawdopodobniej. Z czystym sumie-niem mogę jechać do matki w żałobie i powiedzieć, że zabił ją Staś-Cichocki. Ale czy na pewno z czystym? Natasza nie pasowała do mojej układanki. Czemu rezydent miałby ją zabijać? Przez przypadek? Iść do Wiery Dworzak i powiedzieć, że było to przypadkowe zabójstwo? Nie, to okrutne.

Wyszedłem przed hostel zapalić. Nosiło mnie, nie mogłem ustać w miejscu. Skręciłem w Krakowską i poszedłem w stronę Wisły. Po wąskich chodnikach przelewał się tłum. Miejscowych i turystów. Nie zwracałem na nich uwagi. Co jakiś czas ktoś mnie potrącał. Nie reago-wałem ani na obcy dotyk, ani na grube słowa, które leciały za mną. Nie-dopałek sparzył mi palce. Pstryknąłem nim w stronę kratki ściekowej. Trafiłem. Dobry znak. Taka prywatna wróżba, rzucałem zgniecionym papierkiem albo niedopałkiem do kosza czy w inne miejsce. Jeśli trafi-łem, oznaczało, że będzie dobrze. Ale co ma dzisiaj być dobrze?

Po schodkach zszedłem na nadrzeczne bulwary, znalazłem wolną ławkę. Wgapiałem się w leniwie płynącą Wisłę, jakbym widział ją pierw-szy raz. Powinienem zadzwonić do Pauliny, w końcu powiedziałem jej, że na dniach będę się zwiżał do Ciechanowa. Bez wątpienia był już wto-rek, a ja wciąż tkwiłem w Krakowie. Wiedziałem jednak, jak potoczy się rozmowa. Paulina strzeli focha, ja się wkurzę. Po co mi to? Po co nam to? Szkoda życia.

– Szkoda życia – powtórzyłem na głos, kierując słowa w stronę labradora, który stanął obok ławki. Zamerdał ogonem ze zdwojoną siłą.

Zamiast do Pauliny przekreśliłem do Felicji.

– No, już myślałam, że cię smok wawelski pożarł, bo chwilowo zbrakło dziewczic. – Podarowała sobie powitalne formułki. – Podejrzewam, że ciągle jesteś w Krakowie.

– Tak, jeszcze tak.

– Wiesz, chłopczyku, coraz mniej mi się to podoba. Mam nadzieję, że stare demony nie wróciły.

Parsknąłem.

– Bez obaw. Nawet sprawdziłem, akurat demony, o których myślisz, zniknęły na dobre.

– A te nowe?

– Co masz na myśli? – Zdziwiłem się i zacząłem podejrzewać Felicję o dar wróżenia. Z fusów po kawie albo popiołu z papierosa.

– Paulina dzwoniła... – zawiesiła głos.

Kobiece porozumienie ponad wiekowymi podziałami. Męczyzna bryka, więc trzeba zewrzeć szeregi.

– I?

– Niepokoi się o ciebie. Podobno dziwnie z nią rozmawiasz. To nawet dobra dziewczynka. Tyle że trochę młoda.

– Felicja, daj spokój, nie jestem w nastroju.

– Właśnie. To kiedy wracasz?

– Niedługo.

– Faktycznie dziwnie się z tobą rozmawia. Coś więcej mi powiesz czy pozwolisz, żeby kobieta stojąca nad grobem niepotrzebnie się denerwowała?

– Myślałem, że zamknąłem pewną sprawę. Okazało się, że chyba nie do końca.

– Co teraz zrobisz?

– Jeszcze nie wiem, siedzę nad Wisłą i myślę.

– Żeby ci wilgoć w kości nie weszła – skomentowała i zaśmiała się. Cała Felicja. – Nie rób głupot i pamiętaj, że cię kocham.

– Też cię bardzo kocham.

Nie było nic więcej do dodania.

Schowałem telefon do kieszeni kurtki i wtedy przyszedł mi do głowy pomysł. Jeden z tych absolutnie zwariowanych. Zwariowane pomysły to moja specjalność. Tak powinno brzmieć moje motto życiowe. Albo epitafium nagrobne. Powinienem od razu wyrzucić go ze łba, nie pozwolić, by zaczął nabierać kształtów. Nic z tego. Po chwili byłem przekonany, że jest to świetny pomysł. Po kilku minutach miałem niezbitą pewność, że bezapelacyjnie muszę wprowadzić go w życie, bo inaczej zachowam się jak ostatni złamas, smętny ciul. I nigdy już nie będę mógł spojrzeć ze spokojem na odbicie w lustrze.

Sprawdziłem godzinę na komórce. Mój bank powinien być jeszcze czynny. Musiałem wyjąć pieniądze z konta. Dużo pieniędzy.

Dziennik roku pierwszego XI

20 marca 1999

Przedwczoraj umarła moja mama. Przedwczoraj skończył się mój świat.

21 marca 1999

Jest niedziela. Późny wieczór. Nie poszedłem do kościoła. Nie zrobiłem tradycyjnej rundki wokół Błoi. Bez mamy nie miało to sensu. Przez chwilę zastanawiałem się, czy lubiłem niedzielne rytuały, czy też uczestniczyłem w nich przez dziesięciolecia jedynie po to, by sprawić przyjemność mamie. ZŁE MYŚLI. Bardzo złe.

Znajdowałem się w dziwnym stanie. Jakby zawieszenia. Nie, to niewłaściwe słowo. Byłem ODDALONY od samego siebie. Jakby było

nas dwóch, jakbym patrzył na siebie z boku. Może to przez leki, nie mam pojęcia. Prawdopodobnie wziąłem za dużo tabletek. Ale musiałem, żeby być w stanie działać. Dla mamy. Prokurator chciał zlecić zrobienie sekcji zwłok mamy. Nie mogłem dopuścić, żeby pokroili mamę, żeby zbeczcześcili jej ciało. Słowo „zwłoki”, którym posługiwali się mundurowi, nie przechodziło mi nawet przez myśl. Protestowałem, przekonywałem. Udało się.

W sobotę załatwiłem, ile mogłem, w sprawie pochówku. Nie wszystko. Chciałem, by pogrzeb mamy odbył się jak najszybciej. Żeby obcy ludzie, którzy teraz traktowali ją jak przedmiot, nie oglądali jej ciała. Myślałem, nie wiem czemu, że dopiero kiedy spocznie w ziemi, odnajdzie spokój, którego nie zaznała w ostatnich godzinach, dniach życia. A może chodziło o to, że ja odnajdę wtedy SPOKÓJ. Bzdury! Byłem pewien, że SPOKÓJ na zawsze zniknął z mojego życia.

24 marca 1999

Pogrzeb. Wczoraj odbył się pogrzeb.

Wcześniej miałem przeprowadzić z proboszczem naszej parafii. Mówił coś o śmiertelnym grzechu, poświęconej ziemi. Wszystkie jego argumenty odbijały się ode mnie. Na niego podziałał argument w postaci koperty.

Nie zawiadaniałem nikogo o dacie pogrzebu, ale przyszło trochę osób. Nie mam pojęcia, skąd się dowiedzieli. Nie obchodziło mnie to. Przyszły koleżanki z pracy mamy, których nie znałem, bo mama nigdy nie zapraszała nikogo do domu. Kilka osób z naszej kamienicy. Oczywiście ta wścibska baba z parteru też. Zawodziła, jakby chowano kogoś bardzo jej bliskiego. Ludzie są jednak DZIWNIE.

Ksiądz zrobił, co miał do zrobienia. Rzuciłem garść ziemi na trumnę mamy. Trumnę Z MAMĄ. Odebrałem kondolencje. Chcia-

łem, żeby wszyscy jak najszybciej sobie poszli. A potem stałem nad świeżym grobem. Nie wiem, jak długo. I nie było we mnie choćby jednej myśli.

3 kwietnia 1999

Myslałem, że dam radę. Jednak się nie udało.

Nasze mieszkanie stało się OBCE. Więcej – nasze mieszkanie stało się WROGIE. Przechodząc obok drzwi do pokoju mamy, odwracałem wzrok. Nie pomagało. Nie mogłem usiedzieć w miejscu, nie mogłem spać. Nocami włączałem się po mieście. Innym niż za dnia, lecz równie mi OBCYM jak nasze mieszkanie. Do niedawna mój dom.

Po trzech dniach przenieśliem się do taniego hotelu, kilka ulic dalej. Przez kilkanaście dni prawie nie wychodziłem z małego, obskurnego pokoju. Tyle co do sklepu. Jadłem byle co. Żyłem byle jak. Choć właściwie tylko trwałem. Aż wreszcie coś we mnie pękło. Dokładnie nie wiem jak i kiedy. Może wtedy, gdy w jasny, zimny poranek stałem nad grobem matki. Było bezwietrznie i nagle zgasł znicz, który zapaliłem ledwie wczoraj. Jakby ktoś go zdmuchnął. Uznałem to za znak. Mama, kochana mama, nakazywała mi, żebym przerwał stupor żałoby. STUPOR. Nawet nie wiedziałem, że znam to słowo.

Na kolejny dzień zamknąłem się w hotelowym pokoju, by sporządzić plan. PLANY SĄ DOBRE. Plany pozwalają znaleźć sens nawet w bezsensownym trwaniu.

1 maja 1999

Święto Pracy. Także moje święto, bo znowu mam pracę. I nie ma znaczenia, że nie w zawodzie, który tak bardzo chciałem wykonywać.

Ale plan... Tak, PLAN, muszę do niego wrócić, opowiedzieć punkt po punkcie. Co zaplanowałem i co zrobiłem. Wiedziałem, że nie dam rady żyć w naszym mieszkaniu. Zabrałem tylko najpotrzebniejsze rzeczy, trochę pamiątek. Szczątki po ułomnej rodzinie, tak pomyślałem. Nie było tego wiele. Jedna duża waliza, jedna mała. Nigdy nie przywiązywałem wagi do rzeczy, więc pakowanie nie było trudne. Rzeczy po mamie oddałem organizacji charytatywnej. Niech się komuś przydadzą. Byłem pewien, że mama by tego chciała. Poszedłem do firmy zajmującej się obrotem nieruchomości. Mają znaleźć kogoś chętnego do wynajmu. Na razie jest z tym krucho, bo gdy ludzie dowiadują się, że niedawno w naszym mieszkaniu doszło do tragedii, rezygnują. Właściwie nawet ich rozumiem. Mnie też było tam nieswojo. Mam nadzieję, że wraz z początkiem kolejnego roku akademickiego jacyś studenci się jednak skuszą. Może powinienem obniżyć cenę wynajmu. Zobaczę. Na razie nie potrzebuję na gwałt pieniędzy, bo mam pracę. A moje potrzeby nie są wielkie. Prawie miesiąc temu znalazłem w gazecie ogłoszenie firmy ochroniarskiej z Trójmiasta. Nie zastanawiałem się długo. Raz, bo chciałem być jak najdalej od Krakowa, dwa – nigdy nie byłem nad morzem. Kiedy to sobie uświadomiłem, wydało mi się dziwne. Dziwne, że przez całe życie bardzo rzadko opuszczałem Kraków. Podczas rozmowy kwalifikacyjnej przyszedł szef zdziwił się, że człowiek po matematyce, nauczyciel chce pracować w ochronie. Nie wiem, co mi się stało, ale otworzyłem się przed nim. Wcześniej nigdy nie byłem taki wylewny. Opowiedziałem o wszystkim, co mnie ostatnio spotkało. Prawie, o sprawie rzekomego molestowania nie wspominałem. Przyznałem się, że jestem na lekach. Najpierw kręcił głową. Spytał, czy mam jakąś rentę. Pokręciłem głową. Najpierw powiedział, że nie za bardzo w tym momencie nadają się na ochroniarza. Nie czułem żalu, prawdę powiedziawszy nawet nie spodziewałem się, że tę pracę dostanę. Wstałem z krzesła, ale

powstrzymał mnie gestem dłoni i powiedział, że być może coś dla mnie będzie miał.

I tak od dwóch tygodni pilnuję nocami magazynu na terenie stoczni w Gdańsku. Choć właściwie nie za bardzo jest czego pilnować. W środku są jakieś wielkie paki, kontenery, leży żelastwo, którego przeznaczenia nie znam. Dawno tam nikt nie zaglądał, bo wszystko pokrywa gruba warstwa kurzu. Świetne miejsce dla mnie. Upadłem i jestem na terenie stoczni w stanie upadłości. Jestem szary i nijaki jak rozpadające się zabudowania niegdyś prężnej firmy. Nikt mnie nie kontroluje, mogę właściwie robić, co mi się podoba. Co kilka godzin obchód. Potem wracam do małej, brudnej kanciapy. Słucham radia, czasami czytam. Albo nie robię nic. Wsluchuję się w dochodzące do mnie dźwięki, próbując odgadnąć, co słyszę. Ptaki, jakieś zwierzęta, skrzypienie, przytłumione odgłosy miasta, które gdzieś tam za murem stoczni żyje. Albo tylko tak mu się wydaje. O ile miastu może się coś wydawać. Nie za bardzo rozumiem, czemu przychodzą mi do głowy tego rodzaju myśli. Kiedyś byłem tak racjonalny, a teraz... Może to kwestia odosobnienia, samotności. Przebywania w ukryciu. Bo tak... UKRYWAM SIĘ, chociaż nie wiem przed czym.

9 maja 1999

Wynajmuję pokój w mieszkaniu pani Lucyny. Stara kamienica w dzielnicy Oliwa i stara pani Lucyna. Nie wchodzimy sobie w drogę. Pani Lucyna albo gapi się w telewizor, albo modli przed ścianą zawieszoną świętymi obrazkami. Czasami tylko narzeka, że za długo palę światło albo za dużo zużywam wody do kąpieli. Nie denerwuje mnie to. Trochę jej pomagam, przynoszę zakupy, sprzętam kuchnię i łazienkę. Zdaje się, że jest sama. SAMOTNA. Nikt do niej nie przychodzi. Pani Lucyna, mimo że jest dosyć sprawna, rzadko wychodzi z domu. A jeśli już, to tylko na skwer, który znaj-

duże się kilkaset metrów dalej. Raz poszedłem za nią. Usiadła na ławce i patrzyła przed siebie. Bez ruchu.

Był ciepły, wiosenny dzień, więc pojechałem nad morze. Choć to tylko zatoka. Tak mówią miejscowi. Morze, które jest zatoką. Wiosna, która jest inna niż ta znana mi z Krakowa. Powietrze jest tu bardziej rześkie. Słońce jakby przydymione. Czy mi się to podoba? Nie wiem. Jest inaczej. Tylko tyle.

Włóczyłem się po plaży aż do zmierzchu. Poszedłem do Sopotu, zobaczyłem atrakcje tego kurortu. Nie zrobiły na mnie większego wrażenia. Potem zawróciłem. W knajpie znajdującej się na plaży zjadłem późny obiad. Nie przepadałem za rybami, ale wybrałem rybę maślaną. Ze względu na intrygującą nazwę. Nawet nie wiedziałem, że jest taki gatunek. Była ohydnie tłusta. Przynajmniej frytki były dobre.

Doszedłem do kolejnego mola. Mniejszego niż sopockie. Nie wiedziałem, w jakiej dzielnicy się znajduję. Mało mnie to obchodziło. Było ciemno i prawie pusto. Ostatni spacerowicze wracali do domów. Doszedłem do krańca mola. Przeszedłem przez barierkę i stanąłem na betonowym cyplu zawieszonym nad wodą. Nie mam pojęcia, dlaczego to zrobiłem. Nie patrzyłem przed siebie, patrzyłem w dół. Woda mieniła się w świetle księżyca. Przeleciało mi przez głowę, że mógłbym skoczyć. Nawet nie musiałem skakać. Wystarczyło zrobić dwa kroki. Nie umiałem pływać, długo by to nie potrwało. Raczej nie było szans, żeby mnie ktoś zauważył i uratował. Zbliżyłem się do krawędzi cypla.

„Po co mam żyć?“, powiedziałem na głos.

Powtórzyłem.

Mój głos brzmiał obco, głucho.

To by było takie łatwe. Uciec aż do końca, uciec tam, gdzie jest mama.

MAMA!!!

Odwróciłem się powoli, podszedłem do barierki i przeskoczyłem przez nią. Tym razem uciekałem przed mieniącą się wodą. Tyle że zaczynała się ucieczka, która miała cel. JA miałem CEL.

Może zrobię to za kilka miesięcy. A może za kilka lat. Nie wiem, kiedy będę gotowy. Ale na pewno to zrobię. DLA MAMY.

Rozdział szósty

Czerwone na czarnym

**16 października, 2014, czwartek,
Peloponez**

Okolice przypominała Bieszczady po niezbyt udanym liftingu. Jakby ktoś wyciął lasy mieszane i zamiast nich powtykał we wzgórza, bez ładu i składu, powykręcane drzewa oliwne i pinie. Niezbyt bieszczadzki był tylko kurz, który osadzał się na przedniej szybie samochodu i wciskał do środka. I oczywiście upał, choć zdarzały się przecież w Bieszczadach ciepłe, październikowe dni. Niemal letnie.

Podczas poprzedniej bytności na Peloponezie nie wypuszczałem się zbyt daleko poza Arkoudi, dlatego otaczający mnie krajobraz był nowością.

Tak właśnie. Znowu byłem w Arkoudi. Gdyby jeszcze kilka dni temu ktoś powiedział, że kiedykolwiek tutaj wrócę, szczerze bym go wyśmiał.

Zaparkowałem przy placyku w centrum wioski, w cieniu platanu. Wysiadłem i rozprostowałem kości. Długa jazda dała mi się we znaki. Oparłem się o auto i zapaliłem. Po raz kolejny przekonałem się, że tutaj nawet papieros smakuje inaczej. Rozejrzałem się. Miałem wrażenie, jakbym opuścił Arkoudi ledwie wczoraj. Może czas płynął tu inaczej, wolniej. Przypominało spokojną zatokę, wokół której rozłożyła się wioska. Czekający na klientów taksówkarze grali w karty, leniwymi ruchami rzucając je na maskę mercedesa. Stara wdowa w czerni tkwiła na posterunku pod platanem. Odniosłem wrażenie, że gapi się na mnie.

Przecież to niemożliwe, żeby mnie rozpoznała. Żeby w ogóle mnie pamiętała. Zrobiła gest wysuszoną dłonią. Jakby przyzywający. Ale mnie?! Powtórzyła ruch. Powoli, niepewnie podszedłem do staruszki. I zaraz zrobiłem w tył zwrot, wyklinając w duchu własną głupotę. Zapomniałem, że wdowa w czerni miała zaćmę. Nie mogła mnie widzieć. Chyba.

Byłem głodny, przeszedłem przez ulicę do knajpy, do której tak chętnie chodziliśmy z Pauliną podczas niezbyt szczęśliwych wakacji. Miałem nadzieję, że nie natknę się na zaprzyjaźnionego kelnera. Nie chciało mi się opowiadać, po co się tu znowu zjawiłem. Inna sprawa, że sam nie do końca wiedziałem. Na szczęście z zaplecza wychynęła nijaka dziewczuszka, która znała angielski jeszcze gorzej niż ja, więc nie zanosilo się na rozbudowaną konwersację. Zamówiłem michę pieczonych kalmarów i karafkę domowego wina. Raczej nie dałbym rady mieszkać tutaj na stałe, za to ich żarcie mógłbym jeść na okrągło. Domówiłem jeszcze kawę po grecku i podwójne tsipouro. Dziewuszka spojrzała na mnie z ukosa. Tak, było bardzo wczesne popołudnie. Oczywiście, zamierzałem pić mocny alkohol. Co komu do tego?

Zapałem i pociągnąłem solidny łyk greckiego zajzajeru. Zapiekło w gardle. Patrzyłem na turystów włączających się po wiosce i zadawałem sobie wciąż te same pytania.

Co mnie tu przygnało? I co najlepszego wyczyniam?

We wtorek napędzała mnie złość. Byłem wściekły, że Koseła i Lewandowski zbagatelizowali sprawę, mieli gdzieś, że trafiłem na trop, który był bardzo wyraźny. I więcej niż rozwojowy. Postanowiłem, że pojedę do Grecji i wytrzęsę prawdę z Cichockiego. Zdawałem sobie sprawę, że może się przyznać, ale nie musi. Że ma coś za uszami, tego byłem pewien. Nie znałem faceta. Nie wiedziałem, na ile jest zdeterminowany i twardy. Zdawałem sobie sprawę, że w dużym stopniu robię to dla samego siebie, bo nie lubiłem niedomkniętych dochodzeń. Przynajmniej tak mi się w tamtej chwili zdawało, bo – prawdę powiedziawszy –

podczas policyjnej służby zdarzało mi się olewać niektóre case'y. Tyle że nigdy nie chodziło o sprawę trzech zgonów.

Udało mi się jeszcze tego dnia wyciągnąć kasę z banku. Rozważałem, jak się dostać na Peloponez. Samolotem byłoby szybciej i wygodniej, ale przecież miałem miśka. Kusiło mnie, żeby ruszyć w długą trasę, bo nigdy nie podróżowałem samochodem poza granicami Polski. Na szczęście miałem nawet jakieś międzynarodowe ubezpieczenie, które agent wcisnął mi w ramach pakietu promocyjnego. A że spędzę prawie cały dzień za kółkiem? Nic strasznego.

Jednak im bliżej było wieczoru, tym więcej było we mnie zwątpienia. Złość minęła i zacząłem kalkulować. Byłem nikim, zwykłym cywilem, co miało swoje plusy i minusy. Mogłem wydusić z rezydenta przyznanie się do winy niespecjalnie legalnymi metodami. Ale Cichocki wcale nie musiał się wysypać, to raz. Dwa, że nawet gdyby okazało się, że to on zabijał, to co dalej? Zatargam go do greckich policjantów, a oni mnie zignorują tak jak policjanci rodzimi. Żaden mundurowy nie lubi, jak mu się ktoś wpiernicza w śledztwo, a już szczególnie jakiś postrzelony gość bez właściwych dokumentów, który na dodatek ma jedynie poszlaki, a nie twarde dowody. Postanowiłem się przespać z problemem.

Zwykle nie pamiętałem snów, lecz ten wbił mi się w pamięć aż za dobrze. Prawdopodobnie dlatego, że nagle zbudził mnie dzwonek telefonu. Paulina. Nie odebrałem, stosując ulubioną metodę uników.

Przyśniła mi się Wiera Dworzak. Bosa, w długiej czarnej koszuli nocnej szła przez łąkę, rozgarniając płataninę babiego lata, którego nitki były grube niczym sznury do suszenia bielizny. Parła naprzód bez słowa. Zdaje się, że nawet nie oddychała. W końcu dotarła nad brzeg strumienia, który płynął wartko niczym w górach, choć wokoło było płasko. Wiera Dworzak pochyliła się nad wodą. Zamiast własnego odbicia zobaczyła twarz Cichockiego. „To ty, ty to zrobiłeś?“, wyszeptwała. „Tak, to on“, potwierdziłem, stając obok niej.

Dziwne. Bardzo.

Dotarło do mnie, że chcę pojechać do Grecji nie tylko dla siebie. Po to, żeby dowiedzieć się, kto chciał mnie zabić albo uszkodzić i dlaczego. Podejrzywałem, że za kierownicą samochodu, który omal mnie nie przejechał, siedział Staś-Cichocki. Że nie jest to tylko paradoksalna wyprawa w poszukiwaniu wewnętrznego spokoju. Złożyłem Wierze Dworzak, matce w żalobie, obietnicę. Miałem świadomość, że składając ją, zapewne obiecuję zbyt wiele, mogłem jednak zrobić tyle, ile mogłem. Cudnie tautologiczna fraza. Czyli kopnąć się do Arkoudi.

Wyjechałem z Krakowa w środę rano, przenocowałem w zapyziałym hotelu w Serbii, tak zapyziałym, że bałem się, czy nie oblażło mnie robactwo. Chyba jednak nie. Się okaże. A teraz siedziałem w knajpie przy placyku w Arkoudi, w samym centrum lokalnego kosmosu i sącząc grecki zajzajer, zastanawiałem się, co dalej.

Mogłem zrobić tylko jedno: kopnąć kamień i czekać, czy ruszy lawina.

Dzięki Bule miałem wszystkie potrzebne dane Cichockiego. Na stałe był zameldowany w Patras, ale podczas sezonu, który wciąż tu trwał, przenosił się z jednego kurortu do drugiego. Z harmonogramu wynikało, że w tym tygodniu powinien się kręcić w okolicach Arkoudi, mając za kwarterę pokój w wypasionym hotelu na obrzeżach wioski. Podjechałem tam, ale recepcjonistka wyjaśniła mi, że pana Cichockiego nie ma w pokoju, że zwykle wyjeżdża rano i wraca późnym wieczorem. Zaiste wzorowy pracownik. O ile rzeczywiście pilnował interesów Zeus Travel, a nie byczył się gdzieś na plaży, sącząc tutejsze cienkie piwo. Zadzwo-niłem do niego. Nie odebrał. Być może w ogóle nie odbierał telefonów z nieznanym numerów. Na jego miejscu tak bym robił. Miałem jednak na to sposób. Pojechałem do hotelu Brati, licząc, że będzie tam jakaś polska grupa. I była. Na tablicy przy recepcji znalazłem wywieszkę Zeusa z numerem telefonu miejscowej rezydentki. Karolina Pawlik. Nie pamiętałem nazwiska, ale wiedziałem, że pracownica biura, z którą rozmawiałem kilka tygodni temu, miała na imię Karolina. Kiedy usłysza-

lem jej głos, byłem już pewien, że to ta sama osoba. Przedstawiłem się i przypomniałem, że spotkaliśmy się niedawno w niezbyt przyjemnych okoliczności. Aaa, pan detektyw, powiedziała. Zdałem sobie sprawę, że popełniłem błąd. Nie chciałem, żeby Cichocki wiedział, że mam coś wspólnego ze śledztwem, zamierzałem wziąć go z zaskoczenia. I sam się podłożyłem. Zacząłem mętnie tłumaczyć, że już nie pracuję w branży detektywistycznej, że mam ofertę, która może zainteresować Cichockiego. Poprosiłem o skontaktowanie mnie z nim. Pawlik wydawała się lekko dezorientowana, ale powiedziała, że spróbuje, choć nic nie może obiecać. Dobre i tyle.

Wynająłem najtańszy z możliwych pokój w hotelu, w którym spaliśmy z Pauliną. Nie miałem pojęcia, ile przyjdzie mi czekać na spotkanie z Cichockim. Wcale nie było pewne, że się do mnie odezwie. Może będę go musiał ścigać po całym Peloponezie.

Wieczorem po kolacji poszedłem na plażę nad zatoczką. Kręcili się po niej zapóźnieni spacerowicze. Upał zelżał, przyjemny chłód ciągnął od wody. Usiadłem na szarawym piasku, zapaliłem. Spojrzałem w prawo na skały, gdzie zginęła Natasza. W półmroku wyglądały groźnie. Może nawet demonicznie, choć pewnie był to tani demonizm. Znowu opadły mnie wątpliwości. Co właściwie sobie wyobrażałem? Że przyjadę tu i z miejsca, znając rozkład zajęć Cichockiego, rozmówię się z nim? I że coś z tej pogawędki wyniknie? Cała moja eskapada opierała się na wątych i nazbyt optymistycznych założeniach. A może byłem zwyczajnie naiwny.

Wyciągnąłem z kieszeni telefon. Nic. Zero połączeń i wiadomości. Najprawdopodobniej Cichocki wcale nie zamierzał się dowiadywać, czego od niego chce. Przez chwilę kusiło mnie, żeby wybrać numer Pauliny. Jednak co niby miałbym jej powiedzieć? „Kochanie, jestem w Grecji!”. Zabiłaby mnie śmiechem. Albo zamordowałaby wrzaskiem.

17 października 2014, piątek, Arkoudi

Od zawsze nienawidziłem obserwacji. Dobijało mnie czekanie. Samochód przesycony smrodem fajek i fast foodów. Omiatanie wzrokiem wciąż tego samego punktu. Zasadziwszy się na Cichockiego, zacząłem gratulować sobie, że zwolniłem się ze służby. Wróc. Zostałem nieoficjalnie wylany.

Mimo że podjechałem pod lokum Cichockiego wczesnym rankiem, już go nie było. Najpierw zaparkowałem przed wjazdem do kompleksu hotelowego, ale nie było tam cienia, więc po godzinie w nagrzanym samochodzie miałem dosyć. Usiadłem przed hotelem na ławce pod palmą. Po kolejnej godzinie zainteresował się mną ochroniarz. Powiedziałem, że czekam na znajomego. Kiedy minęła druga godzina, zaczął mi się uważnie przyglądać. Fakt, ile można czekać, jeśli pogoda świetna, a plaża pod bokiem. Poza tym od czego są telefony. Zadzwoń-łem raz i drugi do Cichockiego, nie odebrał. Przekręciłem do Pawlik, powiedziała, że przekazała informację oraz zamiary na mnie, i zaraz się rozłączyła, tłumacząc, że jest bardzo zajęta. Jedynym bez zajęcia pozostawałem ja, więc podniosłem się i poszedłem. Ochroniarz czujnie na mnie spozierał.

Siedziałem w knajpie przy placyku i popijałem wino. Co mogłem zrobić poza czekaniem? Wysłałem Cichockiemu esemes z informacją, że mam dla niego bardzo ciekawą ofertę, która może mu przynieść spory zysk. Zero odzewu. Prawdę powiedziawszy, też olałbym taką ofertę.

Zrezygnowany rzuciłem na stolik kilka banknotów i poszedłem na plażę. Jedyne, co w tej chwili mogłem, to złapać trochę opalenizny.

Podniosłem się z leżaka. Zmierzchało. Zaliczyłem solidną drzemkę, na szczęście pod parasolem, więc się nie spiekłem. Pomacałem kieszenie szortów. Nawet nikt mnie nie obrobił.

Wspiąłem się na placyk, żeby coś przegryźć, zanim znowu pojedę do hotelu Cichockiego. Zasapałem się, więc stanąłem niedaleko platanu, żeby złapać oddech. Znowu odniosłem wrażenie, że wdowa w czerni

przygląda mi się uważnie. Kilka razy zamachała ręką, pokazując w prawą stronę. Mamrotała pod nosem. Brzmiało to jak „evil” albo „devil”. Ale może wypowiadała słowa, które nie miały sensu.

W knajpie, do której zwykle chodziłem, wszystkie stoliki były zajęte, więc skręciłem w prawo, w jedną z bocznych uliczek wioski. Pamiętałem, że na jej końcu jest tawerna z przyjemnym widokiem na morze. Zastanawiałem się, czy mam ochotę na rybę. Zanim rozwiązałem gastronomiczny dylemat, stanąłem jak wryty. Pomyślałem, że to nie dzieje się naprawdę.

A jednak.

Przy jednym ze stolików ustawionych na rozległym tarasie siedział Cichocki. Bokiem do mnie, ale byłem pewien, że to on. Stanąłem kilka kroków za nim i powiedziałem:

– Dzień dobry, panie Staś.

Nie odwrócił się, nawet nie drgnął. Opanowany sukinkot. Albo zwyczajnie wyparł dawne nazwisko. Podszedłem do jego stolika, wskazałem na jedno z wolnych krzesełek i spytałem:

– Mogę?

Wbił we mnie wzrok. Spojrzenie faktycznie miał niepokojące tak, jak to zapamiętałem z naszego pierwszego spotkania. Milczał. Nie czekając na odpowiedź, usiadłem. Rozejrzał się. Chrząknął.

– Ma pan tu masę wolnych stolików – wycedził. – Wolę jeść sam.

Oczywiście, robaczku, podejrzewałem, że nie masz przyjaciół i nie znosisz przelotnych znajomości.

– Panie Cichocki, co nam szkodzi pogawędzić.

– My się znamy?

– Spotkaliśmy się raz w hotelu Brati.

– Proszę pana, codziennie spotykam masę ludzi. – Przyjrzał mi się uważnie. – Pana nie kojarzę. A w ogóle, jak pan się nazywa?

– Konrad Rowicki.

Westchnął. Powoli odsunął od siebie talerz z niedojedzoną musaką.

– Przypomniałem sobie. Natręt, o którym mówiła Karolina. Niby-detektyw.

– Nie jestem detektywem.

– To kim pan właściwie jest?

– Człowiekiem, który lubi wiedzieć.

– Co?

– Do tego dojdziemy.

Cichocki zamachał w stronę kelnerki i powiedział coś po grecku. Pewnie chciał zapłacić i zwać.

– Posłuchaj, człowieku, jestem zmęczony po całym dniu pracy i nie mam siły ani ochoty wysłuchiwać historyjek oszołoma.

Z niby-detektywa zmieniłem się w oszołoma. Od zera do gościa na minusie. Zawrotna kariera.

– Jestem pewien, że moja opowieść pana zaciekawi, bo jest pan jej głównym bohaterem.

Chciałem mówić dalej, ale przypętała się kelnerka. Cichocki zapłacił i wstał.

– Nie mówię do widzenia – powiedział i ruszył w stronę uliczki.

Kelnerka zagadała do mnie. Zignorowałem ją i poszedłem za rezydentem. Szedł wolno, wcale nie uciekał. Był opanowany, a to nie wróżyło najlepiej. Zrównałem się z nim po kilkunastu krokach. Nie powiedział nic, w milczeniu przeszliśmy kilkadziesiąt metrów. Postanowiłem zagrać z nim w otwarte karty.

– Jacek – dałem sobie spokój z „panowaniem” – wiem, że kiedyś nie nazywałaś się Cichocki, byłaś nauczycielem matematyki w Krakowie. Wiem, co cię spotkało. I co przytrafiło się twojej matce.

To było wredne, ale skuteczne. Staś zatrzymał się, potem stanął ze mną twarzą w twarz i zacisnął pięści. Szybko zapanował nad sobą.

– Stare dzieje.

Głos mu się jednak trochę załamał, może więc miałem szansę przebić się przez pancierz, który na siebie wdział. Prawdopodobnie lata

temu.

- Czego ty właściwie chcesz? – zapytał spokojnie.

- Dowiedzieć się, po co to wszystko było.

- Co takiego?

- Mała masakra w tej uroczej wiosce.

Wzruszył ramionami.

- Zabawny z ciebie człowiek. Przyjeżdżasz tu, szukasz, pytasz. A może jesteś dziennikarzem, co? Węszysz za tematem, którego nie ma.

- Nie jestem.

- Powiedzmy.

- Co ci szkodzi porozmawiać ze mną? Kilkanaście minut i będziesz miał mnie z głowy.

- Jestem zmęczony i mam gdzieś, co tam uroiłeś sobie w chorej głowie.

- To może jutro? Mam czas.

- Ale ja nie.

Odwrócił się i poszedł. Patrzyłem na jego plecy i gorączkowo zastanawiałem się, co robić. Mogłem zaciągnąć Stasia w ustronne miejsce i go poobijać, ale nie wyglądał na miękkiego zawodnika. Mogłem też znowu spróbować go wkurwić. Miałem już w ręku ostatnią kartę.

Pobiegłem za Stasiem, który już wchodził na placyk. Zerknąłem na mnie z ukosa.

- Jesteś upierdliwy jak sraczka.

- Zastanawia mnie jedno – zacząłem – dlaczego w twoim CV dla Zeus Travel nie ma wzmianki o pracy w liceum. Wiesz którym.

- Skąd... – syknął, ale dalej mówił spokojnym głosem. – Dobrze, zadałeś sobie trudu, dotarłeś do papierów, do których nie powinieneś mieć wglądu. Nie mam pojęcia, kim naprawdę jesteś, ale pewnie zdajesz sobie sprawę, że to nielegalne. Jutro zadzwonię do firmy i powiem o tobie. Mamy dobrych prawników, wiesz?

– Jak już tak sobie grozimy, ciekawe, co by powiedzieli twoi szefowie, gdyby dowiedzieli się, że byłeś zamieszany w sprawę molestowania nastolatki? Teraz wszyscy drętwieją na najmniejszą wzmiankę o molestowaniu. Takie czasy. A tutaj pewnie też masz do czynienia z dziećmi.

– Ty drobny chujku – wysyczał i chwycił mnie za ramię.

– Chyba nie będziesz mnie lał w środku wioski na oczach tych wszystkich ludzi. – Powiodłem dłonią dookoła. – Znajdźmy ustronne miejsce i pogadajmy.

Znowu byłem na plaży nad zatoką. Przysunąłem dwa leżaki, usiadłem naprzeciwko Stasia. Wyciągnąłem ku niemu paczkę fajek. Pokręcił głową. Fit typ, jak podejrzewałem. Celebrowałem ponad miarę rytuał zapalania i pierwszych zaciągnięć.

– Mów, co ci się urodziło w tej chorej głowie. Nie zamierzam tu tkwić do północy – nie wytrzymał.

– Zabieś tych troje w Arkoudi – wyrzuciłem z siebie, a potem wolniej, tak, aby uderzyły w niego nazwiska, dopowiedziałem: – Kowalską, Dworzak i Zawadzkiego.

Wbił we mnie wzrok. Po zmroku zagrywka nie robiła już tak wielkiego wrażenia. I nagle wybuchnął dzikim śmiechem. Ścisłe objęta para, która szła brzegiem morza, odskoczyła od nas, rozchlapując wodę. Słusznie, od wariatów należy się trzymać z daleka.

Śmiech Stasia urwał się jak ucięty.

– Większej bredni dawno nie słyszałem.

– Wszystko wskazuje na ciebie – zablefowałem z lekka.

Nie przejął się.

– Nie wpadła na to grecka policja, nie wpadła polska, a ty tu nagle przyjeżdżasz z taką rewelacją. Wcześniej mnie to waliło, ale kim ty właściwie jesteś, tak naprawdę?

– Teraz nikim, wcześniej przez lata byłem policjantem.

– Aha, nudzi się...

Nie skomentowałem.

– I jak wpadłeś na to, że jestem mordercą?

– Jako jedyny miałeś motyw i sposobność.

– Dobrze, spróbujmy zbadać spójność twojej śmiałej tezy i jej wątpliwych założeń. Z tego, co słyszałem, nie doszło do mordów, tylko do wypadków. Pijak się utopił, jedna kobieta spadła ze skały, druga się zatruliła. Czyż nie tak?

Gra wciągała mnie, choć absolutnie nie wiedziałem, ku czemu Staś zmierza.

– Niekoniecznie, policja nigdy nie upublicznia od razu wszystkich ustaleń.

– W miejscowych gazetach też nie pisali o kurorcie zbrodni.

– Pewnie nie chcieli siać paniki w sezonie turystycznym albo ktoś im zabronił.

– Słabe tłumaczenia, ale idźmy dalej. Załóżmy na chwilę, na potrzeby naszego eksperymentu myślowego, że to ja zabijałem. Po co miałbym to robić? Po co miałbym ryzykować przyjemne życie, które sobie tutaj z trudem odbudowałem?

– Oczywiście dla zemsty, żeby ukarać Kowalską i Zawadzkiego za to, że zrujnowali ci życie i pośrednio doprowadzili do śmierci twojej matki.

Spiął się, wychylił w moją stronę i powiedział powoli:

– Nie mów o mojej mamie.

– A co, boli? – Dźgałem brudnym paluchem w otwierającą się ranę. – I z tego bólu, który zawsze gdzieś się czai, postanowiłeś odplacić im za dawne grzechy.

Usiadł prosto, westchnął. Był niezły, więcej nawet, był świetny. Czarny pas w opanowaniu. Miałem już jednak niemal stuprocentową pewność, że on to zrobił.

– Załóżmy, że chciałem się zemścić. Po co miałbym czekać przez tyle lat?

– Może nie wiedziałeś jak? Może zbierałeś się tak długo na odwagę?

– Posłuchaj, nie masz pojęcia, o czym mówisz. Tego trzeba samemu doświadczyć.

– Oświeć mnie – zachęcałem, licząc, że przez przypadek coś chlapanie.

– Po zwolnieniu się z liceum popadłem w stupor, a kiedy mama... Nie masz pojęcia, co się czuje, kiedy traci się bliską osobę.

Akurat miałem, ale to nie był wieczór wzajemnych zwierzeń, więc ani pisałem.

– Byłem w rozpacz – kontynuował – chciałem się zabić. A potem rośla we mnie wściekłość, straszna, na tych gnojków, którzy pewnie dla zabawy zniszczyli mi życie. Jeśli miałbym ich zabić, zrobiłbym to wtedy, lata temu. Teraz ani mnie ziębia, ani grzeją.

– Tym bardziej że są martwi.

Pokręcił głową.

– Wymyśliłeś sobie teoryjkę, która nie trzyma się kupy. Nie widzisz, nie rozumiesz tego? A już z tą trzecią to już zupełny absurd.

– Ta trzecia nazywała się Natasza Dworzak.

– Mniejsza, jak się nazywała. Przecież nawet jej nie znałem.

Akurat tego tematu nie zamierzałem drążyć.

– Skończmy ten eksperyment myślowy i przejdźmy do konkretów. Czym jeźdźsz?

– W sensie? – zapytał niepewnie.

– Jaki masz samochód?

– Golfa.

– Stary model, czarny?

– Tak.

– Takim wozem ktoś próbował mnie tu rozjechać, zaraz przy placu.

– Myślisz, że tylko ja mam taki samochód? Widziałeś kierowcę?

Tym razem ja pokręciłem głową.

– To wszystko jedynie domysły, strzępy informacji, które poskładałeś, bez ładu i składu – podsumował i wstał z leżaka. – Dobrze, czas się pożegnać. I mam nadzieję, że cię już nigdy tu nie zobaczę.

Też wstałem, bo ciężko się rozmawia, kiedy ktoś nad tobą góruje.

– Jest jeden konkret, DNA zabójcy – powiedziałem.

– Się naoglądałeś amerykańskich seriali.

– Policja je ma, któregoś dnia zapuka do ciebie i wszystko stanie się jasne.

– Jak zapuka, to pogadamy.

– Chcesz żyć w niepewności.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo jestem pewien.

Odwrócił się i ruszył w stronę gruntowej drogi prowadzącej poza wioskę. Pomyślałem, że przecież to nie może się tak skończyć, ale nie miałem pomysłu na następny ruch. Czyli co? Staś tak po prostu sobie odejdzie, a ja nie zrobię nic?

Sylwetka Stasia niknęła już w mroku, kiedy ruszyłem za nim, zaskakując samego siebie. Śledzenie go nie miało sensu, przecież wiedziałem, dokąd zmierza. Do hotelu. Jednak szedłem za nim, trzymając dystans tak, aby nie mógł mnie zobaczyć ani usłyszeć.

Staś dotarł do skrzyżowania za wioską, skręcił w stronę kompleksu hotelowego. Dreptałem jego śladami, zastanawiając się, co do ciężkiej cholery wyczyniam. Mogłem już siedzieć w knajpie i spokojnie łoić grecki zajzajer. I nagle Staś zrobił w tył zwrot. Całe szczęście, że nie wyszedłem jeszcze na główną, oświetloną drogę, bo inaczej by mnie zobaczył. Uskoczyłem w jakieś krzaki. Twarde liście smagnęły mnie po nogach.

Co Staś zamierza zrobić?

Tym samym, wolnym, równo odmierzonym krokiem wrócił nad zatokę. A za nim ja, jego cień. Nie poszedł jednak na plażę. Skierował się w stronę czarnych skał. Nie mogłem uwierzyć w to, co widziałem.

Opowieści o przestępcach, którzy wracają na miejsce zbrodni, uważałem za policyjną legendę albo literacki wymysł. W przypadku prowadzonych przeze mnie śledztw nie zdarzyło się ani razu, żeby zbój wrócił tam, gdzie coś nawywijał. Poza case'em męża, który ukatrupił żonę i przez tydzień trzymał zwłoki w wersalce. Ale to się nie liczy. A teraz widziałem na własne oczy, jak Staś z trudem wspina się na czarne skały, staje na tej, na której znaleziono zwłoki nieszczęsnej Nataszy Dworzak. I stoi, patrząc w morze, gdzie nie było nic poza ciemnością, bo zniknęły nawet światła rybackich łódek.

Wspiałem się na skały. Stałem dwa kroki za Stasiem. Nie usłyszał mnie. Albo udał, że nie słyszy. Tak jak on zapatrzyłem się na morze. Pomyślałem, że teraz rozstrzygnie się wszystko. Lub nic. Zawsze byłem optymistą.

– Sumienie gryzie, co?

Nie odpowiedział, wciąż gapił się na coś, czego nie mógł dostrzec.

– Ciekawe, co by twoja matka powiedziała na to wszystko?

– Nie wspominaj mojej mamy – odrzekł cichym głosem. A potem nagle ryknął: – Popierdoleńcu!!!

Błyskawicznie odwrócił się, doskoczył do mnie i pchnął w pierś obiema rękami. Leciałem w tył, próbując chwycić jego koszulkę. Chyba mi się udało. Wszystko zwolniło. Słyszałem krzyk. Chyba własny. Walnąłem plecami o ostrą skałę. Straciłem oddech.

Ciemność, która była wokół, przeniknęła we mnie.

Epilogi. Jazdy

Jazda pierwsza

23 października 2014, czwartek, do Krakowa i Kraków

Darowałem sobie zatrzymywanie się w Serbii, nie skusiły mnie hotele w żadnym innym kraju, przez które przemykałem. Nie potrzebowałem odpoczynku. Dosyć się należałowałem przez poprzednie dni.

Do Krakowa dotarłem przed zmierzchem. Idealnie. Od razu podjechałem do Kielbasy, do którego zadzwoniłem podczas ostatniego postoju na trasie. Był podniecony, umierał z ciekawości. Mnie już dawno opadła adrenalina. Wciąż jednak nie do końca poukładałem sobie we łbie wydarzenia z Arkoudi. Potrzebowałem poopowiadać o nich. Komukolwiek. Nadawał się do tego i Staszek. Poza tym czułem, że jestem mu zwyczajnie winien opowieść o końcówce afery, w którą mnie wciągnął. Albo inaczej. W którą wciągnąć się pozwoliłem.

Powtórzył się powitalny rytuał w domu Kielbasów. Staszek rzucił się do misia, ale powstrzymałem go, mówiąc, że mam złamane żebra, więc lepiej, by darował sobie czułości. Gośka przywitała mnie bez zbytniego entuzjazmu, zlustrowała od stóp do głów, jakbym był rzadkim okazem w zoologu, i zauważyła, że zabawnie wyglądam z wygolonym kółkiem z tyłu głowy i sińcami na twarzy. Nie było mi do śmiechu, choć zdawałem sobie sprawę, że wyglądam niczym mnich, któremu obsunęła się tonsura. Do tego swędziała mnie skóra wokół szwów. Córa Kielbasów –

jak zwykle – tylko coś burknęła i zniknęła. W internecie miała ciekawsze rzeczy do oglądania niż poobijany mężczyzna.

– Mów, no mów wreszcie, co tam była za afera z tym pracownikiem biura turystycznego. – Staszek niemal podskakiwał na fotelu.

Postanowiłem jeszcze zwiększyć napięcie, poprosiłem o kawę. Niby zdrożony wędrowiec, który ledwo co przekroczył próg gościnnego domu i musi najpierw odsapnąć. Wiedziałem, że do mediów trafiła informacja o ujęciu osoby podejrzanej o zabójstwo polskich turystów w Grecji. I że jest nią Polak, Jacek C. Jednak nie podano szczegółów, zasłaniając się standardową formułką, że trwają intensywne czynności śledcze. Taaa, sami wszystko wysledzili. Beze mnie.

Wypiłem dwie kawy, pojadłem domowego ciasta. Nie najgorszego. Nie było co zwlekać.

– Czy on, czy ten zabójca chciał cię zabić? – wypalił Staszek.

Nie skomentowałem, że zwykle zabójcy mają w zwyczaju zabijać. Byłem zbyt zmęczony, żeby się wyzłośliwiać.

– Tak do końca to nie wiem.

– No ale, wyglądasz, jakbyś z wojny wrócił.

– Staszek, bez przesady – z miejsca zgasiła go Gośka.

Nie zamierzałem wysłuchiwać kolejnej cichej kłótni Kielbasów, więc odpowiedziałem:

– Właściwie to nie wiem. Staliśmy wtedy wieczorem z tym Cichockim, z zabójcą – doprecyzowałem, widząc zdziwienie w oczach Kielbasy – na czarnych skałach...

– O przynajmniejszy, kurwa, Jezu, polazłeś tam sam z mordercą!?

– Daj mu mówić – kolejny raz wtrąciła się Kielbasowa.

– Od słowa do słowa. To działo się szybko. Pchnął mnie, pociągnąłem go za sobą. Spadliśmy na skały. Nie mam pojęcia, czy chciał mnie ubić. Może. Ocknąłem się, kiedy wokoło kręciła się już masa ludzi.

– To ty nie biłeś się z nim, no, nie obezwładniłeś go i nie zakułeś w kajdanki? – Staszek zdawał się wyraźnie zawiedziony.

Nie zamierzałem mu po raz enty tłumaczyć, że życie to nie serial kryminalny. Że nawet nie miałem kajdanek, bo i skąd.

– Sam się obezwładnił. Też spadł, złamał sobie rękę. Tyle że wcześniej niż ja odzyskał przytomność. I chyba chciał mnie dobić.

– Chyba? To co, no co, to ty nie wiesz?

– Staszek, byłem nieprzytomny. Przyplątało się na czarne skały dwóch młodych Niemców. Zobaczyli, że Cichocki klęczy nade mną z kamieniem w rękę. I na szczęście zainterweniowali. Więc może chciał mnie zabić, a może nie.

Groza bliskiej śmierci działa na wszystkich. Kielbasowie milczeli.

– Dowiedziałeś się, po co on to zrobił? – pierwsza ocknęła się Gośka.

– Z zemsty.

Opowiedziałem o nauczycielu Stasiu, o samobójstwie jego matki. O człowieku, w którym złość nabrzmiewała przez lata niczym podskórny ropień, który w końcu pękł.

Wyszedłem do ogrodu zapalić. Zadrzałem. Jesienny chłód owinął się wokoło mnie jak mokra szmata. Jednak mieszkanie w Grecji ma swoje plusy. Tyle że to nie dla mnie.

Ledwie zrobiłem dwa machy, a przydreptał do mnie Staszek.

– Ty, Konrad, no bo, no wiesz...

– Spokojnie, wykrztuś to z siebie.

– Tam, wtedy, wiesz, w Grecji, myślałem, że grasuje jakiś popierdolony psychopata. A tu, no ta, taka zwykła właściwie historia. A może nie? Co? Ten cały Cichocki to, twoim zdaniem, normalny jest?

– Może zwyczajnie za wiele nieszczęść go spotkało. Ale myślę, że ktoś, kto na zimno postanawia zabić, planuje to i na koniec nie zdrzy mu ręką, do końca normalny nie jest.

Kielbasa, drapiąc się po resztkach blond czupryny, przetwarzał dane. Chyba nie doszedł do końcowych wniosków, bo zmienił temat:

– Ale, no ale w wiadomościach, a słuchałem i czytałem, gdzie się dało, nikt nie wspominał o tobie. To naprawdę ty rozwiązałeś tę sprawę?

Nie sądziłem, że Staszek należy do ludzi aż tak podejrzliwych.

– Tak było.

– To czemu o tobie nie mówią, tylko że, no, że policja złapała zabójcę. Czy tam tego, no, podejrzanego.

– Tak jest lepiej, przede wszystkim dla policji, ale i dla mnie. Gdyby chcieli, mogliby mi postawić jakieś zarzuty.

– Aha, aha – potwierdził, choć nie byłem pewien, czy zrozumiał. – To ty taki bardziej cichy bohater jesteś?

Mój śmiech przeszedł w rżenie. Palilem zdecydowanie za dużo fajek.

– Z czego rżysz?

– Żaden ze mnie bohater. Raczej totalny głupek.

Jazda druga

24 października 2014, piątek, do Gdańska i w Gdańsku

Wątpliwości opadły mnie, kiedy minąłem Mławę. Nic dziwnego, zważywszy na odwieczne animozje między Mławą a Ciechanowem, pobyt rodowitego ciechanowianina w okolicach wrogiego miasta zawsze zmuszał do refleksji. Między innymi na temat życia, jego kruchości. Zjechałem na pierwszą lepszą stację benzynową, poszedłem do baru i zamówiłem napój energetyzujący, aby wspomóc czynności mózgu.

Wyjeżdżając rano od Kielbasów, byłem przekonany, że pomysł jazdy do Gdańska i rozmówienia się z Pauliną był świetny. Choćby nawet miałyby to być pozełgalna rozmowa. Postawiła mi ultimatum, miałem być u niej w weekend – tyle że w zeszyły... Mogło tak się zdarzyć, skoro ostatnia nagrana przez Paulinę wiadomość głosowa brzmiała krótko, jasno i dobitnie: „Żegnam. Spierdalaj!!!”. Słowa jak dwa wbite mocno gwoździe. Co tam gwoździe, prawdziwe bretnale grube niczym palec. Oczy-

wiecie, miałem wyjechać z Krakowa i stawić się w Gdańsku wiele dni wcześniej. Prawdą jest też, że przez ostatnie dni nie było ze mną żadnego kontaktu. Ale czy to moja wina? Zajmowałem się sprawą trzech trupów z Arkoudi, rozwiązałem ją, choć łatwo nie było. Zebrałem po łbie. Zostałem, jak się wyraził Kielbasa, cichym bohaterem. Miałem nadzieję, że moje tłumaczenia trafią do Pauli. I mi wybacz, a może nawet rozczyli ją to, że po raz kolejny przysłużyłem się do ukarania złego człowieka.

Kiedy ocknąłem się na czarnych skałach, zajmowali się mną medycy, a wokoło nerwowo dreptali greccy policjanci. Nic dziwnego, za wiele złych rzeczy działo się w krótkim czasie w Arkoudi i okolicach. Najpierw na dobę trafiłem do szpitala, gdzie zrobili badania i mnie połatali. Miałem wstrząśnienie mózgu, ale niezbyt wielkie, bo nawet nie rzygałem, a przynajmniej sobie tego nie przypominałem. Potem trafiłem na posterunek policji w mieście, którego nazwy nie zamierzałem zapamiętywać. Maglowało mnie dwóch funkcjonariuszy, choć właściwie jeden, który jako tako mówił po angielsku. Chcieli wyjaśnić, co to za brewerie wyczynialiśmy na czarnych skałach czarną nocą. Pokróctce objaśniłem, zaczynając od tego, że Cichocki jest zabójcą z Arkoudi. Ponoć mają DNA sprawcy jednego z mordów, to mogą sobie sprawdzić. Policjant najpierw zasugerował, że z moją głową chyba wciąż nie jest najlepiej, a kiedy upierałem się przy swojej rewelacji, stwierdził z lekką bezradnością, że on słabo zna angielski, ja słabo, więc potrzebny jest tłumacz. Zaproponował gościć na dołku. Jak tam było? Powiem tak: w Polsce widywałem gorsze.

Tłumacz zjawiał się następnego dnia, rozmowa była konkretniejsza. Zablefowałem z lekka, że ściśle współpracuję z polską policją, bo skąd niby miałbym wiedzieć o DNA, i poprosiłem, żeby skontaktowali się z komisarzem Kosełą. Pokiwali głowami, po raz któryś z rzędu pooglądali moje dokumenty i spytali, kim jestem. Zaczynało mnie to już nudzić. Kolejną noc spędziłem na gościnnym greckim dołku.

Rankiem zjawił się nowy policjant, sądząc z hieroglifów na pagonach, wyższy rangą oficer, który powiedział, że prowadzi sprawę trupów polskich turystów. Wypytał, o co chodzi z tym Cichockim. Po raz kolejny powtórzyłem, co wiedziałem, i podkreśliłem, że komisarz Koseła jest wprowadzony w szczegóły sprawy. Miałem nadzieję, że Buc jednak zachował resztki inteligencji i czujności na tyle, aby potwierdzić, przynajmniej z grubsza, moją wersję. Oficer zapewnił, że tak, oczywiście, przecież ściśle i nadzwyczaj owocnie współpracują z polską policją, więc nie ma problemu. Sprawdzi.

Sprawdzanie zajęło mu dwa dni, które spędziłem na dołku nie niepokojony zbyt przez nikogo. Próbowiałem analizować, w co tak naprawdę się wpakowałem i co mi grozi, ale słabo mi szło. Spotkanie głowy ze skałą zrobiło swoje, co raz zapadałem w nerwowe drzemki. Na szczęście Koseła wyczuł, o co chodzi, przyleciał do Grecji i uwolnił mnie z ancla. Na początku próbował się zemścić za moje wcześniejsze gierki, groził, że mam wielkie problemy. Przypomniałem mu o naszej umowie, powtórzyłem, że może łącać do woli, że to on wytropił Cichockiego i sam go dopadł, o ile tylko ktoś mu uwierzy, może mówić cokolwiek. Bo mnie tu nie powinno być. Zależało mi tylko, żeby pozwolili mi jak najszybciej wynieść się z Grecji. Buc nie krył radości. Pewnie kombinował, że tanim kosztem załatwił sobie sławę i awans, ja zaś nie dostałem nic. Niech mu się tam szczęści na prostej ścieżce kariery. Podpisałem kwity, oficjalne zeznania, zobowiązania, że stawię się w Grecji na każde wezwanie ichniejszych służb. Liczyłem, że nigdy do tego nie dojdzie. I że komisarz Koseła zadba, żeby w przywiezionych do kraju kwitach moje nazwisko nie rzucało się w oczy.

Dzięki temu mogłem znaleźć się pod Mławą, gdzie siedziałem w barku stacji benzynowej, popijałem napój energetyzujący i zastanawiałem się, czy jechać do Pauliny. W końcu... Jeśli nie ruszyło mnie spotkanie z wielokrotnym mordercą, tym bardziej nie powinna mnie przerażać perspektywa pogawędki z Pauliną.

Sunąłem powoli ulicą Wajdeloty, szukając miejsca do zaparkowania. Wiadomo, Dolny Wrzeszcz. Miałem nadzieję, że obędzie się bez krzyków.

Otworzyła mi koleżanka Pauliny. Na mój widok wyraźnie się zdziwiła i zmieszała. Spytałem, czy mogę wejść. Nie odpowiedziała, nie ruszyła się też z progu. Wreszcie się ocknęła i zawołała:

– Paula!

Paula? Też mi coś.

– Czemu się wydzierasz?

Kiedy usłyszałem głos Pauliny, poczułem, że ścisła mi się żołądek. Cóż, byłem miękki, choć zawsze to wypierałem.

Wyszła z kuchni. Dostrzegła mnie i nagle się zatrzymała. Choć może lepsze byłoby określenie: stanęła jak wryta.

– Co ty tu robisz?

– Przyjechałem – udzieliłem kretyńskiej odpowiedzi.

– To akurat widzę – wymruczała i skinęła głową na koleżankę, która zaraz zniknęła w swoim pokoju. – Szkoda, że o tydzień za późno.

Podeszła do mnie, ale nie za blisko.

– Po co się zjawileś?

– Porozmawiać.

– Nie mamy o czym. Już nie.

– Chciałem wytłumaczyć, co się ze mną działo i że...

– Nie interesuje mnie to.

Postanowiłem zignorować ostatnie zdanie.

– Wiesz, byłem w Grecji, rozwiązałem sprawę, ale aresztowali mnie i...

– Nie wiem i nie chcę wiedzieć. – Całkowicie zacięła się na negacjach. – Wydawało mi się, że jesteś ciekawym facetem, tylko lekko pokreconym. A ty jesteś zwyczajnie pojebany. Wywalają cię z policji, mówisz, że ci to pasuje, że zaczynasz nowe życie... Coś tam niby robisz po swojemu... – Wprawdzie nie mówiłem ostatnio o nowym życiu, ale

fakt, przemknęła mi taka myśl przez głowę. – A ty wciąż chcesz się bawić w policjanta. To się baw, beze mnie.

Przez głowę przelatywały mi frazy mętnych tłumaczeń, daremnych przeprosin. Nie wiedziałem, którą wybrać, co powiedzieć. Stałem przed Pauliną bez słowa, patrzyłem na nią, ona patrzyła w podłogę.

W przedpokoju nagle zmaterializował się wysoki i szczupły gość, wymuskany młodzieniec w typie metro.

– Paula, wszystko w porządku?

– Tak – opowiedziała i spojrzała na mnie. – Pan już wychodzi.

– Do widzenia, Paulina – wydukałem.

– Raczej nie.

Uciekłem. Trzeba spojrzeć prawdzie w oczy. Zbiegałem po schodach, jakby mnie ktoś gonił. W ucieczkach byłem całkiem niezły.

Jazda trzecia

24/25 października 2014, piątek/sobota, do Ciechanowa i w Ciechanowie

Musiałem się wyciszyć, pojechałem nad zatokę. Jak dwa lata wcześniej podczas dochodzenia w sprawie samobójstw nastolatek. Usiadłem na plaży, zapaliłem. Wnikał we mnie chłód mokrego piasku. Wgapiłem się w ciemność, w której błyskały światła statków stojących na redzie gdańskiego portu. Świąteczka w tunelu?

Rozmowa z Pauliną udręczyła mnie. Miałem dwa wyjścia: albo dręczyć się dalej, rozpamiętując koniec związku z nią, albo jak najszybciej zapomnieć o miłej przygodzie. Nie miałem pojęcia, co przeważy, jednego byłem jednak pewien. Nie zamierzałem wnikać, kim był wymuskany chłoptaş. Kim był dla Pauliny.

Nie było to moje jedyne zmartwienie. Przerażała mnie perspektywa innej rozmowy, przed którą umknąłem z Krakowa, a którą kiedyś odbyć

będę musiał, bo inaczej nie odzyskam spokoju. Rozmowy z Wierą Dworzak.

Zanim wyjechałem z Arkoudi, raczył rozmówić się ze mną komisarz Buc. Okazało się, że Cichocki nie kluczył, nie próbował się wywinąć. Przyznał się do trzech morderstw. Planował zabić jedynie Kowalską i Zawadzkiego. Tak, aby wyglądało to na wypadki. Zawadzkiego przydybał w knajpie, już lekko wstawionego. Były uczeń nie poznał go. Cichocki stawiał mu kolejne banie, a potem na wpół przytomnego zawiózł do Kyllini i utopił w blocku. Z Kowalską miał trudniej, bo go rozpoznała. Zaproponował jej pojednawczą kolację po latach. W sensie: co było, a nie jest... Zgodziła się. Dolał jej do kolorowego drinka specyfik wypreparowany z kłączy ziemniaków tak, że wyglądało to mniej więcej jak banalne zatrucie pokarmowe. Stąd wziął się podwyższony poziom solaniny w jej organizmie, który odkryto podczas sekcji. Nataszy Dworzak nie chciał zabijać, ale wtedy pojawiłem się ja i bez przekonania zacząłem węszyć. Wykombinowałem sobie w chorym umyśle, że jeśli zabije kogoś, kto nie jest związany z dwójką jego byłych uczniów, powiązania między nimi staną się mniej wyraźne. Bez sensu, bo i tak Koseła nie zamierzał w to wnikać. Wyszło więc, że gdyby nie ja, Natasza mogła jeszcze żyć. Komisarz Buc sprzedał mi tę wieść z nieskrywaną satysfakcją. Taka mała zemsta małego człowieka. Udawałem, że mnie to nie obchodzi, przecież nie ja zabiłem Dworzak na czarnych skałach. Jednak kolec wbił się w moje serce i w nim tkwił. Może podczas rozmowy z Wierą Dworzak wydlubię go. A może nie.

Rozdzwonił się telefon. Nieznany mi stacjonarny numer z Ciechanowa. Zignorowałem, jak wszystkie inne połączenia z nieznanymi mi numerów. Ktoś był jednak uparty. Czwarte połączenie już odebrałem. Z każdą sekundą rozmowy robiło mi się zimniej. Prawie lodowato. Przerwałem i pobiegłem do samochodu.

– Jest środek nocy, a pani Felicja śpi. Nie dociera to do pana? A w ogóle jak pan się tu dostał?!

Piguła była nieustępliwa, ja uparty. Z pokoju lekarzy wyszła zaspana doktorka.

– Pan Rowicki? – spytała cicho.

Zamarłem.

– Co się dzieje z moją babką? Niech pani mówi!

– A pan niech się uspokoi. Opanowaliśmy sytuację.

– Jaka, kurwa, sytuację?

– Tak nie będziemy rozmawiać. Mam wezwać ochronę?

Podniosłem ręce w uspokajającym geście. Jestem wcieleniem budyjskiego spokoju, powtarzałem sobie w myślach.

– Pani Felicja miała wieczorem poważne problemy z oddychaniem, wezwała karetkę. Na razie pomogły tlen i leki.

– Ale co jest Felicji?

– To będziemy wiedzieć po badaniach, podejrzewam, że ma POChP. Nieleczone od lat.

– W sensie co?

– Przewlekła obturacyjna choroba płuc. Niszczy płuca. Papieroski... Kurwa, jak nienawidzę zdrobnień.

– Tak, babka pali od dawna i za dużo. Nie potrafię jej przetłumaczyć.

– Właśnie. Do tego słabe serce, no i wiek.

– Ale czy...

Słowa uwięzły mi w gardle.

– Powiem tak, jest źle, ale jeszcze nie fatalnie.

Ci lekarze i ich pokrętne tłumaczenia.

– A teraz niech pan stąd idzie i wróci rano. Wszystkim to zrobi dobrze.

Felicja w poszarzałej szpitalnej pościeli wyglądała jeszcze bardziej krucho niż zwykle. Pogłaskałem jej dłoń, w której tkwił wenflon. Otworzyła oczy. Powoli, jak na zwolnionym filmie, uniosła drugą rękę i zsunęła z twarzy maskę tlenową.

– Chłopczyku... – powiedziała łamiącym się głosem.

- Ciii, nie męcz się.
- Jesteś.
- I będę tu przez cały czas.

Uśmiechnęła się lekko.

- Ale powiedz mi, chłopczyku, wszystko u ciebie dobrze?
- Nie myśl teraz o mnie.
- Tego akurat nie mogę ci obiecać.
- Przestraszyłaś mnie.
- Sama siebie też.

Próbowała unieść się na posłaniu, ale nie dała rady.

- Pomóc ci?
- Nie, właściwie tak jest dobrze. Tylko palić mi się chce.
- Zapomnij, lekarka...
- Lekarze... Co oni tam wiedzą. Na coś umrzeć trzeba.
- Nawet tak nie mów.

Zaśmiała się z cicha.

- Nigdzie się nie wybieram. A jeśli już, to do domu. O właśnie, kwiatki mi podlej.

- Jasne. Coś ci przywieźć, czegoś potrzebujesz?
- Nie. Poza tym nie zamierzam tu tkwić dłużej, niż trzeba. Ale...

Przez twarz Felicji przemknął cień.

- Wiesz, chłopczyku, długo myślałam, czy ci o tym powiedzieć. Ale chyba muszę.

- O co chodzi? - zaniepokoiłem się.

- W dolnej szufladzie komody, tej koło telewizora, jest zeszyt w płóciennej okładce. Chyba powinieneś do niego zajrzeć, ale obiecaj mi, że zrobisz to dopiero po mojej śmierci.

- Felicja...
- Obiecaj!
- No dobra, obiecuję. Ale o co chodzi?
- Kiedyś zobaczysz.

Ze sklepiu przy wejściu do ciechanowskiego szpitala przytargałem soki, owoce i słodycze, choć Felicja wzbraniała się, że niczego nie potrzebuje. Zaczynał się obchód, więc musiałem spadać.

Pojechałem do domu Felicji. Zamiast zgodnie z obietnicą podlewać kwiatki, złamałem inne przyrzeczenie i od razu odszukałem zeszyt w płóciennej okładce, przywalony stertą starych rachunków. Po co babka magazynowała te wszystkie kwity?

Otworzyłem zeszyt, zacząłem czytać. Z każdą kolejną przeczytaną stroną rosła we mnie wściekłość. Kiedy dotarłem do końca, byłem już tylko wściekłością.

O autorze



ROBERT OSTASZEWSKI

(ur. 1972) prozaik, wykładowca Studiów Literacko-Artystycznych UJ. Współautor i autor wielu opowiadań oraz powieści kryminalnych. Obecnie tworzy cykl śląski (Zabij ich wszystkich, Ukochaj na śmierć) oraz trylogię z podkomisarzem Konradem Rowickim (Zginę bez ciebie), której drugą częścią jest powieść Śmierć last minute. Jego opowiadanie kryminalne Ten cholerny wrzesień zostało zaadaptowane na scenę przez Łukasza Witt-Michałowskiego. Juror Nagrody Kryminalnej Piły. Mieszka (głównie) w Krakowie.